

ŽONY  
GUBERNATORA  
RAFFLES



*Alina Zerling Konopka*

Zerling-Konopka Alina

Žony gubernatora Raffles

## Podziękowanie

*Serdeczne podziękowania Wszystkim Tym, którzy towarzyszyli mi w niezwyklej drodze tworzenia książki.*

*Moi Najbliżsi, mój mąż Jurek i mój syn Jeremi, włożyli wiele trudu w opracowanie graficzne i sformatowanie powieści.*

*Cudowni Przyjaciele, Hania i Zbyszek Walczykowski, oraz moja bratnia dusza, Stenia Polischuk, służyli mi swym talentem fotograficznym i technicznym, i nieustannym wsparciem i wiarą w moje możliwości literackie.*

*Dzięki Nim moja praca stała się prawdziwą przyjemnością.*

**Część I**  
**OLIVIA**

\*

### Rok 1814

Cisza panowała w wielkim domu. Tylko wysoko, pod spadzistym sufitem bezszelestnie poruszała się *punka*, trącana ciemną dłonią dwunastoletniego Sabira, osobistego *punka wallah* sahiby Olivii.

W powietrzu unosił się mdły, choć daleki aromat palonych trociczek i kadzideł. Wierny majordomo Muhammed modlił się o zdrowie madame i hart ducha sahiba.

Hortensja Nightingall poruszyła się niespokojnie w wysokim krześle. Co za wstyd! W stojącym upale wczesnego popołudnia zdrzemnęła się w obecności sir Tomasza i doktora Currie. Cóż oni sobie o niej pomyślą? Wszak powinna czuwać nad spokojem ostatnich godzin jej przyjaciółki i przybranej siostry! Zerknęła spod oka na chirurga, piszącego coś nerwowo przy mahoniowym biurku umierającej pani domu.

Doktor Currie był rodzinnym lekarzem garstki brytyjskich i holenderskich rezydentów, zajmujących wygodne posiadłości wzdłuż brzegów leniwie płynącej rzeki Cidane. Odebrał wszystkie porody w ostatnich dziesięciu latach, przeprowadził niezliczone operacje wyrostka robaczkowego i ocalił życie pana Mahony, gdy ugryzła go zielona jadowita żmija.

Hortensja ufała mu, bo z powodzeniem kurował podagrę jej męża i szybko rozpoznał niebezpieczny krup u jej najstarszego syna.

Figlarny promień słońca padł na łysinę lekarza i nagle rozjaśniał oślepiającym blaskiem jego wypolerowaną skórę. Potylicą lekarza zdawała się płonąć w aureoli świętości.

Hortensja z trudem powstrzymała uśmiech. Zacisnęła dłonie na fałdach jedwabnej sukni i dyskretnie ziewnęła. To czuwanie było bardzo męczące. Nie śmiała wprost popatrzeć na sir Tomasza. Od kilku godzin siedział nieporuszony na brzegu łóżka żony i trzymał jej dłoń w swojej rozpalonej ręce. Chciał udzielić jej swego życia, ciepła i otuchy. Ciało Olivii było lodowate, jakby ulepione z bryły lodu. Tego rana Hortensja dotknęła czoła przyjaciółki na powitanie i od tego czasu nie mogła się zdobyć nawet na podejsięcie do łóżka.

Chora leżała z zamkniętymi oczami, pogrążona w głębokim śnie. A przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Jej sine powieki trzepotały chwilami jak skrzydła uwięzionego motyla i wtedy wszyscy obecni wstrzymywali na chwilę oddech. Czyżby mogła jeszcze otworzyć oczy? Czy mogłaby jeszcze odzyskać zdrowie? Dobry doktor nie dawał przecież żadnej nadziei.

A jeszcze niedawno tańczyła gawota w czasie balu wydanego na cześć jej męża przez Hortensję i lorda Nightingall w pałacu Batawii. Taka była olśniewająco piękna w białej muślinowej sukni, zwanej „kebaya”, którą za lokalnym zwyczajem, wprowadziła na salony.

W przerwie pomiędzy tańcami madame Raffles poprosiła młodego Holendra, porucznika Mejera, który jak i inni, kochał się w niej beznadziejnie, aby był tak „słodki” i przyniósł jej szklaneczkę orszady.

Chłodząc się olbrzymim wachlarzem ze strusich piór, bez tchu zwróciła się do Hortensji:

– Hortensjo, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mogłam cię jeszcze zobaczyć przed wyjazdem do Buitenzorg. Moje życie jest tak spokojne, nawet nudne, iż ten bal będzie stanowił najmiłsze wspomnienie na następne tygodnie.

– Słyszałam, że gubernator wybiera się w coroczny objazd Jawy. Czy nie zamierzasz mu i tym razem towarzyszyć? – Hortensja wiedziała, że Olivia z wielką przyjemnością odbywała podróże po wyspie i w ogóle Indonezji.

– Nie przypuszczam, abym mogła się na co przydać mojemu mężowi. – Olivia

potrząsnęła ze smutkiem głową. – Chciałabym odwiedzić Anglię. Nie czuję się dobrze, więc może pobyt u wód...

– Co też ty mówisz! – zawołała z oburzeniem jej przyjaciółka. – Wyglądasz cudownie! Być może wreszcie spodziewasz się... – Tutaj spojrzała wymownie na nieco zaokrągloną sylwetkę madame Raffles. Pomimo luźnej, suto marszczonej pod biustem sukni kibić Olivii wydawała się pełniejsza niż kilka tygodni temu.

– Wielkie nieba! – Olivia zaniósła się nieco wymuszonym śmiechem. – Zapewniam cię, że nie oczekujemy z Tomaszem potomka.

W tej chwili zbliżył się do nich młody Meijer z kryształowym kielichem lodowatej orszady w ręku. Olivia spojrzała przeciągle na młodzieńca i stuliła usta w komicznym grymasie poufałego pocałunku.

– Ach, wspaniała lemoniada! – zatrzepotała długimi rękami i sięgnęła do aksamitnego woreczka, przewieszzonego przez ramię. Wysunęła z niego dyskretnie buteleczkę inkrustowaną lapis lazuli i szybko wlała jej zawartość do kieliszka.

– Zalecenie doktora, dla pokrzepienia – szepnęła poufale i dotknęła dłoni Holendra. Młodzieniec poczerwieniał z radości i podkreślił ledwo sypiącego się wąsa. Nozdrzy Hortensji doszedł charakterystyczny, ostry aromat brandy.

Olivia nigdy nie stroniła od wina i mocniejszych napojów. W towarzystwie nie było to dobrze widziane, pili bowiem tylko panowie, a i to w ustroniu gabinetów i palarni. Damom nie uchodziło rozkoszować się trunkami, prócz delikatnego zamoczenia ust w słodkim porto po zakończeniu obiadu.

Doktor Currie przeprowadził nawet poufną rozmowę z lady Nightingall, która uchodziła za osobę wybitnie wstrzemięźliwą i rozsądną. Prosił Hortensję, jako przyjaciółkę i powiernicę żony gubernatora, o zachowanie pełnej dyskrecji.

– Droga lady Nightingall, tuszę, że nie weźmie mi pani za złe mojej szczerości. Chodzi jednak tylko o dobro naszej madame Raffles. Ekscesy nigdy nie są wskazane, tym bardziej niewiastom o jej kruchej konstytucji i skłonności do chorób przewodu pokarmowego. Lady Olivia musi zachować konieczną abstynencję i zażywać przepisane leki. W innym wypadku nie jestem w stanie zapewnić zadowalającego wyniku kuracji.

Oboje rozstali się nieco zakłopotani tematem konwersacji i Hortensja do tej pory nie miała odwagi przeprowadzić z przyjaciółką poważnej rozmowy. Zresztą podejrzewała, że Olivia wyśmiejże lekarza, a być może obrazi się na nią za jej wścibstwo.

Wzrok madame Nightingall powrócił do łóża przyjaciółki. Olivia poruszyła się niespokojnie, a Hortensja spojrzała na nią ze łzami w oczach. Olivia była tak strasznie blada! W jej delikatnych rysach zaszła tego popołudnia zmiana. Stały się kamienne, zakrzepłe jak oblicza starożytnych rzeźb, nieodgadnione i ostre. Na skroniach i podbródku rysowały się niebieskie cienie, a pełne usta wygięły się w gorzką, tragiczną linię.

Umierająca krztusiła się, jakby chciała coś powiedzieć. Na ten widok sir Tomasz zerwał się gwałtownie, strącając na posadzkę wazon z kwiatami z nocnego stolika u wezglowia chorej.

Hałas rozpryskującego się szkła zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

Olivia otworzyła nagle oczy i powiodła nimi po obecnych. Doktor Currie szybko ujął jej nadgarstek i zbadał w skupieniu puls pacjentki. Tomasz oparł czoło na dłoni i począł powtarzać monotonnie: „Boże, ocal ją”. Brzmiało to jak jęk, jak żałosna modlitwa, intymnie skierowana tylko do Pana. Hortensja poczuła się nagle intruzem.

Bezradnie poprawiła koronki na atlasowej poduszce przyjaciółki i uklękła w nogach jej łóżka.

– Szsz – szepnął lekarz i położył palec na ustach.

Olivia patrzyła przed siebie skupionym wzrokiem. Jej oczy zawsze posiadały tę nadzwyczajną, fiołkową barwę i pomimo ukończonego czterdziestego roku życia nadal była piękną kobietą. Gdyby nie choroba i cień śmierci, unoszące się ponad nią jak odór rozkładającej się materii, byłaby po prostu olśniewająca. Jej spojrzenie zawsze wydawało się specjalnie głębokie i tajemnicze, a to dzięki podwójnej linii rzęs, które ocieniały jej źrenice, jak aksamitne firany Dalekiego Wschodu ocieniają okna seraju.

W tej osobliwej chwili te cudowne oczy patrzyły z wytężonym zainteresowaniem na przeciwległą ścianę.

Obecni mimo woli spojrzeli za siebie. Na adamaszkowej tapecie igrały promienie słońca, tworzące migotliwą mozaikę światła i cienia. Z portretu w złoconych ramach spoglądała z powagą twarz młodego mężczyzny o długim, patrycjuszowskim nosie, wyrazistych rysach twarzy i ciemnych, pełnych inteligencji i nostalgii oczach.

Była to twarz interesująca, choć nie piękna, bowiem szpeciły ją niewielkie, dziwnie nieproporcjonalne do całości rysów usta i nieco cofnięty podbródek, nadający młodemu człowiekowi wyraz niezdecydowania i zniewieściałości. Ciemnozłote loki spadały na wysokie, myślące czoło, więc młodzieniec przypominał obrazy archaniołów lub świętych. Była to twarz poety, filozofa lub badacza. Bo takim był w istocie ten nieżyjący już od kilku lat człowiek, o którym Hortensja wiedziała dużo, ale nie wszystko.

Gdy poznała Olivię, John Leyden już nie żył. Olivia mówiła o nim często, także w obecności męża, i wcale nie kryła swego uwielbienia. Leyden był przecież przyjacielem domu, bratnią duszą sir Tomasza i jej oddanym, najwierniejszym wielbicielem. Wielbiciele? Ależ tak, Olivia miała wielu wielbicieli, ponieważ było to dobrze widziane w towarzystwie, a nawet demonstrowało wytworne obyczaje.

Piękna kobieta powinna być otoczona gronem dżentelmenów o nieskazitelnych manierach, zawsze starających się zdobyć uwielbianą kobietę, lecz nigdy nieposuwających się do faktycznego zdobycia; flirtujących, ale nigdy wulgarnych i niewychodzących poza określone bon tonem granice. Mąż na to zezwalał, ba, czuł się dumny z żony i jej urody i zaspokajał swoją ambicję i miłość własną.

Leyden pisywał dla Olivii wiersze, śpiewał romanse przy wtórze własnego akompaniamentu na fortepianie i co dzień składał jej hołdy i dowody uwielbienia i oddania. Równocześnie nazywał ją swoją „najmilszą siostrą” i „słodką mużką”, ona zaś zwracała się do niego „braciszku” i „Petrarko Indonezji”.

Były to egzaltowane, nieco przesadne terminy, ale w owych czasach uchodziły za poprawne i uprzejme.

Hortensja szybko otrząsnęła się z zadumy i spojrzała uważnie na chorą. Lady Raffles wpatrywała się uporczywie w obraz, a na jej bladych ustach błąkał się cień uśmiechu.

Sir Tomasz przypadł do wezgłowia żony i tak pół leżąc, pół klęcząc, zdawał się nie widzieć zmian, szybko zachodzących na jej obliczu.

Doktor Currie potrząsnął głową i skinął na Hortensję.

– Niewiele pozostało już czasu. Proszę otworzyć drzwi i wezwać służbę i resztę domowników, aby mieli szansę się pożegnać.

Lady Nightingall bez słowa zebrała fałdy sukni i otworzyła na oścież podwójne skrzydła drzwi sypialni. W olbrzymim hallu, wyłożonym kamienną, lśniąca posadzką i oświetlonym nawet o tej porze dnia tuzinem lamp, oprawionych w rzeźbione drzewo tekowe, zgromadziła się w milczeniu wokół ciotki rezydentki służba i oficjałowie.

Ciemne twarze, okolone białymi i szkarłatnymi turbanami, jedwabne kaftany i kolorowe sarongi stanowiły barwną, bajeczną plamę na tle ciemnego korytarza. W snopie światła

padającym z otwartej sypialni krążyły drobinki kurzu. Pod ścianą, w pobliżu otwartych drzwi sypialni, rysowała się wysoka, egzotyczna postać. Był to posąg sultana Jawy, Hamengubuwana III, wykonany w piaskowcu i подарowany gubernatorowi parę lat wcześniej. Sultán kilkakrotnie przyjmował oboje gubernatorstwo Raffles u siebie, we wspaniałym pałacu w Jogyakarta.

Ktoś ze służby ozdobił nagą pierś statuy girlandami kwiatów franjipani i żółtych nagietków. Majestatyczna twarz sultana ginęła w półmroku. Przez moment Hortensji wydało się, że oczy rzeźby poruszają się i wodzą za nią oskarżającym spojrzeniem.

Lady Nightingall wzdrygnęła się nerwowo i dotknęła dłonią obnażonej szyi. Zabrakło jej powietrza i myślała, że zemdleje. Serce tłukło się w jej piersi jak szalone, więc zaczęła powtarzać do siebie „To nic, to tylko gra blasków i cieni zachodzącego słońca”.

Zgromadzeni przesuwali się bezszelestnie wokół łóżka i zasłonili konającą. Hortensja, jak niewidoma, przeszła na werandę. Fala gorącego powietrza uderzyła w nią z siłą żywej istoty. Słońce właśnie skryło się za pasmem gór, choć jeszcze świeciło krwawiące niebo i najwyższe, boskie szczyty Salak i Gede.

Hortensja osunęła się na najbliższy fotel z westchnieniem ulgi. Wreszcie ośmieliła się rozglądać, nie będąc podejrzaną o niezdrową ciekawość. Jakże piękne było otoczenie pałacu gubernatora. Za każdą wizytą Hortensja nie mogła się pozbyć uczucia zazdrości i podziwu. W okresie zaledwie dwu lat Olivia doprowadziła zrujnowaną rezydencję do dawnej świetności i dodała osobistego charakteru.

Soczyste trawniki schodziły łagodnym półkolem w stronę drewnianej, czerwonej palisady, oddzielającej część formalną od ogrodów kwiatowych i warzywnych.

Główny budynek wspierał się na kilkunastu klasycznych kolumnach, ocieniających przestronną werandę. Kilka dwuskrzydłowych, prześlicznie rzeźbionych drzwi prowadziło na pokoje o wysokich, spiczastych stropach. Ułatwiały cyrkulację powietrza i dodawały wrażenia przestronności. Trzcinowe i wiklinowe fotele indonezyjskie i niskie stoliczki zdobiły wnętrza i werandę, a wzrok gości płynął do pobliskiego morza palm, bugenwilli i gardenii i dalej, do nieprzebytej, ciemnozielonej dżungli.

Dwa boczne skrzydła pałacu, nakryte czerwoną dachówką, stanowiły biura rządowe, pokoje gościnne i służbowe.

W głównym, półokrągłym pałacu znajdowały się pokoje gubernatora i jego małżonki oraz gabinet sir Rafflesa, wyłożony eukaliptusową boazerią i ozdobiony ornamentami Jawy i Indonezji, nabytymi lub znalezionymi przez gubernatora w czasie jego wędrówek po Indonezji i Malajach.

Całość konstrukcji sprawiała przyjemne wrażenie, bowiem klasycyzm harmonizował z elementami orientalnymi wielkich okien biblioteki i sali balowej. Położenie pałacu było wyjątkowo piękne. Z każdego punktu posiadłości roztaczał się uroczy widok na góry, rzekę i malowniczą wioskę na palach.

Sir Tomasz często twierdził, że tutejsze krajobrazy przewyższały stokrotnie urodą pejzaże Anglii, zaś klimat nie miał sobie równego w świecie.

– Mamy tu wszystkie wygody naszej cywilizacji, z bukolicznym trybem życia włącznie. Cóż bowiem równa się aromatowi i smakowi własnych wyrobów rolniczych, mleka, owoców i przedniej wołowiny? – zwykł mówić.

Jakoż w oborach i stajniach stało sześćdziesiąt znakomicie utrzymanych krów i wołów oraz podobna liczba koni arabskich, kuców i koni roboczych.

Na myśl o gubernatorze oczy Hortensji zaszklily się łzami. Biedny Tomasz! Wszak kocha Olivie ponad wszystko!

Jakże przeżyje śmierć ukochanej, a potem pierwsze dni i tygodnie samotności? Tę



straszna pustkę w sypialni i przy stole! Gdybyż tylko generał Nightingall kochał swą żonę z taką pasją! Hortensja oddałaby za to kilka lat życia.

Niestety, generał odznaczał się wyjątkowo oschłym charakterem i kostycznym sposobem zachowania. Biedna Hortensja za wielką pieśczętę poczytywała sobie protekcyjne poklepanie policzka lub chłodny uścisk dłoni. Ach, Olivia była kochana, uwielbiana przez męża! Przez cały czas małżeństwa obsypywał ją prezentami i spełniał każdą jej zachciankę. Oczywiście madame Raffles była rozgrymaszona i znudzona. Cynicznie twierdziła, że nadmiar słodczy wpływa na złe samopoczucie.

Tak, Olivia Mariamne Raffles była dzieckiem szczęścia. Dopóki nie rozchorowała się obłożnie i beznadziejnie. Hortensja westchnęła jeszcze raz i zapadła w płytką drzemkę.

\*

Gdzieś uporczywie śpiewał świerszcz. Ten dźwięk wydawał się rosnąć jak grzmot burzy, rozsadał czaszkę i zagłuszał inne odgłosy. Olivia próbowała unieść powieki, prosić o ciszę, ale nie mogła wydać głosu ani poruszyć wargami. Chciała usłyszeć jeszcze raz krzyk pawi w ogrodzie i szczekanie chartów. Chciała słyszeć gong w pobliskiej świątyni, nawołujący wiernych na wieczorną modlitwę. I śpiew rybaków, podążających od rzeki z koszami pełnymi trzepoczących, srebrnych ryb.

Czuła się ciężka, obolała i niezgrabna. Jak wiotki motyl w obrzydliwym kokonie. A przecież zawsze szczyliła się zwiewną, smukłą sylwetką.

W ostatnich miesiącach zaszły jakieś zmiany w jej delikatnym, tajemniczym ciele. Przestała nad nim panować i choć czuła, że choroba pożera jej tkankę i atakuje psychikę, nie mogła na to nic zaradzić. Stawała się coraz bardziej obojętna, jakby organizm zamykał się na potrzeby zewnętrznego świata. Jej ciało było też jej żywym grobem. Unosił się nad nią trupi zaduch, który wietrzyła, jak pies wietrzy ślad niebezpiecznego zwierza.

Drepczyły ją mdłości i nagłe napady senności. Początkowo myślała z radością, że jest w ciąży. Tomasz tak bardzo chciał mieć z nią dzieci, a ona nie mogła spełnić tego marzenia. Wiele lat temu brutalna dłoń czarnoskórej akuszerki wyrwała z jej łona na wpół uduszone niemowlę i od tego czasu Olivia stała się bezpłodną, pustą tykwą.

Dziecko, jej nieznaną córką Harriet! Nawet nie wiedziała, gdzie znajduje się obecnie, czy jeszcze żyje? Ostatni list, który napisała na adres Park Lane w Londynie, skierowany do Wielce Wielmożnej Pani Harriet Sopet pozostał bez odpowiedzi. Być może Harriet zmieniła miejsce zamieszkania, być może wyjechała z mężem Williamem do jednej z kolonii, z którymi sir Sopet prowadził rozległe interesy?

Coraz gorsze samopoczucie zmusiło w końcu Olivię do zasięgnięcia porady doktora Currie. Przyczyną niedomagań była opuchnięta wątroba, stwierdził lekarz. Zalecił picie ziółek i całkowity spokój.

– Wino i brandy muszą zniknąć z pani menu, droga lady Raffles.

Trząśł łysą głową i patrzył na nią ze smutkiem, zażawionymi oczami krótkowidza. Olivia odgarnęła kasztanowe kędziory z czoła pokrytego kroplami potu. Nie, przynigdy nie rozstanie się ze swoim tonikiem! Dzięki niemu mogła jeszcze czasem uczestniczyć w intymnych *soiree* lub balu. Po cóż żyć, jeżeli nie mogłaby cieszyć się właśnie życiem?! Currie żądał od niej zbyt wiele.

Miesiąc później straciła przytomność w czasie oficjalnej wizyty sultana Cirebonu, Prangwedana i jego trzech synów. Wydarzenie to było szeroko omawiane i komentowane i od tego momentu sekret Olivii pojawił się na ustach wszystkich. Stan jej zdrowia omawiano w codziennej prasie, nadchodziły dziesiątki listów z życzeniami, które przyjmował prywatny sekretarz Tomasza i bez jej wiedzy odpowiadał na nie po skonsultowaniu się z gubernatorem.

Och, jeszcze były bale i rauty, jeszcze tańczyła kadryle i polki, jeszcze przymierzała z rozkoszą diamentowe kolie i brosze i upinała paki gardenii, jej ulubionych kwiatów, w kasztanowe włosy. Ale słabła z dnia na dzień, potem już z godziny na godzinę, w końcu nie miała energii wstać o własnych siłach.

Ostatni bal, wydawany corocznie w lipcu przez gubernatora na cześć rocznicy urodzin Jego Wysokości króla Anglii, był prawdziwym tryumfem Tomasza. Pamiętała swoją różową, przyslaną w pudle prosto z Paryża, suknię „empire”, haftowaną w delikatny deseń

bladoróżowymi sznurami pereł. Ach, i ten wachlarz różowych pawich piór – pawia albinosa. Właśnie wachlarz wzbudził sensację i zazdrość wszystkich dam z towarzystwa.

Chora uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko. Straszliwa zmora zesłała na chwilę z jej piersi, poczuła nawet muśnięcie wiatru na policzku. Ach, tak, to Tomasz rozkazał otworzyć okna. Wiedział, że Olivia potrzebuje powietrza.

Jej nozdrza pochwyciły lekki zapach naftaliny i sztywno nakrochmalonego płótna. To ciotka Pamela, rezydentka, przysiadła jak ptak na gałęzi, na brzegu jej łóżka. Pocziwa panna Pamela! Z jej osobą rozpoczęło się dzieciństwo Olivii.

\*

W małym dworku rodu Devenishów panował zawsze chłód. Posiadłość położona była wśród mokradel i łąk południowej części Korcu i zwała się Castledance. Z okien salonu widać było rzekę Mague, która toczyła leniwe wody na wschód, do ujścia w Kanał Świętego George'a w porcie Youghal.

Chłód był pierwszym uczuciem, które Olivia zapamiętała najlepiej z całego dzieciństwa, ponieważ przenikał jej małe ciało do szpiku kości i nie pozwalał zasnąć wieczorem. Większość roku szara mgiełka rosy lub srebrna patyna szronu pokrywały pola ziemniaczane i łąny koniczyny.

Pościel w wąskim, prawie spartańskim łóżku Olivii pachniała pleśnią i wilgocią, więc dziewczynka często sypiała w łóżku ciotki Pameli, dalekiej kuzynki jej zmarłej matki. Pamela Rawlison była właściwie jej jedyną żyjącą krewną. Matka umarła tak dawno, że nikt nie chciał o tym mówić. Jej bliżej nieokreśloną postać owiewała mgiełka tajemnicy i niedomówień.

Na wzmiankę o nieboszczce, pani Devenish, krzyżowały się porozumiewawcze spojrzenia, a stare, pamiętające dawne czasy damy potrząsały powątpiewająco głowami. Tak, tak, madame Devenish była niewątpliwie piękną kobietą. George Devenish przywiózł tę damę z Indii, zakochany i dumny z posiadania oryginalnej żony.

– Twoja matka miała oczy w kształcie migdałów, długą szyję i słodczy spojrzenia – mówiła panna Pamela. – Było jej na imię Mariamne i dla jej pamięci i ty je nosisz.

Było to rzeczywiście niepospolite i egzotyczne imię. Miss Pamela uważała, że pochodzi z języka hebrajskiego od biblijnego imienia Miriam, czyli Maria. Dlatego w późniejszych latach Olivia podejrzewała, że być może jej matka była Żydówką.

Tym bardziej że podobno po niej odziedziczyła nieprzeciętną urodę, łączącą w sobie ciemnowłosą piękność Dalekiego Wschodu z bladą, prawie porcelanową skórą prawdziwej córki Albionu.

Oczy Olivii mieniły się przedziwnie gamą barw błękitu, szafiru i fiołków, ocienione podwójną linią jedwabistych rzęs. Niejednokrotnie próbowała dowiedzieć się od ciotki czegoś więcej o matce, ale panna Pamela zaciskała tylko usta i udawała, że nie słyszy.

Z ukradkowych, przyciszonych rozmów w kuchni pomiędzy kucharką a służącą Olivia wywnioskowała jednak, że przecież niektórzy stale pamiętają poprzednią panią na Castledance i lubią o niej mówić.

– O, gdyby madame Devenish żyła, losy całej rodziny potoczyłyby się inaczej. Z pewnością pan Devenish powróciłby z nią do Indii i zabrał ze sobą dziecko. Madame Devenish bardzo tęskniła do gorącego klimatu i nigdy nie przyzwyczała się do tutejszej zimy. I ta zima ją w końcu zabiła – szeptała kucharka do zarumienionej z ciekawości służącej.

Zaś w kolonialnym sklepie pana Surrey, gdzie ciotka czasem robiła własnoręcznie zakupy i gdzie Olivia lubiła przebywać, ponieważ pachniał cynamonem, wanilią i mydłem sandałowym, posłyszała kiedyś rozmowę pani Horensby i pani Surrey, które na widok dziewczynki pochyliły ku sobie głowy w zgodnym duecie.

– Jaka ona podobna do matki! Anglo-hinduska krew, uważa pani, droga pani Surrey, to natychmiast widać. Ta dziewczyna nigdy nie wyjdzie tu za mąż. Pani wspomni moje słowa, droga pani, wspomni pani moje słowa!

Anglo-Hinduska! To brzmiało jak obelga, w każdym razie w ustach madame Horensby! Dziewczynce zakręciły się łzy w oczach i ukryła się za wysokimi półkami z kawą i herbatą.

Zaferowana panna Pamela łąła za coś nieuważną służącą i nawet nie zwróciła uwagi na jadowite spojrzenie, jakie rzuciły jej obie damy.

Olivia wiedziała, że jej ojciec przeżył wiele lat w Indiach, zanim ona sama przyszła na świat. George Devenish zawsze odznaczał się fantazją i ciekawością świata. Zamiast siedzieć w majątku rodziców, siać zboże i sadzić ziemniaki, jako młody wyrostek popłynął na handlowym statku Kompanii Wschodnioindyjskiej najpierw do Afryki, a potem do Indii.

Tam szybko dał się poznać jako inteligentny, obrotny i odważny młody człowiek i jeden z brytyjskich plantatorów dopuścił go do spółki na plantacji bawełny i indygo. Kiedy George powrócił do Irlandii, był już zamożnym człowiekiem, o którym było głośno, a ludzie kłaniali mu się na ulicy. Przy tym przywiózł niezwykle atrakcyjną żonę, w której kochali się wszyscy dżentelmeni z sąsiedztwa. Jej uroda niewątpliwie spędzała sen z powiek połowie dam w hrabstwie Cork.

Cóż, sielanka nie trwała długo, bowiem wkrótce po urodzeniu córki, Olivii Mariamne, piękna madame Devenish umarła. Niepocieszony i zawsze niespokojny duchem George postanowił wyjechać po raz wtóry. Błotniste drogi Castledance, ziąb i mrok zimowych dni, nuda i głupota sąsiadów doprowadzały go do skrajnej depresji. Kusily go dalekie lądy, egzotyczne podróże przez ogromne oceany i gorące noce, usiane gwiazdami południa.

Wyjechał, gdy Olivia miała dziesięć lat, i już więcej nie wrócił. Do Castledance dopiero po kilku latach dotarły wprost nieprawdopodobne wieści o jego losie. Gnany żądzą przygód i zarobku, George przez pewien czas zatrzymał się w Madrasie, gdzie zasłynął z pewnej ręki wyśmienitego strzelca i myśliwego na grubego zwierza. Następnie wyjechał do Birmy na zaproszenie jednego z tamtejszych radzów, z którym odbył cały szereg świetnych *shikar* i przysporzył mu myśliwskich trofeów w formie kłów słonia i skór tygrysich.

Ta pasja przyczyniła się w końcu do jego zguby, ponieważ na ostatnim polowaniu zniknął na zawsze w dżunglach Mandalay i wszelki słuch o nim zaginął. Jedyne pamiątkami po zmarłych przedwcześnie rodzicach były dla Olivii orientalne meble w salonie, sprawione z ciemnego, prawie czarnego drzewa mahoni i kilka bibelotów z kości słoniowej, hebanu i jadeitu. Oraz portret George'a, wykonany w Madrasie jeszcze za pierwszym jego pobylem w Indiach, przedstawiający go w stroju Hindustanu: jedwabnym turbanie, szamerowanej złotem kurcie i pantoflach o podwiniętych nosach.

Jak przystało na świetnego myśliwego, George stał ze stopą nonszalancko opartą o łeb martwego tygrysa.

Olivia rosła, a przez pełen przeciągów dwór Castledance przewijały się czerechy guwernantek i nauczycieli. BOWiem jak przystało na pannę z dobrego, choć zubożalego domu Olivia grała na fortepianie, recytowała poezję i dość zręcznie rysowała ołówkiem i malowała akwarele pobliskich pejzaży.

Panna Pamela uważała jednak, że nie wykształcenie, a nadzwyczajna uroda panienki przyniesie jej nie tylko szczęście, ale i bogactwo.

Tymczasem lata mijały, a ciotka nie widziała godnego jej wychowanczy młodzieńca i stale czekała na niespodziane wydarzenie, które przyniosłoby nie tylko oszałamiająco pięknego, ale i bogatego narzeczonego.

Niestety, w zacisznym Castledance, gdzie bogactwo mierzyło się co najwyżej zagonami ziemniaków i łanami zboża, zadanie takie było nie tylko trudne, ale właściwie niewykonalne.

Olivia Mariamne dochodziła już dwudziestu lat i przez niektórych uważana była za starą pannę. I być może, zwyczajem zbyt pięknych i wymagających dziewcząt, byłaby w końcu spoczęła na laurach staropanieństwa, gdyby nie list, doręczony do rąk własnych panny Pameli poranną, nadzwyczajną pocztą, który wprawił nie tylko ją, ale całe domostwo w stan wrzenia

i pogotowia.

Bowiem na ogół takie listy nie przynosiły nic dobrego i zazwyczaj były posłańcami śmierci, ruiny finansowej i tym podobnych kataklizmów.

\*

Jak już wspomnieliśmy, George Devenish przez pewien czas mieszkał w Madrasie, na wschodnim wybrzeżu Dekanu.

Będąc jeszcze młodym i wcale interesującym człowiekiem, zawarł znajomość z pewną równie interesującą piękną tamtejszych salonów.

Była to wybitnie wesoła wdówka po jakimś średniej wielkości urzędniku Kompanii Wschodnioindyjskiej, która prowadziła dom otwarty i beztroskie życie towarzyskie. Przy tym cechowała ją otwartość na ludzi i dobre serce, więc darzyła George'a prawdziwym uczuciem.

Niestety, ich romans nie trwał długo, ponieważ jedna z częstych epidemii cholery zmiotła piękną wdówkę z powierzchni ziemi, pozostawiając w nieudawanym żalu George'a i połowę płci męskiej miasta.

Ponieważ wdowa była zamożna, więc zawczasu przygotowała testament, w którym ku zdumieniu licznych przyjaciół, a szczególnie zainteresowanego, pozostawiła George'owi w spadku pięćset funtów rocznej pensji, a w razie jego śmierci kwotę tę przeznaczyła jego spadkobiercom. Był tam jeszcze kodycył, zastrzegający, iż spadkobierca musi zamieszkać w Madrasie na okres roku, zanim otrzyma pierwszą wpłatę.

Jak się okazało, pan Devenish nie zdążył nawet skorzystać z pierwszej wpłaty, ponieważ jak wiemy, zaginął bez wieści w Birmie.

Spadkiem zajęli się prawnicy wdowy, firma Barlow and Barlow of Madras, którzy właśnie powiadomili oszołomioną pannę Pamelę o tym wydarzeniu i pytali, czy zaginiony pozostawił jakieś potomstwo. Równocześnie ubolewali, iż sprawa przeciągnęła się tak długo, ale najpierw musieli odczekać przewidziany prawnie okres od zaginięcia George'a, a później odszukanie rodziny Devenisha sprawiło im wiele trudności. Pan Barlow Senior zapytywał, czy ewentualny spadkobierca byłby zainteresowany w przybyciu na okres jednego roku do Madrasu w celu sfinalizowania testamentu.

W efekcie tego uprzejmego listu wywiązała się pomiędzy firmą a panną Pamelą gorączkowa korespondencja, której zwieńczeniem była decyzja wysłania Olivii na okres roku do Indii i być może, to już pozostawało w prywatnych zamysłach panny Pamelii, znalezienia jej tam zamożnego i uczciwego małżonka.

Wszystkim wiadomym było, iż Indie to wspaniałe targowisko matrymonialne i że na jedną pannę przypada stu spragnionych kobiet kawalerów!

Białych niewiast było bowiem w tych czasach w Dekanie jak na lekarstwo. Uprzejmy pan Barlow Senior zobowiązywał się nie tylko zająć finansami Olivii, ale też zapewnić jej godziwą stancję przy jakiejś bogobojnej, anglikańskiej rodzinie.

I tak pewnego deszczowego, wietrznego wieczoru, po łzawym pożegnaniu ciotki i dworskiego woźnicy, Olivia wsiadła na statek o dźwięcznej nazwie „Rose” u przystani portu Youghal w południowej Irlandii.

Przeraziły ją brodate, zbójeckie twarze otaczających ją marynarzy, a później zmartwiła, widząc wielkość kajuty, w której przyszło jej spędzić następne pół roku. Wprawdzie „Rose” była wielkim, jak na owe czasy indiamanem o wyporności powyżej dziewięćset ton, ale gościnne kabiny, leżące pod pokładem, pogrążone były nieustannie w egipskich ciemnościach, zaś umeblowanie ich stanowiły mniej niż adekwatne sprzęty, sporządzone z ledwie heblowanego drewna, przybite do nierównej, sosnowej podłogi.

Małeńki bulaj pod sufitem wpuszczał niewiele anemicznego światła, więc nawet w samo

południe przy pięknej, słonecznej pogodzie panował depresyjny półmrok. Nieustanny ruch na pokładach, rozkazy wydawane donośnym głosem kapitana Dempstera i kwaśne zapachy z pobliskiej kuchni przyprawiły Olivię o nieznosne bóle głowy. Wysoka fala Atlantyku spowodowała chorobę morską, na którą biedna panna chorowała przez pierwsze tygodnie podróży.

Doglądał jej lekarz okrętowy doktor Blyte oraz osobisty steward kapitana – Melville Fancourt, przysłany na usługi Olivii przez Dempstera na wieść o jej chorobie. Prócz Olivii na statku znajdował się jeszcze jeden gość, w osobie starej damy o nazwisku Dutton, która jechała do Madrasu do męża, zajmującego stanowisko podsekretarza przy gubernatorze, lordzie Clive.

Dama owa odznaczała się okazałymi rozmiarów sylwetką i równie widocznym apetytem i to było właściwie wszystko, co Olivia zapamiętała o niej po zejściu na ląd w Indiach. Niestety, madame Dutton szczyciła się znacznie lepszą pamięcią niżli jej młoda współpasażerka i to stać się miało w przyszłości powodem wielu przykrych i niechcianych niespodzianek.

Na razie jednak życie na „Rose” płynęło monotonnie, uporządkowane porami posiłków, które spożywano wspólnie z kapitanem i pierwszym oficerem, panem Skibo, w oficerskiej mesie. Spacerowano wokół głównego pokładu statku i obserwowano faunę morza i ptactwo. Towarzyszyły im delfiny, widywano czasem biało-czarne, ogromne orki i majestatyczne albatrosy o długości skrzydeł dochodzącej nawet trzech metrów.

Dopóki Olivia czuła się chora, jadała w swojej kajucie, ale wreszcie, gdzieś na wysokości Cintry, zdecydowała się po raz pierwszy ukazać w oficerskiej mesie na kolacji. Płynęli wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, wody oceanu fosforyzowały w aksamitnej ciemności tropikalnego wieczoru i balsamiczny zapach morskiego powietrza łaskotał jej spragnione świeżości nozdrza.

W mesie panował szmer rozmów, brzęk kielichów i naczyń oraz nieznosne, lecz nieustanne skrzywienie poszycia statku. Na widok Olivii wszyscy na chwilę zamilkli. Panowie poczęli szurać krzesłami, pokasływać i ścigać się w uprzejmościach. Dziewczyna podziękowała wdzięcznym pochyleniem głowy i usiadła pomiędzy madame Dutton a doktorem Blyte. Po chwili powrócił dyskretny hałas i pozostawiono pannę samej sobie.

Olivia nieśmiało podniosła wzrok i napotkała płonące oczy kapitana Dempstera. Na chwilę zamarło w niej serce, ale przewyciężyła słabość i poczęła mu się przyglądać spod rzęs. Z powodu długiej choroby nie miała czasu poznać komendanta statku, człowieka, od którego sprawności, inteligencji i wiedzy zależał los klipera, załogi i jej samej.

Słyszała tylko czasem jego niski, nieco schrypnięty głos na pokładzie, gdy wydawał rozkazy i rozmawiał z podkomendnymi.

Wyobrażała go sobie jako starszego, tęgiego choleryka o twarzy buldoga i pałakowatych nogach. Tymczasem Dempster okazał się człowiekiem w sile wieku, zgrabnej, choć dużej postury, o śniadym obliczu kogoś, kto przebywa nieustannie na powietrzu, zaprawionym w walce z żywiołami matki natury i zmianami klimatu. Jego szare, przenikliwe oczy otaczała drobna siateczka zmarszczek, nie wiadomo, czy śmiechu czy gniewu. Kwadratowy, mocny podbródek przecinała pionowa bruzda, zaś gęsty zarost siniał na jego wpadniętych policzkach, jak znak po mocnym uderzeniu pięści.

Ubrany był starannie, choć swobodnie, w białą, lnianą koszulę wpuszczoną w bryczesy i wysokie buty z miękkiej skóry łosia. Na mocnej, szerokiej szyi nosił szafirową chustkę, przewiazaną w gruby węzeł.

Cała jego postawa tchnęła siłą, uporem i bezwzględnością. Znany był z ciężkiej ręki i surowych kar. Przez dwadzieścia lat dowodzenia indiamanami nie przydarzył mu się ani jeden przypadek buntu załogi lub dezercji. Dempster samym zachowaniem nakazywał szacunek



i strach.

W ciągu dnia nosił zawsze bat, sporządzony z prącia nosorożca i biada temu, kto sprzeciwiłby się jego woli i rozkazom. Pomoc doktora Blyte'a okazywała się w takich wypadkach niezbędna, a delikwent długo pamiętał niesubordynację. Hamilton Dempster bywał okrutny, niektórzy mówili, że zimny jak gład, ale także sprawiedliwy i rozsądny. Marynarze bali się go jak ognia, lecz szli za nim w ogień. Płacił bowiem dobrze i chętnie nagradzał i wyróżniał tych, którzy na to zasłużyli.

Jego szkocka natura nakazywała mu oszczędność zarówno w słowach, jak gestach i budzecie. Oszustwa, złodziejstwa i fałszu nie tolerował i nie uznawał. Był twardy dla innych i twardy dla siebie. Jego postanowienia i rozkazy były nieodwołalne. Przywykł do ślepego posłuszeństwa i posłuchu. Ten człowiek spojrzął na Olivię i jak piorun z nieba przeszedł pomiędzy nimi ogień i zapalił niczym niepozwalającą się ugasić namiętność.

Olivia nie wiedziała jeszcze, że jej los był od tej chwili przesądzony. I że od tego dnia nic już nigdy nie będzie takie samo.

Reszta podróży zeszła jej jak we śnie. Zakochanych cechuje pewna niefrasobliwość i arogancja. Wydaje im się, że nikt nie widzi ich namiętności, prócz nich samych. Wprawdzie początkowo kryli się ze swym uczuciem i kradli, jak złodzieje, krótkie, naładowane pasją i niedosytem chwile samotności, ale już śledziły ich dziesiątki oczu i krążyły opowieści i żarty na ich temat. Olivia oddała się nieznanemu jej dotąd uczuciu duszą i ciałem.

Należała do Hamiltona i tylko on istniał na jawie i w jej snach. Gdy go przy niej nie było, cierpiała fizycznie, gdy trzymał ją w ramionach, płakała ze szczęścia. Spotykali się czasem w ciągu dnia, rozdygotani z pożerającego ich pragnienia, drżący z oczekiwania i ciągłego napięcia, aby nie zostać odkrytymi.

Nocą Hamilton zakradał się do kabiny ukochanej i pozostawał z nią do białych godzin porannych. Jednakże trudno jest ukryć taki wulkan uczuć i emocji na dłuższą metę w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu statku. Spoza drzwi kajuty Olivii dochodziły nocami dźwięki i odgłosy niebudzące żadnej wątpliwości w uszach starych wyg morskich, ludzi zaprawionych nie tylko w ciężkiej fizycznej pracy, ale doświadczonych w życiu portowych spelunek i lupanarów całego świata.

Szczerzyli więc pomiędzy sobą domyślnie zęby i szeptali po kątach, tak jednak, aby kapitan nie usłyszał. W końcu te domysły i plotki doszły uszu madame Dutton. Zaczyna matrona unikać spotkania z Olivią i traktowała ją jak kobietę upadłą. Już w Kapsztadzie, gdzie zatrzymano się dla naprawy ożaglowania i nabrania pitnej wody, zwierzała się przy kolacji z tej drażliwej sytuacji pani Barnard, żonie komendanta Fortu u podnóża Góry Stołowej.

„To skandal, absolutny, jawny skandal. Ta panna zachowuje się jak kokota i tylko dziwię się kapitanowi, bowiem za takie postępowanie grozi mu dyscyplinarne zwolnienie ze służby”.

Madame Barnard potakiwała ze współczuciem głową, ale nie mówiła zbyt wiele, bo znała doskonale Dempstera z dawnych czasów i sama miała pewne sprawy na sumieniu.

W czwartym miesiącu podróży Olivia znowu zachorowała, tym razem znacznie poważniej niż przedtem. Męczyły ją nudności i mdlała bez żadnego powodu. Doktor Blyte podawał jej koniak z kozim mlekiem, miksturę tak ohydłą, że biedna pacjentka cierpiała podwójnie i wydawała się pogarszać z dnia na dzień.

Tymczasem nawet w jej urodzie poczęły zachodzić pewne zmiany, które wprawne oko madame Dutton zauważyło natychmiast. Olivia przybrała na wadze, jej drobne piersi powiększyły się, zaś cała sylwetka nabrała kobiecych, miękkich kształtów.

Wydawała się promieniować cudowną tajemnicą, cudem natury, który od zarania świata ozdabia kobietę piękniej niżli najwspanialsze kwiaty, jedwabie i klejnoty. Olivia spodziewała się

dziecka, dziecka Hamiltona Dempstera. I była to katastrofa nie tylko dlatego, że przyszła matka była panną, a dziecko bękartem, ale przede wszystkim dlatego, że nic nie można było zmienić w ich cywilnym statusie.

Bowiem kapitan Dempster był mężem i ojcem, jego syn George miał lat dwadzieścia i kształcił się w wytwornej szkole koło Edynburga, zaś żona mieszkała w posiadłości Dunnichen w zachodniej Szkocji. Dempster ożenił się „z koligacjami”, ponieważ jego żona Jane, z domu Fergusson, była bratanicą trzeciego baroneta Kilkerran, sir Adama Fergussona, który zasiadał w Parlamencie okręgu Ayr i Edynburga.

W tej sytuacji w grę absolutnie nie wchodziło uprawomocnienie związku jego i Olivii, zresztą Hamilton nie mógł i nie chciał czynić w tym kierunku żadnych kroków. Olivia znalazła się w banalnej, znanej od wieków sytuacji metresi człowieka, który nie zamierzał dla niej ani dla nienarodzonego dziecka opuścić bogatej i wpływowej żony.

Tymczasem brzegi Indii zbliżały się z zatrważającą szybkością i należało coś natychmiast zaradzić.

Z pomocą w tej nieszczęsnej sytuacji przyszedł niespodziewanie steward kapitana, Mellville Fancourt. Pewnego dnia odwołał na bok Hamiltona i w krótkich słowach wyjawiał, iż w Madrasie mieszka jego brat, który jest lekarzem i pierwszym asystentem naczelnego chirurga Kompanii.

„Gdyby zaszła jakakolwiek potrzeba pomocy czy porady, mój brat będzie służył swą osobą” – powiedział krótko i enigmatycznie, ponieważ od dawna pomiędzy nim a kapitanem iskrzyło wspaniałe porozumienie. Imię Olivii nawet nie padło w tej rozmowie, ale tych dwu doskonale wiedziało, o co chodzi. Pełna dyskrecja obowiązywała nawet w takich układach. Mellville rzucił tylko myśl, reszta należała do Dempstera.

Na przystani Madrasu czekał na Olivię wysłannik firmy Barlow and Barlow, który zawiózł ją dwukółką do umówionego wcześniej miejsca. Był to niewielki dom z ogrodem w pobliżu Fortu Świętego George’a, zajmowany przez niższego urzędnika Kompanii i jego żonę z dwojgiem dzieci.

Ulokowano pannę w maleńkim pokoiku od strony ogrodu. Był to ciemny i raczej ponury dom o niskich ścianach i oknach zakrytych siatką przeciw insektom i gęstymi firanami, nieprzepuszczającymi słońca i powietrza. Zawsze panował w nim duszny półmrok i wprawdzie upał dnia nie przenikał do zaciemnionych wnętrz, ale też mieszkańcy czuli się jak w kościelnej krypcie. Olivia nienawidziła tego miejsca, tym bardziej że i jego właściciele okazali się zimnymi, obojętnymi ludźmi, egocentrycznie wpatrzonymi we własne sprawy rodzinne i pracę pana domu.

Pan Charles Penny, zwany przez małżonkę C.P. wychodził wczesnym rankiem do biur Kompanii i wracał na lunch, po którym ucinał sobie wygodną drzemkę do godzin popołudniowych. Następnie zniknął aż do wieczora, a czasem i do nocy, podług słów jego żony Karoliny, wykonując szalenie odpowiedzialną pracę dla Komisji Podatkowej. Po pewnym czasie Olivia dowiedziała się jednak, że C.P. namiętnie grywa w karty i przegrywa mizerne resztki dostatku, jaki jeszcze pozostał w domu.

Stąd też gospodarze z chęcią dzierżawili pokoje, bowiem każda dodatkowa rupia w tej sytuacji stawała się zbawienna. Madame Karolina nie wychodziła nigdzie, całymi dniami przesiadując z dziećmi w ogrodzie lub na werandzie. Wprawdzie do dzieci najmowano *ayah*, ale Karolina zwierzyła się Olivii, że nie ma zaufania do tubylców, którzy cuchną olejem i są niezwykle leniwi.

Prócz tego Karolina czytywała brukowe gazety i romanse i od czasu do czasu wpadała w amok sprzątanania. Nakazywała wtedy służącemu wywlekać z domu na trawnik wszystkie sprzęty, wietrzyła sienniki i moskitiery i wspólnie z Mohammedem nacierała łóżka i kanapy naftą

przeciw robactwu, a szczególnie pluskwom. Smród nafty, wilgoci i kurzu unosił się nad całym domem i wiercił w nosie. Po tygodniu Olivia nie mogła już dłużej wytrzymać tej męczarni, więc poprosiła C.P., aby zabrał ją po południu na bazar.

Charles spojrział na nią zdumionym wzrokiem i po chwili lodowatego milczenia odparł krótko: „To niemożliwe. Nawet moja żona nie jeździ na bazar. Do widzenia”. I wyszedł.

W drugim tygodniu pobytu Olivii w Madrasie przyjechał odwiedzić ją starszy pan Barlow.

Olivia do tej pory prócz zakurzonego, usychającego z braku wody ogrodu i sienników pani Karoliny nie widziała jeszcze nic.

Toteż z wdzięcznością przyjęła zaproszenie na lunch i przejażdżkę powozem po mieście.

Wyobrażała sobie Madras zupełnie inaczej i prawdę powiedziawszy, miło się rozczarowała. Spodziewała się brudnego, cuchnącego i barbarzyńskiego miasta, tymczasem ulice okazały się szerokie i czysto zamiecione, a na nich panował wielki ruch konny. Sunęły powozy i wytworne ekwipaże, lektyki i riksze, wiozące eleganckich dandysów i damy.

Sklepy i kramy ciągnęły się uporządkowane, kolorowe i bogate, zaś gdzieniegdzie cudnej architektury świątynie, pałac, pasaże i arkady o łukowatych, ślicznie rzeźbionych portalach zapierały dech w piersiach uważnego obserwatora. Wszak Madras znany był już Europejczykom od szesnastego wieku, a chrześcijanom od zamierzchłych czasów.

To tutaj w swych apostołskich wędrówkach zawitał święty Tomasz, ten słynny „niewierny Tomasz”, ukochany uczeń Jezusa. Zakładał misje i nauczał aż do męczeńskiej śmierci w siedemdziesiątym drugim roku naszej ery. Wzgórze zwane Górą Świętego Tomasza z maleńkim kościółkiem, w którym podobno złożono szczątki świętego, było corocznie celem bogobojnych pielgrzymek całego świata chrześcijańskiego południowych Indii.

W pobliżu fortu mrowiło się od wojska i kupców. Znajdowała się tam najuboższa część miasta, tak zwany „Czarny Madras”, którego wąskie i ciemne uliczki nie zapraszały do zwiedzania.

Toteż stangret pana Barlow ominął skrzętnie tę dzielnicę szerokim łukiem i w końcu zatrzymał się u wejścia do biur prawniczych Barlow and Barlow.

Zajmowały całą górną kondygnację drewnianego, wąskiego domu o stromych schodach, którego dół dzierżawiło Stowarzyszenie Opieki nad Sierotami Madrasu. Prowadziły je siostry miłosierdzia Karmelitanki.

Młodszy pan Barlow przypominał zupełnie ojca, ale ubrany był podług ostatniej mody Dekanu à la Indie w szerokie szarawary, turban i kurtę.

Z nadzwyczajną uprzejmością zajęli się obaj młodą kobietą, częstując mocną, prawie czarną herbatą z bawolim, gęstym jak śmietana mlekiem i biszkoptami. Następnie młodszy pan Barlow przydzwigał osobiście grubą na pół łokcia dokumentację sprawy Olivii i tak we trójkę spędzili nad papierami resztę dnia.

Olivia podpisała potrzebne formularze i poczyniła zgodne z przepisami formalności, i w końcu pod wieczór starszy Barlow odwiózł ją do domu.

Następne tygodnie płynęły nudno i spokojnie. Dwa razy był u niej Hamilton pod pretekstem przywiezienia jej zapomnianej na statku korespondencji. Po jego wizycie Olivia nie mogła się pozbyć przykrego oszołomienia i zamętu myśli. Jej obecne położenie było naprawdę straszne.

Zupełnie samotna, zdana na łaskę obcych, liczyć mogła tylko na kochanka, który jednak też zawiódł ją okrutnie swą nieuczciwością. Bowiem na początku ich niebezpiecznego związku nie wyjawiał swego prawdziwego statusu rodzinnego i pogrzebał jakiegokolwiek złudzenia co do ich wspólnej przeszłości.

Uwiódł młodą i niedoświadczoną dziewczynę i wprawdzie teraz nie uciekał, a nawet starał się wynagrodzić jej rozczarowanie i zawód, to jednak duża różnica wieku i jego bezsprzecznie większe doświadczenie życiowe, by nie powiedzieć przebiegłość i cynizm, czyniły z niej nie tylko naiwną, ale i łatwą ofiarę.

Jedna tylko cecha charakteru przemawiała na korzyść uwodziciela. Nie starał się uciec przed odpowiedzialnością i konsekwencjami ich romansu. Wręcz przeciwnie, zapewnił Olivię, że nie opuści jej w nieszczęściu i zaopiekuje się noworodkiem. Ustalili bowiem, że Olivia w żaden sposób nie będzie w stanie zatrzymać dziecka przy sobie, ponieważ jej dalsze życie w Indiach stanęłoby pod wielkim znakiem zapytania. Nie dość na tym, przy kolejnym spotkaniu, poznał Olivię z chirurgiem, młodszym bratem Mellvila Fancourta, Jamesem.

Spotkanie to odbyło się w ogrodzie szpitala brytyjskiej armii, gdzie James Fancourt był zatrudniony. Wyrwanie Olivii z kleszczy madame Karoliny Penny nie było łatwe, ponieważ osoba ta odznaczała się nie tylko kwaśną i swarliwą naturą, ale również niebывалым wścibstwem i skłonnością do plotek.

Uważała, że jeżeli młoda panna, niedawno przybyła z „Domu”, bo tak wszyscy Brytyjczycy określali Anglię z Irlandią, wybiera się „na miasto”, to czynić to może tylko w towarzystwie matrony lub służącej. Uparła się więc jechać razem z nimi, co oczywiście było zupełnie w tej sytuacji niedorzeczne.

Karolina już od pewnego czasu powzięła pewne podejrzenia co do prawdziwej relacji towarzyskiej pomiędzy przystojnym kapitanem, a „irlandzką trusią”. Instynktem isticie kobiecym zauważyła melancholijny nastrój Olivii po każdej wizycie tego dżentelmena i jej radosne podniecenie w oczekiwaniu na następne spotkanie.

Toteż wyraziła olbrzymie niezadowolenie i dała temu głośny upust na wiadomość, że Olivia wybiera się w towarzystwie Hamiltona w odwiedzinach ich wspólnej znajomej, jeszcze z okresu podróży, madame Dutton.

Wprawdzie Hamilton przyjechał ze swym plenipotentem i stewardem, panem Fancourtem, człowiekiem niezwykle uroczym, który zalecał się do nadobnej pani Penny, ale madame i tak nie była do końca usatysfakcjonowana. Niesłychana rzecz, aby niezamężna kobieta pokazywała się na mieście z dwoma panami, choćby najlepszej paranteli!

W końcu zastraszyła nawet Olivię, że doniesie o tym panu Barlow, na co młoda kobieta roześmiała się jej w twarz i wsiadła do zasłoniętej firanami dwukółki.

James Fancourt sprawił na Olivii dobre wrażenie, choć nie odznaczał się szczególną urodą, ale jego natura była połączeniem skromności, dobroci i ładu. Ten cichy człowiek stał się w miarę upływu czasu jej prawdziwym przyjacielem, łagodnym opatunkiem na rany serca zadane przez Dempstera i wniósł w jej zrujnowany świat trochę światła i nadziei. James poświęcił się cały swemu zawodowi i czynił to z prawdziwą pasją. I w ten sam sposób traktował więzy z Olivią.

Oczarowała go urodą, ale przede wszystkim nieszczęśliwym osobistym położeniem. James był altruistą i romantykiem. Całe życie przyświecały mu wzniosłe ideały piękna, dobra i uczciwości. Pomimo szpetnej postury miał czyste serce i myśli, nieskażone fałszem lub złem. Jako lekarz ślubował nieść ludziom pociechę i ulgę w cierpieniu i podług tych zasad postępował również w życiu.

Jego bezpośrednia, czuła natura nie znała intryg, podłości i okrucieństwa. Po kilku spotkaniach z Olivią zakochał się w niej śmiertelnie. Jej stan raczej niż odstręczyć, jeszcze go ku niej przybliżył i w następnych miesiącach wydawała mu się coraz piękniejsza i bardziej ponętna. Macierzyństwo otaczało ją, w jego oczach, aureolą świętości, była jego madonną, uosobieniem gracji i naczyniem łaski bożej.

Jednakże właśnie wtedy nadeszły komplikacje w jej kondycji. Nawet szerokie pelerynki, szale i falbanki nie były już w stanie ukryć jej sylwetki. Madame Karolina wierciła ją błyszczącymi oczami i wydawała się tylko czekać na odpowiednią chwilę, aby zapytać wprost o niedwuznaczną zmianę jej kształtów.

Hamilton zdecydował, że Olivia musi się przeprowadzić w miejsce, gdzie obowiązywała pełna dyskrecja i gdzie mogłaby spokojnie, poza ciekawskimi oczami świata doczekać rozwiązania.

James natychmiast zaproponował miejsce w klinice położniczej szpitala, gdzie nikt Olivii nie znał, a gdzie mógł załatwić jej pobyt pod pozorem pewnych komplikacji ciąży.

Dziewczynę czekała istna rozprawa z państwem Penny, którzy nie tylko nie chcieli jej wypuścić, ale zażądali opłacenia czynszu do końca roku, z racji zerwania przez Olivię umowy. Nie obyło się bez wezwania starszego pana Barlow, który zdumiał się na wieść o przeprowadzce młodej kobiety.

Wywiązała się bezładna rozmowa, przeplatana krzykami i łkaniem Karoliny, basem Hamiltona i lawiną pytań prawnika. W tym wszystkim Olivia siedziała na kuferku z opuszczonymi oczami i dłońmi zaciśniętymi na rączce parasolki. James przysłuchiwał się przez pewien czas tej bezsensownej sprzeczce i w końcu powiedział cichym, ale stanowczym głosem: „Państwo wybaczą, ale o losie mojej narzeczonej decyduje ja. Olivio, podaj mi rękę, idziemy”.

Gdyby grom z jasnego nieba spadł pomiędzy tę hałaśliwą gromadę, nie wywołałby takiej konsternacji, jaką sprawiło odezwanie się lekarza.

W taki oto nieoczekiwany, a potem okazało się zbawienny sposób Olivia zyskała narzeczonego, a wraz z nim pozycję i pewien respekt. W szpitalu James podał ją za owdowiałą żonę po oficerze armii Bengalu, która „nosiła pod sercem” pogrobowca.

Nikt nie kwapił się nawet sprawdzić prawdziwości tego twierdzenia, ponieważ Fancourt cieszył się kryształową opinią człowieka honoru i szanowano jego słowo.

Wiadomość o zaręczynach dobrego doktora przyjęto z prawdziwą życzliwością, ponieważ zarówno on, jak i młoda wdowa wydawali się stworzeni dla siebie i bardzo szczęśliwi. Faktycznie James chodził w obłokach euforii, omal nosił Olivię na rękach i nie mógł doczekać się ślubu. Do tego było jednak daleko, ponieważ wraz z westchnieniami ulgi, Olivia poczuła wyrzuty sumienia i wstyd.

Z uwiedzionej stała się uwodzącą, ponieważ tak właśnie widziała ten nowy związek. Jamesa nie kochała, a nawet miała do niego obrzydzenie z powodu jego brzydoty, łysej czaszki i tłustej, chropowatej jak kora drzewa skóry. Biedny doktor chorował bowiem na jakąś odmianę liszaju czy też egzemy i od lat próbował się leczyć, z bardzo miernym skutkiem.

Szpital okazał się dla Olivii szczęśliwym miejscem tymczasowego pobytu. Nie dość, że James załatwił jej samodzielny pokój, to jeszcze mogła do woli spacerować po niewielkim ogrodzie, czytać i malować, i przyjmować wizyty Hamiltona, Jamesa i Mellvila. Wprawdzie panowie niekoniecznie odwiedzali ją w tym porządku ani wspólnie, a nawet dwu z nich unikało zenujących spotkań, to jednak Olivia w tym okresie czuła się bezpieczna, spokojna o swój byt i nawet pogodna.

Do ciotki Pameli wysłała list, powiadamiając ją, że właśnie zaręczyła się z wziętym lekarzem Kompanii i prawdopodobnie w maju wyjdzie za niego za mąż. Chciała uprzedzić pana Barlow, ponieważ była pewna, że i on pośle do Irlandii sprawozdanie z ostatnich miesięcy.

Poród rozpoczął się w parną, styczniową noc, niedługo po Nowym Roku. Olivii asystował James i hinduska akuszerka oraz siostra miłosierdzia, o którą położnica specjalnie prosiła.

Bóle zaczęły się o pierwszej nad ranem i trwały nieprzerwanie przez całą następną dobę.

Olivia była u kresu sił. Nie mogła urodzić, słyszała krzątanie wokół wezglowia łóżka, niespokojne rozmowy asystujących Jamesa i kobiet, ruch w korytarzu i donośny głos Hamiltona.

Jej były kochanek nie opuścił progu jej pokoju ani na chwilę. Rodząca nie miała już sił nawet krzyżeć, więc tylko gryzła do krwi usta i dłonie. Początkowo ukojenie przynosił jej spokojny, łagodny głos Jamesa, ale potem, gdy porwał ją wir bólu, nie dbała już o nic. Chciała tylko wyrzucić z siebie ten olbrzymi ciężar, pozbyć się raz na zawsze tej zapory, która rozrywała jej krzyże i szarpała delikatne ciało.

Były chwile, że nienawidziła tego dziecka, że rozczulała się nad sobą i natychmiast przypominała sobie krzywdę, jaką uczynił jej Hamilton. Płonącymi oczami wodziła za lekarzem, bo i on, poprzez zadawanie jej cierpienia, stał się wrogiem i posłannikiem śmierci. Myślała, że umiera, obejmował ją chłód i trupi zapach rozkładu, ale po chwili krew uderzała jej do głowy i wraz z nowym bólem wracał gniew i piekące poczucie niesprawiedliwości. Dlaczego właśnie ją spotkało to nieszczęście, dlaczego ją doświadczył los tak okrutnie i bezwzględnie?

W drugim dniu porodu Fancourt wiedział, że straci zarówno ją, jak i niemowlę i że jedynym wyjściem jest użycie kleszczy. Taki zabieg stanowił ogromne niebezpieczeństwo zarówno dla matki, jak i dziecka, ale Olivia osłabła tak bardzo, że nie mogła już przeć i dziecku z każdą upływającą minutą groziło uduszenie.

James nie wahał się dłużej. Ujął w dłonie bezwładną głowę położnicy i powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

– Olivio, musisz wytrzymać tę ostatnią próbę. Nie będę ukrywał, że grozi ci niebezpieczeństwo, jeśli nie zastosuję kleszczy. Zaciśnij dłonie na ramionach obu siostr. I krzycz, jeśli to pomoże ci przetrwać.

Odpowiedział mu jęk młodej kobiety i nieprzytomne spojrzenie zasnutych mgłą bólu oczu. Olivia przeżywała daleko, we własnym świecie cierpienia.

Kiedy po kilku minutach strasznej ciszy rozległ się jej zwierzęcy krzyk, Hamilton objął głowę ramionami i zapłakał suchym, strasznym płaczem.

– Ratujcie dziecko, ratujcie dziecko! – powtarzał jak w gorączce, zaś Mellville bezradnie poklepywał jego ramię.

Krwawy skrzep, który okazał się na pół uduszoną dziewczynką, wysunął się spomiędzy drżących ud matki. Dziecko było sine i wydawało się, że już nie żyje. Jednakże mocny klaps i dmuchnięcie w mały, czerwony nosk przyniosły natychmiast rezultat. Niemowlę zachłysnęło się i zakwililo.

Olivia odwróciła twarz do ściany. Nie chciała patrzeć na noworodka. Sprawił jej takie cierpienie! Dziewczynka szybko znalazła się w ramionach ojca. Hamilton łkał i całował maleńką piąsteczkę o drobniutkich, niebieskich paluszkach.

– Harriet, Harriet Milton Dempster – szepnął i powiódł dumnym okiem po obecnych. – Moja córka.

Harriet skończyła dwa miesiące, kiedy Hamilton zabrał ją na pokład „Rose”. Płynęli do Kalkuty, a potem z towarem indygo, herbaty i jedwabiu na południe, utartym szlakiem handlowych okrętów Kompanii. Harriet stała się ulubienicą załogi. Wilki morskie o okrutnych, pokiereszowanych w podejrzanym spelunkach i bójkach gębach, cmokały i gruchały z zachwytem nad kołyską dziecka. Była maskotką, przynoszącą szczęście i pomyślne wiatry. W niecałe pięć miesięcy zawinęli do Bristolu.

Tutaj Hamilton zaadoptował ją oficjalnie, choć przez długie lata uchodziła za jego wychowanicę. W następnym roku po powrocie Dempstera do „Domu” zmarł jego syn, a wkrótce i żona. Całą miłość i czułość przelał na córkę. Zapewnił jej kosztowne i wytworne wychowanie w Musselburgu, koło Edynburga. Obsypał ją tytułami własności kilku majątków, jakie uzyskał

w spadku po żonie, i swoimi własnymi.

Harriet stała się właścicielką posiadłości w Dornoch, w Szkocji, wraz z wielkim, starym zamczyskiem na wzgórzu, na północ od Inverness, oraz majątku Pulrossie w hrabstwie Sutherland, który Hamilton zakupił dzięki udanym transakcjom handlowym na morzach chińskich i w Indiach.

Kapitan Hamilton Dempster zginął w tajemniczych, nigdy niewyjaśnionych do końca okolicznościach, w czasie wyprawy na morza chińskie, w 1800 roku. Harriet miała wtedy lat siedem. Poszedł na dno wraz ze swym indiamanem „Earl Talbot”, a wraz z nim sto dziesięć osób załogi i jego wierny, nieodstępujący go na krok Mellvile Fancourt.

Starzy marynarze twierdzili, że tych dwu miało pomiędzy sobą tajemnice, o których świat nie wiedział. Jeśli tak było, zabrali je obaj do wodnego grobu.

Olivii nie widział już nigdy. Do końca życia również nie ożenił się i niektórzy powiadali, że kochał swą zmarłą żonę Jane ponad wszystko. Tylko Mellvile uśmiechał się szelmowsko, choć nigdy nie zaprzeczył tym pogłoskom.

Harriet stała się nagle bogatą panną i świetną partią. Rzeczywiście, wyszła za mąż za dobrze zapowiadającego się młodego potentata Williama Sopera. Ich syn George używał nazwiska dziadka i jako George Dempster ożenił się z córką Roberta Dundasa, Joanną Dundas z Arnitson. Było to świetne małżeństwo ze względu na rodzinne powiązania panny młodej. Była bowiem wnuczką prezydenta Zarządu Kontroli do Spraw Indii, pierwszego wicehrabiego Mellvile.

Córka, Harriet, Ellen, wyszła za mąż za Henry’ego White’a, pierwszego barona Annaly, zaś troje jej wnucząt weszło do rodzin wysokiej arystokracji, jak Leicester, Inchiquin i Percy St. Maur.

Tak więc Harriet, pomimo wszystko, urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą i jeżeli tylko żałowała czegoś, to nieobecności w jej życiu matki. Ojciec powiedział jej, że matka zmarła w Indiach przy porodzie, więc nawet nigdy nie szukała jej śladów.

Za to sama otoczyła swoje potomstwo miłością czułą i tkliwą. Dała im to, czego jej samej brakowało przez całe życie. Spłaciła dług nieznannej rodzicielki i umarła otoczona uwielbieniem dzieci i wnuków.

\*

Ślub państwa Fancourt odbył się skromnie, z udziałem kilku świadków i grona najbliższych osób w maju 1793 roku.

Dzień był niesłychanie gorący, więc w maleńkim kościele Świętej Marii na terenie Fortu Świętego Jerzego brakowało powietrza, a zapach wosku, wędnących kwiatów na skroniach panny młodej i ciężkich perfum kilku dam tworzył nieznośną, oszłamiającą mieszaninę narkotycznej woni.

Panna młoda ubrana była we wdzięczną, choć skromną suknię z koronki na białym atłasie, nosiła atłasowe, płaskie pantofelki i prześliczny muślinowy szal, przerzucony przez ramię. Jej olśniewające ramiona i szyja były odsłonięte, ukazując naszyjnik z olbrzymich, młecznej barwy pereł cejlońskich, prezentu ślubnego od pana młodego.

Wprawdzie jedna z obecnych dam skrzywiła się na widok klejnotów i szepnęła do sąsiadki: „Perły to zły omen. Nad tym małżeństwem wisi nieszczęście”, ale cała ceremonia udała się doskonale i wszyscy goście zostali zaproszeni na obiad do willi pana Barłowa Starszego, gdzie jego syn przygotował podług swego gustu ucztę à la hindustani, pokaz tańca Tamilów i ognie sztuczne.

Młode małżeństwo stanowiło fizycznie niesłychany kontrast. Brzydota męża podkreślała urodę panny młodej. Ale wrócono im szczęśliwe i długie pożycie. Wszak doktor Fancourt był bardzo zakochany w swej młodej żonie, a przy tym przyświecała im dobra gwiazda, ponieważ właśnie otrzymał awans na naczelnego chirurga w Gujaracie, w prowincji Rajkot i przygotowywał się od kilku tygodni do drogi.

Młodzi małżonkowie wyruszyli na zachód poprzez tereny Karnataki, Maharashtra i Kathiawaru w lipcu tego samego roku, ale podróż była powolna i niebezpieczna, ze względu na walki plemion Marathy z Brytyjczykami i Nizamem Hajdarabadu. Przez długi czas nikt o Fancourtach nie słyszał. Wydawało się, że oboje zapadli się pod ziemię.



\*

„Niestety! Tamte dni minęły i nie ujrzymy ich więcej!”

*Malaje, John Leyden*

\*

Budynek Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej w Londynie odznaczał się majestatem i rozmachem architektury neoklasycyzmu. W ogóle ulica Leadenhall sprawiała nowoczesne wrażenie. Szeroka, znakomicie wybrukowana i wyjątkowo czysta, cieszyła oko estety wytwornymi kamienicami bogatych kupców i radców miejskich. Pod wysokim portalem urzędu Kompanii zawsze kręciło się sporo ludzi, petentów, oficjałów i pomniejszych urzędników.

Sześć doryckich kolumn rzucało cień na ogromny, marmurowy przedsionek, pełen echa rozmów, przytłumionych śmiechów i zamaszystych kroków wiecznie spieszących gdzieś osobistości w służbie Imperium.

Szerokimi schodami, wysłanymi szkarłatnym dywanem, przeskakując po trzy stopnie, zbiegało właśnie dwu młodzieńców, zatopionych w żywej rozmowie. Jeden z nich, wyższy i ubrany wyjątkowo starannie, mimochodem dotknął końcem spacerowej laski malowidła na jednej ze ścian hallu, co widząc, jego towarzysz wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

– Tomaszu, widzę, że nadal wierzysz w czarną magię!

– Will, nie kpij ze mnie, bo obrazisz dobre moce. Oczywiście, że wierzę w siły sugestii.

Kiedy zacząłem tutaj pracę, powiedziałem sobie, że dotknięcie tego arcydzieła za każdym razem, gdy koło niego przechodzę, przyniesie mi kiedyś szczęście i spełnienie marzeń. I wierzę w to do dziś.

– Jesteś na dobrej drodze! Z pozycji pisarza Kompanii promowano cię na starszego pisarza! A to już coś! – drwił Will.

Wraz z tłumem kończących pracę urzędników dwaj dandysi wypadli na ulicę. Will unosił co chwila kapelusz, ponieważ, z racji stanowiska ojca w Kompanii, znano go tu dobrze, choć on sam nigdy nie splamił się pracą. Jego towarzysz Tomasz faktycznie zatrudniony był od kilku lat na najniższym stopniu hierarchii urzędu, ale nie kaprysił, ponieważ rodzina cierpiała biedę, a on sam zastępował, jak umiał nieżyjącego ojca.

Zajęty rozmową z przyjacielem, nie zauważył zbliżającej się z naprzeciwka młodej damy pod parasolem. Bowiem właśnie zaczął padać drobny, wiosenny deszcz i nad głowami większości spieszących się oficjałów pojawiły się grzyby czarnych parasoli. Młoda kobieta szła szybko, z pochyloną głową i kiedy wpadła całym impetem na nieuważnego Tomasza, parasolka wypadła jej z ręki, zaś ona sama wsparła się na ułamek sekundy rączką w białej rękawiczce na piersi młodzieńca.

Na Tomasza spojrzały przedziwnie czyste, fiołkowe oczy o podwójnych rzęsach i świat na chwilę stanął w miejscu. Ale już usłużny Will Ramsey podnosił parasol i kłaniał się przepraszająco, równocześnie trącając w ramię znieruchomiłego przyjaciela.

– Raffles, na miłość boską, cóż z ciebie za grubianin!

– Madame, pani wybaczy! – jękał się Tomasz, zaczerwieniony po czubek zmierzwionej czupryny.

– Nic nie szkodzi!

Fiołkowe oczy jeszcze raz popatrzyły uważnie na zmieszanego młodziana, wionął aromat orientalnych perfum i cudne zjawisko zniknęło w czeluściach bramy Leadenhall.

Młodzi ludzie wsiedli do przejeżdżającego fiakra i kazali się wieść do domu ojca Willa, sir Ramseya, od trzech lat sekretarza Kompanii i jednego z najbardziej wpływowych ludzi tej organizacji.

Tomasz niewiele mówił przez drogę. Will zerkał na niego spod oka i uśmiechał się nieco złośliwie.

– Wiesz, mój drogi – powiedział w końcu i zapalił cheroota. – Wydaje mi się, że obraz z przedśionku przyniósł ci już szczęście. A w każdym razie na takiego wyglądasz.

– Nie rozumiem cię, przyjacielu – odparł z roztargnieniem Raffles i począł przyglądać się z udaną uwagą mijanym ulicom i skwerom Londynu.

Wjechali w jedną z najelegantszych dzielnic miasta, pomimo deszczu zatłoczoną pojazdami i lektykami wytwornych dam. Mieszkanie w tym eleganckim miejscu było równocześnie symbolem bogactwa i urodzenia „po właściwej stronie drogi”.

Sir Ramsey zajmował świetną posiadłość, otoczoną wysokimi, żelaznymi sztachetami i bujnym, gęstym ogrodem we francuskim stylu. Sztynny lokaj odebrał od nich kapelusze i wprowadził ich do olbrzymiego salonu, urządzonego w barokowym, eklektycznym stylu.

W wysokim, rzeźbionym włoskim kominku buzował ogień, a przy stoliku siedziało dwu dżentelmenów i grało w karty. Starszy, tęgi i korpulentny mężczyzna o żywych oczach i szybkich ruchach zerwał się z fotela i z otwartymi ramionami podbiegł do Willa.

– Synu, jak dobrze, że cię widzę! Właśnie mówiliśmy o tobie z sir Inglisem! Młody Raffles, witam, witam! – wołał kordialnie i ścisnął dłonie nowo przybyłym,

Sir William Ramsey Starszy dochodził sześćdziesiątego roku życia i ambitne wspinanie się po szczeblach kariery, zamiłowanie do trunków i pięknych niewiast pozostawiły trwale ślady na jego pulchnej twarzy. Był to jednak człek inteligentny, przebiegły i dalekowzroczny i dlatego cieszył się nie tylko szacunkiem, ale i pewną bojaźnią zarówno podwładnych, jak i przełożonych.

Miał to szczęście, iż jego przyjacielem z lat młodości był sir Hugh Inglis, potężna i wpływowa osobistość Kompanii, który obecnie zajmował pozycję dyrektora i mógł w Kompanii bardzo wiele, więcej niż sam Ramsey. Obaj panowie darzyli się wzajemnie respektem, znali swoje słabości, jak dwu zapaśników spotykających się często na zawodach sportowych, i dzięki temu uniknęli szczęśliwie pułapek wzajemnej obmowy, zawiści i krytyki.

Pozostawali w bliskim związku ludzi, którzy wiedzą o swoich mniejszych i większych „sprawkach”, ale zachowują dyplomatyczną dyskrecję.

Inglis kilka razy proponował stanowisko w Kompanii synowi przyjaciela, młodemu Willowi, ale ojciec znał syna i uważał go za lekkoducha. Dlatego nie poparł tych sugestii; wręcz przeciwnie, jego ulubieńcem i pupilem był Tomasz Stamford Raffles, którego rodzinę znał i cenił.

Bowiem sir Ramsey odznaczał się jedną ważną cechą, która jednoznacznie wyróżnia prawdziwie udanego urzędnika Imperium. Był sprawiedliwy w stosunku do własnych pracowników. I jeśli dostrzegł w jednym z nich zaczątki wielkości, nie obawiał się tego popierać. „Młody Raffles”, bo tak nazywał Tomasza, ujął go najpierw skromnością i pracowitością. Potem wyłowił spośród jego zalet, jak rybak wyławia z sieci najdorodniejszą rybę, oszczędność, zdolność kierowania zespołem ludzi i zmysł organizacji, a w końcu zaletę cenią ponad wszystko w młodych oficjalach Kompanii: szczerą i niepodważalną lojalność.

Tomasz traktował poniekąd sir Ramseya jak zmarłego ojca i czasem, nieśmiało, aby nie wydać się naiwnym marzycielem, zwierzał mu się ze swych najgłębszych zamiarów i myśli.

– Wydaje mi się – mówił – że już od dziecka los przypisał mi ciekawe, niespokojne i pełne cudownych wydarzeń życie. Nawet moje urodzenie się na statku ojca, w pobliżu Jamajki, stanowi nieustanne źródło opowieści rodzinnych. Mój ojciec rozbudził we mnie apetyt do dalekich podróży i tajemniczych lądów. Sam był przecież świetnym żeglarzem i nawigatorem i niejednokrotnie miałem okazję obserwować jego talenty i uczyć się od niego odwagi i uporu. Ojciec zawsze powtarzał, iż chcieć, to móc i podług tego kieruję moim życiem.

Sir Ramsey obserwował Tomasza przez kilka lat. Znał jego trudną sytuację w domu, po śmierci ojca. Rodzina wpadła w długi i Tomasz nie mógł nawet skończyć znanej ze znakomitych nauczycieli, szkoły w Hammersmith, której dyrektorem był świetny pedagog, doktor Anderson. Zaledwie czternastoletni chłopiec, o wielkich błękitnych oczach, w aureoli złotych kędziorów, pomimo biedy ubrany zawsze w świetnie skrojone, pachnące mydłem i krochmałem ubrania, po raz pierwszy przekroczył progi przerażającej Kompanii i struchlały stanął przed obliczem sir Ramseya.

Stary wyga natychmiast wiedział, że ten złoty chłopiec zajdzie daleko. Pierwszego dnia pracy młody Raffles zapukał do gabinetu protektora i blade jak chusta powiedział:

– Sir, przyszedłem prosić pana o wyrzucenie mnie ze stanowiska pisarza.

Sir Ramsey zmarszczył brwi i odparł niecierpliwie.

– Nie mam czasu na dramaty. Cóż to takiego?

Raffles bez słowa wyciągnął ukryty za plecami pakiet dokumentów. Wszystkie papiery zalane były czarnym jak smoła atramentem.

– Czy to oryginały? – struchlał Ramsey.

– Nie, to kopie.

– No cóż, przepiszesz jeszcze raz. Za takie przestępstwo nie wyrzucamy tu urzędników.

– Nie w tym rzecz – odparł chłopiec i wyprostował swą długą postać. – To mogły być oryginały. Wybacz mi, panie, moje roztrzepanie i lekkomyślność. Powiniennem przewidzieć taką sytuację. Zasługuję na natychmiastowe zwolnienie.

Sir Ramsey powstrzymał uśmiech. Wiedział, że chłopiec traktuje sprawę bardzo poważnie i nie chciał zranić jego uczuć.

– Zapewne należy ci się kara – powiedział po krótkim wahaniu – ale ze względu na braki personelu wspomniałomyślnie tym razem jeszcze ci daruję. Co proponujesz w zamian za wyrzucenie?

– Chłostę? – niepewnie odparł Tomasz i lekko zadrżał.

– Nie, mam lepszą myśl. Przez miesiąc będziesz przychodził co drugi dzień do mnie, na naukę. Wprowadzę cię w tajniki zarządzania wielkimi organizacjami, pokażę arkana finansów, mechanizm ustaw politycznych i zasady władzy. Co ty na to, młody Raffles?

– Tak, sir – młodzieniec skłonił się poważnie i ostrożnie położył plik zniszczonych papierów na brzegu mahoniowego biurka. – Proszę je zatrzymać dla przypomnienia mi mojej winy, jeśli znowu popełnię jakiś błąd.

– Jestem pewny, że w twoim wypadku to nie będzie konieczne – odparł sir Ramsey. I nie pomylił się.

\*

– Zawezwalem pana do siebie, młody Raffles... – rozpoczął rozmowę sir Ramsey, kiedy już cała czwórka usiadła wokół kominka i sączyła wolno gęstą i słodką maderę ze specjalnych zbiorów, sprowadzanych z Hiszpanii prywatnym transportem, przeznaczonym tylko do piwnic gospodarza – ...zawezwalem pana, bowiem chcemy wraz z sir Inglisem zakomunikować panu ważną decyzję, którą podjęła Kompania na ostatnim zebraniu Zarządu.

Tomasz spojrział niespokojnie na swego dobroczyńcę, ponieważ dzięki niemu podwyższono pensję młodzieńca o trzydzieści funtów. Jako pisarz przy Departamencie Sekretarza otrzymywał teraz siedemdziesiąt funtów. Dobroczynne skutki tego faktu widoczne były zarówno w jego stylu życia, jak i w wyposażeniu domu na East Lane, w pobliżu mostu Tower. Była to uboższa, południowa strona Tamizy, domy były tam jednopiętrowe, klatki schodowe wąskie i ciemne, zaś przez okna dochodziły odory pobliskich jatek i targu warzywnego.

Jednakże dzięki tej podwyżce Tomasz najął służącego i jednokonny ekwipaż, którym matka jeździła na zakupy i w odwiedziny do przyjaciółek.

W żadnym wypadku Tomasz nie chciał, aby cokolwiek zmieniło się teraz w jego życiu. Nauczony doświadczeniem wiedział, że zmiany na ogół nie przynosiły nic dobrego.

Toteż wypił duszkiem wino i swoim zwyczajem począł nerwowo odgarniać kosmyk jasnych włosów, który zawsze opadał mu na czoło.

Sir Ramsey położył mu dłoń na ramieniu i powiedział uspokajająco:

– Wieść jest dobra, choć nie spełni się natychmiast. Kompania docenia twe wyjątkowe talenty, twój upór i inteligencję i za moją i sir Inglisa zgodą wysyła cię na placówkę zagraniczną. Obejmiesz stanowisko podsekretarza, przy rządzie nowego gubernatora Wyspy Księcia Walii, inaczej zwanej Pinang.

Sir Ramsey umilkł i zapadła długa cisza, zmacona tylko głośnym tykaniem starego dębowego zegara w kącie pokoju.

Tomasz siedział nieporuszony i wpatrywał się w swoje duże, piękne ręce. Sir Inglis nie spodziewał się takiej reakcji, więc nieco zbity z tropu, z chrząkaniem wyciągnął z zanadru złotą tabakierę i ceremonialnie zażył tabaki.

Tomasz podniósł oczy na sir Ramseya i zapytał cichym głosem:

– Sir, czy pamięta pan pierwszy dzień mojej pracy?

– Oczywiście – skinął głową Ramsey i wzrok jego powędrował do biurka z mahoniu, stojącego w pobliżu drzwi na taras. – To stare biurko, w którym przechowuję dokumenty z dawnych lat. Znajdują się w nim również twoje pierwsze kopie.

– Czy mógłbym je teraz otrzymać, o ile nie ma pan nic przeciwko temu, sir?

Sir Ramsey rozłożył ręce.

– Nie są nam do niczego potrzebne, prawda?

Następnie podszedł do biurka i po chwilowych poszukiwaniach nadszedł ze zniszczoną papierową teczką w dłoniach.

– Oto one – powiedział.

Tomasz ostrożnie wyjął poóżółkłe, stare kartki i uśmiechnął się do siebie. Sir Inglis i Will spoglądali na młodzieńca z zaciekawieniem i pewnym powątpiewaniem, aż w końcu Will powiedział:

– Czy to jakieś czary? Tomaszu, zapomniałeś, że odprawiasz codziennie „hokus pokus”

w hallu Leadenhall? Nadawałbyś się na zaklinacza deszczu lub tańczącego derwisza.

Raffles podniósł się z krzesła z zamyślonym wyrazem twarzy i podszedł zdecydowanym krokiem do kominka. Zwoje papieru zasyczały i zwinęły się, jak żywe istoty w bólu całopalenia. Tomasz stał chwilę wpatrzony w płomień, a potem z rękami założonymi do tyłu powrócił na swoje miejsce. Pewnym, czystym głosem powiedział:

– Panowie, przed nami Pulau Pinang, Wyspa Księcia Walii.

\*

Nikt nie wie, kiedy pierwszy Brytyjczyk w dziejach świata postawił stopę na oszałamiająco pięknej ziemi Pinang. Pierwszym znanym podróżnikiem okazał się kapitan żeglugi morskiej i sprytny kupiec o nazwisku Franciszek Light. Ten przedsiębiorczy człowiek otrzymał polecenie Kompanii Wschodnioindyjskiej założenia stacji handlowej i portu dla statków kursujących pomiędzy Europą, Chinami i Indochinami.

Przyjęty został dość serdecznie przez tamtejszego sułtana, któremu za pozwolenie otworzenia placówki obiecał pomoc w zbrojnej walce z sąsiadującą Birmą. Nie dość na tym, wymógł jeszcze koncesję na tej części stałego lądu Malajów, który graniczył przez wodę z wyspą.

Light przemianował nazwę wyspy z Wyspy Orzecha Betelu na Wyspę Księcia Walii, ponieważ jego wylądowanie na cudownie białej, dziewiczej plaży wypadło w dniu urodzin następcy tronu.

Natychmiast rozpoczął budowę pierwszych domostw w miejscu małej rybackiej osady i nazwał to miejsce patriotycznie, imieniem panującego króla Jerzego, Georgetown.

Sułtan mocno zaniepokoił się wkroczeniem Anglików, którzy czuli się zbyt pewnie na nowym gruncie i ani myśleli walczyć w obronie sułtańskich granic państwa. Light nie zamierzał drażnić cierpliwości podejrzliwego władcy. Szybko zobowiązał się wypłacać mu corocznie sumę sześciu tysięcy hiszpańskich dolarów za prawo osiedlenia Brytyjczyków na wyspie.

Light czuł się udzielnym władcą i poczynał sobie śmiało i agresywnie. Otrzymał nieograniczone plenipotencje polityczne od Imperium, nazwał cały półwysep nazwiskiem gubernatora Indii, markiza Wellsleya, którego podziwiał i który był dla niego wzorem polityka i dyplomaty i przyniósł w czasie swych ośmioletnich rządów na wyspie niezły profit dla skarbu Kompanii i państwa.

Zmarł w wieku pięćdziesięciu czterech lat na malarię, tę zwyczajową niemal chorobę wszystkich *ferenghi* i został pochowany z pompą na cmentarzu protestanckim w Georgetown.

Jego bohater, markiz Wellsley, przybył na wyspę, aby obejrzeć dzieło pioniera, i przez pewien czas pełnił funkcję gubernatora. W następnym roku powołano na tę pozycję lorda Williama Farquhara, niezwykle energicznego i obowiązkowego oficera, który natychmiast zabrał się do budowy fortu, nazwanego Cornwallis.

Jego następcą został lord Dundas, owiany aromatem kadzideł pochlebstw i przymilań, palonych przed osobą jego brata Henryka, prezydenta wszechmocnej i wzniecającej popłoch Komisji Kontroli Interesów Kompanii.

Tak więc, pomimo że Tomasz miał zaledwie dwadzieścia trzy lata i niewielkie doświadczenie, właśnie otwierała się przed nim oszałamiająca kariera. Otoczony był potentatami i herosami brytyjskich Kolonii. Nie wiedział jeszcze, że zmieni na zawsze mapę Azji Południowej i losy pewnych państw. I nie wiedział, że i jego osobiste życie ulegnie wkrótce zasadniczej zmianie. Tomasz Stamford Raffles stał na progu afery miłosnej, która miała przemienić się w pasję jego życia.

Przed wszystkim jednak jego status społeczny uległ niesłychanej i szybkiej zmianie. Wspiana promocja zapewniła mu samodzielny, wytworny gabinet pracy w Leadenhall i pomoc kilku nadskakujących asystentów. Jego roczna pensja wynosiła astronomiczną sumę tysiąca pięciuset funtów, prócz tego zasiadał w Radzie Kompanii i brał udział we wszystkich spotkaniach urzędowych i towarzyskich areopagu.

Przygotowania do wyjazdu na Pinang ruszyły pełną parą. Aby lepiej zrozumieć historię i geografię terenów, na których Tomasz miał żyć i pracować przez następne lata, młodzieniec studiował tomy historii regionu południowej Azji, zwanego Indonezją, którego Pinang był maleńką częścią. Przede wszystkim zafascynowała go historia samej wysepki i jej bliskiego, bo oddzielnego zaledwie kilkukilometrową cieśniną półwyspu Malajów.

Pinang należał do brytyjskiej Korony tylko osiem lat i został oddany pod jej protektorat przez sułtana Kedahu, jednego z najpotężniejszych władców tamtych stron. Stało się to z powodu stale pogarszających się stosunków dyplomatycznych pomiędzy lokalnym władcą a rządami Holendrów, którzy eksploatowali Malezję jako kolonię od połowy siedemnastego wieku.

Przewrót rewolucyjny we Francji przemieścił siły polityczne królestwa Niderlandów. Zwycięski Bonaparte wkroczył do Hagi i założył tak zwane Księstwo Batawii, załączek przysłego marionetkowego królestwa napoleońskiego. Wilhelm Orański schronił się pod skrzydła opieki króla Wielkiej Brytanii, której, jak mówiliśmy uprzednio, oddał kolonie Południowej Afryki i malajski półwysep.

Wprawdzie niedobitki holenderskich osadników uciekły na południe, na wyspę Jawę, ale wydawało się, że tylko czas jest wrogiem Brytanii. Resztki przegnanych przez Holendrów Portugalczyków, których kolonie upadły na Malajach dwieście lat wcześniej, zamieszkiwały stale niewielkie enklawy etniczne. Większość masowo emigrowała do Indii, przede wszystkim do Goa, na zachodnim wybrzeżu Dekanu. Indonezja stała otworem i czekała na zaludnienie jej przez armię i urzędników wszechmocnej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Czasy potęgi na morzu i lądzie królestwa Niderlandów i dynastii orańskiej zakończyły się bezpowrotnie.

Pinang w opowieściach ówczesnych globtroterów, żeglarzy i podróżników jawił się jak rajska, niezsuta grymasami świata wyspa, której jedyne miasto Georgetown służyło jednocześnie jako okno na świat i port żeglugi międzynarodowej.

To tutaj zawijały statki z mórz południowych, z Morza Chińskiego, z królestwa Tajlandii, Jawy, Sumatry i Borneo. Wyspę zamieszkiwali Malaje, plemiona Diak, Chińczycy i Hindusi. Był to wrzący tygiel kultur, języków i religii. Przeważał jednak islam, choć misjonarze z Europy zakładali chrześcijańskie ośrodki, nierzadko ginąc bez wieści w tropikalnych dżunglach, pokrywających trzy czwarte tego terenu.

Raffles żył jak w gorączce i nic nie wydawało się ważniejsze niż przygotowywana wyprawa. A jednak zaszło wydarzenie, które odsunęło od niego na pewien czas myśli o potędze i eksploracji dalekiego kontynentu i zawładnęło wszystkimi jego pragnieniami. A sprawiła to pewna wizyta w domu sir Ramseya, w chłodny i zamglony wieczór późnej wiosny.



\*

Do kolacji zasiadło siedem osób. Sir Ramsey był wybrednym i uważnym gospodarzem i zazwyczaj dobierał gości nie tylko podług wieku i rangi, ale i zainteresowań, a nawet zapatrywał politycznych. Lubił kontrasty, więc często Tory siadał obok Wiga, aktorka obok lekarza, a pastor w pobliżu ateisty. W ten sposób Ramsey zapewniał gościom ciekawy wieczór, godziwą dyskusję i niebanalną rozrywkę.

Tego wieczoru, prócz gospodarza i jego syna, wśród gości poczesne miejsce zajmował przysły prezydent Pinangu, lord Filip Dundas z małżonką, Tomasz Moore, poeta i lingwista, lady Maria Walthen, bogata wdowa o jowialnym charakterze i tubalnym głósie bosmana, oraz Tomasz Raffles.

Na przekąskę podano nadziewanego łososa w ostrym żółtym sosie i soku z ananasa. To dziwne, orzeźwiające danie przygotował jeden z kucharzy Ramseya, sprowadzony z wielkim trudem z dworu sultana Borneo.

W ogóle cała uczta upływała pod znakiem spodziewanej wyprawy do Pinangu, ponieważ jak się okazało, sir Ramsey zakupił na jednym z indyjanów, powracających po rocznej wyprawie z Indonezji, bele kolorowego, ręcznie malowanego batiku, przepiękne, arcydelikatne srebrne świeczniki z Kelantanu, miedziane popielnice i wyszywane srebrem i złotem sarongi. Wszystko to z dumą pokazywał zachwyconym gościom, nic też dziwnego, że rozmowa natychmiast zesłała na Pinang i przygotowania do podróży.

Tomasza zasypywano tysiącem pytań, więc nawet nie zauważył pewnego zamieszania w drzwiach jadalni i mocnego szkarłatu, jaki pokrył oblicze gospodarza. Ramsey od początku uczyty wydawał się stale czekać na kogoś i rzucał krótkie spojrzenia na zegar i drzwi.

Kiedy kamerdyner zaanonsował spóźnionego gościa, Ramsey zerwał się z szelestem brokatu i jedwabi i rzucił się omal biegiem w stronę wchodzącej właśnie osoby.

Tomasz nie dosłyszał w gwarze rozmów nazwiska niewiasty, która szybkim krokiem, z obiema rękami wyciągniętymi do powitania, przeszła koło niego tak blisko, że musnęła go rąbkami sukni i owiała zapachem orientalnych perfum.

Z wielkimi ceregielami gospodarz domu usadowił ją pomiędzy sobą a Willem i zaraz począł dolewać jej wina, to znów nakładał jej ze specjalnie w tym celu wydrążonego kokosu aromatycznie pachnącą egzotycznymi przyprawami zupę. Pytał o zdanie i opinię, troszczył się o jej wygodę i sprawiał wrażenie całkowicie zaabsorbowanego nowo przybyłą.

Niektórzy wymieniali znaczące spojrzenia, ale ogólna rozmowa była ożywiona, ponieważ wszyscy bez wyjątku interesowali się ogromnie daleką Malezją, a szczególnie Malaką, słynną z cudownego grobu świętego Franciszka Ksawerego, który umiłował sobie to miejsce w czasie swych pielgrzymek i misji chrześcijańskich pomiędzy Europą i Orientem.

Tomasz Raffles siedział milczący i nieruchomy jak posąg wykuty z kamienia. Jego pociągła, przystojna twarz pobladła i wydawała się ściągnięta niewypowiedzianym cierpieniem.

Młodzieniec został bowiem porażony nagłą i nieuleczalną chorobą, na którą nie było ratunku ani wybawienia. Tomasz zakochał się śmiertelnie, od pierwszego wejrzenia, w pięknej nieznajomej.

Natychmiast rozpoznał tę smukłą, gibką sylwetkę, fiołkowe, promienne oczy ocienione podwójnymi rzęsami i szybki, pośpieszny krok osoby, która wie, do jakiego zmierza celu.

Patrzył więc na nią z lekko zmarszczoną brwią i wydawało się, że jest o coś zagniewany. Toteż młoda kobieta kilka razy rzuciła na niego badawcze spojrzenie i w końcu zarumieniła się

pod wpływem tych błyszczących niezdrowym blaskiem oczu.

Korzystając z chwili zamieszania, Tomasz zwrócił się szeptem do siedzącego obok Tomasza Moore'a:

– Wybacz pan, że pytam obcesowo, ale nie dosłyszałem godności tej nowo przybyłej damy. Kimże jest ta pani?

Moore spojrział na niego zdziwiony.

– Na Boga, pan jej nie zna? To najpiękniejsza wdowa Londynu! Zamieszła w głowach połowy płci męskiej, a szczególnie w kularach Kompanii. Patrz pan na Ramseya, zupełnie pograżony, ani koło ratunkowe nie pomoże.

– Jej nazwisko? – Tomasz nie mógł powstrzymać niecierpliwości, choć sam nie wiedział, dlaczego tak mu zależy na poznaniu jej imienia.

– Olivia Fancourt, wdowa po chirurgu Kompanii w Indiach. Interesująca osóbka, nieprawdaż?

Tomasza ogarnęła nagła i niczym nieusprawiedliwiona złość na poetę.

– Pewna siebie – odparł kostycznie i umilkł prawdziwie wściekły.

– To światowa osoba. Przebywała w Indiach kilka lat i poznała tamtejszą atmosferę znakomicie. Powiadają, że przyjechała do Londynu szukać nowego męża.

– I zapewne szybko go znajdzie – odparł ironicznie Tomasz i spojrział na zajętego sąsiadką sir Ramsey.

– Hm, nie każdy ją weźmie, ponieważ podobno jest biedna jak mysz kościelna. W sam raz żona dla mnie, chudego literata – zażartował Moore i umilkł nieco speszony.

Towarzystwo przeniosło się do salonu, gdzie lady Dundas zasiadła do fortepianu i poczęła grać sonatę modnego w tej chwili w Europie Franciszka Józefa Haydna.

Sir Ramsey, nie odstępując na krok pięknej wdowy, skinieniem dłoni przywołał do siebie Tomasza.

– Młody Raffles, pozwól, że przedstawię cię madame Fancourt, która jest prawdziwą znawczynią Orientu i zapewne znajdziesz jej opowieści nie tylko fascynującymi, ale i pouczającymi, choćby ze względu na twą nadchodzącą misję.

Tomasz pochylił się nad rączką damy, zaś Olivia powiedziała przytłumionym, piersiowym głosem:

– Pan Raffles, pan Tomasz Raffles? Ależ ja pana znam!

– To niemożliwe, pani. Nigdy, przenigdy nie zapomniałbym rozmowy z panią – odpowiedział młodzieniec.

Z bliska zauważył, że Olivia nie jest tak młoda, na jaką wyglądała z daleka. Delikatna linia zmarszczek koło oczu, bolączka wszystkich kobiet wracających z tropiku i wpływu słońca, oraz nieznacznie zwiotczała skóra obnażonej szyi, ozdobionej skromnym sznurem pereł mówiły, że musi mieć co najmniej trzydzieści lat.

– Jest pan sławny w Madrasie. Mówią tam o panu w salonach Klubu Krykietowego. Mamy więc wspólnych znajomych.

– Ja również panią widziałem – odpowiedział poważnie Tomasz i omiół jej sylwetkę długim spojrzeniem. – Było deszczowe popołudnie, tłumy interesantów wylewały się z przedsionka Leadenhall i pewna dama przez nieuwagę wpadła na wychodzących z gmachu dwu dżentelmenów.

– Ach, to był pan!? – na pół pytająco, na pół twierdząco, zawołała ze śmiechem Olivia. – Wytrącił mi pan z ręki parasolkę!

– Za co natychmiast błagałem o przebaczenie.

– Przebaczyłam, ale jak pan widzi, nie zapomniałam.

- Czy jest jakiś sposób na to, aby wkupić się w pani łaski?
- O, w moje łaski się nie wkupuje. Trzeba na nie zasłużyć.
- Cóż więc rozkaże pani w tej materii, jak mogę zdobyć pani przychyłność?

Niepostrzeżenie dla nich obojga rozpoczęli niewinny, lekki flirt. Sir Ramsey spoglądał na oboje z niezadowoleniem, graniczącym z desperacją. Jednakże jego delikatne, choć stanowcze wtrącenie się do konwersacji nie znaczyły dla tej pary nic. Zapatrzeni w siebie i zasłuchani we własne głosy, nawet nie wiedzieli, kiedy reszta towarzystwa zaczęła się żegnać.

Tomasz odwiózł Olivię własnym powozem do jej skromnego mieszkania na Green Street, w pobliżu eleganckiej Park Lane.

– Samo życie nauczyło mnie sprytu – śmiała się wdowa i ściągała na pożegnanie rękawiczkę z drobnej, długiej dłoni. – Jeśli nie mogę mieszkać w wytwornej dzielnicy, to przynajmniej w jej sąsiedztwie. Elegancja promieniuje, nie uważa pan?

Tomasz powrócił do domu pijany, choć nawet nie umoczył tego dnia ust w winie. Nie spał do rana i tego samego popołudnia posłał na Green Street olbrzymi bukiet białych gardenii, które były ulubionymi kwiatami Olivii, podług jej własnych słów. I bilet wizytowy. Napisał na nim swym wyrazistym, dużym pismem dwa słowa. „Zawsze Ty”.

\*

Olivia postanowiła pojechać do Anglii po śmierci Jamesa. Niemożliwe stało się pozostanie w Rajkocie, ani tym bardziej powrót do Madrasu. Kiedy wysiadła w dokach Londynu i rozejrzała się po obcym, wrzeszczącym tłumie ludzi, kiedy nozdrza jej uderzył smród smoły i palących się w pobliżu ognisk bezdomnych, miała ochotę zawrócić i błagać kapitana klipera „Narcisus” o zabranie jej z powrotem do Orientu. Ale powoli panika przeszła i Olivia odzyskała nieco pewność siebie.

W London Bank oczekiwała na nią niewielka sumka, przysłana przez ciotkę Pamelę na wieść o jej powrocie, która musiała jej wystarczyć na początek. Olivia postanowiła zmierzyć się z zardzewiałym kołowrotem praw i przepisów Kompanii i wydusić od niej, choćby gołymi rękami, należną jej wdowią rentę, której do tej pory nie otrzymała.

Właściwie to był najważniejszy powód jej powrotu do „Domu”. Do Irlandii wybierała się później, kiedy już upora się z biurokracją urzędów, a na razie wynajęła dwupokojowe mieszkanie na facjacie przyzwoitej kamienicy w znakomitej dzielnicy miasta i natychmiast poczęła zamiatać kąty biur Kompanii trenami sukien, szytych jeszcze przez krawców w Madrasie.

Wszędzie budziła zainteresowanie urodą, wdowim stanem i interesującą historią życia. W przepastnych westybulach biur Kompanii poznała sir Ramseya, który stał się jej opiekunem i poniekąd wielbicielem. Początkowo małżeństwo nawet nie powstało w jej głowie i nie to było celem jej zabiegów, ale szybko przekonała się, że urodą i pewną egzotyką może wiele zdziałać wśród zaśniedziałych urzędników i kiepskich polityków organizacji.

Dzięki sir Ramseyowi poczęła „bywać” i w zaledwie trzy miesiące po przyjeździe otrzymała pierwszą wypłatę zaległej renty w wysokości dwudziestu pięciu gwinei oraz pensję jednego funta i ośmiu szylingów dziennie.

Było to bardzo niewiele, ale wraz z przysłanymi przez ciotkę pieniędzmi stanowiło wystarczającą sumkę, aby wieść skromne, lecz wygodne życie.

Znajomość z Tomaszem początkowo bawiła ją i cieszyła, ponieważ jego wyraźne uwielbienie i zachwyty jej osobą sprawiały jej przyjemność i łechtały próżność urodziwej kobiety. Potem jednak przekonała się, że Raffles traktuje ich przyjaźń poważnie i snuje plany na przyszłość. Nie kochała tego wspaniałego, pełnego powabu i inteligencji młodzieńca, ale imponował jej wiedzą, energią i szacunkiem, którym darzyli go inni. Tomasz samą postawą nakazywał posłuch i respekt. Pomimo młodego wieku było w nim coś królewskiego, nakazującego uwagę. Sir Ramsey niejednokrotnie podkreślał, że młody Raffles zajdzie daleko, że jest w nim przeznaczenie do rzeczy wielkich i monumentalnych.

Olivia najpierw bawiła się chwilą spędzoną w towarzystwie tego intensywnego, skupionego na niej mężczyzny. Bo pomimo że było pomiędzy nimi dziewięć lat różnicy, Raffles był w całym tego słowa znaczeniu dojrzałym, wspaniałym okazem męskiej urody, siły i woli.

Na resztę życia Olivia zapamiętała pierwszą wizytę w jego domu i spotkanie z matką i trzema siostrami. Pomimo otoczenia kobiet, pomimo kobiecych bibelotów, porcelanowych i kryształowych cacek, lalek i aksamitnych kokard Tomasz na tym tle wyglądał jeszcze bardziej męski niżli w czterech ścianach swego ogromnego gabinetu na drugim piętrze Leadenhall.

Był panem na włościach, zaś kobiety służyły mu, otaczały świergotem i śmiechem, wabiły i kokietowały, i dawały mu szczęście. Tomasz lubił kobiety i kobiety lubiły jego, ale nie oznaczało to relacji erotycznych. Po prostu był nimi zawsze otoczony i czuł się wśród nich

wspaniale.

Wielki, płowy i majestatyczny, królował wśród nich jak lew wśród lwic. I to szalenie Olivii imponowało. Raffles wciągnął ją w to zaczarowane koło tańczących wokół niego niewiast, a ona zapragnęła pozostać pomiędzy nimi.

Najbardziej polubiła Mary Ann, ulubioną siostrę Tomasza, śliczną i pełną wdzięku dziewczynę o wysmukłej szyi łabędzia i włosach w kolorze prażonego kasztanu. Dwie młodsze, Harriet i Leonora, wyglądały przy niej jak brzydkie kaczątka, ale odznaczały się słodką naturą i nieustannym, perlistym śmiechem.

W ogóle w domu Rafflesów śmiech rozbrzmiewał co dzień. Było coś beztróskiego i dziecinnego w tych dorosłych, dorodnych pannach i łagodnej, zakochanej w nich matce. Madame Raffles nie darzyła Olivii szczególną sympatią, ale jej ogromny takt i dobre serce nie pozwalały na najmniejszy przejaw niechęci.

Życie nie obeszło się z nią sprawiedliwie i prawdziwą pociechą stały się dla niej dzieci. Jej starszy o szesnaście lat mąż umarł, zostawiwszy ją, zdruzgotaną bankrutem i niespłaconymi długami, z trzema córkami na wydaniu i najstarszym synem w drogiej, modnej szkole. Serce jej pękało, kiedy zakomunikowała Tomaszowi, iż musi porzucić akademię i rozpocząć pracę. Był jedynym mężczyzną w domu i jego zadaniem stało się zapewnienie im bytu.

Tomasz bez szemrania porzucił mury ukochanej Mansion House, a pani Ann Raffles czuwała nad dobrem i spokojem syna. Chroniła wszystkie swe dzieci przed złośliwością i podłością ludzką i nie ufała nikomu. Dlatego uważała Olivię za oportunistkę, ponieważ pojawiła się w najwspanialszym momencie życia jej syna. Było to podejrzane i złowrogie i nic ani nikt nie mógł zmienić jej zdania. Przy tym Olivia była wdową o dość awanturniczej przeszłości i niewiastą starszą od Tomasza.

Pomimo jednak chłodu matki Tomasz oświadczył się Olivii pewnego parnego wieczoru czerwcowego, gdy odpoczywali w zacisznej altance posiadłości sir Ramseya, znużeni tańcami i towarzyskim *soiree*, na których zawsze pokazywały się te same twarze i gdzie zawsze słyszało się te same tematy rozmów.

Olivia wachlowała się olbrzymim wachlarzem z pawich piór, który przywiozła ze sobą z Hindustanu. Jej twarzyczka nabrała kolorów, ponieważ nie tylko tańczyła szybki galop, ale i wypila kilka szklaneczek szampana. Oboje z Tomaszem uwielbiali taniec i stanowili wspaniałą parę. Wysocy i smukli, ona z talią osy, on barczysty i długonogi, zwracali uwagę urodą i wzięciem. Niektórzy już widzieli w nich przyszlą parę małżeńską i szeptano o rychłym ślubie, ze względu na zbliżający się szybko wyjazd Tomasza na Daleki Wschód.

Tomasz nie odważył się do tej pory nawet na pocałunek. Lekkie muśnięcie wargami jej policzka i dłoni na pożegnanie to było wszystko, na co sobie pozwalał. Olivia była tym nieco speszona i rozczarowana. Z jej doświadczeniem erotycznym oczekiwała po tym wspaniałym okazie męskości więcej płomienia i pasji.

Toteż kiedy Tomasz nagle objął ją wpół i przyciągnąwszy ku sobie, przylgnął gorącymi ustami do jej nagiego ramienia, wstrząsnął nią dreszcz oczekiwania i rozkoszy.

– Olivio, pani – szeptał z rozpalonymi policzkami i żarem w oczach. – Nie mogę dłużej czekać. Myślę tylko o tobie i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Pokaż oczy, pokaż te cudne fiołki, spójrz na mnie!

Tu ujął jej twarzyczkę w swoje wielkie, piękne dłonie i zwrócił ją ku sobie. Pochylił się i ucałował te gęste, podwójne, podkręcone rzęsy, a równocześnie jego dłoń spoczęła przelotnie na jej na wpół odsłoniętej piersi.

Olivia westchnęła z ustami tuż przy jego ustach i poczuła pożądanie, jakiego nie

odczuwała od wielu miesięcy. Do tej pory była pusta i sucha, jak piaski pustyni, zanim spadnie zbawienny deszcz monsunu.

Tomasz całował jej oczy, włosy, muszle uszu i tętniącą gorącą krwią, białą szyję. Żar bijący od jego ciała przenikał cienką materię jej sukni i obejmował ją szkarłatnym płomieniem.

A jednak Tomasz odsunął ją od siebie i powiedział ochryłym z namiętności głosem:

– Dość, nie mogę tak postępować. Zbyt cię szanuję, zbyt wielbię, aby wykorzystać tę chwilę w tak egoistyczny sposób. Olivio, kocham cię i chcę, abyś została moją żoną. Czy mogę się spodziewać, że zgodzisz się i uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem?

Jak wichur przeleciały przed oczami młodej kobiety twarze Dempstera i Jamesa. Obaj zostawili ją samą, choć każdy z innej przyczyny. Czy i w jej związku z Tomaszem oczekiwała ją samotność i smutek? Czy takie było jej przeznaczenie? Tomasz był inny niż tamci. Niczym nie przypominał aroganckiego, cynicznego Hamiltona ani cierpliwego, powolnego Jamesa.

James zmarł na jej rękach i do końca na jego bladych ustach błąkał się uśmiech szczęścia. Skąd szczęście? Nigdy nie dała mu nawet namiastki tego uczucia. Ale kiedyś powiedział, że szczęściem jest mieć ją przy sobie. To mu wystarczyło. Tak krótko byli małżeństwem, ale to zapewne lepiej, ponieważ nie dostrzegł chłodu jej serca.

Spojrzała głęboko w oczy Tomasza i dostrzegła w nich łzy.

– Płaczesz? – zapytała drżącym głosem.

– Tak, płaczę nad sobą, jeśli mnie nie zechcesz – odparł po prostu.

Bez słowa wzięła w ręce jego dłoń i wycisnęła na niej długi pocałunek.

\*

Śmietanka Londynu ze zdumieniem przyjęła wiadomość o nadchodzącym ślubie świetnie zapowiadającego się Tomasza Rafflesa i ubogiej wdowy po lekarzu Kolonii, Olivii Fancourt. Tym bardziej że równocześnie Tomasz otrzymał oficjalne uprawnienia podsekretarza nowego gubernatora Pinangu i pośpiech, z jakim powiązano te dwa wydarzenia był jeśli nie zastanawiający, to przynajmniej dający do myślenia. W kołach Kompanii szumiało od plotek i domysłów. A jednak sprawa była prosta i jasna. Tomasz ani na chwilę nie chciał rozstawać się z narzeczoną i jego wyjazd bez niej nie wchodził w rachubę.

Olivia napisała długi list do ciotki Pameli z zaproszeniem na ślub, który młodzi narzeczeni zamówili w parafii kościoła Świętego George'a w Bloomsbury.

Przygotowania do uroczystości wspomagała rodzina Tomasza, szczególnie Mary Ann, która nie tylko była niezwykle przywiązana do starszego brata, ale uwielbiała wprost swoją przyszlą szwagierkę i już teraz nazywała ją „siostrą”.

Ciotka Pamela nie przyjechała wprawdzie na ślub, ponieważ właśnie cierpiała na jeden z ataków fluksji, ale przyrzekła, o ile pozwoli jej zdrowie, odwiedzić młodą parę w Malezji.

Kościół Świętego George'a był chyba najbrzydszym kościołem w Londynie, pomimo że zaprojektował go wzięty architekt Hawkesmoor.

Połączenie klasyki i neogotyku wywoływało mieszane wrażenia i pewien niepokój artystyczny. Ceremonię ślubu dopełnił szanowny A.P. Poston, człek kostyczny i urzędowo chłodny, toteż atmosfera w czasie uroczystości była lodowata.

Wśród gości wyróżniała się oczywiście rodzina Tomasza. Cztery damy siedzące w pierwszych ławkach nawy promieniowały dobrym uśmiechem jak cztery wróżki z baśni, Mary Ann ronila gęste łzy rozczulenia, zaś madame Raffles przytakiwała szczegółom uroczystości kapeluszem, ozdobionym olbrzymim bukietem strusich piór. Ten chwiejący się nieustannie pióropusz odrywał uwagę Olivii od właściwej ceremonii i chwilami panna młoda gubiła się w rytuałach i modlitwach.

Toteż odetchnęła z ulgą, gdy padły sakramentalne słowa ostatecznego poślubienia i organy zagrzmiały potężną fugą Bacha.

Czterech świadków wpisało się w ceremonialną księgę rejestru: Richard Taylor, oficjał Kompanii, imienniczka Olivii – Mariamne Etherington, przyjaciółka madame Raffles – Maria Walthen i Charles Hamond, wuj Tomasza i mąż jego ciotki Elżbiety. Elżbieta była siostrą madame Raffles i wraz z mężem prowadziła sklep kolonialny z herbatą na Milk Street w dzielnicy Cheapside. Byli to ludzie zamożni, stateczni i bogobojni. Nudni i prawi, przywiązani do rodziny i pomocni wdowie Raffles po śmierci jej męża. Wuj Hamond poręczył przecież za swego siostrzeńca założeniem pięciuset funtów depozytu w celu zapewnienia Tomaszowi otrzymania posady pisarza w Kompanii kilka lat wcześniej.

Państwo młodzi nie mieli czasu na spędzenie w samotnym tête-à-tête miesiąca miodowego. Zaraz po ślubie rozpoczęli intensywne przygotowania do podróży. Na ten czas Olivia zamieszkała w domu męża i bardzo zbliżyła się z Mary Ann. Śliczna szwagierka wydawała się oczkiem w głowie całej rodziny. Jej słodki charakter i pogodna natura wносиły wesołość i pogodę w ciemne, nieco duszne apartamenty rodziny Rafflesów.

Zaledwie kilka dni po ślubie do gabinetu Tomasza zapukała matka i zamknęła się z nim na kilka godzin. Wkrótce po tej tajemniczej rozmowie, przy kolacji, Tomasz spojrzął na pięć „jego kobiet”, jak nazywał siostry, matkę i młodą żonę, i powiedział z błyskiem radości

w oczach.

– *Ladies*, mam wam do zakomunikowania coś niezwykle ważnego.

Spojrzało na niego pięć par błyszczących oczu, a Harriet, zawsze prędką w słowach i czynach, żywa jak sroka i figlarna jak kotka, zawołała:

– Zabierzesz nas wszystkie ze sobą na Malaje!

– Byłbym najszczęśliwszym paszą Orientu, gdybym mógł otoczyć się takim wspaniałym i uroczym haremem – odparł żartobliwie Tomasz. – Ale niestety jest to niemożliwe. Dlatego zamiast wszystkich, zabieram jedną z was, nie licząc mojej żony.

Trzy panny przestały na chwilę jeść i zawisły spojrzeniem na jego ustach. Olivia zdumiała się, ponieważ nic nie wiedziała o zamiarach męża. Nie zdradził się ani słowem.

– Po długiej rozmowie z *maman* i jej sugestii zdecydowałem się zabrać Mary Ann, tym bardziej że jest ona najstarsza i najlepiej przygotowana do życia na innym kontynencie.

Wybuchła taka wrzawa i krzyk, że na chwilę Tomasz musiał zatkać sobie uszy rękami. Mary Ann przyskoczyła do brata i poczęła go ścisnąć i całować, a przy tym piszczeć i klaskać w ręce jak małe dziecko. Madame Raffles potrząsała głową, przybraną w biały czepiec i załamywała dłonie w udanej rozpacz.

– Moje panny, moje panny, na miłość bożą, uspokójcie się!

Olivia była zadowolona z tej decyzji. Mary Ann z dnia na dzień stawała się jej bliższą i Olivia była przekonana, że w krótkim czasie zostaną przyjaciółkami.

Wieczorem, kiedy już leżała w ramionach męża, powiedziała sennym głosem:

– Tomaszu, sprawiłeś mi prawdziwą przyjemność. Nawet nie wiesz, jak ucieszyła mnie twoja decyzja. Mary Ann wpływa na mnie kojąco, ma w sobie tyle radości życia i energii!

– Wiem, że ją lubisz, ale nie zachwalaj tak bardzo mojej decyzji. Należy ona bardziej do *maman* niż do mnie

Nie było to prawdą, ponieważ stara pani Raffles zostawiła właściwie synowi wolną rękę. Po prostu uważała, że jedna z jej córek otrzyma od losu szansę na znalezienie zamożnego męża w tamtej części świata. Tomasz wybrał Mary Ann właśnie ze względu na żonę. Wiedział, że sprawi jej w ten sposób niespodzianą radość. A Tomasz uwielbiał robić młodej żonie niespodzianki.

Wziął ją w objęcia i całując koniec jej noska, szepnął:

– Mam coś dla ciebie, mój skarbie, jeśli postarasz się to znaleźć.

Olivia poczęła pilnie szukać, pościel całego łóżka została przewrócona do góry nogami, poduszki i prześcieradła znalazły się na ziemi, a Tomasz zanosił się od śmiechu. W końcu rozeźlona Olivia rzuciła się jak drapieżna kotka na jego ciało i zerwawszy z niego koszulę, krzyknęła z radością:

– Ach, zdrajco! Tutaj to schowałeś! – Zachłannym ruchem porwała z nagiego pępka męża zwinięty rulonik papieru. Szybko przebiegła go oczami, a następnie poczęła obsypywać piersi i szyję Tomasza deszczem gorących pocałunków.

– Dzięki, dzięki, mój ukochany Tomcio Paluchu! Ach, jak się cieszę!

Były to trzy bilety okrętowe na przejazd indiamanem „Ganges”, płynącym przez Madras do Bengalu i Chin. Po chwili jednak zostały zapomniane i porzucone gdzieś pod łóżem młodej pary, zaś oni sami zatopili się w igraszkach i pieszczotach, które trwały do bladego świtu. Olivia potrafiła okazać wdzięczność, zaś młodość i niedoświadczenie Tomasza dodawały wdzięku ich miłości. Kiedy zasnęli wreszcie wtuleni w siebie i nasyceni, oboje uśmiechali się przez sen. Był to najszczęśliwszy okres w ich życiu.



\*

Olivia z ulgą pożegnała „Ganges” i choć wspomnienia tej koszmarnej podróży pozostawiły ślad na jej całe życie, to jednak towarzystwo Mary Ann i nowe otoczenie na brygantynie „Warley” choć częściowo pozwoliły jej zapomnieć o upokorzeniach i wstydzie ostatnich miesięcy.

A tak wspaniale wszystko się zapowiadało! Na „Ganges” wkroczyła lekkim, prawie tanecznym krokiem, podtrzymywana pod ramię przez męża, z drugiej strony mając za towarzyszkę ukochaną szwagierkę.

Reszta podróżników, cała świta lorda Dundasa i przyszli pracownicy placówki Malajów zgromadzili się na pokładzie, gdzie po chwili ukazał się kapitan i załoga. Nastąpiła prezentacja, którą Olivia dobrze pamiętała z poprzednich rejsów. Natychmiast stanęła jej przed oczami wysoka sylwetka w szafirowym surducie, a badawcze, chłodne oczy Hamiltona zagładnęły w głąb jej duszy. Przeszył ją dreszcz przecucia, więc mocniej ścisnęła dłoń Mary Ann. Wiał mocny wiatr od wschodu, szarpał sukniami dam i zrywał nakrycia z głów dżentelmenów.

Wytworny trójgraniasty kapelusz lorda Dundasa poszybował jak rybitwa i spadł u nóg Olivii. Jeden z marynarzy, wiedziony uprzejmością, podskoczył ratować zgubę i podniósł ciekawe oczy na młodą madame Raffles. Ich spojrzenia skrzyżowały się, marynarz przyłożył palec do czoła, wymamrotał „Maam” i natychmiast wycofał się, wyraźnie zmieszany. Nawet Tomasz dostrzegł tę dziwną scenę i nie omieszkał zapytać o nią Oliwię, gdy już byli sami w kabinie.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Olivia udała zdziwienie. – Nie znam tego człowieka i nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego w jego zachowaniu.

A jednak nie była to prawda. Marynarzem tym był dawny bosman z „Rose”, Aleksander Gray i Olivia pamiętała go doskonale.

Wprawdzie od tego czasu poczęła jak ognia unikać jakiegokolwiek zetknięcia nie tylko z nim, ale z całą załogą, nie było to jednak możliwe na stosunkowo niewielkiej przestrzeni statku. „Ganges” był, jak na owe czasy, wielkim statkiem, większym niż „Rose”, ze stuosobową załogą na pokładzie, sześcioma oficerami, podoficerami, chirurgiem i jego asystentem, skarbnikiem i sekretarzem kapitana, ale przecież granice określały burty, pokłady, pomieszczenia dla załogi i pasażerów. Niepodobieństwem było uniknąć czyjegoś towarzystwa przez całą podróż.

Pasażerowie poddani byli pewnego rodzaju reżimowi dnia, który wyznaczały pory posiłków w kapitańskiej mesie, o ósmej, dwunastej i dziewiątej wieczorem. Olivia kilka razy pod pretekstem słabego samopoczucia nie zjawiała się w jadalni, ale powstały z tego powodu takie plotki i domysły, że szybko zrezygnowała z udanej choroby.

Lady Dundas nie omieszkała z domyślnym uśmiechem pogratulować jej powiększenia rodziny, zaś kapitan Harrington uparł się raczyć ją co dzień świeżym kozim mlekiem, ponieważ „Ganges” szczyił się żywym inwentarzem. Olivia nienawidziła nawet zapachu tego mleka, ponieważ doskonale pamiętała miksturę doktora Blyte’a, więc przeczytawszy gdzieś, że Kleopatra kąpała się w oślim mleku, na tę właśnie czynność przeznaczała swą codzienną porcję.

Wszyscy twierdzili, że promieniuje urodą, tyle że każdy widział w tym inną przyczynę.

Gdybyż tylko to było zmartwieniem Olivii, cała podróż mogłaby wydawać się nawet przyjemna. Niestety, już kilka dni po opuszczeniu Anglii Olivia zauważyła dziwne, ukradkowe spojrzenia współtowarzyszy, złośliwe uśmiešky załogi i oskarżające, kamienne oblicze Małgorzaty Dundas. Zazwyczaj towarzystwo siadało przy stole na ustalonych wcześniej

miejskach. Miejsce Olivii wypadło pomiędzy Tomaszem a Mary Ann, zaś naprzeciw niej siedziała madame Claridge, żona chirurga, osoba wyjątkowo kostyczna i zgryźliwa.

Tego wieczora podano przypaloną i szalenie nieapetyczną chińską zupę z jaskółczych gniazd. Jej zapach i kolor przyprawiał najzdrowszego o mdłości, toteż kilka osób odsunęło z niechęcią talerze, między nimi także Olivia. Przy stole panował hałas, ponieważ świta lorda Dundasa liczyła dwadzieścia sześć osób, a prócz tego w tej chwili kapitan i kilkoro osób z jego załogi również zasiadało do wspólnego posiłku.

Madame Claridge na widok pełnego talerza Olivii zmrużyła krótkowzroczne oczy i powiedziała bardzo głośno, aby wszyscy słyszeli.

– Droga pani Raffles, czyżby zaatakowała panią ta sama niestrawność, która dręczyła panią w czasie rejsu „Rose”?

Olivia zbladła śmiertelnie i kropelki zimnego potu wystąpiły na jej czoło.

Nagle uczyniło się cicho, zapadło głuche milczenie i obecni zamarli z pełnymi łyżkami przy ustach.

– Co ma pani na myśli, madame Claridge? – rozległ się ostry głos Tomasza.

– Pani Raffles widocznie źle znosi podróże statkiem – odparła niezmiészana jędza i dodała jadowicie: – W pierwszym rejsie do Indii, wiele lat temu, pozostała pani „niedysponowana”, jakże długo trwała pani choroba? Ach, prawda, dziewięć miesięcy. Zapewne była to wyjątkowo ciężka niestrawność.

Olivia poczuła, że wpada w przepaść bez dna, ogarnęła ją lepka czerń i gdy obudziła się, leżała na pryczy w kajucie, a Tomasz okładał jej czoło zimnym ręcznikiem. Obok niej siedziała zapłakana Mary Ann i głaskała ją po ręce. Olivia uśmiechnęła się do szwagierki i dotknęła jej opuchniętej od płaczu twarzyczki.

– Droga, dobra Mary Ann. Pozostaw mnie, proszę, na chwilę samą z Tomaszem.

Mary Ann zaniósła się jeszcze głośniejszym szlochem i posłusznie wysunęła się z kajuty,

– Tomaszu – zaczęła Olivia i zabrakło jej odwagi. Do tej pory nigdy nie opowiedziała mężowi tego rozdziału życia, który tak zaważył na jej dalszych losach. Tomasz wiedział tylko, że po przyjeździe do Madrasu długo chorowała i wyszła za męża za lekarza, który ją wyleczył. Zresztą jej obecny mąż o nic więcej nie pytał i wydawało się, że takie objaśnienie całkowicie mu wystarcza.

– Tomaszu – powtórzyła i odetchnęła głęboko. W świetle pojedynczej świecy, w półmroku kabiny, Tomasz wyglądał tak młodo i niewinnie, że nagle sama sobie wydała się starą, zużytą kobietą, która jak pijawka wysysa z niego najlepsze soki żywotne i próbuje w ten sposób zachować uciekającą młodość.

– Olivio, przeżyłaś szok, nic nie mów. Pozostawmy tę rozmowę na później.

– Ale ja muszę ci powiedzieć...

– Nie, nie musisz. Tylko jeśli będziesz chciała.

– Ja chcę, chcę ci wyjaśnić okoliczności..

Tomasz pocałował ją w czoło i odgarnął mokre od potu kosmyki włosów.

– Najdroższa, wszystko to wydarzyło się przede mną, przed nami, i nie ma znaczenia.

Liczy się teraz.

– Nie, nie możemy tego tak pomiędzy nami zostawić. Nawet nie będziesz wiedział, jak mnie bronić.

– Przed złymi językami ludzkimi nie ma obrony. Zostaje tylko pogarda.

– Ach, Tomaszu, jesteś dla mnie tak dobry i wyrozumiały. Kiedyś wszystko ci powiem, ale tu, na tym statku czuję się tak obco i samotnie, że wołałabym poczekać z tym do

zamieszkania w naszym nowym domu na wyspie. Tam dowiesz się wszystkiego.

Ale Olivia wiedziała, że pogarda i lekceważenie plotek nie zamkną ludziom ust, i rzeczywiście, na każdym kroku raniono ją umyślnymi lub niechcącymi uwagami i spostrzeżeniami.

Lady Dundas pewnego razu, w czasie spaceru porannego po pokładzie zapytała:

– Zapewne pamięta pani, droga madame Raffles, kapitana Dempstera, dowódcę indiamana „Rose”, nieprawda?

A ponieważ Olivia milczała, lady Dundas ciągnęła dalej obojętnym głosem:

– Jeden z naszych podoficerów, jak okazuje się, służył pod rozkazami Dempstera i w Londynie pewien czas temu dowiedział się o jego śmierci.

Olivia zatrzymała się pod pretekstem otworzenia parasolki i oparła się o balustradę promenady. Krew uderzyła jej do głowy i wydawało się jej, że jakiś wielki głaz upadł na jej piersi i tamuje oddech.

– Dempster zginął w czasie huraganu na Morzu Chińskim, a wraz z nim większość załogi – ciągnęła dalej lady Małgorzata. – Bosman Gray tylko dzięki chorobie nie znalazł się wśród marynarzy tego złowrogiego rejsu i w ten sposób uratował swoje życie.

– Nie wiedziałam o tym – szepnęła Olivia i przeprosiwszy damę, pod jakimś pozorem wymknęła się z kleszczy jej towarzystwa.

W kabinie rzuciła się na pryczę i aby nie płakać głośno, wtuliła twarz w poduszkę. Gryzła ręce i prześcierała i wiała się w fizycznej męce żalu i rozpacz. Ogarnął ją bezbrzeżny smutek za tym, co minęło i nigdy nie miało powrócić. Ta niewidzialna więź z Hamiltonem, ich dziecko, ta wielka tajemnica poczęcia i narodzin, którą matka natura dała jej raz przeżyć i która już nigdy nie mogła się powtórzyć, oraz potworna wiadomość o śmierci jej pierwszego kochanka i niezapomnianego mężczyzny zupełnie wytrąciły ją z równowagi.

Na próżno Tomasz błagał i nawet groził, nie powiedziała mu nic. Pozostała pomiędzy nimi próżnia, niezakończona i niewyjaśniona sprawa, której Tomasz tylko się domyślał i która bolała go żywym ogniem. A jednak dla dobra żony przemógł się i czekał. Wierzył, że kiedyś sama do tego powróci.

Port w Madrasie przyniósł Olivii nową falę wspomnień, więc ucieszyła się na wiadomość, że pasażerowie nie będą mieli czasu zejść na ląd i odwiedzić miasta.

Potężny indiaman „Warley” już od kilku dni na nich oczekiwał, z dała widoczny w zatoce, dzięki kilku działom i uzbrojonemu górnemu pokładowi. Był to właściwie okręt wojenny, który w ubiegłym roku zasłużył się w bitwie z Francuzami pod Pulau Aur i teraz płynął do Chin, zatrzymując się po drodze w Pinangu.

W połowie września Olivia po raz pierwszy ujrzała brzegi wyspy, na której miała spędzić następne pięć lat życia.

\*

Widok z Georgetown na drugą stronę cieśniny był wspaniały. Wybrzeże Kedah, stanowiące część półwyspu Malajskiego, widniało stąd jak na dłoni. Otulone lekką szarą mgiełką tropikalnego, wilgotnego powietrza jawiły się na horyzoncie wierzchołki górskiego pasma i niżej wstęga złocistych piasków plaży i lasu palm i zieleni.

Miasto dopiero powstawało, ale już przecinało je kilka głównych dróg i ulic, budowanych przez pónagich, wychudłych jak szkielety więźniów, sprowadzonych na tę okoliczność z Bengalów.

Wzdłuż głównych ulic Beach i Light ciągnęły się brytyjskie domostwa i wille, otoczone tropikalną roślinnością i wysokimi żywopłotami. Oliwię zdumiewał porządek i czystość tego położonego na końcu świata osiedla, czysta linia bungalów z czerwonej cegły i egzotyka malajskiego stylu domów na palach.

Miasta pilnował Fort Cornwallis, jednakże w tak nędznym stanie konstrukcji, że zdobycie go nie wymagałoby zbyt wielu ofiar.

Tym niemniej miasteczko wydało się Olivii urocze, więc pełna zapалу przekroczyła progi wynajętego przez plenipotentą białego, niskiego i długiego bungalowu, stojącego na niewysokim wzgórzu, ze znakomitym widokiem na Georgetown. Jakież było jej przerażenie, gdy jeszcze tego samego wieczoru znalazła gniazdo jadowitych żmij w nieczynnym kominku salonu, zaś w świeżo zainstalowanym łożu sypialni, tłustego i bardzo złego szczura.

Służący Malaj walczył z tym nieproszonym gościem wielką, bambusową pałką i nie wiadomo, jaki byłoby jego los, gdyby nie szybka reakcja Tomasza. Raffles pobiegł do hallu, gdzie leżały zwalone przez tragarzy skrzynie i walizy, i przyniósł pistolet, który przyłożył do łba obrzydliwego gryzonia. Wprawdzie szczur padł jak piorunem rażony, ale nie był to koniec kłopotów z tymi wstrętnymi i niebezpiecznymi zwierzętami. Właściwie cały pobyt w Pinangu minął Olivii na wydawaniu bitew szczurom, myszom i innym przerażającym zwierzętom. Była ich istna plaga w mieście i okolicy, nie mówiąc o węzach, mrówkach i skorpionach.

Olivia nauczyła się trzepać trzewiki i suknie oraz zaglądać pod dywany i kobierce, zaścielające posadzki willi, szukając tam skorpionów lub jadowitych, olbrzymich pajaków.

Inną niespodziankę stanowili biali mieszkańcy miasta. Przyzwyczajona do nieustannego przepływu gości przez dom Rafflesów w Londynie ze zdziwieniem stwierdziła, że w Georgetown mogłaby pomieścić wszystkich Europejczyków w swoim, wcale nie wielkim ogrodzie. Była ich garstka, nie więcej niż sto osób. Większość stanowili Brytyjczycy, ale było też kilku Portugalczyków, z którymi nie utrzymywała żadnych kontaktów, Holendrzy i nawet Niemcy.

Olivia urządziła z prostotą i elegancją niewielki *cottage*. Zakupione w Londynie meble, bielizna stołowa, szkło i ornamenty harmonizowały znakomicie z miejskim folklorem i sztuką Malajów. Kilka bambusowych krzeseł i komód, rzeźbione naftowe lampy, kolorowe batik na ścianach i tajemnicze kamienne rzeźby nadawały temu miejscu egzotycznego, magicznego znaczenia.

Olivia skomponowała wnętrze na styl czterobarwnej harmonii tropikalnego malowidła, z przeważającymi kolorami brązu, miedzi, bieli i zieleni. Nawet kwiaty w kryształowych wazonach były przeważnie białymi orchideami lub oszałamiająco pachnącymi gardeniami z jej ogrodu.

Było to wnętrze urocze i nieskomplikowane. Wprawiało w prawdziwy zachwyt nawet najwybredniejszych znawców sztuki.

Zaraz po urządzeniu się i odpoczynku Olivia postanowiła wydać przyjęcie. Tomasz najął kilkoro lokalnej służby, łącznie z majordomo, stangretem i kucharzem. Zresztą nie miał zbyt wiele czasu w tych pierwszych tygodniach dla żony i pozostawił jej wolną rękę w zarządzaniu domostwem.

Wyjeżdżał wczesnym rankiem faetonem, zaprzężonym w pięknego bułanka i powracał tuż przed zapadnięciem zmroku, aby zjeść obiad i znowu udać się do nigdy niekończących się obowiązków oficjała nowego rządu.

Olivia była całymi dniami sama, zdana na towarzystwo służby lub kilku zaledwie dam z sąsiedztwa, ponieważ ostre języki lady Margaret i madame Claridge nie próżnowały i przynajmniej w początkowym okresie jej pobytu na Pinang przyniosły jej wiele złego.

Olivia przygotowała się do pierwszej eleganckiej kolacji z całą powagą nowej pani domu i dopilnowała wszelkich szczegółów organizacji.

Wysłano zaproszenia do pięćdziesięciu osobistości, wśród których, prócz gubernatora i jego małżonki, znalazło się kilkunastu urzędników placówki, oficerowie armii i marynarki brytyjskiej, pastor, lokalny doktor z małżonką i kilku plantatorów.

Olivia urządziła przyjęcie w ogrodzie, po zapadnięciu zmierzchu. W wielkim białym namiocie ustawiono stoły, przybrane kwiatami, egzotycznymi liśćmi i barwnymi owocami.

Dwu kucharzy pilnowało pieczystego, barana na rożnie i różnych mięs, zwanych *satay*, pieczonych na bambusowych patyczkach. W wielkich misach z tekowego drzewa podawano ryż, polany sosem z kurkumy i szafranu.

Towarzystwo rozsiadło się na szezlongach, taboretach i matach, rozlokowanych malowniczo w całym ogrodzie. Ogród stanowił nieustanne zmartwienie Olivii. Była to właściwie nieprzebyta dżungla, z trawą porastającą cały teren i przewyższająca wysokością człowieka.

Olivia nakazała ją ścinać i wyrównać teren pod szlachetną murawę, ale jeszcze stałe czekała na nasiona z Anglii. Na razie musiała się zadowolić gęstym, lecz niezwykle ostrym ścierniskiem, o które panie kaleczyły stopy i darły rąbki sukni. Za to wokół werandy i namiotu ustawiła niezliczone donice z szybko rosnącym bluszczem i drzewkami cytrusowymi.

Zresztą w samym ogrodzie rosły, wprawdzie zdziczałe, ale wysokie drzewa pomarańczy, bananów, mango i avocado. Olivia nakazała służbie zawiesić na nich lampiony o mlecznej barwie, migoczące prześlicznie w wieczornej, ciepłej bryzie od morza.

Kolacja wypadła czarująco i właśnie podawano kawę i herbatę, zaś wynajęta z fortu orkiestra wojskowa stroiła instrumenty przed rozpoczęciem tańców, gdy do zajętej rozmową Olivii podszedł majordomo i łamanym językiem angielskim powiedział:

– Sahiba, nowy gość oczekuje na panią w salonie.

Olivia poszukała wzrokiem Tomasza, ale nie widząc go nigdzie w pobliżu, pozostawiła gości i szybkim krokiem udała się za służącym w głąb domu.

Salon tonął w półmroku, ponieważ oświetlała go tylko jedna oliwna lampa, paląca się przed figurką zielonego Buddy, pięknie wyrzeźbioną w kamieniu jaspisu. Oszalamiający zapach gardenii, sypiącej welwetowe płatki na owalnym złożonym stoliku rozchodził się w całym pokoju. Na środku salonu stał mężczyzna w ciemnym zakiecie i białej kamizelce. Jego szyję przewiązywał amarantowy, dziwnie komiczny w tej scenerii krawat.

Nieznajomy był wysoki i barczysty, widać świetnie wysportowany, o smagłej, pociągłej twarzy i wydatnym, długim nosie. Niewielkie, ale inteligentne i błyszczące żywą ciekawością oczy, spoczęły dość bezczelnie na twarzy Olivii, a potem omiotły jej postać długim spojrzeniem. Mimo woli Olivia pokryła się szkarłatnym rumieńcem zażenowania i dygnęła jak uczennica przed nauczycielem.

– Witam pana – powiedziała zdyszana i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Madame. – Nowo przybyły pochylił głowę o krótkich, gęstych włosach. – Nazywam się John Leyden i miałem przyjemność poznać na mieście pani małżonka.

– Ach, miło mi – powiedziała zdawkowo Olivia i rozglądnęła się nieco bezradnie. – Mąż właśnie zajęty, ale jeśli pozwoli pan dalej...

– Z przyjemnością – przerwał jej niegrzecznie Leyden i ująwszy ją poufale pod łokieć, pewnym krokiem ruszył w stronę otwartej werandy. Ucisk jego ramienia był mocny, ciepły i wzbudzający zaufanie. Kiedy wypuścił jej rękę, Olivia poczuła dziwny smutek. Bliskość jego ciała sprawiała jej niezwykłą, erotyczną wprost przyjemność.

Była w nim opiekuńczość i tkliwość, która przebijała nawet przez powłokę konwenansu i barier towarzyskich.

– Leyden! – usłyszała głos Tomasza i Raffles podbiegł do nich z wyciągniętymi ramionami. – Przyjacielu, byłem ciekaw, czy skorzystasz jednak z zaproszenia! Bardzo jestem rad, bardzo!

Tomasz witał gościa jak starego znajomego, choć Olivia była pewna, że nie może go znać zbyt długo.

Jakoż okazało się, że spotkali się kilka dni wcześniej w pałacu gubernatora, gdzie Leyden znalazł się, aby okazać swe listy polecające z Indii i zaznajomić się z lordem Dundasem.

– John jest dopiero od tygodnia w Pinangu – tłumaczył żonie Tomasz. – Przez ostatnie lata przebywał w Madrasie jako chirurg, więc być może znajdziecie wspólnych znajomych.

– Doktorze, niechże pan dołączy do naszego towarzystwa! – Gubernator okazywał niezwykłą łaskawość nowo przybyłemu, poznając go z małżonką i kilkoma oficerami i urzędnikami. – Proszę opowiadać, co nowego w Dekanie, mamy tu niewystarczające wiadomości, a do tego spóźnione o kilka tygodni.

Leyden poszukał wzrokiem Olivii i skłonił się z przepaszającym wyrazem twarzy.

– Madame, wybacz, siła wyższa. – I rozłożył bezradnie ręce. Olivia uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Rozumiem – odparła i skinęła dłonią. – Może później.

Wzmianka o pobycie Leydena w Madrasie wyprowadziła ją na chwilę z równowagi. Być może słyszał o niej i o Dempsterze w tamtym plotkującym towarzystwie, być może opowiadano o niej jak o jawnogrzeszniczy i podawano za przykład skandalicznego prowadzenia się i moralnego upadku? Bóg jeden wiedział, czym żyła tamtejsza socjeta i jakich sensacji poszukiwała, aby pożywić wiecznie nienasycone apetyty znudzonych bawidamków i malowanych lalek.

Toteż kiedy nieco później Tomasz porwał ją do tańca i pierwszy zaczął rozmowę na temat nowego przyjaciela, słuchała go raczej niechętnie i odpowiadała ostrożnie.

– To zadziwiający człowiek, moja duszko, i chciałbym, abyś okazała mu swą przyjaźń. Porozumiewa się w siedemnastu językach, włączając arabski, perski, malajski i sanskryt. Zanim znalazł się w Madrasie, uczestniczył w pomiarach stanu Mysore, pracował też jako lekarz i naturalista. Z pochodzenia jest Szkotem i właściwie pochodzi z nizin społecznych. Jego ojciec był prostym rolnikiem, ale poznał się na wybitnej inteligencji syna i wykształcił go w najlepszych szkołach. Jego lingwistyczne zdolności przerastają moje wyobrażenie. Przy tym to poeta, prawdziwie uzdolniony literat i pisarz! Nadzwyczajny człowiek, cieszę się, że pozostanie tu na kilka miesięcy.

– Co sprowadziło go do mało znaczącego Pinangu? – odważyła się zapytać Olivia, ponieważ obawiała się, że zbyt duża ciekawość może skierować rozmowę na jej dawny pobyt w Madrasie.

– John jest chory na malarię, niedawno przeszedł też żółtą febrę. Potrzebuje spokoju

i opieki. Nie wiem, czy powinien mieszkać w portowej gospodzie, nie jest to dobre miejsce dla ozdrowieńca.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu, nawet nie zauważywszy, że uczyniła się wokół nich pustka, a towarzystwo, stojąc kołem, klaskaniem i przytupywaniem dawało upust zachwytowi. Jakoż oboje byli świetnymi tancerzami, pełnymi gracji i uczucia. Tomasz miał znakomity słuch i poczucie rytmu, Olivia zaś posiadała naturalny dar poruszania się, lekkość i wrodzony wdzięk tancerki.

Kiedy tylko taniec się skończył, do małżonków podszedł Leyden i skłonił się z komiczną pokorą.

– Apollon i Terpsychora nie mogliby piękniej wystąpić! Brawo i jeszcze raz brawo!

– Ku mojemu szczęściu, prócz tańca zgadzamy się z żoną również w każdej innej materii – odparł ze śmiechem Tomasz i podprowadził Olivię do kanapy, wyłożonej jedwabnymi poduszkami.

Leyden usłużnie podał jej kieliszek mrożonego kruszonu i uplasowawszy się po jej drugiej stronie, powiedział z błyskiem w oku.

– O ile nie czuje się pani zbyt zmęczona, chciałbym zatańczyć z panią pewien szkocki taniec, wywodzący się jeszcze ze starych, celtyckich zwyczajów.

– Ależ ja nie znam szkockich tańców! – broniła się Olivia, ale serce biło jej mocno i radośnie i płonęła cała na myśl, że znajdzie się w ramionach tego olbrzyma.

– Taka przyczyna jeszcze nigdy nie powstrzymała prawdziwego Szkota przed płasami z dorodną lassie!

Leyden uderzył się dłonią po kolanie i zawołał do orkiestry:

– „Cztery Marysie”! Na chwałę Roxburga!

Porwał z kanapy oszołomioną Olivię i ująwszy ją za ręce, zakręcił nią wokoło tak szybko, że szerokie spódnice jej sukni zatrzepotały jak skrzydła białego gołębia. Natychmiast utworzył się wokół nich krąg widzów, chętnych i spragnionych dobrej zabawy.

Leyden zaczął od pierwszego taktu ostro i tak szybko, że Olivii kręciło się w głowie i mieniło w oczach, czuła galopujące w piersiach serce i brak jej było tchu, ale ogarnęło ją takie poczucie szczęścia, beztroski i szalonej radości, że śmiała się głośno i nie spuszczała wzroku z szalonego partnera. Leyden rzeczywiście szalał, przytupywał, kilka razy pozostawił ją na uboczu, a sam wykonał serię skomplikowanych kroków, piruetów i tupnięć, za które zebrał burzę oklasków i okrzyki zachwytu.

Wiódł ją to blisko przy sobie, prawie wtuloną w jego tętniącą jak miechy kowalskie pierś, to na odległość ramienia, z rozważnie obliczonym rozmachem. Potem nagle porywał ją i okręcał naokoło swej znieruchomiałej postaci, aby za chwilę zamieść rąbkiem jej sukni darń ogrodu, wznieść kurzawę i tupnięciem stopy wstrzymać ją i siebie w tym rozhukanym tańcu.

Nie spuszczał z niej roziskrzonego, płomiennego wzroku i więził ją tym spojrzeniem, hipnotyzował. Poddawała się całkowicie jego woli, ruchom jego ciała i szatańskiemu rytmowi muzyki. Czekala z drzeniem na następne zbliżenie, na dotknięcie jego bioder, piersi, na gorący uścisk jego wielkiej, pewnej dłoni i sama płonęła żarem tak silnym, że prawie dotykającym.

Było coś we wzroku obojga, co zwróciło uwagę patrzących, co spowodowało lekkie uśmiešky, trącanie łokciami i niedosłyszalne szepty.

Jeden Tomasz nie widział niczego zdrożnego, przytupywał do taktu, klaskał w dłonie i wołał pełnym głosem:

– Leyden, zabijesz mi żonę! Miej wzgląd na mnie, jeśli nie na nią! – Ale widać było, że żartuje i że cieszy go radość Olivii.

Nieczęsto widywał ją tak rozbawioną i roześmianą. W końcu i inni dołączyli do tego

huraganowego tańca i płasali tak zaciekle, że pogasili lampiony w ogrodzie i zdeptali rabaty z młodymi różami pani domu. Na drugi dzień Olivia chodziła ze łzami w oczach wśród tego zniszczenia i marnotrawstwa, ale teraz bawiła się w najlepsze i prócz partnera nie widziała nikogo innego. Nawet męża.



\*

Leyden po kilku dniach przeprowadził się, na usilne prośby Tomasza, do ich domu. Pomimo popisowego tańca w czasie ogrodowego przyjęcia nie był zdrowy, gnębiły go ataki gorączki i napady dreszczy tak silne, że drżał na całym ciele i szcząkał zębami, oblewany równocześnie falami lodowatego, to znowu gorącego potu.

Nawroty malarii miały go gnębić przez resztę życia, a tymczasem Olivia pilnowała jego diety, pór podawania leków i spełniała przy nim posługi prawdziwej siostry miłosierdzia.

Spędzali wiele czasu razem, Leyden na razie przykuty do łoża, zaś Olivia tryskająca energią i dobrą wolą.

Leyden opowiadał jej o swoim dzieciństwie w pochmurnym hrabstwie Denholm, nad brzegami rwącej rzeki, wśród dzikich wzgórz Rubelslaw. Nieposkromiona przyroda Szkocji, jej mgliste i deszczowe krajobrazy na zawsze wywarły wyraźne piętno na przyszłym poecie.

– Moja rodzina była biedna – mówił Leyden i jego oczy płonęły gorączką i wspomnieniami trudnego życia. – Rodzeństwo i ja mieliśmy na spółkę tylko jedną parę butów. Używaliśmy jej tylko w niezwykle ważnych przedsięwzięciach. Bezsprzecznie pójście do szkoły w Denholm należało do jednego z tych magicznych wydarzeń.

Leyden szybko zwrócił uwagę nauczycieli swą inteligencją i niezwykłą zaradnością w pokonywaniu przeszkód języków obcych. Greka i łacina stały się jego codziennym chlebem, ponieważ prócz studiowania filologii, filozofii i językoznawstwa udzielał korepetycji słabszym uczniom. Ten pęd do studiowania lingwistyki pchnął go w pewnego rodzaju tarapaty, ponieważ odkrył na starej plebanii kościoła w Denholm wspaniałą bibliotekę i wiele zakurzonych foliałów Owidiusza, Wergila i Horacjusza.

Zakradał się wieczorami pod rozbite piwniczne okno i wślizgiwał do wnętrza, spędzając godziny, a czasem całe noce na czytaniu i wertowaniu klasycznych pisarzy. Pewnego razu stary stróż nocny wziął go za złodzieja i obił kijem. John tygodniami nosił na grzbiecie sine pręgi i chwalił się nimi przed przyjaciółmi.

Bez szczególnych trudności dostał się na uniwersytet w Edynburgu, gdzie poznał najwspanialszych ludzi epoki.

– Wszystkich nas wiązała płomienna miłość do Szkocji, literatury i przygody. Zawsze pociągał mnie Orient, ten zmysłowy, tajemniczy i nieco leniwy świat baśni, prawdziwy, a jednak nierealny, jak senne marzenie, które wydaje się rzeczywistością.

Leyden zawarł znajomości i przyjaźnie, które do tej pory kultywował listami, poematami i opowieściami. Znał Hornera, Campbella, Hebera, Murraya i Waltera Scotta. Przez pewien czas studiował w murach uczelni Saint Andrew, gdzie zafascynowały go dzieje i historia narodów północnej Afryki.

– Zaczęłem pisać eseje, krótkie próbki literackie, poezje. W poezji znalazłem najłatwiejszą formę wypowiedzi moich wątpliwości, młodzieńczych żalów i egzaltacji. Rozterki i bóle duszy miały zapewne jakiś wpływ na obranie przeze mnie zawodu lekarza. Uzdrawianie chorego ciała to tylko krok od uzdrowienia duszy. Poezja i medycyna wydają mi się podobne. Czy nie uważa pani, że mam rację?

Olivia słuchała, zafascynowana jego głębokim barytonem, jego zmarszczoną brwią i błyskiem w zielonkawych, głęboko wpadniętych oczach. Leyden z prawdziwą przyjemnością patrzył na tę delikatną, skupioną kobietę, która z takim samozaparciem pielęgnowała go w chorobie i wydawała się olśniona jego osobą.

Jak każdy poeta, cierpiał na pewnego rodzaju samouwielbienie i każdy przejaw zachwytu nad jego osobą wprawiał go w egzaltację. Przejawiała się ona najczęściej przyplływem nagłej poetyckiej weny, nic dziwnego więc, że jego literacki dorobek powiększył się znacznie w czasie pobytu na Pinangu. Olivia stała mu się bardzo szybko niezbędną do tworzenia cudownie zabawnych, lekkich i eleganckich limeryków, skierowanych przede wszystkim właśnie do niej lub do sytuacji, w której oboje znaleźli tyle pogody ducha i braterskiego uczucia.

Leyden nazywał Olivię poufale madame R., zaś siebie pan L. Pomimo iż przebywali ze sobą prawie nieustannie, a przynajmniej tak było w pierwszych tygodniach jego rekonwalescencji, Leyden pisywał do niej krótkie, śmieszne listy i pozostawiał je w dziwacznych miejscach willi. Olivia znajdowała je w pudle na kapelusze, w kieszeni fartuszka, pod jaspisową figurką Buddy i pomiędzy stronicami ulubionej książki.

„Pan L. przesyła madame R. tomik swoich wierszy i błaga o pobłażliwość. Równocześnie wnosi uprzejme zapytanie, czy madame R. zaszczyci go wspólną kolacją dzisiejszego wieczoru, jak przyrzekła nie dalej niż wczoraj. Pan L. będzie oczekiwał na wielmożną madame pod krzewem rododendronu, tak nieopatrznie zasadzonego w chińskiej donicy na zachodnim tarasie, iż powyższy nieszczęśnik nie może dojrzeć spoza niej nie tylko perspektywy przedpokoju, ale nawet czubka swoich własnych butów. Co powiedziawszy, pan L. ściele się do stóp madame R. jako jej podnózek i perski kobierzec”.

Olivia kwitła jak najpiękniejszy kwiat i wszyscy zauważyli tę niezwykłą zmianę. Wkrótce wyspa poczęła trząść się od plotek i domysłów, tym bardziej że wszyscy pamiętali jeszcze opowieści bosmana Greya.

Rzecz dziwna, choć zapewne bardziej pospolita, niż można by przypuszczać, o tych domysłach i przyciszonych rozmowach Tomasz nic nie wiedział i nie domyślał się niczego. Wręcz przeciwnie, jego przyjaźń z Leydenem jeszcze się umocniła i po powrocie z pałacu gubernatora Raffles spędzał z poetą każdą wolną chwilę.

Leyden opowiadał przyjacielowi o swym pobycie w Indiach, w Mysore i Madrasie. Miał niesłychany dar gawędziarski, opowiadał z nieprzeciętną swadą i humorem, znał tłuste anegdoty i żarty o wielu osobistościach z „towarzystwa”, nie pomijając lorda Minto, lady Charlotte Campbell i diuszesy Gordon, tych kolosów śmietanki arystokracji.

– Wyobraź sobie, Tomaszu, madame Constable, damę w wieku starożytnej Troi, w piórach i czarnych koronkach, pałaszującą całą pularde w ostrym sosie i wypijającą dwie butelki wina za jednym posiedzeniem! Oczywiście następnego dnia szanowna dama pozostawała niedysponowana w domowych pieleszach, zaś jej mąż biał nad delikatnym żołądkiem połowicy.

Olivia urządziła dla ich trojga intymne pikniki na szczycie Wzgórza Truskawkowego, najwyższego pagórka okolicy, nazwanego tak przez Francisa Lighta. Kilkanaście lat temu znajdowały się tam rzędy zasadzonych ręką pierwszego gubernatora truskawek, jego ulubionych owoców, bez których nie mógł obejść się nawet w tropiku. Jednakże po jego śmierci truskawki zdziczały i po pewnym czasie znikły. Pozostała tylko nazwa i wspaniały widok na wybrzeże wyspy i archipelag pomniejszych wysep w zatoce. Było to miejsce zaciszne, miejsce spacerowe, które jedna z dam nazwała świątynią zadumy.

Pikniki udawały się tu znakomicie, ze względu na łatwość dojazdu i niewielką odległość od miasta. Leyden, stojąc w cieniu kwitnących rododendronów, deklamował swoje najnowsze poematy, które wkrótce miały zostać wydrukowane w miejscowej gazecie.

\*

„Lasy i góry Malajów dźwięczą dziwnymi,  
lecz żalonymi głosy,  
Jak ciemne, ulotne dusze  
śpiewają pogrzebową pieśń minionego roku.  
Lo! Wydaje się, że ich odległe pienia  
i niewyraźne kształty,  
krążą wokół nas i szepczą:  
W taki to sposób kradniecie czas,  
o słabi śmiertelnicy,  
dopóki nie wypełnią się do końca wasze dni!”

\*

Leyden w takich chwilach sprawiał wrażenie uduchowionego wieszca, zaś oczy Olivii szklily się łzami, a serce przepelniała rzewna tęsknota i niewypowiedziany smutek. Olivia skończyła już trzydzieści lat i czuła, że jej pierwsza młodość, ta dziewczęca, pełna porywów i uniesień, pozostała na zawsze w przeszłości. Tomasz był od niej młodszy o kilka lat i chwilami wydawało się jej, że odczuwa tę różnicę. Kiedy patrzyła za siebie, na swoje minione życie, nie mogła znaleźć w nim sensu, celu i treści.

Wprawdzie zwiedziła niezwykle ciekawe miejsca globu i żyła w interesujących czasach i cywilizacjach, a jednak brakowało jej motywacji, wolności ducha i pierwiastka ryzyka, które pomogłyby uwolnić się od konwenansu, nudy i szablonu sztywnego otoczenia.

Dlatego Leyden był dla niej fantastycznym przewodnikiem po nieznanym terenie sztuki, emocji i nieokiełznanym pasji.

Nie rozumiejąc jeszcze potęgi tego uczucia, pełna nieśmiałych nadziei, małych pożądań i skrytych pragnień, Ignęła do niego jak pszczoła do słodkiego miodu i coraz szybciej zmierzała ku niebezpiecznemu płomieniowi wszystko palącej namiętności.

I całe otoczenie zdawało się sprzyjać tym dwojgu, tak różnym, a równocześnie tak do siebie podobnym.

Wraz z przyjazdem nowego gubernatora życie towarzyskie w Pinangu wydawało się ożywić i nabrać rozpędu. Fetowano urodziny króla, celebrowano przyjazdy i odjazdy oficjalów Kompanii, wydawano bale i przyjęcia z okazji przeprowadzki do nowego domu, zasadzenia szpaleru drzew na ulicy miasta, jednym słowem, każda okazja wydawała się dobra i potrzebna dla towarzyskiego zebrania.

Jeden z bliskich znajomych państwa Raffles, William Robinson, buchalter i skarbnik gubernatora, wydał prawdziwie ekscentryczne przyjęcie w swojej nowej willi, o którym pisano nawet w lokalnej gazecie.

Dom położony był nad morzem, w pobliżu romantycznej plaży i znakomicie przystosowany do tego rodzaju towarzyskich eskapad. Już od wczesnych godzin popołudniowych kolasy, bryczki i powozy zajeżdżały na półokrągły podjazd, gdzie czekali przybrani w brokatowe surduty i turbany lokaje i sztywny majordomo. Gości prowadzono do ogrodów z tyłu domu, wychodzących na złocisty piasek plaży i cienisty las palm kokosowych.

Na trawniku rozbito kilka namiotów, w których nie tylko można było ochłodzić się w cieniu zielonej, jedwabnej markizy, ale prócz tego tańczyć, jeść i pić najwybredniejsze trunki z Francji i Hiszpanii. Olivia była gwiazdą tego wieczoru. Wyglądała olśniewająco w białej, tiulowej szacie, spiętej na wzór hinduskiego sari olbrzymią perłową klamrą na jednym ramieniu, na pół zakryta ogromnym wachlarzem ze strusich piór. Włosy upięła w wysoki węzeł w tyle głowy i tylko kilka loków wyrykało się spod złocistej opaski i delikatnie muskało jej długą szyję i pokryte brzoskwiniowym rumieńcem policzki.

Tańce rozpoczęły się o dziewiątej wieczór, kiedy już spełniono wystarczająco wiele toastów za króla, królową, gubernatora i gospodarza wieczoru, zaś szanowni panowie Clubley i Phipps, przybocznicy asystenci w kancelarii skarbnika, wygłosili panegiryczne mowy na jego cześć i nieśmiertelną chwałę.

Pan Clubley, niezwykle otyły i wiecznie spocony z przejęcia i upału stary kawaler, podskoczył do madame Raffles i powiódł ją w pierwszy taniec wieczoru, do dźwięków melodii „Spójrz, jak ona paradyje”.

Niewątpliwie oczy wszystkich zwrócone były na piękną małżonkę asystenta gubernatora, która w towarzystwie niezgrabnego i karykaturalnego Clubley wyglądała jak Wenus u boku Hefajstosa.

Później Olivia płaszała z gubernatorem i Robinsonem, z mężem i panem Phippsem, który okazał się tak złym tancerzem, że podeptał jej atlasowe pantofelki i omal sam nie upadł przy jakiejś bardziej skomplikowanej figurze.

Zmęczona Olivia usiadła na chwilę w cieniu kwitnących różowo oleandrów i tu znalazł ją Leyden, który od kilku godzin szukał momentu, aby mieć ją tylko dla siebie. Z pobliskiego namiotu, na którym znajdowało się podium, pokryte perskimi kobiercami, dochodził ostry śpiew lady Dundas, popisującej się wątpliwej urody koloraturą i repertuarem najnowszych arii operowych.

– Kapitan Harris i jego orkiestra nie mają zbyt łatwego zadania – powiedział Leyden i obrzucił Olivię zachwyconym spojrzeniem. – Lady Dundas posiada wprawdzie głos silny, jak legendarne syreny, nawołujące ku sobie zbłąkanych marynarzy, ale równocześnie jak i one, niebezpieczny dla życia tych, którzy nieszczęśliwie znajdują się zbyt blisko jego źródła.

Olivia parsknęła śmiechem i położyła dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Ach, John, ty zawsze doprowadzasz mnie do łez swymi żartami

– Jeżeli są to łzy radości, to sam chętnie rozpląkałbym się ze szczęścia. Twoja radość jest moją radością.

– Tak, w twoim towarzystwie jestem zawsze szczęśliwa. Z lękiem myślę o twym wyjeździe.

– Muszę wracać do Indii, ponieważ mój zdrowotny urlop dobiega końca. Być może pewien czas zatrzymam się w Kalkucie, zresztą nie wiem. W twoim towarzystwie, Olivio, zapominam o obowiązkach i reszcie świata. Liczy się tylko chwila, gdy cię zobaczę, gdy dotknę twojej dłoni i gdy wycisnę na niej pocałunek.

Zapadło pomiędzy nimi milczenie. Oboje zdali sobie sprawę, że właśnie zaszła duża zmiana w ich przyjaźni, że Leyden tym nieopatrzonym stwierdzeniem rozbił pewną zaporę, która do tej pory powstrzymywała ich namiętność. Olivia nie mogła wykrztusić słowa. Czowała suchość w gardle i płomień na twarzy. Bała się popatrzeć na poetę, ponieważ jej oczy zdradziłyby to, czego nie mogła nigdy sama wypowiedzieć.

Nagle uświadomiła sobie, że kocha tego człowieka, jak nigdy nie kochała nikogo, ani Hamiltona, ani Jamesa, ani nawet Tomasza. I to odkrycie przeraziło ją śmiertelnie. Uczyniła nawet ruch, jakby chciała zerwać się i uciec, ale poeta pochwycił jej dłoń w swe gorące ręce i prawie siłą przyciągnął ku sobie.

Ich twarze znalazły się tak blisko, że Olivia po raz pierwszy mogła popatrzeć mu prosto w oczy. Jego źrenice były ogromne jak jeziora bez dna, prawie czarne i przepastne. Zadrzała wspaniałym, rozkosznym dreszczem przeczucia i na chwilę wsparła się piersiami o jego pierś.

– Olivio! – szepnął Leyden i zacisnął mocno palce na jej dłoniach. – Olivio, siostrze, matko, przyjaciółko, kocham cię, kocham na resztę moich dni, na wieczność.

Westchnienie, jak szloch, wyrwało się z piersi kobiety, a jej usta rozchyliły się gotowe do pocałunku. Nie zbliżyli się jednak do siebie, tylko jeszcze chwilę pożerali się zachłannym wzrokiem i zapamiętywali każdy rys swych twarzy. Niespodziewanie tuż nad nimi rozległ się głos Tomasza, więc odskoczyli pełni winy i poczucia klęski, nagle przestraszeni własną śmiałością.

– Ach, więc to tutaj zaszła się moja urocza para! – Tomasz wydawał się niczego nie zauważać i śmiał się serdecznie, zaglądając im w oczy i łagodnie boksując Leydena w ramię. – Wszyscy pytają o moją żonę, która dzisiejszego wieczoru jest tu niewątpliwą królową. Zaraz

odbędzie się popis tańca à la tamburina, w wykonaniu kapitana Harrisa. Nie powinniście tego opuścić, przygrywać mu bowiem będzie na rogu sam sir Dundas! Chodź, duszko, podaj mi ramię, wszyscy na was czekają!

Olivia resztę wieczoru spędziła w zupełnym tumultie uczuć i chaosie marzeń. Była zakochana z wzajemnością i to uczucie dawało jej niesłychaną radość życia i wyzwolenia. Z daleka tylko porozumiewali się wzrokiem, nawet unikali spotkania w tłumie, jakby bali się, że cudowny czar pryśnie i wszystko stanie się zwyczajne.

W powrotnej drodze do domu siostra Tomasza, Mary Ann, nie mówiła o nikim innym, jak tylko o nowo poznanym na przyjęciu oficjaliście, zarządzającym magazynami i składami portowymi, młodym i ambitnym Quintonie Thompsonie, który wydawał się szybko piąć po stopniach kariery i odznaczał się parą długich, zgrabnych nóg i chmurą kruczych, długich włosów, spiętych w modny, ciężki harcap. Mary Ann stała się od początku pobytu na Pinang najlepszą przyjaciółką i powiernicą Olivii. Nie rozstawały się ani na chwilę, mając na uwadze wygodę i komfort Tomasza, obie ciekawe nieznanego, egzotycznego świata i cieszące się, obfitym w wydarzenia, życiem towarzyskim wyspy.

Dla nikogo nie był tajemnicą prawdziwy powód pobytu Mary Ann w Pinangu. Jak wiele młodych dam tamtych czasów, przyjechała do tropiku w poszukiwaniu męża, ponieważ kobiet stale nie było tu wiele, zaś młodzi kawalerowie łaknęli towarzystwa dam i z łatwością dawali się prowadzić przed ołtarz. Mary Ann była najładniejsza ze wszystkich siostr Raffles i przy tym posiadała niezwykle słodką osobowość i ujmujący sposób bycia.

Stała się prawdziwą ozdobą domostwa państwa Raffles, więc nic dziwnego, że Tomasz początkowo nie chciał nawet słuchać pochwalnych hymnów na cześć młodego urzędnika Kompanii.

Zawiedziona podejściem brata dziewczyna postanowiła prosić o pomoc i wstawiennictwo u Tomasza szwagierkę, która zawsze była dla niej siostrą i przyjaciółką. Dwie młode kobiety spędzały wiele czasu razem, dyskutując, jak mogłyby przedstawić Tomaszowi ewentualne zmiany w ich dotychczasowym życiu.

Mary Ann zakochała się w Quintonie i po cichu zaczęła nawet planować zaręczyny. Była pewna, że Quinton poprosi Tomasza o jej rękę, kiedy tylko powróci z krótkiej podróży do Kedahu.

Tymczasem Tomasz, prócz obowiązków służbowych, poświęcił się z niebywałą energią studiom języków malajskich, w czym pomocnym mu był Leyden i jego olbrzymia lingwistyczna wiedza. Tomasz czynił tak niesłychane postępy, że zaledwie w rok po wylądowaniu na wyspie został mianowany przez sir Dundasa oficjalnym tłumaczem rządowym i z podsekretarza stanu wyniesiony został na stanowisko sekretarza, z dwukrotnie wyższym uposażeniem. Dało to państwu Raffles nową pozycję towarzyską i niewątpliwie uczyniło Mary Ann atrakcyjną partią matrymonialną.

Tajemnicze rozmowy na temat zamierzonych zaręczyn panny wkrótce zamieniły się w wygodny pretekst do spotkań pomiędzy Leydenem i Olivią. Wprawdzie Mary Ann nie domyślała się niczego i Olivia nie mogła jej dopuścić do sekretu nowej miłości, ale oboje zakochani zachowywali największą ostrożność i porozumiewali się ustalonym szyfrem lub z największą dyskrecją przekazywali sobie karteczki ze zwierzeniami i miejscem schadzek. Spotykali się w ciągu dnia i wieczorami, szczególnie wtedy, gdy Tomasz przebywał w pałacu gubernatora, a zdarzało się to często.

Byli jednak niezwykle uważni i pomimo kilku szybkich, kradzionych pocałunków nie doszło pomiędzy nimi do intymnego zbliżenia. Leyden wahał się, ponieważ dręczyły go skrupuły i nieznośne wyrzuty sumienia.

Szanował i kochał po bratersku Tomasza i uważał się do tej pory za prawdziwie lojalnego przyjaciela. Jednakże niepoohamowane uczucie do jego żony postawiło go w typowej, jakże beznadziejnej i prawie wulgarnej sytuacji „tego trzeciego”, której ani nie chciał, ani nie oczekiwał. Dręczył się, nie spał, ale nie mógł porzucić myśli o Olivii. Była cierniem w jego szlachetnym, otwartym sercu, cierniem tak bolesnym, że czasem myślał nawet o samobójstwie.

Uczciwość i zaufanie Tomasza stawały się ciężarem nie do udźwignięcia, przeszkadzały i napawały wstydem. Leyden był z gruntu uczciwym i szlachetnym człowiekiem i wzdragał się przed jakimkolwiek oszustwem, kłamstwem i obłudą. A teraz niestety nie mógł uczynić nic innego, jak tylko kłamać w żywe oczy i grać komedię przed niespodziewającym się niczego przyjacielem.

Kilkakrotnie zapowiadał wyjazd, ale Raffles zawsze pod jakimś błahym pozorem odwiódł go od tego planu i Leyden tkwił w tym nieszczęsnym stanie ducha, niezdolny opuścić Pinangu i nieszczęśliwy z pobytu.

Jego spotkania z Olivią były zawsze krótkie, naładowane emocjami i obawą przed wścibskimi oczami domowników. Były to kilkuminutowe sam na sam, gdzieś w odległej części ogrodu, w stajniach przy ulubionym koniu Olivii, w opustoszałej w ciągu dnia jadalni lub w pokoju Leydena. To ostatnie pomieszczenie było świadkiem ich pierwszego i ostatniego pocałunku. Pod pozorem dostarczenia gościowi czystych ręczników Olivia osobiście postanowiła je zanieść przyjacielowi, czym wywołała zdumienie i porozumiewawcze spojrzenia służby.

Rzecz była w tym, że wprawdzie Tomasz i Mary Ann nie wiedzieli o rozkwitającym tuż pod ich nosem romansie, ale służba szeptała o tym od dawna i gdyby zakochana para domyśliła się tego, zapewne nie czułaby się bezpiecznie.

Leyden siedział przy niewielkim stoliku przy oknie i pisał. Zapalona świeca oświetlała łagodnym blaskiem tył jego kędzierzawej głowy i zarys szerokich, nieco chłopskich ramion.

Kiedy odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi, na jego twarzy malował się szczególny wyraz determinacji, graniczącej z rozpaczą.

Na widok Olivii zerwał się z krzesła i w dwu skokach znalazł się przy niej. Nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się w jego ramionach, a jego gorące usta spadły na nią, jak drapieżny jastrząb spada na miękką synogarlicę. Obsypał ją deszczem pocałunków, całował jej rzęsy, twarz, szyję i piersi. Objęła go mocno i przywarła całym ciałem do jego tętniącej głuchym biciem serca piersi.

Krew szumiała jak wielka rzeka w jej uszach, przed jej przymkniętymi oczami unosiły się czerwone płatki i czuła, że uginają się pod nią kolana.

Podtrzymywał ją, osłaniał, ogarniał żarem nieskończonego pożądania i cielesnej tęsknoty.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, pies zaniósł się szczekaniem, świeca zatrzępotała i przygasła. Uczyniło się mroczno, nie mogła rozróżnić rysów jego twarzy. Ujęła go obiema rękami pod brodę i po raz ostatni wycisnęła pocałunek na jego opuchniętych od pasji wargach.

– Olivio – jęknęła i wtuliła głowę w jej szyję. – Olivio, jakże mam żyć? Właśnie pisałem list do Kalkuty, do generalnego chirurga z powiadomieniem o moim rychłym przyjeździe. Postanowiłem wyjechać za dwa tygodnie, portugalskim statkiem „Santo Antonio”, z którego kapitanem już zawarłem znajomość. Nie mogę dłużej tak żyć.

– Nie, nie, to niemożliwe! Umrę z tęsknoty za tobą! Nie możesz mnie tak opuścić! Zginę bez ciebie!

Czepiała się jego rąk i całowała jego dłonie. Jej rozgorączkowana twarz lśniła od łez.

– Mówiłeś, że nie wyobrażasz sobie beze mnie życia! Jakże teraz możesz zostawić mnie tu samą?

– Pozostawienie cię tutaj, tak daleko, kiedy dzielić nas będzie tysiące kilometrów i otchłanie oceanu, stanowi najokrutniejszą męczarnię. Ale stoi pomiędzy nami moja przyjaźń z twoim mężem i twoje małżeństwo. Czy zdecydowałabyś się go zostawić i odjechać ze mną?

Olivia milczała chwilę, starając się zebrać rozpierzchnęte w popłochu myśli.

– Nie, nie mogłabym tego uczynić. Przenigdy!

– Więc sama widzisz. – Głos Leydena zabrzmiał goryczą, ale i szacunkiem.

Olivia usiadła bezradnie na skraju jego łóżka.

– Wszyscy, których kocham, odchodzą ode mnie na zawsze. Pozostają tylko ich cienie, a czyż można kochać cienie? – szepnęła z rozpaczą i zakryła twarz dłońmi.

– Olivio, przysięgam ci, że znowu tu powrócę. Nie mógłbym długo żyć bez ciebie. To tak, jak żyć w wiecznej ciemności, bez nadziei słońca. Powrócę tu, powrócę!

I znowu obsypał jej ręce pocałunkami i szeptał wyrazy pociechy, i tulił ją, jak matka tuli małe dziecko, i szlochał razem z nią.

Wyjechał w wietrzny poranek styczniowy, żegnany przez Tomasza i Oliwię, stojących ramię w ramię na drewnianym moście. Na drugi dzień Mary Ann wyszła za mąż za Quintona i zamieszkała z nim w niskim, długim bungalowie na wzgórzu Świętej Marii, w pobliżu domostwa Rafflesów.



\*

Wkrótce po odjeździe Leydena Olivia rozchorowała się ciężko. Zawezwany przez zaniepokojonego Tomasza lekarz stwierdził przerwanie pewnych naczyń krwionośnych w wątrobie, „zapewne pod wpływem zbyt intensywnych tańców”.

Zalecił ścisłą dietę i bezwzględny odpoczynek w łóżku. Kiedy po kilku tygodniach Olivia po raz pierwszy ukazała się na śniadaniu w jadalni, Tomasz przestraszył się jej wyglądu.

Była blada tą niezdrową, siną bladością ludzi niedokrwistych, anemicznych i wycieńczonych. Przy tym straciła na wadze i wyglądała jak szkielet. Jej wspaniała uroda ukryła się pod warstwą różu i kosmetyków, które nie tylko podkreślały jej chorobę, ale jeszcze ją postarzały.

Przy stole siedziała wraz z nimi Mary Ann, której młody mąż wyjechał „na kontynent”, jak Mary Ann zwała półwysep malajski.

Mary Ann błyszczącymi oczami patrzyła na rodzinę i widać było, że nie może się doczekać, aby zabrać głos i oznajmić jakąś ważną nowinę. Olivia ledwie dotknęła posiłku i pomimo wysiłków Tomasza, aby ją rozbawić, siedziała milcząca, z oczami utkwionymi w talerzu.

Mary Ann poczekała na przerwę w konwersacji i kładąc dłoń na ramieniu brata, powiedziała cicho.

– Tomasz, zostaniesz wkrótce wujem.

Ta wiadomość nieco ożywiła Olivie, która poczęła wypytywać przyszłą matkę o jej zdrowie i termin rozwiązania. Tomasz serdecznie ucałował siostrę w policzki i gratulował jej pomyślności. Mary Ann tak była przejęta swym stanem, że dopiero przy pożegnaniu zapytała szwagierkę o jej samopoczucie.

– Sostro – mówiła serdecznie. – Błagam, nie kłopotz się o nic i odpoczywaj. Masz we mnie oddaną duszę, która chętna jest ci pomóc w każdej chwili, tym bardziej że mieszkamy przecież tak blisko.

Olivia uśmiechnęła się słabo i uściskała młodą kobietę.

– Dzięki, Mary Ann, wiem, że jesteś mi życzliwa, ale przecież teraz, przy twym delikatnym stanie, sama potrzebujesz pomocy i wypoczynku i niedługo będziesz zajęta przygotowaniem pokoju dziecięcego.

Po odjeździe Mary Ann, Olivia usiadła na werandzie i położyła na kolanach najnowszy zbiór wierszy Leydena, które ten wydał w międzyczasie w Kalkucie. Pierwszy z nich nazywał się „Boże Narodzenie w Pinangu” i nawiązywał do ich wspólnego, cudownie spędzonego czasu w ubiegłym roku. Olivia wspominała wspaniałe ustrojone lampionami i papierowymi łańcuchami drzewa bananów i mango w ogrodzie, salon pełen prezentów w kolorowej bibule i choinkę z drzewka araukarii, wyciętą przez ogrodnika na Truskawkowym Wzgórzu. Obie z Mary Ann przyrządziły podług przepisu ciotki Pamelii plum pudding, gęś pieczoną z pomarańczami i płonący poncz, specjalność domu Rafflesów.

Po świątecznej kolacji Olivia zasiadła do pianina, które przywieźli wraz z Tomaszem z Londynu, i poczęła grać kolędy. Raffles, Mary Ann, Quinton i Leyden otoczyli instrument zwartym kołem i śpiewali do późnej nocy czystymi, jasnymi głosami w naprędce utworzonym kwartecie. Leyden patrzył na nią świetlistym spojrzeniem zakochanych oczu, zaś Olivia promieniała szczęściem i miłością. Było jej tak dobrze, tak bezpiecznie i radośnie, kiedy miała przy sobie wszystkich tych, których kochała. Jeśli nawet każda z tych miłości była inna.

Leyden nazywał ją Noną na jej własną prośbę i tak już zostało w większości jego poematów.

\*

„Ukochana Nono, Boże Narodzenie przyszło z daleka,  
odnalazłszy nas w pobliżu Wschodzącej Gwiazdy.  
Lecz nie przyniosło, do tutejszej orientalnej krainy,  
Zimowych girland i zasuszonego tymianku,  
Więc cóż za wieńce pozostaje nam wić dla ciebie,  
Miał lśniącego lauru i rozmarynu?”

\*

Tomik wierszy wypadł z ręki Olivii, a ona sama zakryła twarz dłonią. Cóż dałaby, aby powróciły te szczęśliwe chwile? Leyden pisywał, prawie co dzień, ale były to listy wprawdzie serdeczne, a jednak obce. Poeta obawiał się zdemaskowania przez niepowołanego lub wścibskiego czytelnika i przewidywał z góry skandal, w którym reputacja Olivii bardzo by ucierpiała, nie mówiąc o jej małżeństwie.

Wiedział, że oboje stąpają po śliskim gruncie, i czuwał nad Olivią i samym sobą. Jego listy były długie, ale niezwykle poprawne. Nazywał umiłowaną kobietę „siostrą” i „przyjaciółką”, co było w tych czasach dopuszczalne pomiędzy bliskimi znajomymi. Nie omieszkął w każdym z nich przesłać pozdrowień dla Tomasza i często dopytywał się o jego zdrowie i plany na przyszłość.

Tymczasem Tomasz otrzymał niespodziany list od Lorda Minto, ówczesnego gubernatora generalnego Bengalu, który sugerował jego natychmiastowy przyjazd do Kalkuty, z powodu nowo utworzonego stanowiska dyplomatycznego w Maluku, we wschodniej Indonezji.

Wyspy Maluku, zwane także Moluki lub Wyspy Korzenne, do tej pory należały do Niderlandów, ale właśnie zostały zaanektowane przez wiceadmirała O'Briena Drury'ego, głównego komendanta marynarki brytyjskiej Wschodnich Indii. Drury znał świetnie rodzinę Rafflesów i miał wiele sympatii i podziwu dla młodego i energicznego Tomasza. To właśnie z jego polecenia Minto zainteresował się rzutkim młodzieńcem. Tomasz wahał się i nie wiedział, co uczynić, ponieważ obawiał się pozostawić chorą żonę samą. Ale Olivia nie chciała słyszeć o zlekceważeniu wezwania gubernatora.

– Tomaszu – mówiła z wypiekami na zapadniętych policzkach. – Jedź koniecznie, ponieważ taki zaszczyt może się już szybko nie powtórzyć. Mary Ann jest w pobliżu, jestem otoczona służbą i przyjaciółmi w mieście, więc nie obawiaj się o nic. Doktor też zagląda do mnie co kilka dni. Pozostawiasz mnie w dobrych rękach.

Prośby żony ostatecznie przekonały Rafflesa, więc wypłynął do Indii z końcem niezwykle gorącego w tym roku czerwca. Wiózł listy od Olivii do Leydena, u którego miał zatrzymać się w Kalkucie.

Olivia pozostała sama i pusty dom niezwykle ją przygnębił. Kilkakrotnie spała u niej Mary Ann, ale nie czyniła tego zbyt chętnie, ponieważ była już ociążała w zaawansowanej ciąży i nawet krótkie podróże niezwykle ją męczyły.

Tomasz spotkał się z generalnym gubernatorem na prywatnej audyencji w pałacu gubernatorskim w Kalkucie. Miasto gnębił ciężki, dotkliwy upał, typowy dla ostatnich dni przed nadejściem monsunu. Niebo było zasnuwane ołowianymi chmurami, nabrzmiałymi deszczem, którego spodziewano się lada moment, w powietrzu wisiał aromat nadchodzącej wilgoci i wiecznego kurzu.

Tomasz i Leyden wysiedli z odkrytego powozu, przysłanego do skromnego mieszkania poety tego ranka przez lorda Minto i natychmiast zostali wprowadzeni do gabinetu gubernatora. Pałac odznaczał się imponującymi rozmiarami, szeregiem wytwornie umeblowanych pokoi w amfiladzie, w których kłębił się tłum urzędników, petentów i służby. Szerokie, marmurowe schody prowadziły na drugie piętro, do bardziej zacisznej części pałacu.

Tu, w otoczeniu swych ulubionych książek, dokumentów, stosu papierów i foliów Kompanii, przy ogromnym biurku z wiśniowego drzewa pracował najpotężniejszy w Koloniach człowiek, pierwszy hrabia Minto, sir Gilbert Elliot. Ten wybitny polityk i dalekowzroczny

imperialista dochodził lat sześćdziesięciu i odznaczał się dużą, lwią głową i potężnymi, prawie chłopskimi dłońmi.

Wydawało się, że właśnie te dłonie chciałyby zagarnąć dla króla i Imperium Brytanii połowę, jeśli nie cały świat, a jeśli pozostałyby jeszcze jakieś szczątki, godne lwiej uczyty, Minto ze smakiem pożarłby je dla własnej ambicji. W czerwonej, apoplektycznej twarzy błyszczały nieduże, ale bystre i złowrogie oczy choleryka, zaś kapryśne usta wskazywały na człowieka zmiennego charakteru, niebezpiecznego i nieprzewidywalnego. Tomasz zetknął się z gubernatorem osobiście po raz pierwszy, ale ponieważ korespondowali przedtem kilkakrotnie, lord Minto przywitał go dość wylewnie i prosił obu siadać.

Natychmiast też klasnął na służącego, który wniósł przekąski i mocną, czarną herbatę.

– Panowie wybaczą, ale ze względu na wczesną porę dnia i moc pracy, która czeka na mnie do wieczora, nie częstuję alkoholem. Zresztą tuszę, że nasza znajomość zostanie umocniona na nadchodzącym balu gubernatora, na który nie omieszkać przesłać panom zaproszenia przez mego sekretarza.

Obaj młodzi ludzie skłonili się w milczeniu, oczekując przejścia do właściwej rozmowy. Jakoż lord Minto nie bawił się w długie, grzecznościowe wstępy i natychmiast przystąpił do rzeczy.

– Sir Raffles – zwrócił się żywo do Tomasza. – Pańska korespondencja na temat tak ważny, jak dalsza przyszłość Maluków pomogła mi w powzięciu ostatecznej decyzji. Jest pan niewątpliwie świetnym obserwatorem tamtej części świata, poddającym wnikliwej analizie polityczne i ekonomiczne prądy, które mają odbicie w naszej własnej polityce ekspansji i umacniania pozycji. Jego Królewska Mość żywo interesuje się naszymi postęпами w południowej Azji i nie spocznie, dopóki nie wyzwolimy reszty tego świata spod opresji Niderlandów i Francji. Szczególnie Francja stanowi nasz obecny problem, ponieważ Korsykanin Bonaparte poczynił sobie w Europie jak udzielny książę i niewątpliwie już wkrótce zwróci oczy na Daleki Wschód. Nie możemy do tego dopuścić, więc za wszelką cenę należy nam umocnić swe placówki i wpływy w Dekanie, Malajach i Indonezji, trzymając uważne spojrzenie na ościennej Birmie, Afganistanie i królestwie Tajów. Potrzebujemy takich jak pan, drogi Raffles, młodych, odważnych i samodzielnie myślących.

Tu przerwał na chwilę i skinął na lokaja, aby nalał herbatę ze srebrnego dzbana.

– To herbata z wyspy Cejlon. Najlepsza na świecie i bodaj najdroższa w obecnych czasach. Polecam kupno plantacji na tej wyspie, ponieważ w następnych latach będzie to złote jabłko w koszu naszego Imperium.

Wszyscy oddali się chwilowej degustacji ciemnego, aromatycznego płynu, zaś gubernator przyglądał się otwarcie Tomaszowi.

– Drogi Raffles – powiedział wreszcie i sięgnął po kawałek żółtego biszkoptu. – Mam dla pana propozycję, ale nie tę, której się pan spodziewa.

Tomasz nieco się zdziwił, ale nie pokazał tego po sobie, tylko nieco uniósł się w krześle i skłonił uprzejmie.

– Jestem do pana dyspozycji, Ekscelencjo.

– Dobrze. To właśnie lubię. Brak niepotrzebnych pytań, gotowość na każdy rozkaz.

Gubernator odprawił skinieniem dłoni służącego i gdy ten cicho zamknął za sobą drzwi, zwrócił się do Tomasza:

– Niestety spóźnił się pan z przyjazdem i pana pozycja zarządcy wysp Moluków została już wypełniona.

Ta niespodziana wiadomość zabrzmiała jak wystrzał z pistoletu i Tomasz aż wzdrygnął się ze zdumienia.

Lord Minto, widząc wyraz twarzy obu młodzieńców, uśmiechnął się nieco złośliwie i ciągnął dalej:

– Widzę pańskie osłupienie i nie dziwię się tej reakcji. A jednak spodziewam się, że wyjdzie pan stąd zadowolony, zaś pański przyjaciel skreśli na tę okoliczność wspaniałą poemat lub dytyramb.

Leyden pochylił głowę i ukrył uśmiech. Hrabia Minto sławny był ze swoich nagłych, niczym niesprowokowanych szpil słownych. W ten sposób rozładowywał napięcia i krzepił swą zmienną naturę.

– Raffles, mam dla pana inną propozycję. Potrzebujemy silnego, energicznego człowieka, który w pierwszej fazie operacji służyć nam będzie jako agent, organizator i szef ekspedycji na tereny jeszcze niedotknięte stopą Brytyjczyka.

Tomasz spojrział na gubernatora z zaciekawieniem i pewną obawą. Natychmiast pomyślał o Olivii i niebezpieczeństwach, jakie być może czekają ich w niedalekiej przyszłości.

– Mam na myśli wyprawę na wyspę Jawę i wydostanie jej z rąk francuskich. W świetle obecnych układów światowych, zadamy poważny cios gospodarce i ekonomii nieprzyjaciela i raz na zawsze pozbedziemy się niewygodnego sąsiada.

Zapadło długie milczenie, przerywane tylko tykaniem wielkiego dębowego zegara.

Pierwszy odezwał się Tomasz. Mówił cicho, ale dobitnie i klarownie.

– Ekscelencjo, ten projekt powstał w mojej głowie, zanim jeszcze przybyłem do Kalkuty. Jesteśmy sprzężeni tą samą ideą, tą samą myślą. Na poparcie tego stwierdzenia, aby nie być gołosłownym, i być może podejrzanym o mitomanię, sporządziłem jeszcze w Pinangu plan inwazji i nowej struktury politycznej wyspy. Gdybym nawet otrzymał pozycję na Molukach, gotów byłbym na dyskusję z Ekscelencją w tej niezwykle ważnej, niezbędnej sprawie, ponieważ Jawa to punkt strategiczny południa i bodaj ostatni bastion francuskiej przemocy.

– Więc zgadza się pan z moim planem i gotów jest pan poświęcić mu następne tygodnie, a być może i miesiące swego czasu?

– Ekscelencjo, pozostanę w Kalkucie tak długo, jak długo będzie tego wymagała racja stanu. Oddaję się do pańskiej dyspozycji, jestem gotowy.

– Dobrze! Wszystko jest więc jasne, pozostaje nam omówienie szczegółów i nakreślenie planu akcji. Spodziewam się pana u mnie jutro, wraz z pańskimi planami i propozycjami ekspedycji. Wszystkie sugestie będą wzięte pod szczegółową rozwagę. Pomagać nam będzie bezpośrednio w przygotowaniach sir Samuel Auchmuty, któremu powierzam główną wojskową komendę inwazji. Leyden, opiekuj się, proszę, naszym gościem, ponieważ jego dobre samopoczucie w Kalkucie jest nam potrzebne.

Gubernator uniósł się w krześle, kończąc w ten sposób audiencję i odprawiając obu młodzieńców z gabinetu.

Zanim jeszcze zamknęły się za nimi wysokie, masywne drzwi, sir Minto pogrążony był już w czytaniu i wertowaniu stosu papierów na biurku.

\*

Lord Minto powierzył Tomaszowi ważną funkcję. Wiązała się ona z niewątpliwym wyjazdem do Malakki, stolicy Malajów, skąd wyruszyć miała wyprawa na Jawę.

Tomasz rzucił się w wir przygotowań, dyskusji i konferencji z taką energią i samozaparciem, że po kilku tygodniach intensywnej pracy zaniemógł ciężko z przemęczenia i Leyden musiał pielęgnować go, jak najczulsza niańka i pielęgniarka.

*Droga Siostró – pisał do Olivii – na szczęście gorączka już przeszła i Tomasz znowu znalazł się w swoim wysokim siodle. Wydaje się nadrabiać czas, stracony w łożu boleści, i prócz nieustannych konferencji z gubernatorem i wielkimi tego świata, czyni postępy w zdobywaniu bastionów towarzyskich Kalkuty.*

*Wczoraj uczestniczyliśmy w wieczorku tańczącym u barona Grundy, którego małżonka powzięła iście macierzyński afekt do twego ślubnego i obsypuje go prezentami i zaproszeniami. Czuję nieco zazdrości na widok tych przejawów czulej sympatii, tym bardziej że Tomasz wydaje się nie dostrzegać faworów i nie mówi o nikim innym, tylko o tobie. Niezmiennie martwi go twoje zdrowie i stale przyrzeka sobie rychły wyjazd. A jednak nie będzie to możliwe jeszcze przez kilka miesięcy. Przygotowania do tak delikatnej operacji politycznej wymagają czasu, dyskrecji i samozaparcia.*

*W niewielu wolnych chwilach próbuję oderwać twego małżonka od smutnych i niespokojnych myśli i oprowadzam go po zabytkach i ruinach Bengalu. Byliśmy onegdaj w przerażającej świątyni Kali, krwiożerczego i mściwego bóstwa, które, wyimaginuj sobie, jest opiekunką miasta i okolicy! Ta ponura świątynia leży na uboczu miasta, w biednej i mrocznej dzielnicy, więc lord Minto przydzielił nam oddział żołnierzy, tym bardziej że towarzyszyły nam damy i nawet kilkoro dzieci.*

*Sama świątynia to brudne, wyjątkowo ponure miejsce, cuchnące moczem, kałem i krwią. Mnisi odprawiają tu swoje codzienne rytuały, w których poświęconą kozę zarzynają na oczach wielbiącego tłumu, a następnie krwią skrapiają ściany i wrota przybytku. Możesz sobie wyobrazić ten odór w temperaturze gotującej się wody i w ciasnej, zamkniętej przestrzeni kamiennego podwórza. Rośnie na nim jedyne drzewo, tak rachityczne i mizerne, iż nie wzbudza najmniejszego zaufania, pomimo iż uchodzi za święte i błogosławione.*

*Młode mężatki dotykają jego chropowatej, pokrytej liszajem kory, wierząc, iż uzdrowi ich bezpłodność. W tajemnicy muszą ci wyjawić, że jedna z dam, nie powiem imienia ze względu na litość i dyskrecję, również dotknęła starożytnego pnia i teraz oczekuje na szczęśliwą nowinę.*

*Na ogół jednak nie wytrzymywaliśmy tam dłużej niż kilka minut i jeszcze po kilku godzinach czuliśmy na sobie nieznośny smród tamtego nieszczęsnego miejsca.*

*Tomasz pracuje dniami i nocami, ponieważ kończy również studia nad Undang Undang, czyli zasadami prawa malajskiego, które będą mu niezbędne na Jawie. Lord Minto zawsze podkreśla, że raporty Tomasza reprezentują najwyższe wartości merytoryczne i literackie. Niektóre z nich zamieszczono nawet w „Gazecie Kalkuty” do wglądu publicznego i spotkały się z niezwykle ciepłym przyjęciem.*

*Dodając kilka słów o mojej skromnej osobie, w ostatnich czasach zostałem mianowany dyrektorem Instytutu Prób Metali Szlachetnych, więc zamiast piłowania kości i zagłądania do gardła i uszu, próbuję mojej ręki w delikatnych wagach i tyglach złota, srebra i miedzi. Bóg Mamon zastąpił Eskulapa i parzy moje palce kwasem, zasadami, fosforem i rtęcią. Trudno powiedzieć, co lepsze, ponieważ i jeden, i drugi wydają się groźni i nie wybaczą pomyłek!*

*Na zakończenie muszę ci donieść, droga siostró, iż ustaliłem z Tomaszem moje przyszłe stanowisko w rządzie Jawy. O ile on zostanie gubernatorem, ja dostąpię zaszczytu jego osobistego sekretarza. Tak więc moja przyszłość jawi się bezchmurna i przyjemna. Adieu, drogie serce, twój powolny sługa, J. Leyden*



\*

Tomasz powrócił na Pinang z końcem października, na wojennym statku „Ariel”, dowodzonym przez porucznika MacDonalda. Olivia i Mary Ann oczekiwały go w porcie, obie ubrane w czerń i czarne welony.

Tomasz z niepokojem patrzył z wysokości burty statku na zbliżający się brzeg i zaledwie uściskał obie kobiety, zaraz pytał o powód żałoby. Mary Ann wybuchła niepowstrzymanym płaczem, zaś Olivia rzuciła się mężowi na szyję i zawołała.

– Quinton nie żyje!

Przy kolacji Tomasz dowiedział się większości szczegółów, choć obie kobiety nie mogły o tym mówić spokojnie i doktor Blight był tym, który opisał ostatnie chwile dzielnego oficera.

Quinton zmarł nagle, w czasie służbowego lunchu w pałacu gubernatora Dundasa. W pewnej chwili objął głowę rękoma i jęknął. „Dobry Boże, co za ból, co za ból!” i zanim ktokolwiek spostrzegł, co się dzieje, młodzieniec stoczył się pod stół. Gdy najbliższy sąsiad nachylił się nad jego nieruchomym ciałem, było już za późno. Olivia i Mary Ann były zupełnie wytrącone z równowagi i objęte ciasnym uściskiem, na wszelkie pytania odpowiadały tylko płaczem.

Przy tym Olivia odczuwała wyrzuty sumienia, ponieważ Quinton zmarł kilka tygodni temu, a jednak nie zawiadomiła o tym męża przez kuriera. Mary Ann prosiła ją o dyskrecję, ponieważ obawiała się o zdrowie brata i wiedziała, jak wiele zależy od jego pracy w Kalkucie.

– Będzie na to czas, kiedy wróci – przekonywała Olivię. – Przecież i tak Tomasz nie jest w stanie nic pomóc.

Pochowały świetnie zapowiadającego się młodzieńca i Mary Ann została wdową w wieku dwudziestu siedmiu lat, z nowo narodzoną córeczką Charlottą w ramionach. Natychmiast też przeniosła się do szwagierki, wystawiając swój dom na Wzgórzu Świętej Marii na sprzedaż.

Tomasz nie miał czasu opłakiwać długo szwagra, którego lubił i cenił. Lord Minto słał natarczywą i wymagającą odpowiedzi korespondencję każdego tygodnia i spodziewał się Rafflesa w Malakce nie dalej niż w grudniu tego roku.

Zaledwie osuszyły się nieco łzy dam po stracie Quintona, Tomasz wystawił na sprzedaż swą posiadłość w miejscowej „Gazecie Wyspy Księcia Walii” i zakupił przejazd z Pinangu do Malakki dla żony i siostry. Sam wyruszył kilka tygodni wcześniej na „Ariela”, w towarzystwie swego malajskiego sekretarza i plenipotentą, Ibrahima Ibn Kandu Saudagara, którego otrzymał w prezencie od Leydena. Ibrahim sprawował przy poecie funkcję tłumacza dzieła pt. *Malajskie Annały*, czyli *Sejarah Melayu*. Ibrahim był niesłychanie sprytny, gadatliwy i bystry. Natychmiast wyczuł, że wiążąc swe losy z losami *tuana* Rafflesa, zapisze swe imię w historii świata i pamiętany będzie przez pokolenia.

Olivia przez te wszystkie tygodnie chodziła jak we śnie. Przez kilka lat na Pinangu przyzwyczaiła się do wyspy i jej mieszkańców, poznała każdy kąt maleńkiej enklawy i serce bolało ją na myśl, że musi opuścić znajome, malownicze strony. Spacerowała wieczorami po opustoszałym domu, ponieważ Tomasz wywiózł część mebli, i pieszczotliwie dotykała ścian i drzwi, dobrych i wiernych znajomych.

Z prawdziwym smutkiem przechadzała się po różanym ogrodzie, oblanym błękitnym blaskiem księżyca i z rozkoszą wdychała jego słodki, ulubiony zapach. Jedyłą pociechą w tym rozstaniu była myśl, że w Malakce spotka Leydena, który miał przypląć wraz z lordem Minto

i komendantem Auchmuty.

W ciągu dnia zabijała ból serca zabawą i pieszczotami z małą Charlottą, którą pokochała, jak nigdy nie kochała własnej, nieznannej córki. Istnienie Harriet było tajemnicą, którą Olivia postanowiła zabrać ze sobą do grobu. Nigdy nie zwierzyła się z tego tragicznego okresu życia ani mężowi, ani tym bardziej Mary Ann.

W międzyczasie nadszedł list od Tomasza, w którym donosił, iż wynajął w Malakce dom w eleganckiej dzielnicy Bandar Hill i z niecierpliwością oczekuje przyjazdu ukochanej żony.

Na pożegnalny wieczór obie panie zostały zaproszone do pałacu gubernatora na kolację i koncert muzyki i tańca malajskiego.

Wieczerną zjedzono w otwartej na przestrzał, olbrzymiej jadalni, a potem goście przeszli na taras, gdzie ustawiono krzesła i podium, oświetlone mlecznymi kulami lampionów.

Wokoło śpiewały żaby, polatywały ogromne, seledynowe ćmy i ciche nietoperze. Księżyc okrył się otoczką z lekkich chmur i siał drżące światło na ten wspaniały, nierealny świat. Lady Margaret wręczyła na pożegnanie wzruszonej Olivii piękny, jedwabny szal haftowany przez kobiety z Pinangu, zaś Mary Ann otrzymała drewnianą, rzeźbioną lalkę dla Charlotty, gdy ta podrośnie do takiej zabawy.

Dzieci z wyspy tańczyły tradycyjne tańce cieni na tle rozpostartego płótna, zaś mały aktor w sarongu i złotej przepasce na główce opowiadał cienkim głosem treść bajki, której akcja rozgrywała się przed oczami widzów.

Orkiestra nieco zagłuszała dziecienny zespół, ale wszyscy bez wyjątku zebrali słuszną brawę. Olivia żegnała się z przyjaciółmi ze łzami w oczach. Służba podchodziła po kolei ze spuszczonego wzrokiem i dłońmi złożonymi przy ustach w tradycyjnym geście pożegnania.

Lord Dundas wzruszył się i porzuciwszy na chwilę protokół dyplomatyczny, uściskał obie damy za ramiona, a potem wyjął olbrzymią chustkę i trąbił w nią długo i dokładnie.

Statek odbił od brzegu wraz z przyływem wysokiej fali. Olivia stała nieporuszona na rufie i zachodni wiatr wydymał jej zwiewne spódnice. Nagle przypomniała sobie podobną scenę, kiedyś dawno, wiele lat temu, gdy wyjeżdżała z Irlandii, a obok niej stał Hamilton i z uśmiechem wskazywał zielone, zalane potokami deszczu brzegi zatoki.

Mocniej otuliła się nowym szalem i zdecydowanym krokiem poszła poszukać Mary Ann. Znowu zamknęła za sobą pewien rozdział życia. Z nadzieją patrzyła w przyszłość. Tym bardziej że gdzieś za horyzontem czekał Tomasz. A w niedalekiej przyszłości miała zobaczyć Leydena. Jakie piękne było życie!

\*

Posiadłość państwa Raffles w Malakce znajdowała się nad rzeką, na łagodnym pagórku z pięknym widokiem na morze. Miasto było typowo holenderskie, z kolorowymi, piętrowymi domami w pobliżu portu i dwustuletnim fortem, zbudowanym jeszcze za czasów kolonii portugalskiej. Paszcze olbrzymich dział, strażników miasta, skierowane były na Przesmyk Malakki. Malakka spodobała się Olivii od pierwszego spojrzenia. Niewielki, ale dobrze utrzymany i czysty port nosił ślady dawnej świetności kolonii holenderskiej.

Krajobraz był tu urozmaicony, górzysty, z gęstymi lasami eukaliptusowymi i drzewami gumowymi. Te ostatnie pokazały się tutaj niezbyt dawno, przywiezione przez misjonarzy z Ameryki Południowej i niektórzy plantatorzy dopiero zaczęli produkcję kauczuku na dużą skalę. W przeciągu następnych stu lat powstać miał tutaj największy przemysł naturalnej gumy na świecie. W tej chwili tu i ówdzie widziało się sadzone rzędami wysokie drzewa, z nacięciami w korze, z których spływała gęsta, lepka ciecz o białawym kolorze nieświeżego mleka.

Olivia po raz pierwszy widziała produkcję kauczuku w jego naturalnym środowisku i zastanawiała się, ku czemu może służyć ten dziwny surowiec. Postanowiła wypytać o to później Tomasza, ale tymczasem cieszyła ją jazda otwartym powozem, ponieważ widoki zmieniały się szybko, a przy tym na drodze kręciło się mnóstwo ludzi.

Byli tam Chińczycy w stożkowatych kapeluszach, z warkoczem przerzuconym przez ramię, w czarnych *samfoo*, czyli rodzaju dziennej piżamy, niosący na ramionach drągi z koszami pełnymi warzyw, ryżu lub owoców. W ozdobionych jedwabną frędzlą lektykach biegnąca truchtem służba niosła aroganckich hinduskich kupców,

Malajowie sprzedawali na poboczu kolczaste owoce durianu, banany, ptactwo domowe, orzeszki ziemne, a przede wszystkim ananasy i kokosy, które stanowią podstawę kuchni malajskiej. Zarówno kobiety jak i mężczyźni ubrani byli w barwne, kwieciste sarongi i nosili sznury koralu, muszelek i kamyczków zarówno na szyjach, jak i w formie bransolet na nogach i rękach.

Wzdłuż promenady nadmorskiej ciągnęły się sklepy i jadłodajnie oraz otwarte pod gołym niebem ubogie kioski ze smażonymi na oczach klienta przysmakami malajskimi. Wonne dymy unosiły się z tych stanowisk kulinarnych i tłum głodnych ludzi i psów otaczał kucającego w pyłe drogi przekupnia. Kolorowe domy z wymyślnymi fasadami i portalami, przypominającymi lukrowane cacka, wykreowane przez jakiegoś ekstrawaganckiego cukiernika, zapraszały porcelanowymi kafelkami ścian elewacji, krasnalami i ceramicznymi pieskami, pilnującymi schludnych, czysto zamiecionych schodów i podcieni bram. Czerwone i zielone dachy stanowiły wspaniałe wyspy odpoczynku dla oczu, umęczonych srebrzystym kurzem i przeraźliwym blaskiem słonecznym.

Tomasz nie wypuszczał z dłoni ręki żony i co chwilę całował końce jej paluszków.

Mary Ann zatopiona była w ożywionej rozmowie z nowym przyjacielem Tomasza, który pomagał mu w urzędzeniu się w mieście. Nazywał się William Lawrence Flint i był kapitanem Marynarki Królewskiej oraz dowódcą zakotwiczonego obecnie w Malakce okrętu wojennego „Teignmouth”.

Jego parantela rodowa była imponująca, ale obecne powiązania jego młodszego brata sprawiały, że dzielny kapitan stał się nie lada kąskiem na matrymonialnym rynku. Otóż młodszy Flint, Charles, piastował stanowisko sekretarza przy samym diuku Wellingtonie, czyli Arturze Morningtonie, obecnie bohaterze narodowym i zaciętym wrogu Napoleona. Już samo to czyniło

Williama szalenie atrakcyjnym zarówno wśród dam, jak i patriotycznych dżentelmenów.

Sprytny Tomasz nie bez kozery zabrał ze sobą Flinta na powitanie pań. Wiedział, że Mary Ann wywiera na ogół duże wrażenie na mężczyznach i pewien był powodzenia swego małego, chytrego planu. Jak potem zwierzył się żonie:

– Postanowiłem wydać mą siostrę za mąż, bo młoda wdowa nie ma właściwego ani godnego szacunku miejsca w społeczeństwie. Poza tym urok Mary Ann zupełnie zmarnowałaby się w tym niewdzięcznym klimacie. A Charlotte potrzebuje ojca.

– Oczekuję na przybycie dalszych jednostek marynarki wojennej – mówił przyjemnym basem kapitan i nie odrywał zachwyconego spojrzenia od zaróżowionej podnieceniem twarzyczki Mary Ann. – Pani brat jest niezwykle człowiekiem, organizatorem i strategiem. Lord Minto liczy się bardzo z jego zdaniem i osobiście przybędzie kierować inwazją na Jawę. Spodziewamy się stu okrętów i dziesięciu tysięcy ludzi. Pierwsze posiłki zjawią się tu zaraz po nowym roku.

– Czy będzie pan zaangażowany w wojnę osobiście? – Duże, błękitne oczy uroczej wdowy spjrzały na oficera z takim niepokojem, że Flint gotów był natychmiast rzucić się damie do nóg i dziękować za dobre serce.

– Oczywiście! – odparł chełpliwie i podkreślił blond wąsa, z którym było mu niezwykle do twarzy. – Mam pod komendą jeden z najsmiglejszych i zwrotnych statków floty. Tuszę, że znajdę się w pierwszej linii bitwy. Pod Mauritiusem i na wyspie Bourbon straciłem tylko dwu ludzi. I to z błahego powodu. Jeden wypadł za burtę w czasie abordażu, drugi poślizgnął się na pokładzie, zalany krwią Francuzów, upadł i rozbił głowę.

– Ach, jakie to straszne! – Mary Ann zakryła rączką usta i patrzyła w Williama jak w tęczę.

Tomasz rzucił żonie porozumiewawcze spojrzenie. Po śmierci flegmatycznego, dokładnego i małomównego urzędnika, jakim był pierwszy mąż jego siostry, przyszedł czas na szarmanckiego, tryskającego odwagą i fantazją marynarza.

I rzeczywiście, romans rozwinął się z przerażającą wprost szybkością, której w pewnym momencie nawet Tomasz nie popierał, bowiem minął zaledwie rok od śmierci Quintona i należało zachować przynajmniej pozory dobrego tonu. Jednakże Flint nie chciał słyszeć o zwłoce. Już w miesiąc po poznaniu pięknej wdowy przyszedł pewnego popołudnia do domu Rafflesów i znalazłszy Tomasza w gabinecie, ślęczącego jak zwykle nad oficjalnymi dokumentami, mapami i tłumaczeniem malajskich dzieł prawniczych, bez wstępu powiedział równym, pewnym głosem:

– Panie, obaj wiemy, że nadchodzi decydująca chwila w naszym życiu. Atak na Jawę zatwierdzony i za kilka miesięcy możemy się spodziewać wojny. W tej sytuacji nie mogę i nie chcę dłużej czekać. Przychodzę prosić o rękę pani Mary Ann, którą kocham ponad życie i bez której nie wyobrażam sobie mego istnienia. Z pańskim pozwoleniem i błogosławieństwem, wyznaczmy jak najszybszą datę ślubu, abym mógł nacieszyć się małżonką, zanim wyruszę na wyprawę, z której być może nie powrócę.

Tomasz lubił Flinta i nie miał zamiaru czynić mu trudności. Nie chciał jednak sam podejmować decyzji, nie znając do końca stanowiska siostry i żony. Zadzwoił więc na służącego i kazał prosić obie panie do siebie.

Mary Ann przyszła blada z przejęcia, z falującą piersią i ogniem w oczach, ponieważ domyśliła się zaraz, o co chodzi.

William nie czekając, rzucił się przed nią na kolana i obsypał jej dłonie deszczem pocałunków. Mary Ann nie broniła się zbyt mocno, ale nachyliła się nad wzruszonym oficerem i objąwszy jego głowę ramionami, szeptała z czułością:

– Ależ tak, drogi Williamie, tak. Będę twoją żoną, jest to dla mnie prawdziwy zaszczyt. A potem rozplakała się i skryła twarz na jego piersi.

Ślub odbył się cichy ze względu na wdowieństwo panny młodej.

Mary Ann wyglądała zachwycająco w szaroperłowej jedwabnej sukni, z kwiatami pomarańczy wpiętymi w miedziane sploty włosów.

William w szafirowym mundurze oficera marynarki, ze złotymi epoletami i szpadą przy boku, czynił spustoszenie wśród damskich serc, nawet na ulicach miasta, kiedy po ceremonii ślubnej w kościele Świętego Ksawerego jechali Promenadą do rezydencji Rafflesów na uroczyste śniadanie *al fresco*.

Cała plaża, ciągnąca się cienką wstęgą wzdłuż ulicy, kłębiła się od wojska, namiotów polowych, koni i taborów, ponieważ nadeszły już pierwsze kontyngenty armii z Indii i biwakowały na długości kilku kilometrów, pomiędzy Malakką i wybrzeżem Tanjong Kling.

Wszyscy z pewnym niepokojem i wyczekiwaniem spoglądali na popielatą płachtę morza, spodziewając się zobaczyć na horyzoncie flotyllę lorda Minto z jego wspaniałą osobą na pokładzie flagowca. Ale morze było puste i spokojne, jedynie na wschodzie gromadziły się monsunowe chmury i wypadały z nich krótkie, zakrzywione jak szpony drapieżnego ptaka błyskawice i znikwały cicho wśród zmętniałych fal.

Śniadanie podano na tarasie, przy długim stole zasłanym adamaszkiem i najlepszymi srebrami Rafflesów. Rozmowa szybko zesłała na sytuację na Jawie, ponieważ spodziewano się, że pierwsze oddziały wyruszą na wyspę nie dalej niż za miesiąc.

Tomasz otrzymał poranną pocztą wiadomość od agenta w Batawii, że nastąpiła zmiana rządu Jawy i dotychczasowy gubernator Daendels, wyszkolony w armii francuskiej i zakochany w Napoleonie, oddał krzesło Holendrowi Janssenowi, a sam szykował się do pociągnięcia za swym francuskim bożyszczem do Rosji.

Daendels nie zagrzał zbyt długo miejsca jako gubernator Jawy. Zaledwie rok przedtem Napoleon zdobył Niderlandy, osadził tam swego brata Ludwika jako niechcianego króla i pozbawił Holendrów potęgi w koloniach, jak legendarna Dalila pozbawiła siły Samsona, obcinając mu czarodziejską czuprynę.

Daendels, lojalny cesarzowi i służbista całą gębą, natychmiast zatknął francuską flagę na maszcie pałacu w Batawii. Poczynał sobie jednak tak bezczelnie, arogancko i bezwzględnie, że zraził ku sobie zarówno Francuzów, jak i Holendrów. Wyszadzono go z gubernatorskiego siodła z radością, bo Holendrzy widzieli w nim przebrzydłego frankomana i nawet zdrajcę, zaś Francuzi pogardzali nim, jak gardzi się sprzedawczykiem i oportunistą.

– Trudno przewidzieć, jakim wodzem i strategiem okaże się Janssen – mówił przy śniadaniu porucznik MacDonald, nakładając sobie równocześnie drugą porcję jagnięcia w sosie z kurkumy. – Daendels, pomimo że naraził się wszystkim, niewątpliwie był bitnym i odważnym żołnierzem.

– Nie ma to najmniejszego znaczenia – odparł chłodno Tomasz. – Jawa, jako punkt strategiczny Azji południowej i ostatni bastion wpływów francuskich, musi zostać zdobyta. Jest to świętym obowiązkiem nas wszystkich, patrzy na nas ojczyzna i tego oczekuje od nas król.

– *Rule Britania!* – zawołał nieco pijany Samuel Auchmuty i wznosił kielich z przednim hiszpańskim sherry. – Jestem pewien moich żołnierzy! Każdy z nich, a jest ich jedenaście tysięcy, to prawdziwy zuch i weteran!

Tu powiódł po zgromadzonych straszonym wzrokiem i wydał małe, czerwone usta. Tomasz grzecznie, choć z pewną niecierpliwością skinął głową.

– Nikt z nas nie wątpi w wojowniczego ducha naszej armii. A jednak sama odwaga to za mało. W tej inwazji należy zastosować moment zaskoczenia.

– Ba, ale jak to uczynić? – wykonał szeroki gest Auchmuty. – W jaki sposób możesz zaskoczyć wroga z flotą stu okrętów?

– Nie jestem pewien, ale będę o tym myślał. Kiedy lord Minto zjawi się tutaj, powinienem mieć gotowy plan działania.

– Tomaszu – powiedziała słodko Olivia i przechyliła wdzięcznie na bok główkę. – Nie zapominaj, że zgromadziliśmy się tutaj święcić radosny dzień zaślubin twojej siostry. Słyszę, że orkiestra stroi instrumenty, więc czy mógłbyś przerwać tę, niewątpliwie pouczającą, ale nazbyt poważną dyskusję i poprowadzić pierwszego kadryla?

– Moja wspaniała, rozumna żona! – zawołał Raffles i ucałował Olivię w policzek. – Panie i panowie, do tańca, nie traćmy czasu i ochoty pięknych dam, ruszajmy do dobrej zabawy!

Wprawdzie państwo młodzi nie tańczyli ze względu na świeże wdowieństwo Mary Ann, ale za to reszta gości, z Olivią na czele, płaśała do wieczora. Zapalono już lampy, służba roznosiła kolację, a oni nadal tańczyli galopy, kadryle, gawoty i menuety. Potem odbyło się rzucanie ślubnego bukietu, który z wielkim chichotem i klaskaniem w rączki złapała trzynastoletnia córka chirurga, doktora Coreliususa, a zaraz po tym ceremonia zdjęcia podwiązki z nóżki panny młodej.

Tu nie obyło się bez zamieszania i salw śmiechu całego towarzystwa, ponieważ podwiązka, rzucona energicznie przez pana młodego w tłum dżentelmenów, spadła w dosłownym tego słowa znaczeniu na podolek wielebnego kapelana, ojca Bazyla. Święty ten człowiek wytrzeszczył oczy i poczerwieniał jak panna, ale widząc wesołość towarzystwa, założył ten szczególny rodzaj garderoby jak bransoletę na nadgarstek ramienia i postanowił traktować go jako talizman w nadchodzących zmaganiach wojennych na morzu.

Tę wesołą zabawę przerwały koło północy trzy wystrzały armatnie z fortu, które były sygnałem zbliżającego się do miasta statku. Po chwili pomiędzy weselników wpadł oficer ze straży portowej i oznajmił przejęty:

– Od zachodu zbliża się ogromna flotylla statków. Fregata „Modeste” z Jego Eksceleńcją lordem Minto właśnie wpłynęła do portu. Obecność Jego Eksceleńcji Raffles na molo jest niezbędna.

\*

– Panowie! – powiedział lord Minto i zdjął z głowy srebrzystą, misternie utrefioną perukę. – Musimy naradzić się nad dalszym postępowaniem, ponieważ właśnie otrzymałem nowe instrukcje od Komisji Kontroli. Wieści nie są dla naszej eskapady pomyślne. Komisja sugeruje wycofanie się z przedsięwzięcia na całej linii.

W gabinecie Rafflesa panował straszliwy upał i nawet przysłonięte ciężkimi zasłonami okna i podłoga skropiona wodą nie pomogły w obniżeniu temperatury, dochodzącej czterdziestu stopni Celsjusza. Wszyscy obecni znajdowali się w mniejszym lub większym stopniu negliżu. Narada odbywała się przy zamkniętych drzwiach i nawet pani domu nie miała wstępu w progi gabinetu.

Przy podłużnym stole, zasłanym mapami, dokumentacją i notatkami Tomasza, zasiadało siedmiu z areopagu, dowodzącego inwazją na Jawę. Prócz Tomasza i Lorda Minto był tam kapitan Tomasz Taylor – sekretarz generalnego gubernatora i dowódca dwudziestego czwartego pułku królewskich dragonów, nowy gubernator Pinangu Archibald Seton, sir Samuel Auchmuty – komendant armii, oraz nowo przybyły Jan Leyden.

– Ekscelencjo, przygotowania zaszły za daleko, aby teraz nagle je porzucić. Stracimy na tym fortunę, z czego ani Jego Królewska Mość, ani szanowna Komisja nie będą zadowoleni – powiedział sucho Tomasz.

– Szanowny przewodniczący Komisji nie zdaje sobie sprawy z ogromu tej operacji i z konsekwencji jej niepowodzenia – dodał Archibald Seton. – Część wojska już zaległa obozem wzdłuż Malakki, reszty spodziewamy się w najbliższych dniach.

– Jestem przekonany, że stoimy w przededniu niezwykle ważnej dla Imperium ofensywy, dzięki której raz na zawsze wyłamiemy zęby hegemonii holenderskiej i francuskiej w tej części świata. Przerwiemy holenderski monopol na towary i naturalne dobra tych bogatych, niestety niewłaściwie prowadzonych krain i wprowadzimy nasze humanitarne, nowoczesne i sprawiedliwe prawa.

– W jaki sposób proponuje pan, drogi Raffles, obejść rozkaz Komisji? Czy możemy go zignorować? – zapytał z pewnym niepokojem kapitan Taylor, który znany był z posłuszeństwa i ślepego wykonywania poleceń zwierzchników.

Tomasz uśmiechnął się szelmowsko.

– Właśnie tak. Musimy go zignorować, albo jeszcze lepiej udać, że nie otrzymaliśmy go na czas.

– Och, och, to niemożliwe! – jęknął zgnębiony Minto. – Taka niesubordynacja zasługuje na kulę w łeb!

– Ekscelencjo – odparł z pewnym zniecierpliwieniem Tomasz. – Znajdujemy się tysiące mil od Londynu i nikogo nie zdziwi tego rodzaju sytuacja. Zastanówmy się poważnie. Jeżeli rozkazy przyszłyby o tydzień później, zapewne nie byłibyśmy w stanie nic uczynić, aby zapobiec inwazji. Udawajmy więc dla dobra sprawy, że tak się właśnie stało. Jestem pewien, że po szczęśliwym zdobyciu Jawy król pierwszy pogratuluje nam zwycięstwa.

– Szanowna Komisja niewątpliwie działa z myślą o dobru narodowym i liczy się z opinią reszty Europy – odezwał się milcząco dotąd Leyden. – Ale czy tak naprawdę ci panowie, siedzący w chłodnych, komfortowych salonach urzędów, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakimi jesteśmy tutaj osaczeni? Czy wiedzą, ile samozaparacia, odwagi i prawdziwej mądrości wymaga od Ekscelencji każdy dzień, ba, każda godzina na tym niepewnym, politycznym terenie?

Lord Minto poczerwieniał z zadowolenia i szybko przytaknął poecie.

– Nie mają pojęcia, nie mają pojęcia! – machnął ręką i wydał z pogardą usta. –

Wygodnie jest przysyłać nam niewykonalne rozkazy, pijąc brandy i romansując z aktoreczkami.

– Tu sam sięgnął po karafkę z francuskim koniakiem i westchnął smętnie. – Mówcie panowie, mówcie, coraz bardziej jestem skłonny rozważyć, co doradzacie.

Leyden spojrział porozumiewawczo na Tomasza i mrugnął okiem.

Konferencja zakończyła się jednomyślnym wnioskiem o utrzymanie pozorów, iż rozkazy jeszcze nie nadeszły.

Leyden wyszedł z gabinetu Tomasza ostatni. Dwaj przyjaciele uścisnęli sobie ręce, zaś Leyden położył palec na ustach.

– Ścisła tajemnica, która, mam nadzieję, nie wydobędzie się poza ten pokój.

– Nie przepuszczam – odpowiedział Raffles i potrząsnął głową. – Gaduła byłby równie winny, jak reszta naszego towarzystwa. Jest to zmowa dżentelmenów. Z pożytkiem dla Imperium.

Tomasz patrzył przez chwilę w milczeniu na przyjaciela.

– Cieszę się, że jesteś z nami, Johnie. Tylko że nie wyglądasz najlepiej. Jak się czujesz?

Leyden uderzył go z udaną wesołością po ramieniu.

– Nie obawiaj się o mnie, stary druhu. Wiesz, że nie znoszę statków. Cierpię na pocziwą, archaiczną morską chorobę i muszę mieć nieco czasu, aby się z nią pożegnać.

Leyden nadpłynął z ostatnim konwojem i od wczoraj gościł w posiadłości Rafflesów. Poeta wyglądał na zmęczonego. Jego twarz pokryła się żółtym odcieniem dręczącej go stale malarii, cierpiał na napadowe, silne bóle głowy i chroniczne zaburzenia żołądkowe.

Olivia przestraszyła się jego wyglądu i natychmiast otoczyła go najczulszą, prawie matczyną opieką. Rozkazała służbie przygotować dla niego pokój, położony z dala od hałasu i nieustannej krzątaniny w salonie i jadalni. Okna sypialni Leydena wychodziły na gąszcz bambusów i staw, pokryty rzęsą wodną i dzikimi nenufarami. Prócz tego mała, zadaszona weranda dawała mu ustronne miejsce na pisanie jego pracy na temat języka, obyczajów i sposobu życia Malajów.

– Wiesz, Olivio – mówił po zjedzeniu skromnej kolacji, ponieważ od kilku dni nie mógł przełknąć niczego bardziej treściwego – nie mogę się wprost doczekać przyjazdu na Jawę. Zarówno z Towarzystwa Azjatyckiego, jak i College'u Bengalu mam zamówienia na wnikliwe, analityczne prace porównawcze kultury półwyspu malajskiego i wysp Jawy, Borneo i Sumatry. Materiałów mamy bardzo niewiele, przy tym niedokładnych, by nie rzec, niedorzecznych. Sprawi mi niesłychaną przyjemność i zaszczyt być pierwszym, który da rzetelny obraz kultury tamtych stron.

– Johnie, za ciężko pracujesz. Musisz pozwolić sobie na odpoczynek. Twoje zdrowie nie wytrzyma takiego tempa – martwiła się Olivia i z czułością patrzyła w oczy poety.

Leyden potrząsnął z uporem głową.

– Coś mnie gna i popycha w stronę tych potężnych przedsięwzięć. Nie mam czasu, Olivio, nie mam zbyt wiele czasu.

– O czym ty mówisz, Johnie? Skąd takie czarne myśli? Nie chcę tego nawet słuchać!

– Nie wiem, nie wiem, jest we mnie nieokreślony niepokój, jest we mnie niezaspokojenie, nawet panika, aby zdążyć przed czasem.

– Przed czasem?

– Przed czasem, kiedy będę musiał odejść.

Następne tygodnie, pomimo żalobnych myśli, upłynęły Leydenowi pracowicie i nawet przyjemnie. Czas spędzał na konferencjach z Tomaszem i admiralicją. Jego ekspertyza



lingwistyczna wschodnich dialektów Indonezji ogromnie przydała się w obecnej ocenie sytuacji. Leyden służył wielokrotnie jako tłumacz nie tylko pomiędzy Malajami, i Brytyjczykami, ale także pomiędzy Holendrami a generalnym gubernatorem.

Wolny czas spędzał na kreśleniu ostatecznego szkicu swej pracy i w towarzystwie Olivii. Czasem przyłączyła się do nich Mary Ann, ale niezbyt często, ponieważ wkrótce znowu miała zostać matką, a obowiązki żony jednego z bardziej wziętych oficerów marynarki narzucały jej mnóstwo towarzyskich zajęć.

Olivia wyczuwała zmianę w swoim stosunku do Leydena. Leżała pomiędzy nimi niewypowiedziana do końca miłość, leżały całe tygodnie i miesiące jego nieobecności, w czasie której oboje żyli innym, obcym dla drugiego życiem. Wreszcie stał pomiędzy nimi Tomasz, nieco naiwny, ufny jak dziecko i szczerze oddany obojemu mąż i przyjaciel.

Każde spotkanie z Leydenem stawało się torturą niespełnionego fizycznego zbliżenia. Ciepło i specyficzny zapach jego ciała, miękkość jego skóry na policzkach, dźwięk głosu wprawiały Olivię w cierpienie tym okrutniejsze, że wydawał się tak bliski, tylko na wyciągnięcie dłoni. Ale im bardziej do niego tęskniła, z tym większym zażenowaniem przebywała w jego towarzystwie, tym mniej pewnie czuła się pomiędzy nim a mężem i tym większym smutkiem napełniały ją myśli o przyszłości.

Zbliżał się termin inwazji i niepewności dla nich wszystkich. Wprawdzie Tomasz wierzył w krótką i zwycięską wojnę, ale Olivia, jak każda kobieta w podobnej sytuacji, zadreślała się koszmarami klęski i obrazami poległych.

Dziwne przeczucia Leydena potęgowały ten nastrój, więc stale upewniała się, że nie będzie brał czynnego udziału w bitwie ani niepotrzebnie narażał się na niebezpieczeństwo.

Pewnego wieczoru pozostali z Leydenem sami. Raffles został odwołany na niespodzianą naradę w kabinie gubernatora na „Modeste”, a ponieważ Leyden zamierzał zakończyć rozdział swego dzieła, więc pozostał z Olivią przy stole jadalni. Niespiesznie dopili herbatę i ramię w ramię przeszli na werandę. O tej porze dnia było to najprzyjemniejsze i najchłodniejsze miejsce. Siedzieli długo w milczeniu, słuchając śpiewu cykad i świerszczy.

Wieczór był parny, powietrze duszne, ale pomimo tego oboje czuli potrzebę własnej bliskości i gdy służący zgasił lampy we wnętrzu domu, Olivia pozostawiła tylko dwie chińskie latarnie zapalone nad ich głowami. Prócz miękkiego światła, oblewającego ich ramiona, reszta ganku i ogrodu tonęła w zupełnej ciemności.

Gdzieś w pobliżu pachniał mocno krzak jaśminu i ten słodki, upajający aromat wydawał się lgnąć pieszczotliwie do ich gorących ciał. Oboje instynktownie wyczuwali, że znajdują się u brzegu jakiejś tajemnicy, która zostanie wyjawiona tej nocy, i wiedzieli, że zbliża się ten nieodwracalny moment, od którego nie ma już odwrotu.

Leyden przerwał nagle ciszę i począł deklamować miękkim, prawie niedosłyszalnym głosem.

\*

„Srebrzysty księżyc, chłodny i cichy w godzinie północy,  
spogląda smutny i milczący na zachodnie wzgórza.  
A potężne i blade budowle wydają się rosnąć,  
I czają się na zamarły świat u ich stóp.  
Czy ten głuchy odgłos, to pomruk strumienia Teviot?  
Czy to błękitne światło, to promień księżyca,  
Czy lampka grobowca?  
W jego blasku drży trwożliwie zarys  
Starego, opuszczonego kościoła w Hazeldean”.

\*

Zapadła cisza, którą po kilku minutach przerwała Olivia.

– Jakież to piękne, Johnie. Nigdy nie słyszałam tych zwrotek. Co to takiego?

– *Sceny z dzieciństwa*. Mój ostatni tom wierszy, który zadedykowałem tobie.

– A ja myślałam, że mnie opuściłeś – wyszeptła Olivia i podniosła oczy na poetę.

– Nigdy! – zawołał porywczo Leyden i runął przed nią na kolana. – Towarzyszysz mi zawsze i wszędzie, jesteś błogosławieństwem i przekleństwem mojego życia! Ach, jakże chciałbym cię zapomnieć, przestać kochać! Ale nie mogę, nie mogę!

Szloch wyrwał się z jego piersi, więc porwała tę ukochaną głowę i tuliła ją do piersi, i całowała jego oczy. Oddawał jej pocałunki gorącymi, suchymi wargami, ranił jej delikatną, jedwabistą skórę twarzy i szyi twardym zarostem i w końcu zapomnieli o wszystkim, porzucili wstyd, konwenans i rozsądek. Porwał ją w ramiona i jak dziecko zaniósł do swej sypialni. Potężnym kopnięciem otworzył drzwi i rzucił ją na wąskie, spartańskie łóżko. Przywarła do niego całym ciałem, z zamkniętymi oczami oddawała pocałunki i pieszczoty, nie mogła nasycić wzrastającej jak płomień pasji, nie mogła ugasić tego strasznego, niekończącego się pragnienia.

Czuła wilgoć pod powiekami, a w końcu nie mogła już opanować rześzystych łez, które mieszały się z jego łzami, słone, orzeźwiające potoki niewypowiedzianego szczęścia i rozkosznej ulgi.

Leyden szeptał jej imię zadyszonym głosem spragnionego wędrowca, który ostatkiem sił dobiega do źródła, i pił słodycz jej warg, i dławił w sobie straszliwy, atawistyczny okrzyk zwycięstwa. Była jego, należała do niego duszą i ciałem, stanowili jedność i przez chwilę, przez krótką wieczność, utonął w niej, stopił się z jej ciałem i stał się nią samą.

Wzniesli się na szczyty wysokich, oblanych wrzącą lawą gór i stamtąd, patrząc na daleką, zastygłą w zachwycie ziemię, wydali razem wspaniałą, odwieczny krzyk spełnienia. Leżeli blisko, spleceni ramionami, okręceni wokół siebie jak dwa bluszcze, oddychali z ustami przy ustach, nietykalni, wspaniali.

Dopiero wieczorne pianie kogutów uświadomiło im, że uczyniła się pełna noc i że dłuższe przebywanie razem może sprowadzić na nich nieszczęście. Leyden drżącymi rękami pomógł Olivii założyć suknię i pantofle. Niezdarnie zapinał dziesiątki drobnych guziczków, haftek i zapinek. Całował jej nagie plecy, uda, stopy. W zachwyt wprowadziła go koncha jej różowego ucha, więc łaskotał końcem języka wnętrze tej muszli i na chwilę znowu zapomnieli o rzeczywistości.

Zagarnął ją głodnym ruchem i posiadł po raz wtóry z niezmiennym zachwytem i dziecięcą wdzięcznością.

Wymknęła się od niego wypełniona cudownym spełnieniem. Jej usta i całe ciało, nabrzmiałe od pieszczot, stało się wrażliwe i napięte jak drżąca cięciwa łuku.

Zwinięta w kłębek na małżeńskim łożu po raz wtóry przeżywała rozkosz zbliżenia i odsuwała od siebie natrętne i niezdolne wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy na dźwięk kroków Tomasza na werandzie udawała, że śpi, i odwróciła się do niego plecami, aby nie mógł zauważyć jej sekretnego uśmiechu i pokąsanych warg.

Wiedziała teraz, jak wygląda zdrada małżeńska. Czuła się grzeszna, podła i szczęśliwa. Leyden był mężczyzną jej życia, o tym była przekonana i z tym przeświadczeniem wreszcie zasnęła.

\*

Z początkiem czerwca przypadało święto urodzin króla, więc na tę okazję Minto zarządził celebrowanie i wspaniałą ucztę, która wydawała się znamienna, szczególnie w tych niezwykłych chwilach, tuż przed rozpoczęciem inwazji.

Kilkanaście dział wystrzeliło jednocześnie o wschodzie słońca, na morzu i na lądzie, w południe zaś oddano jeszcze siedemdziesiąt pięć wystrzałów, znacząc w ten sposób ilość lat monarchy.

W godzinach porannych generalny gubernator przyjmował śniadaniem gości w Stadhuis Malakki, a następnie, z pompą iście królewską, przeprowadził ceremonii wyzwolenia dwudziestu niewolników, służących w poprzednim rządzie holenderskim.

Z więzień i podziemi fortu przyniesiono w koszach straszliwe, zardzewiałe i pamiętające ponure kaźnie narzędzia tortur, które oficjalnie na podwórzu Stadhuisu spalono i porąbano.

W uczcie uczestniczyło stu dwudziestu gości z brytyjskiej armii i marynarki, wszyscy ubrani w paradne stroje, kapelusze, pióra i złote epolety.

Wzniesiono niezliczone toasty, między innymi na cześć króla, gubernatora i obecnych dam, za pomyślność zbliżającej się wyprawy i całego Imperium.

Wieczorem, gdy goście przebrali się w balowe stroje, odbył się olśniewający raut z tańcami i kotyliem. Damy miały niesłychane powodzenie, ponieważ na stu pięćdziesięciu dżentelmenów było ich tylko dwadzieścia, wliczając w to Olivię i Mary Ann. Tańce zakończyły się o piątej rano, gdy w forcie grano pobudkę. Olivia padała ze zmęczenia i nie mogła się doczekać powrotu do domu, ponieważ pozostawiła tam Leydena. Poeta nie czuł się tego dnia dobrze i wcześniej opuścił śniadanie u gubernatora.

Zaledwie dwa dni po zakończeniu uroczystości ruszyły pierwsze kontyngenty bengalskiego wojska na południe.

Wyłynęli późnym wieczorem, żegnani długimi gwizdkami salutów z sąsiednich okrętów i wkrótce zniknęli w ciemnościach i fosforyzujących wodach przyływu.

Raffles stał w oknie swego gabinetu i w zadumie patrzył na szybko niknące w nocnych oparach wzdęte maszty wiodącej fregaty.

Pomimo przedstawionego przez niego planu działania Minto wahał się długo, czy zamierzony czas i miejsce inwazji zostaną przyjęte przez rząd w Londynie. To niezdecydowanie odbiło się w najgorszy sposób na kampanii. Raffles proponował, aby natarcie skierować od strony przesmyku Caramaty, bezpiecznego i stosunkowo krótkiego odcinka, który wydawał się idealnie położony dla tak wielkiej floty.

Oczywiście Królewska Komisja Marynarki Wojennej w Londynie natychmiast sprzeciwiła się tym planom, więc zdecydowany na wszystko Tomasz udał się pewnego poranka na wybrzeże i mając za świadków kilku poważnych dżentelmenów Kompanii i oficerów marynarki, zasięgnął języka od miejscowych rybaków.

Ciemnoskórzy, drobni i zawsze uśmiechnięci Malaje najpierw okazali pewne zdziwienie, iż tak wielki *tuan* zawiera ich mizernym głowom, ale uspokojeni uprzejmością Rafflesa powiedzieli, iż żegluga uda się, o ile przeprowadzona zostanie w czasie przyływu, po zapadnięciu ciemności.

Flota składała się z dywizji transportowców, czterech okrętów wojennych, czternastu fregat, siedmiu szalup, ośmiu krążowników i kilku kanonierek. Armia liczyła sześć tysięcy Europejczyków i pięć tysięcy Hindusów. Był to, jak na owe czasy, największy kontyngent

Azjatów, ochotniczo zaciągniętych pod obcą banderą.

Komendant armii, sir Auchmuty, ubrany w czerwony mundur zapięty wysoko pod szyją na złote guzy, prezentując złote orderzy i odznaczenia, salutował elegancko z wojennego statku „Akbar”, dowodzonego przez kapitana Drury. Defiladę odbierał stojący na brzegu, ubrany w splendor szat gubernatora lord Minto, cały świecący od złota i srebra jak olbrzymia, płonąca gwiazda.

Tuż za „Akbarem” sunął dumny „Illustrious”, dowodzony przez kapitana Festinga, nad którym powiewała flaga generalnego komandora marynarki Imperium, lorda Williama Roberta Broughtona.

Było to wspaniałe przedstawienie, teatr dla oczu i zmysłów zachwyconych i pełnych czci widzów, którzy stojąc na molo, bili brawo, wznosili okrzyki zachwytu i dodawali odwagi żołnierzom.

W całym porcie płonęło łuczywo, więc uczyniło się jasno jak w dzień. Rozpalono ogniska, przy których gawieź tańczyła i bawiła się do rana. Malajczycy nie znali prawdziwej przyczyny tej parady siły i potęgi morskiej, ale bawili się jak dzieci i chwalili Rafflesa, który rozkazał zabić barany i kozy i urządził ucztę dla pospólstwa, gdy tylko zapadł zmrok.

Olivia pakowała naprędce kufrzy i kosze, pilnowała zabezpieczania mebli i rozkazała ogrodnikom wykopać kilkanaście kwiatów i krzewów, które postanowiła zabrać ze sobą na nową wyspę. Tomasz niestety nie mógł jej towarzyszyć. Odpływał za trzy dni wraz z gubernatorem na fregacie „Modeste”, ubezpieczanej przez szybki i zwrotny szkuner „Minto”, z kapitanem Greigiem na pokładzie.

Na „Minto” też znalazł się Leyden i kilku malajskich tłumaczy i pisarczyków.

Ostatni wieczór przed rozstaniem państwo Raffles spędzili w domu. Towarzyszyli im tylko Mary Ann, William Flint, Charlotte i Leyden.

Po zjedzeniu wczesnej kolacji wszyscy przeszli na chwilę do salonu, panie na kawę, panowie na cygara. Olivia podeszła do fortepianu i poczęła grać *Sonatę księżycową* niezwykle modnego niemieckiego kompozytora i pianisty Beethovena.

Głębokie, melancholijne i pełne smutku tony utworu oddawały w pełni nastrój Olivii. Gnębił ją strach o Tomasza i nastrój paniki i najgorszych przeczuć o Leydena. Cały dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca, wszystko wypadło jej z rąk i straszne uczucie ucisku pod sercem nie pozwalało jej swobodnie odetchnąć.

Od tamtej nocy nie mieli już okazji być sam na sam. Jeszcze tylko przyrzekli sobie w pośpiechu, niepewni jutra i przepełnieni tęsknotą i łaknieniem, że ich miłość przetrwa wszystko, nawet śmierć, i że kiedyś będą znowu razem. Jeszcze tylko Leyden objął ją w pół i długo i słodko całował jej uległe, miękkie usta.

Pozostała po nim pustka, otchłań wypełniona oczekiwaniem na następną kradzioną chwilę, ale ta już nie nadeszła.

Więc tego wieczora pożerali się wzrokiem i nasłuchiwali brzmienia własnych głosów. Ale wieczór był zbyt krótki, zbyt okrutny, aby mogli choć dotknąć dłoni, rąbka sukni, złowić drżącymi nozdrzami zapach ukochanego ciała.

Na wszystko było już za późno!

Olivia grała Beethovena z sercem ciężkim jak ołów i nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymywała się od głośniego szlochu.

Około dziesiątej towarzystwo przeszło na werandę, zaś hinduska *ajah* odjechała w powozie wraz z uśpioną Charlottą do posiadłości państwa Flint.

– Drogie panie! – zawołał ze sztuczną wesołością mąż Mary Ann. – Rozchmurzcie czoła! Czekają nas wielka przygoda i rajska wyspa! Zawsze wydawało mi się, że kobiety lubią

zmianę. Czyż nie jesteście zadowolone?

Ale nawet Mary Ann, zazwyczaj optymistka i pogodna dusza, nie odezwała się ani słowem.

Tomasz nalał wszystkim szampana i objąwszy żonę opiekuńczym gestem, powiedział:

– Drodzy moi, przed nami wielkie wydarzenia, o których historia będzie pamiętać.

Tworzymy je teraz i musimy wejść w tajemnicze, ledwie uchylone wrota z podniesionym czołem i dumą w sercu. Jesteśmy powołani do wiekopomnych zadań. Lepimy nowy porządek w tej części świata, przynosimy oświatę i lepsze życie uciemżonym ludom Azji. Mamy w sobie załączek wielkości, o którym wspominać będą nasze wnuki. Nie wolno nam zmarnować tego posłannictwa, nie możemy poddać się małodusznym uczuciom lęku i niepewności. To, co czynimy, jest sprawiedliwe. W obliczu wojny z Francją na Kontynencie Europy, w ten sposób pomagamy naszej ojczyźnie, jesteśmy prawdziwymi patriotami. Dlatego wznoszę toast za Brytanię, za pomyślność królestwa i naszą własną!

Leyden przyglądał się przyjacielowi i wzbierało w nim serce. Tomasz nie udawał, jego słowa tchnęły prawdą i siłą. Niezwykły, nieodgadniony, ekstrawagancki Tomasz Stamford Raffles! Genialny i błyskotliwy Tomasz Stamford Raffles! Olbrzym na miarę tych gigantycznych czasów, w których przyszło im żyć. Leyden, intuicją człowieka, który stał już u schyłku swoich dni, nagle zobaczył przed sobą bohatera, postać, której stawiać będą pomniki. I ten człowiek był jego przyjacielem.

A on go zdradził. Ta świadomość uderzyła go jak żelazna pałka, jak pięść w stalowej rękawicy. Leyden zachwiał się i kurczowo pochwycił oparcie krzesła. Zawrót głowy minął szybko i poeta już spokojniej słuchał rozmowy towarzystwa.

– Flint, dobrze zauważyłeś, że jedziemy do rajy. Tak, to jest ziemia obiecana, ja to czuję i jestem przeświadczony, że tylko dobro i wielkość będą nam od dziś towarzyszyć. Drodzy, za pomyślność wyprawy, za owocną ekspedycję!

Wszyscy w milczeniu, przepełnieni nadzieją, strachem, a nawet grozą, wychylili kielichy.

– Na szczęście! – zawołał Flint i rzucił z rozmachem kryształowy puchar o ścianę werandy.

Naczynie rozprysło się w tysiąc migocących jak małe słońca odprysków. Jeden z nich zadrasnął do krwi czoło Leydena. Olivia podbiegła do kochanka i nie zważając na jego pełne ostrzeżenia spojrzanie, otarła własną chusteczką wolno sączącą się strużkę. Wypadek ten uczynił niemiłe wrażenie na obecnych, więc pomimo przeprosin Flinta i protestów Tomasza wszyscy szybko się rozeszli.

Dwa dni później Olivia, Mary Ann, Charlotte i hinduska *ayah* wspięły się po stromym trapie indiamana „Prestona”. Witął ich korpulentny i szarmancki kapitan Henry Sturrock, który zanim dopłynęli do celu, zakochał się po uszy w Olivii i gotów był porzucić dla niej żonę, poślubioną mu od dwudziestu pięciu lat, i gromadkę dzieci. Prócz tego podróż minęła bez szczególnych wypadków. Był 18 czerwca 1811 roku.

\*

Generalny gubernator Jawy, Jan Willem Janssen, charakteryzował się powolnym myśleniem, powolną mową i dużą dozą rozsądku. W spadku po poprzednim rezydencie wyspy odziedziczył straszliwy chaos ekonomiczny i polityczny, pustą szkatułę, bezprawie na ulicach i przekupstwo w armii i w biurach Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Zdawał sobie sprawę, że niewiele może zdziałać, mając na karku niezadowolonych tubylców, nienawidzącego go lokalnego sułtana, zblazowanych urzędników i „brytyjskiego brytana”, szczerzącego zęby od zachodu.

A jednak Janssen powoli i systematycznie naprawiał i umacniał wały obronne i fortyfikacje stolicy wyspy, Batawii, na wypadek niespodzianego napadu. Właściwie czynił wszystko, czego wymagała racja stanu i zdrowy rozsądek.

Od szpiegów wiedział, że brytyjska flotylla wyruszyła już z Malakki, i spodziewał się jej lada moment.

Był koniec sierpnia i upały tak straszliwe, że kilku żołnierzy, pilnujących okopów i fortyfikacji nadmorskich, zmarło z wycieńczenia, zaś sam Janssen cierpiał na dokuczliwą, swędzącą wysypkę, która doprowadzała go do szaleństwa.

Tego ranka wstał przed wschodem słońca, bo była to jedyna pora dnia, gdy mógł jeszcze rozsądnie myśleć, i natychmiast zawołał ordynansa, aby ten pomógł mu wciągnąć na potężne łydy wysokie, pruskie sztylpy. Janssen ubierał się na modłę niemiecką, nosił długie, straszliwe dla wroga rapier i ogromną, kruczoczną perukę. Pomimo uciążliwego klimatu co dzień zakładał ciężką, wełnianą kamizelę, skórzane spodnie i trójganiasty kapelusz.

Janssen spełniał ważne funkcje na wyspie, gubernatora i naczelnego generała sił armii holendersko-francuskiej. To połączenie dwu przeciwnych kultur, religii, a nawet interesów politycznych sprawiało mu prawdopodobnie jeszcze więcej kłopotów niż upalna pogoda, wysypka i bliskość Brytyjczyków razem wzięte.

Nie dalej niż wczoraj zmuszony był postawić pod sąd wojenny oficera francuskiego i holenderskiego, którzy w obliczu nadchodzącego wroga pojedykowali się w najlepsze pod murami bastionu miasta. Nie było bowiem miłości w zjednoczonym wojsku Niderlandów i wielkiego cesarstwa Francuzów.

Bonaparte sztucznie wymusił proklamację nowego królestwa niderlandzkiego pod berłem własnego brata, czym zasłużył sobie na wieczną nienawiść podbitego narodu.

Wprawdzie w azjatyckiej części globu interesy Holendrów i Francuzów w tym momencie pokrywały się, ale pomimo tego zwykły żołnierz patrzył groźnie na niedawnego przeciwnika i prawie co dzień wynikały z tego burdy, bijatyki i niesnaski.

Gubernator skinął niecierpliwie na wyprężonego na baczność adiutanta i prawie wyrwał mu z ręki lunetę, którą zwykle o tej porze lustrował horyzont morza. W przejrzystym powietrzu widoczne były dalekie zarysy wysp Bellitung i Bangka, ale poza tym morze było puste i spokojne. Janssen westchnął z ulgą i klasnął na służącego.

Zasiadł do suto zastawionego stołu, na którym nie brakowało ryb, pieczystego, jajecznicy i zimnego piwa. Gubernator lubił jeść dużo i do syta, poczynając od śniadania. Jedzenie była to jedna z jego niewielu przyjemności, na jakie mógł sobie tutaj pozwolić. Drugą było polowanie, ale ze względu na powagę chwili, aby dać przykład żołnierzom, odmówił sobie tej niewinnej rozrywki.

Jego majordomo, odziedziczony po poprzednim gubernatorze, wszedł z niskimi ukłonami

i począł szeptać coś do jego ucha. Olbrzym zmarszczył brew i potrząsnął ze złością wielką głową.

– Nie teraz, nie teraz, nie mam czasu na zabawy!

Ale było już za późno, bo do pokoju wsunęło się kilkoro tubylców, ubranych w sarongi i białe kaftany, zapinane wysoko pod szyją.

Byli to krewni majordomo, którzy trudnili się sprzedażą kukiełek *wayang*, sporządzonych ze skóry lub papieru. *Wayang* był najpopularniejszą formą teatru cieni, w którym przedstawiano sceny ze starych eposów Mahabharaty i Ramajany.

Gubernator pewien czas temu nieopatrznie wyraził życzenie, iż zakupiłby dla rodziny w Rotterdamie, na pamiątkę z Indonezji, kilka takich lalek i teraz nie mógł się opędzić od natrętnych kupców.

Wytarłszy usta ogromną serwetą, zabrał się do oglądania towaru i w pierwszej chwili nie usłyszał niedalekich i szybko przybliżających się strzałów. Jego adiutant podbiegł do okna i zawołał przeraźliwym głosem:

– Ekscelencjo, bitwa na wschodnim krańcu miasta! Widać dymy i słyszać kanonadę!

Gubernator porzucił kukielki i przerażonych Malajów i rzucił się ku lunecie.

Wschodnia część miasta tonęła w sinym pożarze płonących domów i przemysłowych budynków Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Janssen nie wierzył własnym oczom. Brytyjczycy jakimś cudem podpłynęli od wschodu, co oznaczało, że ominęli Borneo od strony Tanjung Sanbar i przemknęli się na terytorialne wody Jawy poprzez wąski, niebezpieczny korytarz Caramaty!

Od tamtej strony Jawa była zupełnie niezabezpieczona, nie zbudowano żadnych fortyfikacji i właściwie droga do Batawii stała otworem!

Nastał sądny dzień w kwaterach gubernatora, a on sam, bez peruki, z nagim rapierem w dłoni, wydawał ryczącym głosem sprzeczne ze sobą rozkazy. Adiutanci biegali w kompletnym zamieszaniu, zderzając się ze sobą na korytarzach i w dziedzińcach, kury umykały spod nóg żołnierzy, a miejscowe markietanki, sprzedające owoce i smakowite pieczyste ze świni, *babi guling*, rozpierchły się z wrzaskiem po murach twierdzy i czyniły harmider większy niż kanonada i odgłosy bitwy.

Janssen pchnął kilka oddziałów rajtarów i dragonów na wschód oraz skierował paszczę dział w stronę przesmyku, ale było już za późno. Brytyjczycy wdarli się na ląd i parli, prawie bez oporu, w stronę stolicy, zaś flota stu okrętów wojennych waliła z dział prosto w nieosłonięty, bezbronny ląd, gdzie zamieszkiwała biedna ludność Bugis i pewien procent białych kupców i plantatorów indygo.

Bez wystrzału i jakiegokolwiek obrony wojska francuskiego, Brytyjczycy podeszli na odległość kilku mil od centrum Batawii i rozbili się obozowiskiem, którego krańca wzrok nie mógł objąć.

W ciągu nocy otoczyli miasto zwartym pierścieniem, że ani ptak nie mógł się przedostać i odcięli jakąkolwiek możliwość porozumienia się gubernatora z dalszą częścią archipelagu.

Tylko cztery dni trwało oblężenie, gęsto przerywane kanonadą dział Anglików od strony morza i słabą odpowiedzią armat fortu Batawii.

Lord Minto dyrygował teatrem wojny ze swego flagowego statku „Modeste”, mając u boku Tomasza i admiralicję.

Dwukrotnie wysyłał parlamentariuszy z rozkazem o poddanie miasta, a równocześnie przyrzeczeniem, że zezwoli nieprzyjacielowi wycofać się z honorem. Dwukrotnie dumny Janssen odesłał ich z kwitkiem i morderstwem w przekrwionych z niewyspania oczach.

W końcu, za poradą Rafflesa, Minto wysłał zaciężne wojsko, pod dowództwem



pułkownika Gillespie, aby przeprowadzono ostateczny szturm na miasto. Najdłużej broniła się placówka francuska, pod dowództwem dzielnego generała Jumela, ale po dwóch godzinach padła, zaś broniących wysieczono co do nogi.

Wojska holenderskie cofały się systematycznie i pod koniec sierpnia Janssen znalazł się w opustoszałej wsi Jatinegara, w pobliżu Semarangu. Tutaj doszło do walnej, decydującej bitwy, w czasie której holenderski gubernator zrozumiał, że przegrał i nie ma dla niego ucieczki. Zdecydował się na szaleńczy krok. Niezwykle odważnym manewrem przebił się z garstką takich samych jak on straceńców przez brytyjskie posterunki i straże i pod osłoną nocy umknął do Semarangu, w odległości dwustu mil od upadłej stolicy. Poniósł przy tym tak ciężkie straty, że rwał włosy z głowy i przez kilka dni odmawiał jedzenia, a jego najbliżsi oficerowie obawiali się o jego rozum.

Otóż położenie resztek jego armii było straszne. Naród Jawy stał się nie tylko agresywny i napastliwy w obliczu nowego okupanta, ale wystarczająco nienawidził obecnego gubernatora, aby wywołać insurekcję i rozprawić się raz na zawsze z białym kolonizatorem.

Janssen w chwili rozpaczy postanowił wysłać emisariuszy do lokalnego sułtana Baddrudina z prośbą o dodatkowy kontyngent wojska, ale był to ruch nie tylko katastroficzny dla obecnego stanu wojny, lecz także dla przyszłości Kompanii. Sułtan nie odpowiedział nic na rozpaczliwe wezwanie gubernatora, zaś posłów kazał uwięzić. Nikt ich już więcej nie widział i ich los pozostał tajemnicą.

Flota Brytyjczyków tryumfalnie wpłynęła do portu Batawii. Przywitała ich cisza opuszczonych armat, wymarły brzeg i opustoszałe białe domy rezydencji francuskich. Puste okna w kształcie rżniętego amsterdamskim szlifem diamentu tłukły się otwartymi na oścież żaluzjami i drewnianymi okiennicami, na zakurzonych ulicach fruwały papiery, szmaty i śmiecie. Ludność uciekła, pociągnęła za wojskiem lub postanowiła przedostać się na drugą stronę wyspy, do Bandungu.

Minto stał na burcie „Modeste” i przez lunetę obserwował lądowanie armii na plaży. Z daleka wszystko wydawało się małe i nieistotne, ale oko gubernatora zauważyło drobną figurkę odosobnionego człowieka, który wyprzedził wszystkich i brnął z wysiłkiem i uparciem pod prąd krótkiej, płytkiej fali przybrzeżnej.

Woda sięgała mu zaledwie do pasa, ale nie to przyciągnęło oko komendanta.

Postać przybrana była w strój pirata, z tradycyjną, klasyczną czarną opaską na oku i szkarłatną chustą na głowie. W ostrym słońcu połyskiwały długie, złote kolczyki i srebrzysta rękojeść zatkniętego za pas pistoletu.

– Na Boga! – zawołał zdumiony Minto. – Przecież to Leyden! Nie do wiary! To Leyden!

Jakoż był to rzeczywiście poeta, porwany entuzjazmem i osobliwością chwili, spełniający ślub, iż będzie pierwszym Brytyjczykiem, który dotknie stopą nowego lądu. Pomimo gorącego powietrza, woda była lodowata i przejęła go długim, straszliwym dreszczem. Szczękając zębami, dobrnął do brzegu i cały drżący, musiał na chwilę usiąść na rozgrzanym piasku.

Trząśł się jak w febrze, więc pomyślał: „Cóż do licha? Czyżbym miał się tutaj rozchorować jak dziecko?”

Ale wspaniały widok podniósł go na duchu, więc zerwał chustę z głowy i począł wywijać nią entuzjastycznie, budząc śmiech i żartobliwe uwagi żołnierzy, wysypujących się z szalup.

Morze, jak okiem sięgnąć, bieliło się rozdętymi żaglami wojennych, rączych fregat i zwrotnych szkunerów. Dziesiątki łodzi, załadowanych wojskiem w czerwonych i granatowych kurtach, czerniało na kształt długich ździebeł jakiejś gigantycznej trawy w rozkołysanych

odmętach, Powietrze drgało od gorąca i tysiąca sztyletów rozproszonego światła na metalowych częściach broni, szpadach, lancach i strzelbach. Niektóre łodzie dopływały już do brzegu, więc żołnierze wyskakiwali niezgrabnie do wody i pchali z wysiłkiem ciężkie, drewniane burty i jak psy otrząsali się z zalewającej ich wody.

Leyden widział w oddali charakterystyczną sylwetkę indiamana „Prestona”, na którym znajdowała się jego ukochana.

Jego serce przepełniała dzika radość. Oto znaleźli się na nowym, wspaniałym, znanym mu z opowieści i studiów lądzie, bogatym w nadzwyczajną, starożytną kulturę, bujną przyrodę i niezapomniane krajobrazy.

Stali na progu cudownej przygody, a on, pisarz, lekarz i naturalista, chłopiec ze wsi szkockiej, dostał od wspaniałomyślnego losu szansę na nowe odkrycia, zbadanie nowych dróg i przede wszystkim na spędzenie czasu w towarzystwie ukochanej kobiety. W tej chwili wszystko wydawało się Leydenowi proste. Przepełniało go szczęście, nadzieja i miłość.

Więc śmiał się, skakał jak dziecko i śpiewał na cały głos *Zielone wzgórza Morfoot Hills*.

\*

To był letni dom jakiegoś bogatego francuskiego oficjła, otoczony ogrodem eukaliptusów, drzew mlekowych i jakarandy. Cała dzielnica Welteverden nosiła znamiona bogactwa i wytworności. Minto z zadowoleniem chodził po pustych, dźwięczących echem jego kroków pokojach, ponieważ właścicielom udało się wywieźć większość eleganckich, drogich mebli. Pozostawili ciężkie etażery, mahoniowe biurko i kilka krzeseł à la Ludwik XVI, ale właśnie to było w tej chwili najbardziej potrzebne. Minto założył w willi sztab generalny i wprawdzie spał na statku, ale urzędował wraz z admiralicją w Welteverden.

Od razu w pierwszy wieczór zarządził naradę wojenną, która przemieniła się w uroczystość świętowania łatwego zwycięstwa.

– Straciliśmy mniej niż tysiąc ludzi, wliczając w to rannych. Nasz tryumf jest zupełny, wojska francuskie i holenderskie rozproszone, większość zginęła, inni wzięci w niewolę. Generalny dowódca uciekł na wschód, ale mamy nadzieję złapać go w przeciągu kilku dni – meldował rozpromieniony pułkownik Gillespie i zacierał duże, czerwone ręce spracowanego robotnika.

– Musimy przygotować polityczną proklamację do narodu – powiedział Tomasz i otworzył podręczne puzdro z przyborami do pisania. – Jest to naszym obowiązkiem i pierwszym zadaniem.

– Nasze rozkazy z Londynu nakazują nam zniszczenie fortyfikacji i opuszczenie wyspy – odezwał się ponuro Minto i pokrył się krwawym rumieńcem. Samo wspomnienie nieudolnych urzędników Komisji Kontroli przy dworze St. Jamesa napawało go wściekłością i przyprawiało o początki apopleksji.

– Nie może być! – zaprotestował porywczy Gillespie. – Tyle trudu i przelanej krwi nie może pójść na marne.

– Zgoda. Po raz drugi wprowadzimy w życie znaną nam z uprzednich wydarzeń polisę – rzekł spokojnie Tomasz i wypuścił błękitny kłęb dymu z długiego cheroota.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie, ale nikt nie wypowiedział słowa sprzeciwu. Wspomniana przez Tomasza „polisą” była na dłuższą metę niebezpieczna, ale w tej chwili niezbędna. I jak do tej pory dawała dobre rezultaty.

Leyden tymczasem, nadal prezentujący się wspaniale, jeśli nie okrutnie i dziko w swym kostiumie pirata, zwrócił się do Tomasza:

– Wszyscy tu obecni otrzymają niewątpliwie odpowiednie do ich profesji i upodobania zajęcia, więc i ja swą skromną osobą chciałbym przyczynić się w pewien sposób do całkowitego zwycięstwa. Czy mógłbym cię prosić o przysługę, Tomaszu, oczywiście z przyzwoleniem Jego Ekscelencji?

– Cóż to takiego? – pytał z uśmiechem Minto, który lubił szalonego poetę i podziwiał jego fantazję.

– Wiem, że w Batawii znajduje się znakomicie zaopatrzona biblioteka ze starymi foliałami poezji i dramatu Azji południowej, hinduskimi manuskryptami i tomami historii społeczeństw Indonezji. Czy mógłbym otrzymać pozycję głównego bibliotekarza tej placówki, a być może i organizatora katalogu zbiorów?

– To jest niewątpliwie najłatwiejsza, a przy tym pierwsza nominacja w nowym rządzie – roześmiał się Minto i poklepał poetę po ramieniu. – A teraz radźmy, panowie, radźmy. Wydarzenia w Europie wymagają od nas siły i koncentracji i zabraniają nam okazania

jakiegokolwiek słabości i opieszałości.

\*

Leyden rzucił się na zakurzone foliały i manuskrypty, jak wygłodniały człowiek rzuca się na miskę ciepłej stawy.

Biblioteka znajdowała się w pałacu gubernatora, tuż obok ponurej, przysadzistej cytadeli. Leyden nawet nie oglądął komnat gubernatorskich, pozostawił to na później, tylko natychmiast przystąpił do przeglądania zakurzonych półek z księgozbiorem. Sala była olbrzymia i tak brudna, że poetę porwał straszny atak kaszlu, na który nawet otworzenie okien nic nie pomogło. Kombinacja stęchłego powietrza, wilgoci i zadawnionego prochu drażniła niemiło powonienie i drapała w gardle.

Ściany pokrywał szary grzyb, woluminy i skórzane okładki książek rozsypywały się w rękach i pozostawiły na palcach czarne smugi sadzy.

Nic dziwnego, że nikt z uciekających nawet nie pokwapił się z wywiezieniem choć niektórych dzieł, a były wśród nich egzemplarze chińskiej poezji, tłumaczenia na język francuski Plutarcha i Horacego, dokumenty dworskie z okresu czternastowiecznego królestwa dynastii hinduskiej, zbiór sonetów i inwentarza pałacu królewskiego w języku portugalskim z szesnastego wieku i cała masa innych, dziwacznych, niezwykłych i rzadkich manuskryptów, których odczytanie i uszeregowanie w jakimś porządku zajęłoby nie kilka tygodni, ale prawdopodobnie kilka lat.

Leyden pracował do późnej nocy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i dopiero gdy zgasła ostatnia świeca, przeciągnął się i postanowił udać się z powrotem na statek.

Zamknął na wielki klucz ponurą salę i przeszedł przez puste, ciemne korytarze i labirynt pokoi. Towarzyszyło mu dla bezpieczeństwa dwu żołnierzy, którzy również przewieźli go łódką na pobliskie „Minto”.

Leyden przewracał się przez większość nocy na wąskiej koi i nie mógł zasnąć. Dręczyło go straszliwe pragnienie i ból głowy, który nad ranem stał się tak uporczywy, że poeta wstał i wyszedł na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale uczyniło się już widno i ciche, uśpione statki stały w zatoce, jak milczący strażnicy pograżonej w porannych oparach ziemi. Zapowiadał się następny bardzo upalny dzień i Leyden z pewnym wstrętem pomyślał o ponownym zanurzeniu się w duszną, niezdrową atmosferę biblioteki. Poczul nagły zawrót głowy, więc oparł się z całej siły o burtę i pochylił głowę w stronę wody.

Morze było spokojne, gładkie i oleiste jak tłusta zupa. Chropowate, drobne fale biegły do brzegu i zle, rozbiły się o złoty piach plaży. Widział zarys swej głowy i ramion w odbiciu wody i nagle wydało mu się, że spoza nich wychyla się jakaś czarna istota o wielkich, przepastnych oczach. Wzdrygnął się cały i szybko spojrzął poza siebie. Nie było nikogo, ale jego serce zaczęło walić nieokreślonym niepokojem i poczuł chłodny pot, występujący na całym ciele nieprzyjemną, lepka warstwą.

Zadrzał i zakrył się szczelnie peleryną. Jak człowiek we śnie, zaczął mrużyć nieco zmienionym, ochrypłym głosem.

\*

„Olivio, ach! Przebacz bardowi, jeśli  
Wesołe melodie, tak przez ciebie kochane,  
nagle przemieniły się w żalosne nuty,  
ale usłyszał on kroki odchodzącego starego roku”.

\*

Odchodzącego roku ...roku ...roku – odzywało się echo w jego mózgu.

Spojrzał przytomniej i zrozumiał, że jest bardzo chory. Jeszcze nie rozróżniał objawów, boć przecież chorował często, ale było coś innego, nieznanego w tej lepkości, tym otumanieniu i odrętwieniu, które ogarniało nie tyle jego członki, co właśnie mózg. Ból w głowie stukał i walił, jak żywa istota, która usiłuje wydostać się z czaszki, aż Leyden jęknął i przymknął oczy.

Ogarnęła go ciemna otchłań, pełna niewyraźnych dźwięków, nierozpoznawalnych światła, które gonili się wzajemnie, oślepiły i drażniły. Chwilami budził się i wydawało mu się, że widzi nad sobą twarz Tomasza, potem słyszał głos lorda Minto, ale znowu otulała go warstwa miękkiej, grubej materii. O nic nie dbał i o niczym szczególnym nie myślał.

Trwał tak gdzieś w tych pustkowiach, zawieszony jak gasnąca gwiazda na nieboskłonie maligny, aż nagle skądś wychynęło imię Olivia! Podniósł się z wysiłkiem z pościeli ze strasznym krzykiem, rwąc na sobie koszulę i wołając rozpaczliwie:

– Przyjdź do mnie, błagam, przyjdź do mnie! Po raz ostatni muszę cię zobaczyć!

– Gorączka się potęguje, stan beznadziejny – usłyszał obcy głos i nagle powrócił pomiędzy żywych. Leżał w ramionach Tomasza, a jakiś starszy dżentelmen, zapewne lekarz, ocierał mu pot z twarzy. Leyden był tak słaby, że nie mógł unieść nawet dłoni. Każdy najmniejszy ruch, wykonany nawet tylko w myślach, wywoływał w nim falę nudności. Siłą powstrzymywał się od wymiotowania na kolana przyjaciela. Otworzył szerzej oczy, bo widział go przez mgłę, gdzieś na końcu długiego, ciemnego tunelu.

– Tomaszu, powiedz jej, powiedz... – powiedział przytomnie.

– Cicho, nie wysilaj głosu. Musisz odzyskać siły.

Raffles kołysał go jak dziecko i gładził jego zlepięte potem włosy. Był zmierzch, było bowiem ciemno. To chyba był zmierzch? Leyden zastanawiał się nad zrozumieniem najprostszych słów i zaraz uciekał w głąb samego siebie. Zapominał, co chciał powiedzieć, ale wiedział, że jest to coś niezmiernie ważnego, od czego zależy...

– Olivia – wyszeptał białymi ustami. – Zawsze, zawsze kochana...

Nie widział wyrazu oczu przyjaciela, bowiem począł spadać coraz szybciej tym wąskim, długim korytarzem w przepaść bez końca. Ostatnim wysiłkiem zacisnął rozpaczliwie dłoń na rękę przyjaciela i skonał.

Tomasz z rozzierającym smutkiem potrząsnął głową i powiedział:

– Tak, wiem, zawsze ją kochałeś.

Następnie zamknął uchylone powieki poety i złożył pocałunek na jego stygnących ustach. Stary lekarz westchnął i potrząsnął głową.

– Malaria. Nieco inne objawy, ale na pewno malaria. Ozdrowienie zależy od indywidualnego organizmu. Każdy umiera inaczej. Przykro mi, wszak to był pana przyjaciel.

– To był mój brat – odparł głucho Tomasz.

\*

Wiść o śmierci Leydena omal zabiła Olivię. Przyniósł ją Tomasz i pomimo że starał się podać tę tragiczną nowinę delikatnie i oględnie, Olivia położyła dłoń na sercu i zemdląca.

Potem zapadła w stan zupełnej obojętności, graniczący z letargiem.

Pielęgnowała ją Mary Ann, sama zapłakana i ociążała z powodu zaawansowanej ciąży. Ciasna, ciemna i duszna kabina statku, nabrzmiała atmosferą rozpaczki dwu niewiast, stała się istnym grobowcem za życia dla biednej Olivii na okres kilku tygodni.

Tymczasem Tomasz pochował przyjaciela na cmentarzu Tanah Abang i wysłał zaufanego plenipotentą do Kalkuty z rozkazem wykonania odpowiedniego nagrobka z serdeczną inskrypcją.

Dwa tygodnie po śmierci Leydena, przy akompaniamencie grających dział Artylerii Bengalów, odczytano proklamację w języku angielskim i holenderskim, obwieszczającą całkowite zdobycie Jawy i warunki nowej administracji.

Minto mianował Tomasza gubernatorem wyspy, zaś pułkownik Gillespie otrzymał główne dowództwo armii i pozycję w Radzie. Aby okazać dobrą wolę i przestrzegać wymogów międzynarodowej konwencji, do rady weszło dwu Holendrów, prezydent sądu najwyższego wyspy Herman Muntinghe i prezes magistratu Batawii Willem Cranssen.

Wspaniały orszak udał się potem do opuszczonego pałacu gubernatora, który odtąd miał stać się siedzibą nowego rządu i miejscem zamieszkania państwa Raffles.

Olivia dopiero w październiku wprowadziła się do pałacu. Zajęła pokoje z widokiem na ogrody, pełne bujnej roślinności, a przede wszystkim dzikich, egzotycznych orchidei.

Całe dni spędzała w cieniu ogromnych sykomor, w których uwiły sobie gniazda dziesiątki różnobarwnych, nieznanych jej ptaków. Olivia słuchała z przyjemnością ich treli i mogła spędzać całe dni w tym odosobnionym miejscu, pełnym szelestu liści i brzęku owadów. Dopiero pod wieczór, gdy poczynęły ciąć komary, służący przynosili chorą, w lektyce, do pałacu.

Olivia powoli przychodziła do zdrowia. Pomagała jej w tym obecność Mary Ann i Charlotty, a później rozkoszny, pucułowaty i wiecznie wierzgający tłustymi nóżkami noworodek, chłopczyk o imieniu Karol, którego Mary Ann powiła kilka tygodni po śmierci Leydena.

Z końcem października Olivia poczuła się na tyle dobrze, że Tomasz ośmielił się zaproponować urządzenie pierwszego bankietu i balu gubernatorskiego.

Olivia zabrała się z niespotykaną energią do przygotowań i wydawało się, że wkłada w to przyjęcie całą swą duszę i myśli. Nie mówiła o niczym innym, co dzień naradzała się z kucharzami, majordomo i plenipotentem, w jaki sposób zapewnić rozrywkę towarzystwu, które miało się składać zarówno z Brytyjczyków, jak i Holendrów i Malajów.

Ustalono wytworne i pracochłonne menu, zamówiono kilka skrzyń ogni sztucznych, postanowiono sprowadzić grupę malajskich tancerzy i wojskową orkiestrę do tańca.

Pałac przystrojono girlandami kwiatów i liści, rozesłano zaproszenia na welurowym papierze z herbem Kompanii i malowniczo rozmieszczono setki lampionów w ogrodach, na podjeździe i tarasie.

W dzień przyjęcia Olivia odpoczywała całe popołudnie w swej sypialni, a towarzyszyła jej Mary Ann wraz z dziećmi i niańką. Około siódmej wieczorem panie rozpoczęły toaletę, więc *ayah* wraz z dziećmi przeszła do przyległej bawialni. Olivia ubrała tego wieczoru ciemnoturkusową suknię z długim trenem, ozdobioną przy dekolcie i na kraju spódnicy pawimi



piórami.

Prócz tego nie nosiła żadnych klejnotów i właśnie dlatego wyglądała olśniewająco. Mary Ann patrzyła na nią z zachwytem i pomimo własnej urody i smukłej, ślicznej sylwetki czuła się jak Kopciuszek w towarzystwie Wenus.

Olivia była niezwykle, nawet nieco przesadnie ożywiona, śmiała się często i głośno i mówiła dużo, bez szczególnego zastanowienia. Policzki pały jej niezdrowym rumieńcem, oczy błyszczały chorobliwie i nachylając się nad szwagierką, Mary Ann wyczuwała mocny zapach brandy, jednakże nie powiedziała o tym bratu, czego potem przyszło jej mocno żałować.

Uważała, że Tomasz ma wiele zajęć w tym ważnym dniu, a poza tym nie chciała go niepotrzebnie martwić. Wiedziała bowiem, że euforyczny stan Olivii, niewątpliwie wywołany alkoholem, jest przejściowy, a prawdziwa przyczyna jej nieustannego przygnębienia to przedwczesna śmierć Leydena. Mary Ann nie wiedziała, że Olivia była kochanką poety, ale wierzyła, że łączyła ich iście braterska miłość i widziała cierpienie ukochanej szwagierki tuż po jego śmierci.

Przyjęcie otworzył lord Minto, otoczony swą grupą oficerów, dyplomatycznego korpusu i zaproszonych gości.

Gubernator Raffles z małżonką witali przybyłych gości przy wejściu na schody wielkiego hallu, gdzie czarni lokaje roznosili napoje alkoholowe i szербety. Następnie państwo Raffles wiodli pochód do sali jadalnej, przygotowanej na przyjęcie ponad stu osób. W rauce uczestniczył korpus oficerów marynarki i armii obu stron. Wśród Holendrów znajdowali się Merkus von Kock – dowódca sztabu pokonanej armii holenderskiej, oraz generał baron von Lutzow, który był adiutantem gubernatora Janssen. On to właśnie zdał sprawę o ostatnich dniach olbrzyma, a opowieść była tak dramatyczna, że niektóre damy poczuły się słabo na wieść, w jaki sposób generał zakończył życie.

– Generał Janssen do ostatniego momentu wierzył w cud opatrności i niespodzianą pomoc z zewnątrz – mówił ze smutkiem von Lutzow. – Zaszył się wraz z kilkunastoma oficerami w domku na przedmieściach Samarangu i wszyscy wiedzieliśmy, że nie odda się do niewoli żywcem. Każdy z nas miał przy sobie broń, niektórzy pistolety, a wszyscy szable i rapiery i byliśmy gotowi drogo oddać głowy w razie odkrycia naszej kryjówki. Tego pamiętnego wieczora upał stał się w naszych ciasnych komórkach tak straszny, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, niektórzy odważyli się wyczołgać na zewnątrz i w mizernym, na pół uschłym ogrodzie zażywać nieco świeżego powietrza. Wśród nich był także gubernator, który zawsze odznaczał się gorącą krwią i nigdy nie przyzwyczał się do tutejszego klimatu. Ja i kilku innych pozostaliśmy w chacie i to uratowało nam życie. W krótkim bowiem czasie usłyszeliśmy w ogrodzie strzały i krzyki mordowanych i kiedy ostrożnie wyjrzałem przez dziurę w ścianie, z przerażeniem dojrzałem gubernatora, w otoczeniu kilku oficerów, broniących się przed atakującym ich wojskiem Malajów. Natychmiast poznałem po mundurach gwardię sułtana Baddrudina i wiedziałem, że jeśli wezmą nas żywcem, będziemy wszyscy zgubieni. Janssen bronił się dzielnie i długo. Wokół niego padli wszyscy, a on stale odpierał pchnięcia długich spis i zakrzywionych azjatyckich szabli wroga. Górował nad drobnymi Malajami olbrzymią sylwetką i zapewne siłą, ale nadbiegło tylu żołnierzy, że padł pod ich naporem, całkowicie nakryty ruchomą masą ludzką. A jednak nie zginął, tylko omdlał, bo po chwili uniesiono go do góry i tak, na rękach nieprzyjaciół, porwano go w niewiadomym kierunku. Widać wojsko miało nakaz sułtański wziąć go żywcem i wkrótce mieliśmy się przekonać dlaczego. Do naszej kryjówki nikt nie zaglądnął i tak uniknęliśmy śmierci. Widocznie Malaje przypuszczali, że wokół Janssen zgrupowała się reszta sztabu i z wrodzonego im lenistwa nie przeszukali okolicy. Jansseną wprowadzono do pałacu sułtana. Tam został poddany straszliwym torturom, o których na drugi

dzień mówiono w całym mieście, ponieważ jego jęki słychać było ponoć z odległości mili. Czy to prawda, nie wiem, ponieważ już mnie w tym czasie w Samarangu nie było. Czystym trafem w pobliżu naszej chatynki przechodził oddział brytyjskich lansjerów, więc poddaliśmy się im szybko, woląc niewolę brytyjską niż gościnę sułtańską. Gdyby nie gorąca krew Janssena, byłby prawdopodobnie nie wpadł w ręce okrutnego księcia. Stało się jednak inaczej. Sułtan nienawidził generała i znakomicie wykorzystał nad nim przewagę. Na drugi dzień zbezczeszczone zwłoki gubernatora zawisły nad bramą, przy wjeździe do miasta. Trup ponoć był straszny, krwawy i prawie nierozpoznawalny. Wydłubano mu oczy, wyrwano język i obcięto męskość. Niechże mi damy wybaczą tę obcesowość, ale dają tylko świadectwo prawdzie. Za cenę stu dolarów w hiszpańskim srebrze jakiś anonimowy świadek tego potwornego widowiska odkupił ciało i wywiózł w nieznane nikomu miejsce.

– Kim była ta osoba? Jakież jej nazwisko? – padały ciekawe pytania, ale von Lutzow potrząsnął tylko głową.

– Nie wiadomo, choć chodzą plotki, że uczyniła to malajska kochanka gubernatora, z którą spędził ostatnie dwa lata życia.

Aby rozproszyć melancholijną atmosferę przy stołach, Tomasz skinął na orkiestrę, która poczęła przygrywać przy biesiadzie. Potem rozpoczęto tańce w stylu holenderskim, powolne i majestatyczne, które ustąpiły miejsca szkockim i irlandzkim, pełnym życia pługom. Wreszcie tańczono panującego ostatnio na tanecznych zebraniach walca, coraz częściej nazywanego królem wszech tańców.

Lord Minto wygłosił wspaniałe przemówienie, pełne patriotycznych zwrotów i porównań, które nawet Olivię i Mary Ann przyprawiły o wylanie kilku gorących łez. Olivia rozsłochała się na dobre, mając na myśli Leydena i ich jedyną i ostatnią noc miłości. Na próżno Tomasz i Mary Ann próbowali ją uspokoić. Nie mogła powstrzymać łkania, które potem zmieniło się w histeryczny, zaskakujący wszystkich chichot.

Damy, siedzące w pobliżu naczelnego stołu, spoglądały z pewnym zgorszeniem na gubernatorową i szybko poczęły szeptać pomiędzy sobą i dzielić się spostrzeżeniami i opowieściami na jej temat.

– Madame Bally opowiadała mi, że przeszłość lady Raffles jest nie tylko bogata w wydarzenia, ale i w mężów.

– Słyszałam o jej skandalicznym prowadzeniu się na indiamanie „Rose”, którego kapitanem był w owych czasach, cieszący się złą sławą, kapitan Dempster.

– Dempster? Poznałam go w Dublinie, niesłychanie przystojny mężczyzna, ale diabelski charakter!

– Molly! Jak możesz, cóż to za porównanie!

– W tym coś jest, ponieważ lady Bally zawsze twierdziła, że jego naturalizowana córka była dzieckiem lady Raffles.

– Lady Raffles!?! Wielkie nieba!

– Ach, wtedy jeszcze nie lady Raffles, broń Boże! Panna Devenish, córka zubożałego szlachcica z Castledance w Irlandii.

– Skąd ma pani takie dokładne wiadomości?

– Nie wierzę własnym uszom!

– Przyjaciółka mojej przyjaciółki pochodzi z tamtych okolic. Majątek Castledance jest dobrze znany.

– Ależ madame Raffles była mężatką, zanim poznała naszego obecnego gubernatora!

– Co też pani mówi, nie wiedziałam!

– Jej mężem był chirurg szpitala w Madrasie, który zmarł kilka lat temu w Gujaracie.

– Coś podobnego! Rzeczywiście, nasza pierwsza dama może pochwalić się bujną przeszłością! Nie wiem tylko, czy to dobrze czy źle?

Pomiędzy damami zapadło, brzemienne w domysły i zjadliwość, milczenie. Spod zmrużonych powiek przypatrywały się Olivii i szybko szukały w myśli kogoś, kto mógłby potwierdzić te rewelacje.

Mary Ann objęła Olivię i wyprowadziła ją do prywatnej części pałacu. Zaniepokojony stanem psychicznym żony Tomasz zawezwał lekarza, który spędził długi czas w sypialni lady Raffles i wyszedł, potrząsając głową. Mary Ann czekała na niego w saloniku, przyległym do sypialni Olivii.

– Doktorze, czy to coś poważnego? Od śmierci naszego przyjaciela Leydena lady Raffles nie może otrząsnąć się z głębokiej depresji.

– Droga madame... – Lekarz ucałował dłoń młodej kobiety i spojrzał na nią mądrymi, smutnymi oczami. – Lady Raffles cierpi na złamane serce, a na to nie ma lekarstwa. Prócz tego znajduje się pod wpływem dużej ilości alkoholu, hm... i to jest drugi powód jej niedyspozycji.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Zgnębiona Mary Ann usiadła na fotelu i wskazała krzesło lekarzowi.

– Niech pan będzie ze mną szczery, drogi doktorze – powiedziała w końcu ostrożnie. – Być może powinnam porozmawiać z gubernatorem. To poważna sprawa.

– Czy pani również, madame, zauważyła zmiany w zachowaniu lady Olivii?

– Tak – odpowiedziała z wahaniem Mary Ann. – Trudno mi o tym mówić, ale liczę na pana profesjonalizm i dyskrecję. Olivia niezwykle łatwo wpada w stany euforii, a później czarnej rozpaczy.

– Gubernatorowa musi ograniczyć spożywanie brandy – powiedział prosto lekarz i podniósł się z krzesła. – Jej słabowita struktura nie wytrzyma długo takiego nadużywania alkoholu, natomiast jej wątroba już teraz została poważnie uszkodzona.

– Co pan doktor zaleca? – pytała nie na żarty przestraszona Mary Ann.

– Umiarkowanie w jedzeniu i piciu, szczególnie w piciu, oraz spokojny tryb życia.

– Czy powinnam powiadomić gubernatora?

– Gdyby chodziło o kogoś innego, radziłbym czekać, ale ponieważ mówimy o żonie Jego Ekscelencji, wydaje mi się to nie tylko godne przemyślenia, ale konieczne. Jeżeli pani Olivia nie zmieni trybu życia, nie pozostało go wiele. Tym bardziej że dochodzi już czterdziestu lat.

Mary Ann łamała w rozpaczy ręce i natychmiast po wyjściu lekarza pobiegła do pokoju chorej.

Olivia siedziała na łóżku, podparta poduszkami i sączyła uspokajający kordiał z laudanum, przygotowany na zlecenie lekarza.

– Olivio, drogie serce! – Mary Ann przysiadła na skraju łoża i objęła za ramiona szwagierkę. Jej ciało wydało się takie kruche, dziecinne. Była delikatna jak porcelanowe cacko, jej skóra wydawała się przezroczysta i po raz pierwszy Mary Ann pomyślała, że z Olivii powoli uchodzi cienkim strumyczkiem życie.

– Mary Ann, droga moja – powiedziała cicho chora. – Zostań trochę ze mną. Nie chcę być sama, a Tomasz na pewno szybko nie powróci.

– Oczywiście, ale powiedz mi, jak się czujesz?

– Powoli przychodzę do siebie. Przepraszam za wstyd i kłopot. Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie.

Tu usta poczęły jej znowu drżeć, więc Mary Ann przygarnęła ją do siebie i szepnęła:

– Sza, sza, moja duszko, Wszystko będzie dobrze.

– Nie przeżyłabym, gdybyś i ty ode mnie odeszła – odparła Olivia i kurczowo ścisnęła dłonie przyjaciółki.

– Nie musisz się tego obawiać. Wiesz, że zawsze będę wierna tobie i Tomaszowi.

– Ale przecież masz własną rodzinę, masz dzieci. A moim losem jest tylko żegnać tych, których kocham. Tylko żegnać i opłakiwać.

– O czym ty mówisz, Olivio?

– Wszyscy ode mnie odchodzą, wszyscy. Widocznie nie kocham zbyt mocno, moja miłość nie jest dobra. Ojciec, Hamilton, James, John...

Chora przymknęła oczy i szeptała monotonnym, niewyraźnym głosem, więc Mary Ann musiała się nachylić nad jej posłaniem.

– Kogo masz na myśli, o kim mówisz?

Mary Ann uświadomiła sobie nagle, jak mało wie o szwagierce. Owszem, od Tomasza słyszała o pierwszym mężu Olivii, który zmarł w Indiach, ale prócz tego przeszłość jej szwagierki stanowiła pewną enigmę.

Właściwie Olivia nigdy nie chciała nawet wspomnieć swej przeszłości. Zawsze twierdziła, że przeszłość to zamknięta karta i należy skupić uwagę na dniu obecnym.

Olivia zasnęła, więc zgnębiona Mary Ann wysunęła się z sypialni. Jeszcze kilka godzin trwał bal i Tomasz przyszedł do żony dopiero nad ranem. W saloniku na kozetce spała skulona Mary Ann, z pledem narzuconym na kolana.

– Tomaszu. – Ucałowała dłoń brata i pociągnęła go na poduszki koło siebie. – Musimy pomóc Olivii. Twoja żona jest chora, lekarz zaleca spokój i odpowiednią dietę.

Raffles zamyślił się na chwilę i badawczo przyglądał się siostrze.

– A więc wiesz – stwierdził w końcu krótko. – Olivia nie może obyć się bez alkoholu i zawsze, jeszcze zanim ją poznałem, była taka.

– To nie tylko ten problem – odparła Mary Ann i zakryła twarz dłońmi. Nie wiedziała, czy może wyjawić bratu najgłębiej skrywane podejrzenie, które kiełkowało w niej od dawna, ale które w obecnej sytuacji nie miało już właściwie znaczenia.

– I to wiem – odpowiedział zrezygnowanym głosem Tomasz. – Olivia straciła najbliższego przyjaciela. Pierwszą i bodaj ostatnią miłość swego życia. I nawet ja nie jestem w stanie zająć tego pustego miejsca.

– I cóż możemy na to zaradzić?

– Nic, i to jest właśnie największym nieszczęściem.

Rodzeństwo splotło się mocno ramionami i jak w dzieciństwie, zaczęło kołysać się uspokajająco we własnym uścisku. Po kilkuminutowym milczeniu Tomasz westchnął i powiedział spokojnie:

– Napiszę list do jej ciotki Pameli Rawlison z prośbą, aby tutaj przyjechała. Wydaje mi się jedyną osobą, która potrafi wyrwać moją żonę z tego magicznego, zaklętego koła.

– Zaklętego koła?

– Jej własnych, nieodkrytych przed nikim tajemnic. One szarpią jej duszę jak demony, piją jej krew jak wampiry. Być może, że ciotka stanie się jej powiernicą. Ty i ja nic dla niej nie możemy uczynić.

\*

W okresie monsunu pałac gubernatora stawał się wilgotną, otoczoną błotem i bagnem pułapką, tym bardziej że pobliska rzeka wylewała systematycznie i podchodziła pod schody tarasu. Więc zaledwie w kilka miesięcy po wprowadzeniu się w jego progi Tomasz zdecydował, że muszą przenieść się w zdrowsze okolice.

W odległości czterdziestu mil od stolicy, w Buitenzorg, otoczony otwartymi polami, lasami palm i banianów stał letni dom gubernatorów wyspy, biała, półokrągła, neoklasyczna budowla z czerwonymi dachami przybudówek i kilku dodatkowymi skrzydłami, w których mieściły się pokoje gościnne i biura gubernatora.

Dom znajdował w opłakanym stanie, ale posiadał wspaniały ogród, malownicze tereny i przede wszystkim otaczało go zdrowe powietrze.

Tomasz odkrył w sobie upodobania rolnika i hodowcy bydła, hodował więc konie i kilka kucyków dla odwiedzających gości, dzieci i dam.

Olivia bawiła się ogrodem i wydawała się odzyskiwać powoli siły. Z najwyższą niecierpliwością oczekiwała na przyjazd ciotki Pameli, której statek w obecnej chwili znajdował się gdzieś na wysokości Indii i spodziewano się jego przybycia za kilka tygodni.

Tomasz postanowił odnowić elegancką budowlę, więc całymi dniami słychać było uderzenia młotków i zgrzyt pił.

Młody gubernator kilkakrotnie wyjeżdżał w sprawach politycznych do Batawii, gdzie przewodniczył w zebraniach Rady i innych oficjalnych, niecierpiących zwłoki spotkaniach. Raz w miesiącu Olivia wyjeżdżała razem z mężem, powozem zaprzężonym w cztery wspaniałe czystej krwi araby, aby przyjmować damy brytyjskie i holenderskie na salonach pałacu Rijswijk, i za każdym razem wracała z ulgą do Buitenzorgu. Życie w stolicy straciło czar, za to spokój, sielski krajobraz nowego domu były prawdziwym lekarstwem na jej depresję i wewnętrzne rozdygotanie.

Zresztą i w letnim pałacu oczekiwało na Olivię wiele zadań pierwszej damy wyspy i wkrótce przekonała się, że nie może uciec od obowiązków.

Jednym z pierwszych gości w pałacu był sułtan pobliskiego księstwa Cirebonu, Mankunegara II wraz z trzema synami i egzotycznym dworem.

Sława brytyjskiego gubernatora rozeszła się po całym archipelagu, szczególnie po jego rozprawieniu się z okrutnym sułtanem Baddrudinem, mordercą Jansseną.

Zaraz po nominacji Tomasz wysłał wojsko do Semarangu i rozkazał uwięzić pysznego księcia. Na jego miejsce wyznaczył spokojnego, rozważnego młodszego brata sułtana i w ten sposób zapewnił sobie właściwego człowieka w sąsiedztwie.

Sułtan Cirebonu przybył w splendorze orientalnego bogactwa, aby złożyć hołd nowemu gubernatorowi i niewątpliwie przyjrzeć się z bliska temu niezwykle młodemu człowiekowi.

Mankunegara był mężczyzną w sile wieku o bardzo ciemnej skórze i twarzy poranej bruzdami silnych namiętności i życiowych wichrów.

Zarówno on, jak i jego synowie ubrani byli na modłę europejską w mundury oficerów lekkiej kawalerii, błyszczące orderami i złotymi epoletami. Idąc przez długą salę audiencji, czynili hałas długimi ostrogami i podkówkami wysokich butów z twardej skóry. Sułtan był niewysoki i pewien komiczny rys wprowadzała jego nieco za długa, omal wlokąca się za nim szabla.

Raffles wspaniale przygotował się do audiencji. Sułtana powitała salwa piętnastu dział,

parada dwudziestego drugiego pułku dragonów oraz wyprawa na ryby, w której brało udział ponad dwieście osób, w tym Malajowie, Brytyjczycy i Holendrzy. Rzędy powozów ruszyły wczesnym rankiem spod pałacu gubernatora w stronę rzeki Ciliwung, gdzie czekały na nich zastawione delikatesami stoły. Orkiestra przygrywała na bambusowych instrumentach, a indonezyjscy tancerze popisywali się egzotycznym tańcem.

Po obfitym posiłku przewieziono towarzystwo łodziami i sampanami na środek rzeki, gdzie zbudowano specjalne pomieszczenie, z podłogą służącą jako pułapka na ryby. Sułtan bawił się znakomicie i zapewnił Rafflesa o przyjaźni i współpracy,

Po trzech dniach dostojni Malajczycy odpłynęli na wschód arabskim okrętem, pełni otuchy i respektu dla nowo poznanego *ferenghi*.

Tomasz rzucił się w wir pracy i obowiązków. Przede wszystkim przedsięwziął ekspedycję na wschód Jawy, w celu przeprowadzenia pomiarów ładu i utworzenia sprawiedliwego systemu podatkowego, wzorowanego oczywiście na systemie brytyjskim. Wszędzie witany był i fetowany przez lokalnych książąt, a w podróżach czasem towarzyszyła mu Olivia, choć tylko w pobliże, ponieważ lada dzień spodziewała się ciotki Pameli, a przy tym jej zdrowie nigdy nie wróciło do spodziewanej formy.

Tomasz przywoził żonie ze swych podróży fascynujące okazy sztuki indonezyjskiej. Olivia była zachwycona rękodziełem Jawy i przechowywała te cacka w specjalnych pudłach i szafach. Dzięki temu przetrwały aż do dzisiejszych czasów.

Sławna stała się kolekcja dziewięcio- i dziesięciowiecznych brązów, w tym uroczych posążków Buddy, numizmatyczna kolekcja miedzianych monet z misternie rzeźbionymi mitycznymi postaciami Jawy, czy wreszcie piętnastowieczne, wykonane w brązie wiadra, cudnie rzeźbione w znaki zodiaku i noszące ślady kultury Iranu.

Wkrótce oboje państwo Raffles kolekcjonowali zapamiętali wszystko, co wpadło im w rękę.

W obszernych szafach studia Olivii stały rzędy instrumentów, używanych w orkiestrze *gamelanu* i zdumiewające szeregi malowanych drewnianych lalek w świetnych, barwnych ubiorach różnych krain Indonezji.

Pomimo choroby Olivia spędzała całe dni na odkurzaniu i odnowie niektórych egzemplarzy, w ten sposób skracając sobie czas nieobecności męża i oczekiwania na ukochaną ciotkę.

Jakoż, kiedy Pamela Rawlison przybyła do Buinterzongu, zastała bratanicę właśnie w studio, ubraną w fartuch i zajętą przemywaniem figurki z brązu, reprezentującej jakiegoś wschodnie bóstwo.

Kiedy Pamela ukazała się w drzwiach w szeleście szerokich spódnic i wykrochmalonych halek, Olivia zerwała się z okrzykiem radości i jak małe dziecko, z wyciągniętymi rękami, wpadła w szeroko rozpostarte ramiona ciotki.

Przez chwilę wzruszenie nie pozwoliło im przemówić słowa, ale zaraz wywiązała się chaotyczna, przerywana szlochem obu pań rozmowa.

– Nic nie wiedziałam o przybyciu statku. Od kilku dni czeka na ciebie na przystani powóz, moja kochana ciociu.

– Wiem, kapitan nadrobił stracony czas pomiędzy wysepkami, ponieważ obawiał się napadu chińskich piratów. Moje dziecko, jak ty wyglądasz? Skóra i kości! Zaraz muszę się za ciebie zabrać!

– Ciociu, ty się nic nie zmieniasz. Zawsze ta sama energia.

– Moje dziecko, w moim wieku to już nie energia, a przyzwyczajenie.

– Jaką miałaś, ciociu, podróż? Musisz być straszliwie zmęczona!

– Podróż była ohydna, przyznaję, choć na Oceanie Atlantyckim otrzymałam propozycję małżeństwa. Mój wielbiciel był bogatym budowniczym okrętów z Adenu i na szczęście przesiadł się na inny statek w Kapsztadzie.

– Ach, ciociu, musisz mi opowiedzieć wszystko dokładnie! – śmiała się Olivia i ścisnęła starą pannę za szyję. – Taka jestem rada, że tu jesteś!

Z przyjazdem Pameli wiele zmieniło się w pałacu. Ciotka z żelazną konsekwencją poczęła wymagać od Olivii spożywania regularnych i obfitych posiłków. Traktowała ją po trochu jak małą dziewczynkę, co Olivii odpowiadało, ponieważ wreszcie ktoś zajął się tylko jej osobą.

Pamela rzeczywiście nie zmieniła się zupełnie, nadal była tą twardą, prostolinijną kobietą, zaprawioną do walki z burzami i huraganami życia, której głównym mottem było „żyj i pozwól żyć”.

Olivia obawiała się, czy Tomasz jej się spodoba, ponieważ oboje odznaczali się nieprzejednaną i pobudliwą naturą, ale Pamela w pierwszy wieczór, gdy pozostały same po kolacji, powiedziała:

– Mariamne, uczyniłaś dobry wybór. Twój mąż jest twym opiekunem i dobroczyńcą. Nigdy o tym nie zapomnij. To człowiek, o którym będzie pisać historia. Znam się na ludziach i wiem coś o tym. Dziękuję Bogu, że twoja przyszłość jest zabezpieczona.

A kiedy Olivia milczała, Pamela opiekuńczo otuliła ją szalem i rzekła miękko:

– A teraz, moje dziecko, opowiedz mi o twoim życiu i o tym, od czego boli cię serce.

Obie niewiasty rozmawiały do późnej nocy i na drugi dzień Olivia wstała z jasną, promienną twarzą. Wszyscy dostrzegli szybko, że obecność starej damy wpłynęła zbawiennie na samopoczucie żony gubernatora.

Dla Olivii nastały szczęśliwe i beztrudne miesiące. Jej zdrowie polepszyło się znacznie, nie wiadomo, czy dzięki obecności Pameli, czy konkocjom, które dla niej komponowała z pomocą kucharza w kuchni pałacu. Pamela wniosła pewien zbawienny ład, porządek i dyscyplinę. Olivia nigdy nie potrafiła utrzymać twardą ręką niesfornej i leniwej służby. Prawdopodobnie w jej charakterze leżała pobłażliwość i bezradność, która jeszcze potęgowała się z powodu choroby. Pamela Rawlison ujęła ster rządów w swoje ręce i natychmiast dało się odczuć zmiany.

Nawet osobisty malajski sekretarz i tłumacz w kancelarii Tomasza, pan Ismail, kręcił głową i cmokał grubymi wargami:

– Proszę, proszę, co to za kobieta, nasza sahiba Pamela! Pomimo srebrnej głowy i niewielkiej postaci rządzi jak prawdziwa sułtana!

Tomasz uśmiechał się tylko zadowolony i przywoził ciotce różne smakołyki z podróży po wyspie, ponieważ Pamela była szczególnie łasa na lepkie ryżowe i kokosowe ciastka z Semarangu.

Miesiące letnie obfitowały w przyjęcia, bale i uroczystości. Jak zwykle obchodzono uroczyste urodziny króla, później holenderska rada miejska Batawii nazwała imieniem Tomasza jeden ze szkunerów w zatoce, wreszcie tańczono na chrzcinach nowego dziecka Mary Ann i kapitana Flinta, tym bardziej że matką chrzestną była Olivia, zaś niemowlę nosiło imiona Tomasza Stamforda Karola.

Nadszedł grudzień i nowe celebracje Bożego Narodzenia i Nowego Roku, jak zwykle uroczyste w pałacu gubernatora i w całej Batawii.

Na przyjęciu noworocznym w rezydencji uczestniczyła cała śmietanka Jawy, łącznie trzysta osób, a organizacją wieczoru kierowała niezmordowana Pamela. Dwa tygodnie później obchodzono urodziny królowej Charlotty, które zaszczylił nowo przybyły Hugh Hope, komisarz do spraw cywilnych Batawii.

Kulminacyjnym punktem wieczoru było odśpiewanie przez młodego Jamesa du Puy napisanego przez niego poematu pod tytułem *Bitwa o Salamankę*, do popularnej melodii *Arethusa*.

Wszyscy bez wyjątku wpadli w patriotyczny nastrój, więc zaraz ktoś wznosił toast za „bohaterów Salamanki”, czyli wojska Wellingtona, który odniósł zwycięstwo nad cesarzem Francuzów w Hiszpanii.

Olivia z trudem dowlokła się nad ranem do swej sypialni i pozostała w łóżku przez cały tydzień. Pielęgnowała ją z zapalem Pamela, zaś zaniepokojony Tomasz postanowił napisać list do Williama Ramsey, zaufanego przyjaciela w Londynie, z prośbą o wyszukanie najlepszej kliniki u wód w Brighton lub nawet na Kontynencie.

Tymczasem sytuacja rodzinna domu Rafflesów poczęła się również komplikować w sposób wcześniej nieprzewidziany i zagrażający poważnie zdrowiu Olivii. Pewnego dnia wieczorem do pałacu w Buitenzorg zajechał powóz państwa Flintów, z którego wysiadła Mary Ann i jej przystojny mąż, kapitan Flint.

Tomasz pracował jak zwykle w gabinecie, ale na wieść o przyjeździe gości natychmiast wybiegł na ganek i ściskając ręce siostry, wołał.

– Wielka niespodzianka i jakże miła wizyta! Chodźcie, drodzy, dalej, zaraz zawołam Olivię. Dziś czuje się lepiej i zażywa przechadzki z ciotką w ogrodzie.

– Nie, nie, poczekaj chwilę, Tomaszu – zaprotestowała słabo Mary Ann i nagle rozpląkała się serdecznie. Kapitan Flint objął żonę ramieniem, zaś poważnie zaniepokojony Tomasz skinął na służącego i rozkazał przynieść koniak.

– Mary Ann, co się stało? Czyżby któreś z dzieci chore? Złe wieści z kraju? Na Boga, mówcie, o co chodzi, bo odchodzę od zmysłów!

– Tomaszu, otrzymałem niepomyślnie wieści i muszę natychmiast wracać do Londynu – powiedział prosto Flint.

– A Mary Ann, a dzieci?

– Obawiam się, że wszyscy musimy wracać na stałe do Anglii. Moja matka rozchorowała się ciężko i lekarze nie wróżą jej długiego życia. Jako jedyny spadkobierca fortuny Flintów muszę poświęcić czas sprawom prawnym, spadkowym i opiece nad matką. Mój prawnik w ostatnim liście przestrzega mnie przed dłuższą zwłoką, ponieważ stan zdrowia matki pogarsza się z tygodnia na tydzień i istnieje obawa, że umrze, zanim zdołamy dotrzeć do domu.

– Co za nieszczęście! Drogi przyjacielu, współczuję i polecam moje usługi w każdym przedsięwzięciu, czasie i przestrzeni. Nie omieszkać uczynić wszystkiego, co w mej mocy, dla mojej ukochanej siostry i jej rodziny.

– Dzięki, Tomaszu, wiemy, że możemy na ciebie liczyć. A jednak niewiele możesz dla nas uczynić, prócz zapewnienia nam najszybszego wyjazdu do Kalkuty.

– Wiem, że za dwa tygodnie kapitan Cowley odpływa na swym „Lordzie Eldonie” do Madrasu, ale czas krótki i będzie wam niesłychanie ciężko zlikwidować tutejsze sprawy i przygotować się do drogi.

– Podołamy! Musimy podołać! Mary Ann, nie płacz, duszko, wszystko będzie dobrze!

– Ach, ja płaczę na myśl o Olivii! Jak ona przywita tę wiadomość, szczególnie w obecnym stanie zdrowia? Nie wiem, jak powiedzieć jej, że wyjeżdżam na stałe i być może nigdy już jej nie zobaczę?

– Mary Ann, nie możesz tak myśleć! – zawołał Tomasz. – Właśnie wysłałem list do Ramseya z prośbą o wyszukanie odpowiedniego sanatorium dla mojej żony. Na pewno w przyszłym roku wyślę ją do Anglii na odpoczynek i odpowiednie leczenie. Spędzicie wspólnie wiele miłych chwil.



– I tak też trzeba przedstawić Olivii nasz wyjazd – zgodził się kapitan Flint. – Świadomość rychłego spotkania osłodzi jej gorycz rozstania z Mary Ann i dziećmi.

– To będzie dla niej cios, potworny cios! Drzę na myśl o jej reakcji. Oby tylko nie dostała ataku! Tomasz, chyba ty musisz jej o tym powiedzieć!?

– Nie sądzę, aby był to dobry pomysł. Droga siostrzo, niestety ty będziesz tą osobą. Musisz uzbroić się w rozsądek i powierzchowny chłód. Olivia jest w końcu rozsądną kobietą i zrozumie sytuację.

– Co za szczęście, że mamy tu pannę Pamelę! – starał się uspokoić żonę kapitan Flint. – Jej obecność na pewno osłodzi pożegnanie.

– Tak, miss Rawlison jest niezwykle rozumną osobą – przyznał Tomasz. – I ma zbawienny wpływ na Olivię.

– Być może to ona powinna jej powiedzieć o naszym wyjeździe? – zapytała z nadzieją w głosie Mary Ann, gdy od drzwi werandy otworzyły się i rozległ się głos Olivii.

– O wyjeździe? Czyim wyjeździe?

Zapanowało przykre milczenie. Olivia weszła szybkim krokiem, niosąc w dłoniach ciężki kosz z ciętymi kwiatami wspaniałych orchidei, dumy ogrodów pałacowych. Panna Pamela składała na tarasie biały, szeroki parasol, bez którego nie pokazywała się poza domem. Uważała, iż prawdziwą lady poznaje się po jej idealnej cerze i białych dłoniach.

Olivia powiodła wzrokiem po obecnych i z westchnieniem ciągnęła.

– Tomaszu, proszę cię, nie ukrywaj przede mną dłużej twego wyjazdu do Semarangu. Wiem od Ismaila, że wybierasz się tam za kilka tygodni, i nie mam zamiaru poczytać ci tego za złe. Twa obecność w nowo powstałych barakach wojskowych tego okręgu jest niewątpliwie konieczna. Prócz tego dwory wschodnich krańców Jawy od dawna oczekują twej osoby. Dyplomacja i polityka nakazują ci tę podróż, a ja zupełnie ją popieram.

– Olivio, cieszę się, że z taką szczerością i wspaniałomyślnością podchodzisz do mojej, niewątpliwie ważnej podróży. Nie o tym jednak mówiliśmy tu z Flintami.

– Wobec tego pozostanie z nami na kolacji, w czasie której będziemy mogli swobodnie rozmawiać – powiedziała stanowczo Olivia i klasnęła na służbę.

Kolację podano na tarasie, gdzie w iście bajecznej atmosferze płonących lamp i szelestu łagodnego wieczornego deszczu całe towarzystwo zasiadło przy wytwornie nakrytym stole. Dopiero przy wetach Mary Ann odważyła się powiedzieć:

– Olivio, mam ważną wiadomość do zakomunikowania.

– Jesteś znowu w stanie błogosławionym! – wykrzyknęła z radością Olivia i uniosła się, aby uściskać szwagierkę.

– Nie, nie, byłabym szczęśliwa, gdyby tak było – odparła zmieszana Mary Ann i położyła dłoń na ręce szwagierki. – Wieść jest poważna i dotyczy mojej teściowej.

– Mój Boże! Czy chora?

– Tak, bardzo chora, umierająca. I dlatego właśnie musimy wracać do Anglii. Jak najszybciej, następnym statkiem, odpływającym do Indii

– Do Anglii? Na zawsze?

– Olivio – wtrącił uspokajająco Tomasz. – Nic nigdy nie jest na zawsze. Planuję twój pobyt w Anglii w przyszłym roku...

– Tomaszu, przestań. Wiem, co chcesz powiedzieć, nie jestem dzieckiem. I zdaję sobie sprawę ze stanu mego zdrowia. Nie obawiajcie się ataku hysterii. Jestem spokojna. Mary Ann, powiedz mi, proszę, o waszych planach podróży.

Reszta wieczoru upłynęła na spokojnej konwersacji i kiedy Flintowie wreszcie odjechali, Tomasz szepnął na ucho pannie Pamelii:

– Jakże łatwo przeszła ta wiadomość, a tak obawiałem się reakcji Olivii! Widać jest silniejsza, niż mniemałem.

Panna Rawlison potrząsnęła tylko głową i nie powiedziała ani słowa.

– Mariamne nie nadaje się do tej podróży – powiedziała stanowczo Pamela i zacisnęła usta, co było złowrogim znakiem jej stanowczości. Siedziała wraz z Tomaszem w altanie ogrodowej, oplecionej gęstymi powojami i grała z nim w wista na małym, inkrustowanym perłą i malachitem stoliku.

Popołudniowe słońce świeciło poprzez mozaikę listowia i igrało blaskiem i cieniem na rozłożonej talii kart i złotej spince do krawata Tomasza.

– Nawet Semarang wydaje mi się zbyt daleko w jej obecnym stanie zdrowia.

A Surakarta i Jogjakarta to już zupełny nonsens. Ta droga ją po prostu zabije. Nie możesz pozwolić, Tomaszu, na takie ekscesy!

– Niestety, moja żona uparła się, że pojedzie ze mną, i nic nie jest w stanie jej przekonać, iż jest to dla niej niebezpieczna wyprawa.

– Tym bardziej że jej nowa przyjaciółka, madame Nightingall bagatelizuje trudy podróży i przyrzeka fascynujące przygody.

– Ba, lady Nightingall przyjechała świeżo z Londynu i wszystko tutaj wydaje się jej ekscytujące i niezwykłe!

– Dziwię się, że jej mąż, szanowny komandor Nightingall nie ma nic do powiedzenia i nawet zachęca jejmość do przedsięwzięcia tej podróży wraz z wami. – Panna Pamela wyraźnie nie lubiła madame Nightingall i miała jej za złe najdrobniejsze przewinienie.

– No cóż – uśmiechnął się Tomasz. – Dowodzi to tylko jednego. Iż generał Nightingall z radością wita perspektywę uwolnienia się od towarzystwa małżonki na okres kilku miesięcy. Jako świeżo upieczony dowódca armii, po zwolnionym stanowisku przez poczciwego Gillespie, ma niewątpliwie moc pracy i odpowiedzialnych decyzji tu, na miejscu. Nawet z pewnym wahaniem pozostawiam go samego, ale tuszę, że Rada poda mu pomocną rękę i wesprze doświadczeniem w razie potrzeby.

– Mariamne powinna pozostać ze mną – upierała się panna Rawlison i tasowała karty ze zręcznością prawdziwego gracza. – Wczoraj przeprowadziłam rozmowę z dobrym doktorem Currie i ten, choć niechętnie, przyznał, że wątroba Olivii nie funkcjonuje prawidłowo i stąd jej żółtawa cera i plamy na dłoniach.

– Niestety Olivia nie stosuje się do jego rad i przygotowuje własny tonik. W tym też przejawia wyjątkowy upór i lekkomyślność.

Umilkli oboje, ponieważ doskonale wiedzieli, o jakim toniku mówi Tomasz, ale żadne z nie chciało zdradzić się z tą nowiną.

Olivia nadspodziewanie spokojnie przyjęła odjazd ukochanej Mary Ann. Rodzinę Flintów żegnano na nabrzeżu machaniem chustek i powiewaniem flagi brytyjskiej. Olivia stała z błyszczącymi, suchymi oczami i z ożywieniem rozmawiała z niedawno przybyłą na wyspę madame Nightingall. Wydawało się, że ledwie spojrzała na ginący w porannych mgłach okręt i szybko nakazała stangretowi zawrócić konie w kierunku miasta. Koniecznie chciała pokazać nowej przyjaciółce sklep bławatny w centrum bazaru Batawii.

Od tego czasu Hortensja Nightingall stała się jej nieodłączną towarzyszką i powiernicą. Wprawdzie starsza od Olivii przynajmniej dziesięć lat, dość otyła i niewykazująca szczególnego poczucia humoru, w pewien tajemniczy sposób wywierała dobroczynny wpływ na chorowitą, egocentryczną żonę gubernatora. Być może, że panna Pamela była po prostu zazdrosna o tę dziwną przyjaźń i nie mogła ścierpieć wszędobylskiej, hałaśliwej damy.

Faktycznie Tomasz zmuszony był przedsięwziąć podróż na wschodnie tereny Jawy nie

tylko w celu lustracji wojsk i spotkania się z rezydentem Jogyakarta, ale także w celu odebrania hołdu od kilku pomniejszych sułtanatów malajskich. Była to podróż tyle samo polityczna, co i dyplomatyczna.

Kiedy Olivia wyraziła ochotę na towarzyszenie mężowi w tym przedsięwzięciu i zaproponowała zabranie ze sobą żony komandora, Tomasz w pierwszej chwili odmówił. Ale Olivia była na tyle wymowna i przekonująca, że w końcu, pomimo protestów Pamelii, zgodził się na propozycję żony i skapitulował.

Wyruszyli w pierwszych dniach listopada, żegnani w porcie tłumem mieszkańców Batawii, wspaniałą grupą Rady i rządu, oraz regimentem pięćdziesiątego dziewiątego pułku huzarów. Powietrze drżało od salw dział fortu i armat statków, zakotwiczonych na redzie.

Generał Miles Nightingall błyszczał od orderów i odznaczeń, cały w koronkach, żabotach i szamerunkach, wspaniały i dostojny, a przy tym niezwykle dumny ze swojej żony, która stała tuż przy madame gubernatorowej i podtrzymywała ją poufale pod łokieć.

Miss Pamela zasiadła w kolonie gubernatora, zaprzężonej w czwórkę karych koni i dzięki uprzejmości kapitana Dreeri obserwowała przez lupę manewry krążownika „Malabar”, na którego pokładzie znajdowali się oboje Raffles. Przez chwilę mignął błękitny szal Olivii i szkarłatny mundur Tomasza, ale okręt szybko rozplynął się we mgle gorącego, parnego dnia.

Na „Malabarze” damy odpoczywały pod płócienną werandą, rozpiętą na niższym pokładzie, obsługiwane przez ubranych w nieskazitelnie białe płótna Malajów. Roznoszono zimne napoje i lekki podwieczorek na srebrnych tacach.

Olivia czuła się śmiertelnie znużona ostatnimi dniami przed wyjazdem. Batawia żegnała swą „pierwszą parę” niekończącymi się balami, kolacjami i bankietami. Wszyscy chcieli przypomnieć się gubernatorowi, życzyć mu pomyślnych wiatrów i szczęśliwego powrotu za kilka miesięcy.

Holenderski minister kościoła luterańskiego, wielbny Jeremiasz Schill był pierwszy w wyścigach towarzyskiego „bon tonu”, wydając wspaniały bal na cześć gubernatorskiej pary w czarującej posiadłości Lanhoff pod Batawią. Goście zasiadali przy stołach nakrytych holenderskim adamaszkiem, sprowadzonym z Niderlandów i tańczyli w takt muzyki holenderskiej orkiestry.

Dzień przed odpłynięciem Tomasz przyjmował delegacje dyplomatów, kupców i polityków na porannej audiencji w Rijswijk, a równocześnie zaprzysiągł Nightingalla jako wiceprezydenta Rady na czas swej nieobecności w Batawii.

Tego wieczora nowy namiestnik Jawy i jego korpulentna małżonka zadziwili wszystkich elegancką kolacją, która skończyła się we wczesnych godzinach porannych.

Olivia z trudnością dotrzymywała kroku mężowi w tych wszystkich uroczystościach, ale była zdecydowana za wszelką cenę towarzyszyć mu w podróży. Batawia i okolica obrzydły jej zupełnie po wyjeździe Mary Ann. Wprawdzie nigdy nie padło z jej ust słowo skargi, ale też nigdy nie wypowiedziała nawet imienia szwagierki.

Pewnego dnia Pamela nieopatrznie wspomniała nieobecnych Flintów, ale spotkała się z tak lodowatym spojrzeniem siostrzenicy, że natychmiast zmieniła temat rozmowy. Tomasz wyczuł, że żona nie życzy sobie nawet wspomnienia Mary Ann i rodziny i ze smutkiem zrozumiał, że jego siostra już nigdy nie będzie się cieszyć przywiązaniem i uczuciem Olivii.

Jego żona uważała odjazd Mary Ann za zdradę i osobistą zniewagę i nie mogły tu pomóc usprawiedliwienia i powoływanie się na niezwykle okoliczności rodzinne Flintów. Olivia tylko raz w rozmowie z mężem wypowiedziała znamienne słowa:

– Cokolwiek byś Tomaszu powiedział, nie wpływa to na moje odczucia. Dawno temu Mary Ann obiecała nigdy się ze mną nie rozstawać. Pod żadnym pozorem i w żadnej sytuacji.

A jednak nawet ona mnie opuściła. Jak wszyscy, których kocham.  
Tomasz umilkł i nigdy już nie powrócił do tego tematu.

\*

Piękno wyspy pozostawiło na podróżnych niezatarte wrażenia.

Jawa tylko w jednej trzeciej była w owych czasach zamieszkała przez archaiczne plemiona Jawajczyków, Sundajów i Madurejów. Resztę lądu zajmowały gęste lasy i dżungle oraz wulkaniczne, wysokie góry, których zbocza pokrywały tropikalna, bujna i wilgotna roślinność.

Ryżowe *paddies*, wysokie lasy teku, kauczuku i kilometry plantacji indygo i trzciny cukrowej pokrywały ten urozmaicony tektoniczne krajobraz.

Nieliczne wioski wyglądały jak żółtoczerwone talerze, rzucone na dywan zieleni lasów i pofałdowanych zboczy górskich.

Lud był tu drobny, ciemnoskóry i niezwykle uprzejmy. Wszędzie witano białych przybyszy z najwyższymi oznakami czci i zaufania. Dzieci były nieśmiałe i spokojne. Kobiety niezwykle piękne, filigranowe, z oczami w kształcie migdała.

Podążając wzdłuż wybrzeża, od czasu do czasu napotymano przy drodze ruiny świątyń i wspaniałych, tajemniczych pałaców, pozostałości kultury buddyjskiej i imperium monarchii hinduskiej – Majapahit, która upadła w szesnastym wieku. Nagle spoza pierzastych liści palm wychylała się uśmiechnięta głowa kamiennego Buddy lub zakłeta w kamieniu tańcząca apsara o cudownie pełnych piersiach i rozłożystych biodrach rozkosznej nierządniczy.

Resztki kolumn, portali i wież poniewierały się w splątanej podściółce dżungli, a zmurszałe głazy murów, olbrzymich cytadel i bastionów świadczyły o dawnej chwale.

Cisza panowała w tym królestwie niepamięci i cienia. Olivia znowu, jak przed laty, poczęła szkicować mijane panoramy i wkrótce jej notatnik wypełnił się wysokiej klasy spostrzeżeniami i rysunkami.

W Semarangu, małej osadzie, obwarowanej wysokim murem i bronionej przez niedawno ukończony fort, przywitał ich komisarz do spraw cywilnych, Hugh Hope. Zamieszkiwał w dusznych, niskich i żołnierskich kwaterach fortecy i odstąpił gubernatorskiej parze własną sypialnię, sam przenosząc się do gabinetu, położonego zresztą po drugiej stronie wąskiego korytarza.

Stąd Raffles postanowił czynić coraz dalsze wypady na wschód i południe, pozostawiając żonę pod opieką dwu szarmanckich oficerów, podpułkownika Jana Ealesa i majora O'Briana, komendanta niedawno przybyłego z Kalkuty, pułku lekkiej kawalerii.

Olivia jeszcze w Batawii przyrzekła ciotce Pamelii pisać długie, dokładne listy z podróży. Co wieczór, po kolacji siadała przy swoim przenośnym biurczku z wiśniowego drzewa i pokrywała pachnący lawendą papier drobnym, nerwowym pismem. Czasem północ zastawała ją na tej czynności, ale Olivia sypiała lekko i krótko, tym bardziej że Tomasz zazwyczaj powracał późno z oficjalnych rozmów i audiencji, zaś Olivia nie mogła zasnąć bez uścisku jego bezpiecznych, silnych ramion.

*Droga Ciociu – pisała. – Wczoraj pojechaliśmy do niedalekiej Saltiagi, gdzie znajduje się wspaniały, jeśli nie najlepszy w Koloniach, podług mego mniemania, tor wyścigowy i malowniczy czerwony fort u podnóża górskiego pasma.*

*„Araby” były wspaniałe, podpułkownik Eales, właściciel najbardziej błękitnych oczu świata, założył się ze mną o ogiera imieniem Zawsze Wspaniały, dzięki któremu wygrałam piętnaście funtów i dwa szylingi. Co za fortuna! Postanowiłam kupić sobie tresowanego leoparda, ponieważ są one tutaj chowane jak kocięta i bardzo popularne w domach malajskich oficjalów i książąt krwi.*

Po oglądnięciu kilku gonitw podano na trawie eleganckie, wystawne śniadanie w stylu malajskim. Wieczorem w Semarangu zapadła decyzja o wyjeździe do Surakarty, która ma być podobno skarbnicą i strażnikiem kultury i zabytków tutejszego świata.

Tomasz nie chce mnie zabrać, ponieważ panują straszliwe upały i obawia się, abym nie „fiknęła koziołka”. Tak nazywa moje nagłe zasłabnięcia, które stały się sławne wśród tutejszych dam, a jest tych pań tyle co palców jednej ręki, więc poczciwa Hortensja zgodziła się mi towarzyszyć, choć sama cierpi na ataki duszności i najmniejszy ruch wprowadza ją w paroksyzmy kaszlu.

Kilka dni później Olivia znowu pisała, tym razem z pałacu brytyjskiego rezydenta, w Surakarcie.

Cioteczko, co za dzień, co za wycieczka! Nie wiem nawet, od czego zacząć! Jak zwykle tutaj, na tej szerokości geograficznej, piękno miesza się z brzydotą, wytworność z grubiaństwem, a dobro ze złem.

Z Semarangu ruszyliśmy wieczorem, przy lunie świateł fortu i dziesiątkach pochodni, niesionych przez szeregi stojących na poboczu drogi żołnierzy. Był to widok niezapomniany, wprost bajeczny. Dopiero kilka mil za Semarangiem uczyniła się ciemność, więc ja i poczciwa Hortensja schowałyśmy się za firankami naszej poczwórnej karety i usiłowałyśmy zasnąć, choć nie było to możliwe

Towarzyszące nam wojsko, a to huzarzy i lekka kawaleria, zabawiali się śpiewem tak głośnym, że o ile w pobliżu w lesie kryły się dzikie zwierzęta, na pewno uciekły na drugi koniec wyspy. Ludzie czasem ryczą głośniejsz niż lwy i kwiczą przeraźliwiej niż dzikie świny.

Do Surakarty wjechaliśmy o świcie, w pierwszych promieniach słońca i chyba to oświetlenie stworzyło iście bajkową atmosferę miasta.

Miasto błyszczało jak najdrogocenniejszy klejnot, a przy bliższym spojrzeniu okazało się, że to olbrzymi, wyglądający jak metropolia pałac sultański migocze w porannym powietrzu czerwonymi i miedzianymi dachami, różowymi ścianami haveli i zielenią otaczających go ogrodów i parków.

Przywitał nas huk dziewiętnastu wystrzałów armatnich, pięćdziesiąt koni ciężkiej artylerii i generał Pangeran Prangwedana, otoczony legionem kawalerii i przybocznej gwardii. Gdyby nie zmęczenie, zapewne rozpocząłabym natychmiast szkic tej iście bajecznej scenerii.

Cudowny pałac mienił się jak gwiazda przedniej wielkości, a w wysokim łuku głównego portalu czekał na nas sam sultan Pakubuwana wraz z małżonką.

Sultan jest mężem w sile wieku, o bardzo ciemnej, pokrytej gęstym zarostem twarzy i nieco paląkowatych nogach. Sultana Ratu Kencana wydaje mi się przystojną niewiastą, a przynajmniej jej postawa na to wskazuje, ale ponieważ gęsty woal zakrywa jej twarz, nie mogę osądzić do końca jej urody.

Wraz z parą sultańską powitał nas rezydent Surakarty, major Jeremy Johnson, człek o najdłuższych wąsach, jakie udało mi się widzieć w moim życiu, i marsowym grymasie twarzy.

Zaprowadzono nas do podium, na którym ustawiono wysokie krzesła, podobne do królewskich tronów. Znowu zabrzmiała salwa muszkietów, rozległo się bicie w bębny i przeraźliwe głosy piszczałek.

Niewolnice wniosły tace z przekąskami i słodyczami i zaraz rozpoczęły się przemowy i toasty, przerywane tylko na czas spełnienia kielichów i przelknięcia chałwy.

Później podjechały pod nasze trony karoce, zaprzężone w sześć i cztery konie i w pierwszej usadowił się sultan, rezydent i Tomasz, a w drugiej zasiadłam ja i sultana. Widocznie nie zasługiwałam w oczach dworu Surakarty na sześć rumaków, a biedna Hortensja musiała zadowolić się lektyką, niesioną przez sześciu czarnych niewolników.

*Konnica, gwardia i lekka kawaleria uformowały zgrabny szyk, pomiędzy którym jechaliśmy paradnie, zaś karecie Tomasza towarzyszyło konno dwu adiutantów z obnażonymi szablami. Ciociu, było to wspaniałe widowisko i tylko żałuję, że nie mogłaś tego widzieć na własne oczy!*

*Znani z odwagi jawajscy lansjerzy prezentowali broń w szeregu, tworzącym prostą linię od bramy aż po stopnie pałacu, zaś przed samym kratonem oczekiwał na nas legion ośmiuset piechurów sultańskich i tłum dworzan.*

*Wprowadzono nas do olbrzymiej, wysokiej na kilka pięter sali audiencyjnej, gdzie usiedliśmy znowu na wysokich tronach, a wokół nas uplasowali się Brytyjczycy, Jawajczycy, rezydent i różni oficjałowie. Następca tronu Pangeran Adipati, wraz z dworzanami usiadł na płytach kamiennej podłogi u stóp tronu, a po bokach rozmieściła się orkiestra gamelanu, która poczęła grać niezwykle głośnie i raczej przeraźliwe melodie. Do tego z zewnątrz znowu zagrzmiały armaty i huk palby na wiwat, więc w tym harmidrze dostałam silną i uporczywą migrenę.*

*Późnym popołudniem wreszcie zawieziono nas do pałacu rezydenta, gdzie wprawdzie musieliśmy jeszcze przyjmować brytyjskich oficerów, oficjałów i Holendrów, ale w końcu wskazano nam nasze kwatery na czas pobytu w mieście i pozostawiono nas samym sobie z bólem głowy i wszystkich mięśni.*

*Biedna Hortensja, sama ledwie żywa, ale jak zawsze w świetnym humorze, przysła wieczorem rozmasować mi stopy i natrzeć skronie cytrusową wodą. Nie wiem, co zrobiłabym bez niej, jest mi prawdziwą przyjaciółką i pielęgniarką! Dobranoc, ciociu, ten dzień minął jak bajka, jutro przyniesie zapewne inne przygody, więc z rozkoszą myślę o wygodnym łóżu.*

\*

Byk był czarny, lśniący jak kamień agatu i szybki jak błyskawica. Zanim doszło do pojedynku pomiędzy nim a wspaniałym bengalskim tygrysem, zdążył poturbować dwu dozorców i roznieść na rozłożystych rogach płócienną markizę, ocieniającą najniższe trybuny widzów.

Stał pod wysokim, murowanym ogrodzeniem, opatrzonym u szczytu kolczastym bambusem i wydmuchując rozdętymi nozdrzami piasek i śluz, toczył zaszłymi krwią oczami po otaczającym go tłumie ciemnych ludzi. Ogromne, przypominające granitowe kamienie mięśnie jego karku i grzbietu grały pod napiętą, pokrytą bliznami poprzednich walk skórą, szerokie kopyta wybijały głębokie bruzdy na zdeptanej darni areny, zwanej tu *alun alun*, zaś czarny, twardy jak lina statku ogon okładał wściekle wpadnięte boki i drgające niecierpliwie kłęby zadu.

Trybuny, dla pewności, otaczała gwardia przyboczna sultana. On sam wraz z rodziną i dworem zasiadał w cieniu rozpiętej płachty, dodatkowo chroniony od słońca parasolem ze złotą frędzlą i olbrzymim wachlarzem ze strusich piór. Po jego prawej ręce siedział Tomasz z Olivią, po lewej rezydent Johnson i Amerykanin, doktor Tomasz Horsfield, ulubieniec dworu i pupilek sultana. Był to mały, pomimo młodego wieku zasuszony od słońca i innych żywności człowieczek w czarnym surducie, o płomiennych, wielkich oczach fanatyka lub odkrywcy i cienkiej kresce zaciśniętych w grymasie nieustannego uporu ust.

Doktor Horsfield przebywał na Jawie od kilkunastu lat i zajmował duży dom z własnoręcznie zbudowanym laboratorium, w pobliżu bazaru miejskiego. Uczony stanowił pewne *curiosum* Surakarty i każdy przejezdny Europejczyk nie omieszkiał wstąpić w progi jego dziwaczного domu i zapoznać się z przyrodniczymi pracami tego zapalonego naturalisty.

Jego wiedza była rozległa i sięgała botaniki, geografii i zoologii, ale najlepiej czuł się w przedmiocie toksykologii, szeregowania trujących substancji w przyrodzie i ich działania na poszczególne gatunki zwierząt.

Swą urodą gnoma nieco przstraszał i sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Olivia powzięła do niego dziwną, choć nieuzasadnioną odrazę i pomimo jego uprzejmego zachowania za każdym spojrzeniem w jego stronę odczuwała dreszcz obrzydzenia jak przy dotknięciu węża.

A doktor właśnie upodobał sobie piękną panią i często zwracał się do niej w rozmowie przed rozpoczęciem spektaklu.

– Droga lady Raffles – mówił nadspodziewanie niskim i głębokim głosem. – Nauka o truciznach to jedna z najbardziej fascynujących dziedzin medycyny. Właśnie powróciłem z wyspy Bangka, na której rośnie trujące drzewo *Upas*, czyli *Antiaris Toxicaria*. Z jego soku tubylcy wyrabiają niesłychanie silną truciznę, stosowaną przy polowaniu na grubego zwierza.

Tu ze złowrogim uśmieszkiem wydobyl z przepastnej kieszeni surduta fiolkę z czerwonym, gęstym płynem i niedbałym ruchem rzucił ją na kolana Olivii.

– Ach! – krzyknęła kobieta i zeszywniała z przerażenia.

Następca tronu wybuchnął okrutnym śmiechem i powiedział przez tłumacza do drżącego z oburzenia Tomasza.

– Nasz doktor lubi straszyć nowo przybyłych, ale zapewniam pana, że jego żonie nic nie grozi. Trucizna zabija tylko w razie dostania się do krwi.

Amerykanin obliznął wąskie wargi i flegmatycznie schował buteleczkę w fałdy surduta.

Olivia unikała spojrzenia w jego stronę przez resztę dnia, tym bardziej że niesamowity doktor stał się później pewnego rodzaju uczestnikiem okrutnego pokazu na arenie.

Byk ryknął krótko i poczał drzeć kopytami ziemię, aż rozległ się głuchy, stłumiony huk,



a sucha darń poczęła drgać pod ciężarem jego cielska. Jakby w odpowiedzi na to niecierpliwe wyzwanie otworzyły się wysokie podwoje z grubych pni drzewa i na arenę wypadł płowy i niezwykle piękny tygrys. Zwierzę było widać rozwścieczone i uprzednio szczute przez strażników, bowiem bez wahania rzuciło się w stronę byka z przeraźliwym, mrożącym krew w żyłach rykiem.

Byk zwrócił się do pędzącego wroga z nadspodziewaną szybkością i nastawiwszy ostre jak sztylety rogi, pochylił łeb i wypluł z pyska płat gęstej, zielonkawej śliny.

Płowy, podłużny kształt wydawał się zawisnąć w powietrzu, a wielki kot, z rozdzierającym rykiem, spadł z rozstawionymi pazurami na szeroki grzbiet byka i począł orać jego lśniącą, aksamitną skórę. Pod wpływem własnego ciężaru osunął się na jego zad i wbił obnażone kły w masywne kłęby. Rwał płaty żywego mięsa i żółtego tłuszczu.

Bykiem wstrząsnął spazm bólu i zaskoczenia i począł, na oślep, kopać ostrymi półksiężycami kopyt. Równocześnie rzucił się do rozkołysanego, ciężkiego galopu, Tygrys stracił równowagę i znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Widzowie znieruchomieli, niektórzy wypuścili z rąk parasole, nie czując lejącego się na ich głowy żaru południa.

Słysząc tylko było tętent kopyt wielkiego zwierzęcia i ohydny odgłos rozszarpywanej żywej tkanki. Wydawało się, że to krawiec rozpruwa grubą, ciężką materię. Olivia poczuła gorzki smak żółci w gardle i przymknęła na chwilę oczy. Wszystko wokół niej wirowało, na czole czuła gęste krople potu. Gdy uchyliła powieki, napotkała płomienny, ciemny wzrok Horsfielda. Doktor patrzył na nią wzrokiem bazyliuszka, a na jego wąskich ustach igrał ironiczny, okrutny uśmieszek.

Z głuchym odgłosem tygrys upadł na arenę i wznosił tumany kurzu.

– Jee, jee! – rozległ się wrzask setek gardeł ludzkich i tupot nóg. – Jee, jee!

Krzyk podnieconych widzów zmieszał się z rykiem zwierząt. Rdzawe ciało tygrysa, wyrzucone nagle w powietrze ze straszną siłą, poszybowało na wysokość kilku metrów. Kot zwinął się instynktownie w kłębek i wywinąwszy kozła, padł ze strasliwym stęknieniem, po kociemu, na cztery łapy.

Wszystkie oczy pałały żądzą krwi, usta otworzyły się w pełnym okrucieństwa okrzyku, a twarze zakrzepły grymasie oczekiwania. Byk stał z pochylonym łbem i patrzył krwawymi ślepiami na pokonanego wroga. Na końcach jego błyszczących jak ostrze szabli rogów lśniły tłuste krople krwi.

Gasnący wzrok wielkiego kota widział nadchodzącą śmierć, więc z rezygnacją położył wspaniałą głowę na połamanych łapach. Zadrżała ziemia, gdy byk zaszarżował z wściekłością czarnego upiora i ochlapał siedzących w pobliżu areny widzów lepką pianą ze smrodliwego pyska.

Krew trysnęła z okropnych, głębokich ran na piersiach i podbrzuszu tygrysa i zbryzgała twarze ludzi. Przez chwilę panowała śmiertelna cisza, aż nagle podniósł się ogłuszający wrzask widowni, zaś następca tronu zawołał łamanym językiem angielskim.

– Lo, czarny panie! Lo, wielki królu Jawy! Błogosławione twoje kopyta, błogosławione twe lędźwie, błogosławione twoje rogi!

Byk, jakby rozumiejąc tę intonację, wstrząsnął olbrzymim łbem i stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach, spode łba spoglądał na trybuny, szukając śmiałka, gotowego stanąć z nim do dalszych zapasów.

Tymczasem podbiegło trzech dozorców i zarzuciło mu na łeb czarną płachtę. Zwierzę zacharczało groźnie, ale potem dało się poprowadzić w stronę bramy. Tłum ogarnął szał. Ludzie brali się w objęcia, ściskali sąsiadów i wiwatowali na cześć sultana i jego małżonki.

– Byk jest symbolem siły i bohaterstwa. Jest świętym zwierzęciem Jawy. Tubylcy

identyfikują się z nim, zaś tygrys to personifikacja brytyjskiego przybysza – rozległ się niski głos Horsfielda. Amerykanin świetnie się bawił i nie była to tylko radość sportsmena. Jego blada twarz zarumieniała się niezdrowym rumieńcem egzaltacji, zaś wąskie wargi pokryła ślina.

Dozorcy zbliżyli się do leżącego nieruchomo kota z przygotowanymi hakami do ściągania trupów zwierzęcych z areny. Lecz niespodzianie dla wszystkich, pod wpływem bólu zadanego długim szpikulcem żelaza, zwierzę poruszyło się i uniosło wspaniały, królewski łeb.

Jeden ze strażników zamachnął się drągiem, gotów dobić nieszczęsne zwierzę, ale Amerykanin zerwał się z głośnym krzykiem „Stop, stop!” i jednym skokiem znalazł się na arenie.

Oszołomiony kot z wysiłkiem usiadł na tylnych łapach i począł potrząsać głową, jak człowiek nieobudzony jeszcze całkiem ze snu. Drżał na całym ciele i widać było, że utrzymuje się w tej pozycji z najwyższym trudem. Ze straszliwych ran sączyła się krew i barwiła szkarłatem jego mlecznobeżowe futro.

Doktor Horsfield niespodziewanie zerwał się z miejsca i skłoniwszy się sułtanowi, wydobył z zanadru fiołkę z purpurową trucizną.

Lekkim krokiem podbiegł do umierającego zwierzęcia. Tygrys patrzył na niego zmęczonym wzrokiem. Z jego zaciśniętej śmiertelnym skurczem gardzieli wydobył się cichy skowyt. Obnażył kły, ale nie miał siły unieść głowy.

Amerykanin otworzył fiołkę i jej zawartością skropił otwarte rany zwierzęcia. Tygrys zeszywniał, jego żółty wzrok znieruchomiał, a z kącika zamglonego oka potoczyła się ciężka łza. Długi dreszcz wstrząsnął pięknym, dumnym ciałem i zwierze znieruchomiało.

Horsfield kłaniał się z uśmiechem i patrzył drwiąco w stronę Olivii.

Ktoś zawołał przestraszonym głosem.

– Madame Raffles zemdlą, wody! Madame zasłabła!

Przedstawienie było skończone. Nazajutrz gubernator Raffles wraz z małżonką i świtą wyjechał do odległej o dzień drogi Jogyakarta.

\*

List madame Nightingall z Jogyakarty do małżonka.

*Drogi mój, zdrowie madame Raffles pogorszyło się znacznie i gdyby nie moja opieka i wyrozumiałość gubernatora Raffles, być może musiałaby wrócić wcześniej do Batawii. Jej delikatna natura wzdraga się przed wszelkim okrucieństwem i przejawami przemocy, którymi doprawdy częstują nas tutaj aż nadto i za często. Przy tym, otaczający nas sultański przepych, na dłuższą metę staje się nie do zniesienia, kręci się od niego w głowie tym bardziej że nieodwracalnie łączy się z zapachami kadzideł, ciężkich perfum i ostrych przypraw. Sama ratuję się chustką nasączoną wodą kolońską i zimnymi okładami na czoło.*

*Obyczaje tu wszędzie takie same, procesje, szpalery armii, pompa wojskowa, przemowy, wystawne przyjęcia i pokazy fajerwerków.*

*Jest to bardzo męczące, niesłychanie długie i po pewnym czasie po prostu nudne. Wydaje mi się, że Olivia żałuje swej decyzji towarzyszenia mężowi, ale z drugiej strony racja stanu wymaga od niej takich poświęceń. Niestety, jej zdrowie nie wytrzymuje tego drakońskiego stylu życia, nie wspominając stanu jej wątroby, który wzbudza mój najwyższy niepokój.*

*Gdyby nie gruba warstwa kosmetyków i pomady, nie sposób byłoby ukryć żółtych plam na jej obliczu i dłoniach, podług doktora Currie, wywołanych owrzodzeniem i zapaleniem wnętrzości. Olivia właściwie nie obywa się obecnie bez swego toniku, który jednak wydaje się nie działać, a nawet działać szkodliwie. Niestety, nie można jej tego wytłumaczyć i pomimo ostrzeżeń lekarza nie rusza się bez niego nigdzie.*

*Mieszkamy w pałacu rezydenta, sir Crawfurda, ale codziennie jesteśmy zmuszone uczestniczyć w przeróżnych okrutnych i egzotycznych zwyczajach i zabawach dworu sultana Jogyakarty. Rezydencja leży przy głównej ulicy miasta, Jalan Maliabara, w odległości czterech mil od kratonu sultana.*

*Prócz niekończących się walk zwierząt na królewskim alun alun zmuszone byliśmy oglądać straszliwy rampog macan, czyli powolne zakłuwanie tygrysa przez okrutników z długimi pikami i lancami.*

*Widok straszny, krzyk, wrzaski zwierzęcia, piekło na ziemi. Przed tego rodzaju przedstawieniem wkładamy do uszu korki i zamykamy oczy. Olivia wraca ciężko chora, obie kładziemy się w łóżku i objęte ramionami, usypiamy, mieszając pomiędzy sobą łzy litości i żalu.*

*Na szczęście nasz powrót do Batawii zbliża się i właściwie z obowiązków dyplomacji pozostała nam jeszcze tylko wizyta w haveli matki sultana, Ratu Ageng i uczta pożegnalna, połączona z tańcami i ogniami sztucznymi.*

*Kilka dni temu przedsięwzięliśmy niezwykle interesującą i dla szczęśliwej odmiany, bezkrwawą wyprawę do gorących źródeł Parang Wedang i niezwyklej, tajemniczej groty Parang Tritis. Gdyby nie stada przerażonych naszą obecnością nietoperzy, które latały nad naszymi głowami na kształt małych demonów Hadesu, byłaby to bardzo przyjemna wycieczka.*

*Znajduje się tu wielu niezwykle uprzejmych i patriotycznych oficerów.*

*Obecność gubernatora Jawy wpływa świetnie na ich wysokie morale i nadaje odświętny ton każdemu zebraniu. Onegdaj major Dalton z bengalskiego pułku piechoty zorganizował wspaniałą wieczór tańca i gier. Tańczyliśmy kotyliona i bawiliśmy się w chowanego i ciuciubabkę, i nawet biedna Olivia ożywiła się i wzięła główną nagrodę za odtańczenie gawota!*

*Miasto jest ładnie położone pomiędzy łagodnymi pagórkami i wśród bujnej przyrody, więc z przyjemnością odbywamy wycieczki powozami po okolicy. Sultán to młody człowiek*

*o raczej groźnej urodzie, choć niezwykle uprzejmy i spełniający każde życzenie naszego gubernatora.*

*Łaskawie pokazał nam swój słynny Wodny Pałac – Taman Sari, na wyspie otoczonej wodą, do którego prowadzi podziemne przejście, zbudowane w poprzednim stuleciu przez pierwszego sultana Jogyakarta, Mangkubumi.*

*Pałac przypomina kształtem i kolorem budowle chińskie, to znaczy pagody, jego wnętrze przekracza przepychem i egzotyką wszystko, co do tej pory widziałam. Drogi mój, spodziewam się zobaczyć cię znowu w lutym, o ile zdrowie madame Raffles nie ulegnie pogorszeniu i monsun nie przeszkodzi nam w podróży. Pozostaję twą wierną i kochającą żoną, Hortensja Maria.*

\*

Hiobowe wieści z Kalkuty przysły poranną pocztą. Tomasz siedział w szlafroku w swoim gabinecie w letnim pałacu Buitenzorg i małymi łykami popijał sok pomarańczowy z kryształowego kielicha, kiedy do drzwi rozległo się dyskretne pukanie i do pokoju wsunął się szczupły i jak zawsze wytworny jego osobisty sekretarz, Travers.

– Travers! Jakie wieści? Kurier z Indii? – Tomasz rozpoznał pieczęcie i papier.

– Tak jest, Ekscelencjo – skłonił się Travers i podał gubernatorowi pakiet.

Raffles przebiegł szybko oczami treść dokumentu. W miarę czytania jego oblicze chmurzyło się i pokrywało coraz silniejszą bladością.

Travers obserwował zwierzchnika i wiedział, że z Kalkuty nadeszły złe wieści. Milczał jednak i czekał na odezwanie się gubernatora.

Tomasz skończył czytać i zapatrzył się na widok za oknem. Po chwili westchnął głęboko i powiedział tak cicho, że sekretarz musiał nachylić się nad biurkiem.

– Gillespie, ach Gillespie! Kto by się spodziewał? Nie ja, na pewno nie ja!

– Ekscelencjo?

– No cóż – mówił dalej jakby do siebie Raffles. – Powiniennem się domyślać, iż nie bez powodu pojechał do Kalkuty. I ta jego ostatnia ze mną rozmowa przed wypłynięciem z portu! Powiedział wtedy znamienne zdanie. „Należy mi oczekiwać na oficjalne zaakceptowanie Jawy jako królewskiej kolonii. Być może wtedy tu jeszcze powrócę”. Tak, miał nadzieję wrócić jako gubernator i mój następca!

– Ekscelencjo, czy mogę pomóc? Proszę rozporządzać moją osobą.

– Travers, wierny towarzyszu. Pojedziesz do Kalkuty, do generalnego gubernatora, z listami i ustnymi wiadomościami. – Tomasz wyprostował się nagle i zaczął mówić chłodnym, rzeczowym tonem. – Generał Gillespie oskarżył mnie o korupcję na wyspie, z którego oskarżenia bezsprzecznie najpoważniejszy jest zarzut prywatnej sprzedaży państwowych ziem i sprzeniewierzenie kapitału na własne cele. Posłuchaj, co mówi pismo generalnego gubernatora.

Tu Raffles przeczytał spokojnie zawartość dokumentu i złożywszy go powoli i dokładnie, schował do bocznej kieszeni szlafroka.

– Wyjedziesz jak najprędzej pierwszym statkiem na zachód. Przygotuj się do drogi. Dam ci dokładne instrukcje, co, gdzie i komu masz powiedzieć. Jesteś moimi uszami i oczami i zaznaczam, że od twojej inteligencji i szlachetnego serca wiele tu będzie zależało. Czy mogę na ciebie liczyć?

– Zawsze, Ekscelencjo, w każdej sprawie!

– Dobrze. A teraz pozwól mi zastanowić się nad listami. Potrzebuję kilka godzin. Wróc po południu, pisma będą gotowe.

Travers, z ręką na kłamce, odwrócił się jeszcze raz do gubernatora.

– Ekscelencjo? – zapytał nieśmiało.

– Mów odważnie – zachęcił go Tomasz. – Jak widzisz, nie mam w tej sprawie przed tobą tajemnic. O co chodzi?

– Dlaczego? Z jakiej przyczyny generał Gillespie uczynił taki... taki... – tu zająknął się i oblał szkarłatnym rumieńcem.

– Dlaczego tak mnie zdradził? – odpowiedział Tomasz i skrzyżował przed sobą ramiona.

– Powiem ci dlaczego. To bardzo proste. Generał Rollo Gillespie jest z natury bardzo ambitnym i bardzo zazdrosnym człowiekiem. Jako naczelny komendant sił zbrojnych Jawy widział się

również jej gubernatorem. Niestety moja osoba stała w poprzek tych marzeń. Ale był jeszcze inny powód. Zawsze uważałem, że manifestacja naszych sił zbrojnych na wyspie zakrawa na demonstracyjne i nieco teatralne popisywanie się naszą siłą i przewagą. Tubylcy niechętnie patrzą na obcego przybysza, a szczególnie przybysza uzbrojonego po zęby. Przy tym armia i marynarka wojenna wymaga specjalnego, wysokiego budżetu, finansów i zaopatrzenia, co tutaj, na tym małym skrawku ziemi przybrało rozmiary wręcz gigantyczne. Jest to olbrzym, zjadający mizerne zasoby mieszkańców. Wysilek niewspółmierny do korzyści. Gillespie nigdy tego nie rozumiał i zarzucał mi politykę typowego cywilnego urzędnika. Uważał, że bez manifestacji potęgi, nie utrzymamy w ryzach tubylców. Ja zaś uważam, że nasza potęga tkwi w słusznych, sprawiedliwych prawach i rządach. Tak z grubsza można przedstawić źródło niechęci pomiędzy mną a generałem. No, a teraz idź i przygotuj się do drogi. Czeka cię trudne zadanie, nie będę przeczył.

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy, Ekscelencjo, aby przyczynić się do całkowitego oczyszczenia mojego dobroczyńcy i pryncypała.

Tomasz uśmiechnął się i skinął dłonią.

– Jesteś nie tylko świetnym pracownikiem, Travers. Jesteś przyjacielem.

Sekretarz wyszedł i zamknął cicho drzwi za sobą. W żołądku czuł twardy kamień lęku i przecucia, że zamierzona podróż i jego najlepsze chęci będą jednak niewystarczające. Czekał ich wszystkich długi i niepewny okres oczyszczenia się z brudu i błota oszczerstwa.

I pomimo młodego wieku rozumiał, że tego rodzaju brud jest najtrudniejszy od zmycia.

– Olivio, nie powinnaś aż tak przejmować się sytuacją. Wprawdzie Travers niewiele zdziałał w Kalkucie, ale za tydzień wypływa do Londynu i pozostanie tam tak długo, jak długo będzie wymagało tego dobro sprawy.

Małżonkowie siedzieli na łożu Olivii w jej sypialni i rozmawiali cicho, ze względu na służącą, która sprzątała właśnie naczynia śniadaniowe z niewielkiego stoliczka pod otwartym na oścież oknem. Poprzez muślinowe, długie do podłogi firanki przeświecało poranne słońce i słychać było głośną rozmowę ogrodników, pracujących na rabatach kwiatowych.

Olivia ubrana była w przedpołudniową, tiulową suknię, luźnym krojem przypominającą lokalną *kebaya*, podwiązana pod piersiami różową wstążką. Pomimo nadchodzących czterdziestych trzecich urodzin wyglądała młodo, choć drażąca ją od pewnego czasu choroba wyostrzyła nieco rysy jej twarzy i nadała skórze niezdrowy, żółtawy kolor. Jej piękne oczy o podwójnej linii rzęs straciły blask i żywość spojrzenia, ale stale jeszcze była niezwykle atrakcyjną kobietą.

Tomasz z czułością ujął ją pod brodę i spojrzał głęboko w szafirowe, tajemnicze źrenice.

– Musisz uważać na siebie, *darling*, ponieważ, zanim pojedziemy na dłuższy urlop do domu, minie jeszcze co najmniej rok. W tej chwili nie mogę porzucić tutejszych spraw, tym bardziej że nadchodzi dzień uroczystego otwarcia Pomocniczego Towarzystwa Biblijnego i zaraz po tym spotkanie Stowarzyszenia Sztuk i Nauk Batawii, którego jestem przewodniczącym.

– Tomaszu, zbyt wiele obowiązków bierzesz na siebie. Mówisz, że niepokoisz się o mnie, ale to ja martwię się o ciebie. Zdrowie nas obojga pozostawia wiele do życzenia i doprawdy nie wiem, jak długo będziemy mogli pozostać tu, w tym strasznym, bezlitosnym klimacie.

– Ramsey przyrzekł zasięgnąć języka i rozglądnać się za letnim domem dla nas w okolicach Brighton. Będziemy mogli wreszcie wypocząć i nabrać sił do dalszej pracy.

– Nie wiem, czy zdobędę się na energię powrotu w tamte strony – westchnęła Olivia i nagle wybuchła płaczem. Tomasz przeraził się i tulił ją do siebie mocno, jakby chciał osłonić ją przed niewiadomymi ciosami losu.

– Najdroższa – szeptał z ustami wtulonymi w jej rozpuszczone włosy. – Nie płacz, nie martw się. Wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży. Fortuna do tej pory nam sprzyjała, więc i teraz nas nie opuści.

– Taka jestem przerażona. Dręczą mnie czarne myśli i przecucia nadchodzącego nieszczęścia.

– To nerwy, Olivio, to tylko nerwy. I ta niewyjaśniona do końca sprawa Gillespiego. Pokładam jednak wielką nadzieję w Traversie. Wierzę w jego dyplomację, uczciwość i spryt.

Przez chwilę panowała cisza. Olivia przywarła ustami do dłoni męża i obsypała ją deszczem pocałunków. Raffles delikatnym ruchem opuścił ramiączka jej obcisłego staniczka i odsłonił alabastrowo gładkie piersi. Głodnymi wargami i wilgotnym językiem począł pieścić ukochane ciało. Wdychał słodki, znajomy zapach jej skóry i zachwycał się perfekcyjnym kształtem tych kobiecych wdzięków. Nic w świecie nie dorównywało ich intymnym zbliżeniom. Wprawdzie ostatnio Olivia nie była zbyt chętna do erotycznych pieszczot, ale kiedy przemógł jej niechęć, stawiała się znowu dawną, pełną ognia i pomysłowości kochanką.

Tego dnia przyłgnęła do niego całym ciałem, oddawała pocałunki z niespotykaną od dawna pasją i gdy w końcu dobiegli wspólnie do tego zwycięskiego krańca, poza którym wydawało się, że czeka już na nich tylko śmierć, krzyknęła tryumfalnym głosem i wtuliła w jego pierś twarz, zalaną strumieniem łez.

Kołysał ją w ramionach i szeptał czułe słowa miłości.

Słuchała chciwie, zatopiona w jego uścisku, krucha jak porcelanowa lalka. Teraz dopiero spostrzegł, jakie spustoszenie uczyniła w niej ta dziwna, skryta choroba, z której nie zwierzała się nikomu, nawet jemu.

– *Darling*, przyrzeknij mi, że będziesz uważać na siebie i wypełniać wszystkie polecenia doktora Currie.

Bez słowa skinęła głową i mocniej objęła go szczupłymi ramionami.

– Olivio, powiedz mi, co ci dolega. Tak naprawdę, szczerze. Nigdy ze mną o tym nie rozmawiasz, więc nawet nie wiem, jak ci pomóc.

Przez chwilę zbierała myśli i w końcu szepnęła:

– To już nie ma znaczenia. Przyrzeknij, Tomaszu, że kiedy umrę, pochowasz mnie obok Johna, na cmentarzu Tanah Abang. Chcę spoczywać obok przyjaciela. Nie będę wtedy taka samotna. Bo i ty stąd kiedyś wyjedziesz.

Raffles otworzył usta, aby zaprzeczyć, aby odegnać tę straszną chwilę, której podświadomie oczekiwał od wielu miesięcy i na myśl o której przenikał go zimny dreszcz przerażenia. Olivia szybko położyła mu gorącą dłoń na ustach.

– Nie mów nic, kochanie. – Łza spłynęła spod jej powieki na wychudzony policzek. – Pozwól, że wreszcie powiem ci mój testament. Tomaszu, wiem, że nadchodzi kres. Nie przeżyję już tego roku. Pozostawiam ci moją część i przywiązanie na całą wieczność. Błogosławię twoje prace, twoje życzenia i twoją pomyślność. Wiem, że uczynisz dla Brytanii wiele i że teraz – to tylko początek. Ja już nie doczekam apogeum twoich tryumfów, ale umrę łatwiej, z przeświadczeniem o twojej nadchodzącej wielkości. Będzie o tobie pamiętać historia, więc i ja nie ulegnę zapomnieniu. Zawsze będę twoją żoną, twoją pierwszą, najprawdziwszą miłością. Nawet jeśli spotkasz inną na swej dalszej drodze.

Mówiła jak w świętym proroctwie, jej oczy poczęły płonąć nadzwyczajnym blaskiem, twarz zaróżowiła się łuną rumieńca, uniosła się nagle z pościeli i poczęła szybkim krokiem przechadzać się po pokoju.

– Tomaszu, musisz oczyścić się z tych niedorzecznych zarzutów. To jest jedyna przeszkoda do twojej dalszej kariery. Potem nic i nikt nie będzie w stanie cię zatrzymać, świat

padnie u twoich stóp.

– Olivio!

– Poczekaj, już nigdy więcej nie zdobędę się na taką szczerość. Tomaszu, nie wiem, czy byłam dla Ciebie dobrą żoną, ale dałam ze siebie wszystko, na co mnie stać. Całe życie żegnałam tych, których kocham, i drżałam na myśl, że i Ciebie przyjdzie mi pożegnać. A jednak to nie ty mnie opuszczasz, tym razem to ja odchodzę od Ciebie. Nie wiedziałam, że pozostanę na zawsze tutaj, na tej zielonej, gorącej wyspie, tysiące mil od Irlandii, w kraju słońca i tropikalnej przyrody. Kocham tę krainę i czuję się częścią tej czerwonej ziemi, więc chcę mieć szeroki widok na góry i palmowe gaje, na szafirowe niebo i wysokie, srebrne chmury. Daj mi odpocząć, Tomaszu, wśród cudów natury wspaniałej, magicznej Jawy. I nie wstrzymuj mnie, kiedy przyjdzie czas. Jestem już bardzo zmęczona.

Tomasz rzucił się do stóp żony i zaniósł się strasznym, niepowstrzymanym płaczem. Nachyliła się do niego i tym razem to ona tuliła go, kołysała w wątych ramionach i całowała jego oczy. Płakali razem i żegnali swą młodość, wspólne życie i wspomnienia.

Kiedy jednak po kilku godzinach wyszli do salonu przyjąć spodziewanych gości, w osobach byłego gubernatora Malakki, Holendra Abrahama Coupersa i jego małżonki, ukazali pogodne twarze i promienne oczy.

Madame Coupers mówiła potem do swej przyjaciółki, madame Cranssen, pewnym tonem osoby wszystkowiedzącej.

– Wiesz, moja droga, państwo Raffles to najszczęśliwsza para małżonków na ziemi. Z ich postawy widać, iż nie gnębią ich żadne kłopoty, żyją beztrosko i jakże pomyślnie. Czyż nie jest czasem niesprawiedliwa matka fortuna! Nieprawdaż?



\*

Latem tego roku celebrowano uroczyste klęskę „potwora z Korsyki” i wyzwolenie Niderlandów spod buta francuskiego.

Pałac gubernatora w Batawii płonął tysiącem świateł, orkiestra grała narodowe hymny Brytanii i Holandii, zaś Holendrzy wznosili okrzyki „Oranje Boven!”, czyli „Orania na wieki!”.

Sala balowa przystrojona została girlandami kwiatów pomarańczy, setkami luster i lampionów. Wznoszono toasty za zdrowie króla Jerzego, regenta, księcia orańskiego, markiza Wellingtona – pogromcę „korsykańskiego uzurpatora”, wreszcie lorda Minto i pary gubernatorskiej Rafflesów. Olivia nie była obecna na uroczystości i miejscowa „Gazeta Rządowa” zamieściła artykuł ubolewający nad jej absencją i „delikatnym stanem zdrowia”.

Na drugi dzień przedsięwzięto konną wycieczkę do Cjanur, popasając w Cipanas i Cisarua, gdzie odpoczywano w uroczej, niewielkiej farmie rządowej, prowadzonej na wzór słynnego Triagnon ściętej królowej francuskiej Marie Antoinette.

Tomasz towarzyszył rozbawionemu towarzystwu do Cisaury, ale powrócił do Batawii wcześniej, niespodzianie wezwany przez kuriera do łóża żony. Stan jego małżonki nagle się pogorszył i lekarze nie dawali żadnej nadziei.

Obowiązki trzymały Tomasa z dala od ukochanej, więc tylko wczesnym rankiem i późną nocą widywał Olivię w jej zamkniętej przed światem sypialni.

Choroba czyniła spustoszenie straszliwie szybko w jej biednym, wychudzonym ciele. W przeciągu kilku miesięcy poczęła wyglądać jak stara kobieta. Wypukły, obwisły brzuch zniekształcił jej smukłą, dziewczęcą sylwetkę. Nie mogła jeść, zwracała nawet płyny, cierpiała na napadowe, silne bóle głowy i nieustanne nudności. Jej aksamitna, porcelanowa skóra pomarszczyła jak pergamin, zaś pod szafirowymi oczami ukazały się sine cienie.

Wypadały jej włosy i kiedy po raz pierwszy długie, jedwabiste pasma pozostały na jej perłowym grzebieniu, biedna chora zemdliała. Nosiła teraz nietwarzowy czepiec i koszule z długimi rękawami, zakrywającymi zniszczone, pożerane przez chorobę ciało.

Dopuszczała do siebie tylko ciotkę Pamelę i Hortensję Nightingall, zaś służba miała rozkaz czekać za drzwiami sypialni.

Echa wspaniałych balów, pikników i audiencji dochodziły ją jak przez mgłę przez ściany i otwarte okna pokoju lub w raportach i opowieściach, przynoszonych do jej łóża przez ciotkę i wierną przyjaciółkę.

Z końcem lipca do Batawii przyjechał wiceadmirał sir Hood, co stało się pretekstem do nowych bankietów i ceremonii. Najbogatszy Holender w mieście, *mijnheer* Thyssien, wydał na jego cześć przyjęcie w swym wspaniałym letnim pałacu w Kampung Melayu, połączone z polowaniem na leoparda, zaś na drugi dzień *mijnheer* Cranssen zaprosił wszystkich na śniadanie na trawie, w stylu hindustani.

Wydawać się mogło, że zarówno Brytyjczycy, jak Holendrzy prześcigali się w uprzejmościach, aktach przyjaźni i manifestacjach dobrej woli. Ludzi ogarnęła euforia zgody po budujących wieściach z Europy i nikt nie chciał siedzieć beczynnie w domu. Wszyscy świętowali, tańczyli na ulicach i obejmowali nieznajomych. Panował dziwny nastrój nieustannego święta, libacji, przebaczenia dawnych politycznych niesnasek i wspaniałomyślności.

Jeden Tomasz wyczuwał nieszczerłość sytuacji i spodziewał się załamania tej fali szczęścia. Jego sytuacja w Londynie nie uległa szczególnej zmianie na lepsze. Specjalnie

wyznaczona komisja do zbadania sprawy zniesławienia posuwała się w tempie żółwia i nic nie wskazywało, aby do końca roku nastąpiło jakieś ostateczne zakończenie afery.

Tomasz z dnia na dzień spodziewał się odwołania ze stanowiska, ale rozkaz nie nadchodził.

Tymczasem minął październik i z nim nadeszło nagłe polepszenie w stanie zdrowia Olivii.

Pewnego poranka chora obudziła się z lekką głową, w znakomitym humorze i wołała o kawę i bułeczki. Zjadła ze smakiem śniadanie i prosiła lady Nightingall o pomoc w toalecie. W południe siedziała na werandzie, okryta pledem, z książką w ręku, rozmawiając swobodnie z Hortensją, a jej śmiech rozbrzmiewał znowu w domu i w ogrodzie. Na drugi dzień rozkazała zawieźć się w zakrytym landau na przejażdżkę po mieście.

Tydzień później postanowiła ukazać się na krótko na balu, wydanym na jej cześć przez Nightingallów w ich rezydencji Weltevreden.

Wprawdzie wyglądała bardziej jak zjawa z zaświatów niż żywa istota, ale z pomocą Hortensji i pudła kosmetyków prezentowała się, jeśli nie znakomicie, to wystarczająco dobrze. Wszystkich zdumiała jej siła woli i chęć życia. Nie wiedzieli jednak, że był to już łabędzi śpiew i że śmierć stała u progu jej sypialni. Na balu zresztą nie podniosła się nawet na dźwięk hymnu „Boże, chroń króla”, czego nikt nie miał jej za złe, i wyszła, trzymając się ramienia męża, gdy tylko zaczęły się tańce.

– Niezwykła osoba – powiedziała madame Thyssien do madame Mijer, żony prezydenta Europejskiej Izby do Spraw Sierot. – Co za wytrwałość, jaki upór i samozaparcie.

– Cóż, nie pozostaje jej nic innego – odparła sucho pani Mijer, która nie lubiła Olivii i była jedną z niewielu osób nieokazujących jej współczucia. – Przedtem pocieszała się butelką brandy. Teraz i tego nie może, ha!

– Madame Mijer! – zawołała oburzona pani Thyssien i odsunęła się szybko od zgorzkniałej plotkarki.

Kilka tygodni później Tomasza zbudziło natarczywe i głośnie pukanie do drzwi jego sypialni. Od czasu choroby żony gubernator sypiał osobno, aby nie przeszkadzać chorej, jednak nakazał służbie budzić go w razie potrzeby lub pogorszenia stanu żony. Przestraszony Ismail trzymał w drżącej dłoni lichtarz i mówił coś bez sensu.

Tomasz jednym susem znalazł się w gotowalni i trzęsącymi rękami nałożył jedwabny szlafrok. Pobiegł przez puste korytarze, wyłożone perskimi i kaszmirskimi dywanami i wpadł zadyszany do sypialni Olivii. Pokój oświetlony był jaskrawym światłem wielu świec i lamp, przy łóżku chorej klęczały ciotka Pamela i Hortensja i odmawiały modlitwę za umierających.

Olivia leżała bez ruchu, biała jak atlasowe poduszki, na których spoczywała jej mała, ciemna głowa. Chora wydawała się zapadać w pościel, prawie niewidoczna, krucha i woskowożółta. Powietrze w pokoju było duszne i ciężkie od zapachu świec i bukietów gardenii, ulubionych kwiatów Olivii. Szczelnie zamknięte okna osłaniały kotary i firany, a jednak Olivia wpatrywała się z natężeniem oczekiwania w portret Leydena.

Na widok Tomasza na chwilę zwróciła ku niemu ciemny wzrok, ale wydało się, że nie poznaje męża, i zaraz uciekła spojrzeniem do okien.

Raffles przypadł do jej wezgi i pochwycił chłodne, bezwładne dłonie w swoje ręce. Nie oddała uścisku i jej kamienny wyraz twarzy nie uległ zmianie.

Pamela Rawlison powstała ciężko z klęczek i szepnęła:

– Należy wezwać doktora Currie, Tomaszu. Być może jeszcze coś będzie mógł pomóc.

Raffles potrząsnął głową i odpowiedział nadzwyczaj spokojnie:

– Tu już nikt nie pomoże. Módlmy się o łatwą śmierć, to wszystko.

– Och! – Pamela zakryła usta ręką i opadła na kolana. Madame Nightingall kurczowo pochwyciła jej dłoń i tak pozostały obie aż do rana.

Śmierć czaiła się w fałdach kurtyn, w załamaniach światła i cieniach nocy. Olivia oddychała szybko i płytko, jak człowiek ścigany, zmęczony pogonią, ale zdeterminowany uciekać. Jej oczy zwracały się nieustannie do okien, błędziły niecierpliwie, płochliwie po ścianach i zatrzymywały się czasem na portrecie Leydena. Tak dotrwali do rana.

\*

Światło i cień, światło i cień. Niewyraźny, wirujący korowód kształtów i barw. Zawrotny taniec śmierci, smutne pożegnanie życia. Olivia chciała zatrzymać na chwilę ten pogrzebowy płas, te mary i widziadła, nieprzybierające konkretnej formy, lecz męczące ją niewiadomą, migotliwą powłoką.

Wiedziała, że umiera, ale nie czuła żalu ani rozpaczy za wyciekającym z niej powoli życiem. Może była zdziwiona tym dostojnym, niespiesznym stanem znikania i zapadania się w samą siebie. Było to uczucie nie tylko przyjemne, ale uspokajające i krzepiące. Otaczała ją własna, cielesna powłoka, która miała jej towarzyszyć na drugą stronę.

Nagle jej ciało stało się odrębnym, znanym i kochanym przyjacielem. Ach, więc to jej dusza stanowi ten drugi podmiot zachwytu, błogostanu i wyzwolenia, to druga towarzyszka doli i niedoli, w rozpoczynającym się locie przez otchłanie niebytu.

Olivia uśmiechnęła się domyślnie i jej długie rzęsy zatrzepotały szybko i prawie kokieteryjnie. Z blasku i cienia wyłoniła się jakaś głowa i rozciągnęła usta w ironicznym grymasie. Hamiltonie, więc jednak wróciłeś po mnie, niewdzięczniku! Tak, kochałam cię, ale to uczucie i tak nie pozwoliło przetrwać naszej miłości. Nasza córka, Harriet, dorosła dama! I tak świetnie wyszła za mąż! Zrobiła wspaniałą partię! Moje dziecko, moje rodzone, niekochane dziecko!

Załkała krótko, ale już Hamilton przemienił się w potwornego doktora Horsfielda i Olivia zmarszczyła ze wstrętem brwi. Nie, z nim nie chciała mieć nic wspólnego! Co za obrzydliwy człowiek! Zajrzał w głąb jej duszy tymi płonącymi szatańsko ślepiami. Powiedział jej nimi, że odgadł jej myśli, że poznał ją w ułamku sekundy i potępił. Obcy, nieznany człowiek!

Ach, ojczu, więc i ty po mnie wróciłeś? Nie, nie chcę kuca ani małpki. Chcę twojej miłości, obecności i troski. Kochaj mnie choć trochę.

Blaski i cienie, trudno wyłowić prawdziwy kształt.

Olivia jęknęła i otworzyła nagle oczy. Głowa Tomasza nachylała się nad jej ustami, jego ucho łowiło każdy szept, każdy oddech. Złożyła usta do ostatniego pocałunku. Nieposłuszne wargi nie poruszyły się. Tomasz nie widział, że chce mu coś powiedzieć. Jakże to straszne, kto przeprowadzi mnie na tamten brzeg? Czy jestem zdana na samą siebie? James, James, twoja twarz jest taka czarna, czy to choroba zmieniła twoje rysy?

Blask natęzał się, obejmował ją ciepłym, żółtym światłem i nagle w jego pulsującym promieniu dojrzała swą jedyną, prawdziwą miłość. Dojrzała ukochaną postać, z którą mogła spokojnie odejść. Johnie, jak dobrze, że jesteś przy mnie. Tak błogo, tak bezpiecznie! I silne, opiekuńcze ramię objęło jej kibić, zaś drogie, wilgotne usta spoczęły na jej spragnionych wargach. Korowód cieni i blasku pierzchnął, wtopił się w noc i przepadł. Została cicha, ciepła obecność Leydena i jego silne ciało. Olivia westchnęła długim, szczęśliwym westchnieniem i zasnęła.

**Część II**  
**ZOFIA**

\*

*Nie ośmielam się rozmyślać o przeszłości, ponieważ widzę tylko pogrzebane nadzieje,  
zerwane więzy uczucia i straszliwe oblicze śmierci. (Fragment listu Zofii lady Raffles do księżnej  
Somerset)*

\*

Od czego zacząć ten pamiętnik, to świadectwo przeżytych dni i lat z najwspanialszym człowiekiem obecnych czasów, z mężem czułym i opiekuńczym ponad spodziewanie i ponad spodziewanie mądrym.

Tomasz to olbrzym, przerastający współczesnych mu herosów i gigantów. To niezwykle człowiek, rzucony przez Opatrzność w niezwykle czasy i okoliczności. To mój mąż, moja jedyna i wieczna miłość.

Nazywam się Zofia lady Raffles i urodziłam się jako drugie dziecko Watsona Hulla i jego małżonki Zofii, po której odziedziczyłam imię. Tuż przed moimi urodzinami rodzice wrócili z Indii i na pewien czas zamieszkali w wynajętym apartamencie Londynu, przed ostateczną podróżą do rodzinnej Irlandii.

Moja matka była najmłodszą pomiędzy dwudziestoma dziećmi, wśród których jeden z braci, mój wuj William Hollamby, został słynnym żeglarzem i kwatermistrzem na statku kapitana Cooka „Discovery” w czasie jego czteroletniego wojażu przez Pacyfik w latach 1776 i 1780.

Rodzice pobrali się w Bombaju i w trzy lata później znaleźli się w Londynie. Mój ojciec cieszył się równie szanowaną parantelą, urodzony w hrabstwie Antrim jako najstarszy z czworga dzieci Antoniego Hulla i Alice z domu Watson, której brat John był potem znanym komandorem marynarki wojennej Bombaju.

Papa od młodości odznaczał się inteligencją, uporem i elegancją w obejściu. Dlatego już w czułym wieku dziewiętnastu lat otrzymał pozycję pisarza w biurach Kompanii Wschodnioindyjskiej w Bombaju i od tego czasu szybko awansował. Zebrał też poważną fortunę i po powrocie do Anglii stać go było na kupno majątku i wygodnego dworu w Cheltenham, a później drugiego na Hornsey Lane, Highgate, w pobliżu Londynu.

Nasz dom zawsze był pełen śmiechu i pisku dzieci. Dobry Pan obdarzył mnie ośmioma siostrami i sześcioma braćmi.

Wraz z siostrami męczyłyśmy bez litości zmieniające się często stare panny – guwernantki, przy okazji ucząc się rysunku, języków i muzyki, w której ja zawsze celowałam i która była moim ulubionym przedmiotem. Szybko nauczyłam się grać na piano forte i ten instrument stał się moim prawdziwym przyjacielem i nieustannym towarzyszem podróży w późniejszym życiu.

Na dwudzieste urodziny otrzymałam harfę, elegancki, złocisty i nieco tajemniczy instrument, którego struny dźwięczą jak pieśni starożytnego Homera i Wergilego. Jest to boski instrument, godny Apollona i jego Muz, więc do nauki na nim podchodziłam z szacunkiem i czcią. Nigdy nie opanowałam gry na harfie w takiej formie jak na piano forte, ale harfa była drugą siostrą i przyjaciółką w moim zdumiewającym życiu i przypisuję jej prawie magiczne znaczenie.

Londyn był w owych czasach wspaniałą metropolią sztuki, kultury i międzynarodowego towarzystwa.

Najlepsi aktorzy, malarze, uczeni i muzycy zjeżdżali się tutaj z całego świata, nie tylko zobaczyć, ale również zdobyć, podbić i otrzymać palmę pierwszeństwa w kolorowej socjocie miasta.

Od dziecka byłam fanatyczką opery, która zajmowała budynek na Highmarket we wnętrzu Teatru Królewskiego. W towarzystwie rodziny lub przyjaciół nie omieszkałam obejrzeć

wszystkich premier sezonu letniego i zimowego, przez wszystkie lata mego pobytu w Londynie. Widziałam *Don Giovanniego* i wspaniałego, dramatycznego *Oberona*, podziwiałam Weischela, którego nazywano dyrygentem wszechczasów, i słuchałam aksamitnego głosu Johna Brahama w oratorium *Mesjasz* maestro Haendla.

Cheltenham było w tych czasach niezwykle wytwornym i „właściwym” adresem zamieszkania. Zajmowaliśmy wygodny i duży dom w stylu klasycyzującym na High Street, głównej promenadzie miasta. To tętniące życiem miejsce nosiło jeszcze ślady resortu letniego, choć powoli zmieniało się w nobile miejsce, gdzie trwa targowisko matrymonialnych propozycji, wdów szukających nowych partnerów, starych dżentelmenów w poszukiwaniu utraconego zdrowia i młodości i młodych panien spragnionych gorącego romansu.

Wprawdzie ojciec nigdy nie wyznał mi prawdziwego powodu zamieszkania w tym tyglu nowej cywilizacji i życia utracjusza, ale podejrzewam, iż zamierzał nas szybko i bogato wydać za mąż. Jakoż moja młodsza siostra Mary Jane natychmiast poznała eleganckiego młodzieńca, który okazał się asystentem sekretarza Kompanii Wschodnioindyjskiej, pana Piotra Aubera i po krótkich zalotach i okresie narzeczeństwa, wyszła za niego za mąż w Essex, w grudniu 1816 roku.

W tym czasie ja uważana byłam przez rodzinę za starą pannę, ponieważ dochodziłam lat trzydziestu i nie mogłam się zdecydować na oddanie nie tylko ręki, ale przede wszystkim serca żadnemu ze znajomych młodzieńców.

Żaden nie był na tyle interesujący, abym choć przez moment wyobraziła sobie przetrwanie z nim następnych kilkadziesiąt lat.

„Jesteś wygodna i leniwa, moja panno”, zwykł mawiać mój papa i patrzył na mnie z udaną surowością.

W głębi duszy był bowiem zadowolony z mojego staropanieństwa. Dotrzymywałam jemu i mamie towarzystwa w domu i pełniłam obowiązki gospodyni w jakże częstych towarzyskich zebraniach, od których roiło się na tym rynku żywym towarem.

Jakież byłoby więc moje zdziwienie i niedowierzanie, gdyby ktoś powiedział mi, że oto za rok będę już stateczną i bardzo szczęśliwą mężatką. Byłabym go wyśmiała i wysłała na księżyc!

Przeznaczenie dosięgło mnie niespodzianie, w piękny dzień sierpniowy, który już od rana rozpoczął się odświętnie i nadzwyczajnie. Otóż był to dzień zaślubin mojej najmłodszej siostry, bo zaledwie szesnastoletniej Elżbiety Marii, z młodym pastorem i uczonym, Tomaszem Pagem. Narzeczeństwo trwało zaledwie dwa miesiące i pan młody nalegał na ślub, ponieważ wyjeżdżał do Birmy na objęcie posady przy gabinecie generalnego gubernatora.

Ojciec bardzo niechętnie zgodził się na ten pospieszny, a więc omal nieprzyzwoity ślub i właściwie do końca nie było wiadomym, czy wydarzenie tej wagi dojdzie jednak do skutku.

Elżbieta wylała morze łez, nóżki bolały ją od tupania, które było formą protestu, zaś gardelko zdarła od okrzyków niezadowolenia. Była to słodka i niezwykle głupiutka istotka i taką miała już pozostać na resztę życia.

Ponieważ papa do końca zwlekał z ostateczną decyzją, więc kiedy wreszcie zadeklarował zgodę, było już za późno na wielkie przygotowania.

Mama wyciągnęła z poźółkłych od starości pudeł koronkową suknię i welon, w którym występowała jeszcze nasza babka, a potem z wielkim płaczem i uściskami poczęła z pomocą zatrudnionej szwaczki przymierzać, poszerzać, zwięzać i dodawać urody archaicznej kreacji. Wydawało się, że biedna Elżbieta lepiej będzie wyglądać w amazonce do konnej jazdy, ale o dziwo, w dzień ślubu fałdy, zakładki i falbany poczęły układać się posłuszenie w cudownie malowniczy wzór starego atłasu, kwiaty pomarańczy wpięte w czarne sploty włosów Elżbiety



pachniały słodko i odurzająco, zaś ona sama, wielkooka i oszołomiona, sprawiała wrażenie płochliwej, gotowej do ucieczki łani.

Wszystkie wybuchliśmy płaczem na ten cudowny widok prawdziwej niewinności, a ponieważ było nas osiem, więc hałas panował przez chwilę straszny, aż papa wyszedł z gabinetu i gwizdnął specjalnie do tego przeznaczonym srebrnym gwizdkiem marynarskim.

Zaraz zrobiło się cicho i już bez przeszkód wsiadliśmy wszystkie do podjeżdżających karoc i w towarzystwie braci lub mężów udałyśmy się na miejsce, gdzie dokonać się miało przeznaczenie naszej najmłodszej siostry.

W kościele siedziałam pomiędzy moją siostrą Alice a jej mężem, kapitanem Ryszardem Mudge.

Było niesłychanie duszno i starsza dama, zajmująca miejsce jeden rząd przede mną, zawzięcie wachlowała się wachlarzem z pawich piór. Towarzyszył jej młody, wysoki człowiek w nieskazitelnym i wytwornym letnim surducie, o jasnych włosach, kręcących się na karku rozkosznymi loczkami małego chłopca. Był to widok nadzwyczaj rozculający, a ja nie mogłam oderwać oczu od jego lekko opalanej, wspaniale rzeźbionej, wręcz arystokratycznej szyi i tych miękkich, płowych kosmyków, wymykających się niecierpliwie spod wysokiego kołnierza. Młody człowiek od czasu do czasu nachylał się do starej damy i cichym głosem coś jej tłumaczył. Pióra we włosach matrony chwiały się łagodnie, a pawi ogon w wachlarzu posyłał przyjemne, chłodne wiry powietrzne, które dochodziły aż do mnie i rzeźwiły mój nieco zwiędły humor.

Po drugiej stronie nieznajomego siedziała przystojna, korpulentna pani z małym chłopczykiem na kolanach. Zapewne była to matka z synkiem, ponieważ dziecko poufale obejmowało ją za szyję i tuliło się do jej nagich ramion, przysłoniętych jedwabnym szalem.

Towarzyszył im młody człowiek w surowym, czarnym surducie, który z kolei zajmował się małą, kilkuletnią dziewczynką i sądziłam, że musi to być ojciec dzieci i mąż pulchnej damy.

Mój szwagier, kapitan Mudge, zauważył widocznie mój wzrok, często skierowany w stronę nieznajomej rodziny, bo nachylił się do mnie i szeptem powiedział:

– Widzę, że zainteresowała cię ta urocza grupa. Pozwolisz, że po zakończeniu uroczystości przedstawię cię starej damie?

– Któż to taki? – odparłam równie cicho, ale nie dosłyszałam odpowiedzi, ponieważ zabrzmiały majestatyczne organy i ceremonia zaślubin właśnie się rozpoczęła.

Po zakończeniu uroczystości moja i pana młodego rodzina zostały zaproszona do refektarza kościelnego na kielich wina i szczególne błogosławieństwo pary młodej.

Uczta weselna odbywała się w naszych salonach i na tarasach otaczających rezydencję. Pomimo że do tej pory nasz dom wydawał mi się wygodny i przestronny, w tym szczęśliwym dniu panował tu niesłychany tłok, a ponieważ lato było parne, większość gości zajęła wszystkie krzesła i fotele na balkonach. Wkrótce towarzystwo podzieliło się na kilka grup, nie zawsze zależnych od wieku i płci.

Było to raczej podyktowane zainteresowaniami, pozycją i intelektem.

Przy kilku karcianych stolikach zasiadło już grono graczy, ktoś nawoływał do tańców, jeszcze inni zawzięcie dyskutowali ostatecznie wydarzenia polityczne w Europie.

O siódmej wieczorem, zaraz po zapadnięciu zmierzchu, podano kolację na długich stołach, zasłanych najlepszymi, adamaszkowymi obrusami mojej matki. Na ten specjalny wieczór w naszej kuchni pracowało dwu mistrzów kulinarnych prosto z Francji i czterech kuchcików. Prócz tego matka wynajęła kilka panien kuchennych i dodatkowe pomywaczki.

Lokaje w białych atłasowych surdutach, szamerowanych złotem, roznosili szampana, wino i napoje chłodzące. Ci również zostali zatrudnieni przez specjalną firmę, zajmującą się

urządzeniem przyjęć dla „grona gości powyżej pięćdziesięciu osób”.

Ojciec mówił potem w sekrecie do matki, że ślub Elżbiety był najkosztowniejszym wydatkiem w całej historii naszej rodziny. Naturalnie podsłuchiwała to Alice, która zawsze, już od dzieciństwa, lubiła donosić, co dzieje się w sypialni rodziców.

W większym salonie usunięto meble i dywany i zmieniono go na salę balową. Na niewielkim podwyższeniu, przykrytym kaszmirskimi dywanami przywiezionymi przez rodziców z Indii, grał wytworny i dyskretny kwartet, cieszący się sławą w całym Londynie. Wkrótce na błyszczący, polerowany przez ostatnie trzy dni parkiet wybiegł pan młody i porwawszy za rękę młodą żonę, zawirował z nią w modnym i jakże wspaniale grzesznym walcu!

Być może moja najmłodsza siostra nie była szczególnie mądra, ale za to och! jaką była cudowną panną młodą! Tworzyli razem prześliczną parę, więc nic dziwnego, że wokół zebrał się tłum gości, którzy podziwiali ich umiejętności, zgrabne ruchy i w końcu sami ruszyli w płasy.

Ja również tańczyłam z papą, ze szwagrem Mudge, z kilkoma znajomymi kawalerami, bowiem mój karnet zapisany był do ostatniego tańca nazwiskami chętnych panów.

Ten zapamiętały wir, zmęczenie, duszne powietrze spowodowały, że poczęło mi się kręcić w głowie.

Pod pozorem pragnienia posłałam partnera po szklankę orszady, a sama przeszłam do mniejszego saloniku, gdzie było wprawdzie również ciasno, ale gdzie znajdowało się moje ukochane piano forte.

Natychmiast otoczył mnie zwarty tłum gości, którzy znając moją pasję, poczęli wołać o Beethovena, Haydna i nawet młodziutkiego, dopiero rozpoczynającego karierę Rossiniego.

Najwyższą przyjemnością było i jest dla mnie położenie rąk na chłodnej powierzchni klawiszy. Czuję wtedy niewidzialny, ale jakże silny prąd magnetyczny, instrument mnie woła i poznaje. Jest moim panem, a równocześnie przyjacielem i niewolnikiem.

Nie umiem wytłumaczyć tego do końca. Ogarnia mnie przecucie czegoś nadzwyczajnego, wspaniałego, drzę z niecierpliwości i oczekiwania na ten pierwszy, cudowny dźwięk. Cała zatapiam się w muzyce i świat zewnętrzny przestaje dla mnie istnieć. Staję się muzyką.

A jednak tamtego wieczora po raz pierwszy nie mogłam się skupić, moje palce mechanicznie wystukiwały rytm i melodię, ale myśli krążyły gdzie indziej. Jak przez mgłę widziałam skupione twarze słuchaczy, rozpoznawałam znajomych i przyjaciół, ale mój wzrok stale błądził pomiędzy rzędami gości. Nie wiedziałam, kogo – czy czego – szukam. Ale nie mogłam przestać i męczyła mnie ta uparta czynność, więc kiedy wreszcie go spostrzegłam, doznałam tak silnego wzruszenia, że na mgnienie oka zapomniałam dalszego ciągu melodii.

Stał w drzwiach salonu, niedbale oparty o futrynę, na pół zasłonięty aksamitną portierą i palił cygaro. Teraz mogłam ocenić, jak był wysoki i smukły. Miał wspaniałe, długie nogi w eleganckich, czarnych spodniach i lśniące jak lustro trzewiki na wąskich stopach arystokraty. Jego długą kolumnę szyi, tej szyi, która tak zwróciła moją uwagę w kościele, przewiązywał wytworny krawat, otoczony burzą śnieżnobiałych koronek.

Ale najwspanialsza okazała się teraz *en face* jego twarz, ruchliwa, inteligentna, o regularnych rysach, długim, świetnie wyrzeźbionym nosie i wypukłych, nieco kapryśnie zarysowanych ustach. Jego oczy miały kolor morskiej wody i jak ona wydawały się niezgłębione i tajemnicze. Złocisty lok opadł na jego czoło prawie po chłopięcemu, więc odgarnął go niecierpliwie smukłą, bladą dłonią.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się, zawisły w przestrzeni salonu, jak dwa ptaki w śmigłym locie, dążące sobie naprzeciw, i w tym ułamku sekundy cały świat zamarł i ucichł. Przecuciem serca, drgnieniem duszy odgadłam, że to właśnie on, że na niego czekałam całe

życie i że tylko do niego będę należeć.

Było to równocześnie straszne i piękne, przerażające i potężne uczucie. Moje palce odmówiły posłuszeństwa, zawiodła mnie zawsze do tej pory znakomita pamięć i ja, uważana za wirtuoszkę, zapomniałam się i przerwałam w pół taktu! Wszystkie twarze zwróciły się ku mnie w oczekiwaniu, więc rozpaczliwie, nie pamiętając ani jednej nuty, poczęłam komponować własny utwór.

Nie wiem, jak dobrnęłam do końca, była to męka i udręczenie, ale równocześnie ogarnęło mnie zniecierpliwienie, aby jak najprędzej zakończyć tę godną pożalowania scenę i upewnić się, czy aby nieznajomy nie wyszedł przedwcześnie z przyjęcia. Przedwcześnie? Przedwcześnie dla kogo?

Rzuciłam mu znowu ukradkowe spojrzenie i wtedy on ukłonił mi się krótkim, porozumiewawczym ukłonem. Zauważył mnie, zapewne zwrócił uwagę na moją pomyłkę i będzie o tym opowiadał ze śmiechem w swoim towarzystwie! Biada mi! Powinnam stąd jak najszybciej uciec na górę, do sypialni i już tego wieczoru więcej się nie pojawić! Niepodobna, miałabym go już nie zobaczyć?!

Nawet nie znam jego imienia! Wielkie nieba! Nieznajomy odwrócił się do kogoś, kto powiedział coś do niego w drugim pokoju, i po chwili zniknął mi z oczu!

Ogarnęła mnie taka rozpacz, że wysiłkiem woli powstrzymałam łzy, napływające nieznośnie do oczu. Nie, nie mógł zniknąć z mojego życia! Byliśmy związani magiczną, niewidzialną nicią.

Przecież i on musiał odczuwać to samo! Nie wiedząc jeszcze o tym, padłam ofiarą fenomenu, o którym do tej pory czytałam tylko w romansach i który nie przystawał pannom z dobrego domu. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia!

Nagle poczułam się tak nieszczęśliwa i osamotniona, że nawet uprzejme, a może prawdziwie serdeczne oklaski i prośby o bis nie zdały się na nic i nie potrafiły wyprowadzić mnie z melancholii.

Rozpalona i zadyszana jak po długim biegu, wyszłam na wewnętrzny dziedziniec, który służył równocześnie jako „śródziemnomorski ogród”. Były tam bowiem krzeselka, parasole i stoliki do gry w karty, szemrała fontanna i po ścianach pięły się dzikie róże i winorośl. W jednej ze ścian znajdowała się wnęka z wyrzeźbioną głową trytona, z której tryskało źródółko wody.

Tutaj przede wszystkim skierowałam moje kroki. Zanurzyłam dłonie w chłodnej wodzie i batystową chusteczką przetarłam pulsujące skronie i czoło. Poczułam się nieco lepiej, więc usiadłam na kamiennej ławce i oddałam nieutulonej rozpacz.

Nagle czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu, a ja zawstydziłam się mego obecnego stanu. Cóż ja czynię? Moja ukochana siostra wychodzi za mąż, a ja, szkaradna egoistka, płacząc nad swymi urojonymi kłopotami!

Był to kapitan Mudge, mój kochany szwagier, który od kilku minut poszukiwał mnie w całym domu.

– Siostro! – zawołał, bo zwykł mnie tak nazywać, a ja byłam mu za to wdzięczna. – Siostro! Co się z tobą dzieje? Wszyscy pytają o ciebie! Podobno grałaś jak anioł i goście czekają na ciąg dalszy!

– Mój miły Ryszardzie! Zawsze potrafisz mi przywrócić dobry humor!

– Cóż takiego zaszło, coż zasmuciło cię w tej radosnej godzinie? Czyżbyś płakała nad utratą Elżbiety? A przecież zawsze mi powtarzasz, że w zamążpójściu nie tylko nie tracisz siostry, ale raczej zyskujesz brata.

Nie mogłam jeszcze zdobyć się na intymne wyznanie przyczyny mego nieszczęścia, więc tylko potrząsnęłam głową, ale Ryszard widocznie i tak nie wziął zbyt poważnie moich

przeżyć, bo ciągnął dalej:

– Zofio, w salonie czeka ktoś, kto chciałby cię koniecznie poznać. A ponieważ to starsza dama, więc nie wypada zbyt długo zwlekać. Pójdźmy szybko, a przysięgam, że nie pożałujesz!

Tu oczy błysnęły mu szelmowsko i pociągnął mnie bez ceregieli za rękę.

Stara dama siedziała oparta wygodnie o poduszki i jak przedtem w kościele, wachlowała się wachlarzem z pawich piór. Jej przenikliwe, głęboko wpadnięte, błękitne oczy obrzuciły mnie uważnym spojrzeniem, zaś niewielkie, prawie dziecinne usta zapytały cichym głosem:

– Kimże jest ta śliczna panienka, z którą tak ochoczo pan tańczył, drogi Ryszardzie?

Widocznie знаła mego szwagra i zapewne lubiła, bo równocześnie uderzyła go pieszczotliwie wachlarzem po rękę.

– Madame, pozwól, że przedstawię ci siostrę mojej żony, pannę Zofię Hull. To moja ulubienica i powiernica mojej małżonki.

Dygnęłam grzecznie i spuściłam oczy, jak nakazywał dobry obyczaj. Dama ujęła mnie za ramię i pociągnęła koło siebie na kanapę.

– Usiądź koło mnie, moje dziecko. Mam córki w twym wieku, jedna z nich obdarzyła mnie wnukami. Moje nazwisko Raffles... – Tu na chwilę przerwała, jakby oczekując z mej strony odpowiedzi, ale ponieważ milczałam, mówiła dalej:

– Biedna Mary Ann od roku już jest wdową i pielęgnuje synka i córeczkę sama, strzegąc ich jak oka w głowie.

Natychmiast domyśliłam się, że była to owa pulchna, młoda kobieta w kościele.

– Niechże mi pani powie coś o sobie, miss Zofio, bowiem wydaje mi się, iż jest pani nad wyraz skromną i małomówną osobą.

– Być może małomówną, ale jakże wymowną przy klawiaturze! – zabrzmiał nade mną ciepły, spokojny głos. Podniosłam oczy i oblałam się szkarłatnym rumieńcem. Mój nieznajomy, wybrany, stał ze szklaneczką ponczu w dłoni i patrzył na mnie z przekornym, nieco drwiącym uśmiechem.

– *Maman* – zwrócił się z troską w głosie do madame Raffles. – Czy nie jest ci duszno? Przyniosłem twój ulubiony poncz.

– Dzięki, Tomasz. Jeżeli pozwolisz, przedstawię ci pannę...

– Zofię – podpowiedział mój anioł i obdarzył mnie wytwornym ukłonem. – Do usług pani, Tomasz Stamford Raffles. Czy zechciałaby pani ze mną zatańczyć?

– Idźcie drogie dzieci, idźcie, a ja porozmawiam sobie z Ryszardem.

Madame Raffles popchnęła mnie prosto w ramiona syna, więc bez słowa, jak głucha i niema, podążyłam za nim z kołatającym sercem i burzą myśli w głowie. Zupełnie nie pamiętam, co do mnie mówił i czy byłam w stanie prowadzić z nim jakąkolwiek, najprostszą konwersację. Wiem tylko, że po zakończonym tańcu okrążyło nas grono gości, którzy koniecznie chcieli zamienić z nim choć kilka słów. Niektórzy dopytywali się o Daleki Wschód, Indonezję i Batawię.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, przypuszczałam, że pan Raffles to jakiś znany podróżnik lub profesor. Odpowiadał z powściągliwym uśmiechem i dość niedbale, ale nie spuszczał ze mnie wzroku i nie wypuścił mojej ręki. Potem znowu tańczyliśmy, pan Raffles o coś pytał, ja się śmiałam, ponieważ świat wirował i podłoga usuwała mi się spod stóp. W końcu wziął mnie zdecydowanym ruchem pod ramię i wyprowadził do oranżerii, gdzie usiedliśmy, choć na chwilę niewidoczni, w cieniu wachlarzy palm.

– Miss Zofio – powiedział i pocałował końce moich palców. – Czy wolno mi będzie jutro złożyć pani wizytę? Chciałbym panią lepiej poznać. Czy jedenasta rano nie będzie za wczesną godziną po balu?

– Tak – wyjąkałam. – Będę zaszczycona.

– Wywarła pani nadzwyczajne wrażenie na *maman*. A ona rzadko się myli w ocenie ludzi.

– Dziękuję za komplement – odparłam nieco przytomniej. – Niczym nie zasłużyłam sobie na takie uprzejme słowa.

– Jakże to? Jak pani może tak mówić? – śmiał się pan Raffles i patrzył na mnie rozbawiony. – A pani koncert na piano forte? I ta wspaniała, własna kompozycja w trzecim opusie, toż to było warte mistrzyni!

Zakryłam dłońmi twarz i byłam bliska płaczu.

– Zofio, droga Zofio! – wołał przestraszony Raffles. – Na Boga! Ja żartowałem, proszę nie brać sobie do serca moich słów.

– Wiem, że pomyliłam się w adagio – tłumaczyłam niezręcznie. – Jeszcze nigdy nie zdarzyła mi się taka sytuacja! Byłam gotowa uciec na górę do sypialni!

– I pozbawić mnie swego towarzystwa! Byłaby to zbrodnia nie do wybaczenia. No, proszę spojrzeć na mnie, choć raz! Proszę!

I tu niespodzianie ujął moją dłoń i zajrzał głęboko w oczy. O nieba, gdyby ocean rozlał się nagle u mych stóp, nie byłby tak głęboki, jak to jego spojrzenie! Bezwiednie pochyliłam się ku niemu, pchana jakąś przedziwną, straszną siłą i moje usta znalazły się tuż przy jego wargach. Puścił mnie natychmiast i delikatnie odsunął na odległość ramienia.

– Panno Zofio, czy mogę mieć nadzieję na jeszcze jeden taniec?

Z radością i pełną świadomością odrzuciłam z karnetu nazwisko biednego Ralfa Pressgrave'a i pofrunęłam w ramionach mej jedynej miłości na parkiet.

\*

– Więc ty naprawdę nic nie wiesz? Nie słyszałaś nigdy o Tomaszu Raffles, gubernatorze wyspy Jawy? – Alice patrzyła na mnie z niedowierzaniem i potrząsała głową w papilotach. Stroiliśmy się na przyjęcie porannych gości, ponieważ zapowiedziało się grono przyjaciół Ryszarda, a między nimi i mój gubernator Raffles!

– Przecież to prawdziwa osobistość w świecie Londynu, a właściwie Królestwa i Europy! Gdyby nie ten wstrętny cesarz Francuzów, który zaprzęta wszystkie umysły i tylko psuje dobrą zabawę, nie mówiono by o nikim innym. Jakie on wiódł tam życie, jaka przygoda, jaki romans!

Nastawiłam uszu, bo słowo „romans” wzbudziło we mnie niepokój.

– To nawet nie romans, moja droga, to grecka tragedia! – entuzjazmowała się moja siostra, a ja usychałam z pragnienia nowiny, co to za tragedia i nie mogłam się doczekać dalszego ciągu. Miałam ochotę podejść do mojej ukochanej, skądinąd, Alice i mocno nią potrząsnąć. Ale wstrzymałam się wysiłkiem woli i poczęłam rozczesywać jej długie, gęste loki.

– Au, to boli! – zawołała gadatliwa siostrzyczka i zastrzygła na mnie oczkiem. – Aha, o czym mówiłam? Aha, o panu Raffles. Dobrze. Ale ty pewnie nie chcesz słuchać, po co mam cię nudzić?

Czy można zamordować szczotką? Rzuciłam jej w lustrze takie spojrzenie, że moja filutka zamrugnęła ślepkami i ciągnęła wesoło dalej:

– Sir Raffles wrócił niedawno z Malezji. Mieszka z owdowiałą siostrą Mary Ann i jej dziećmi, i osobistym lekarzem, bo zważ, że jest delikatnego zdrowia po pobycie w Koloniach. Prócz doktora Sevestre przebywa u niego przyjaciel domu, pan William Ramsey i *aide de camp*, ten przystojny, czarniawy oficer, kapitan Travers. Jego Ekscelecja zajmuje rezydencję w posiadłości pod numerem 3 Crescents, którą wynajął zaraz po powrocie z Jawy. Codziennie bierze natryski i wody w Łazienkach i podług Ryszarda, przychodzi powoli do zdrowia.

Jego Ekscelecja! Wody i własny adiutant! I jak widać, nieżonaty, a w każdym razie mieszka z siostrą! Nie mogłam wykrztusić ani słowa, ale moja siostrunia nawet tego nie zauważyła.

– Ryszard zna doskonale kapitana Traversa, jeszcze ze szkoły kadetów, więc przez niego poznał gubernatora. To mój mąż podsunął naszemu papie myśl zaproszenia klanu Raffles na ślub Elżbietki.

Klan! Klan Raffles! Rzeczywiście tworzyli ściśle koło rodzinne. Wszystko było dla mnie jasne, ale przypomniałam sobie tę wzmiankę o romansie! Więc miał romans, z kim i gdzie? To było niezmiernie ważne, choć bolesne. Chciałam natychmiast wiedzieć, ale właśnie do drzwi zapukała pokojówka z wiadomością, iż nadjechali pierwsi gości.

W salonie *maman* czyniła honory domu, papa częstował cygarami. Szukałam wzrokiem pana Raffles i świat poszarzał i zbrzydł. Nie było Jego Ekscelecji, a wszyscy okazali się tacy nudni, rozwlekli, beznadziejni, że chciałam wybuchnąć płaczem i schować się pod łóżko w mojej sypialni. Prosili, abym zagrała, a mnie się nic nie chciało. Biedny Ralf Pressgrave, odtrącony wczoraj w tańcach, nieśmiało ujął mnie za ręką i podprowadził do piano forte. Stało ponure, milczące i wrogie. Usiadłam w grobowym nastroju i poczęłam grać marsz pogrzebowy.

– Zofio! – *maman* załamała ręce. – Cóż to za dobór repertuaru! Elżbietka się obrazi!

I dobrze, niech się obrazi! Niech się wszyscy obrażą! Podniosłam głowę znad klawiatury, aby rzucić *maman* piorunujące spojrzenie, i wtedy go ujrzałam. Jak wczoraj stał

oparty o framugę drzwi i palił cheroota. Ubrany był w wytworny, przedpołudniowy, błękitny jak jego oczy frak i trzymał w dłoni kapelusz. Widać dopiero wszedł niepostrzeżenie i zatrzymał się w drzwiach. Patrzył na mnie, jakże to mawia Alice, „głodnym wzrokiem”. Tak, pożerał mnie wzrokiem. Tym razem grałam bez zająknięcia, cudownie i kiedy skończyłam, nie uciekłam, ale rezolutnie podeszłam do niego i wyjęłam mu z ręki kapelusz.

– Gra pani zachwycająco – powiedział i nie było w jego głosie ironii.

Od tego dnia bywał prawie codziennie. Czekałam na niego z bijącym sercem, cała zamieniona w słuch. Słyszałam każdy szmer domu, skrzypnięcie drzwi, szelest sukien *maman* i sióstr. Przebiegały mnie tajemnicze prądy, prawie bolesne, w kolorze błękitu. A jednak były rozkoszne, ciepłe, czasem nawet rozpalone. Płonęłam ze wstydu, oczekiwania, miłości. Był ze mną, nawet kiedy go nie było. Żyłam tylko dla niego.

Nie śmiałam wypytywać go o jego poprzednie życie. Ale chciałam wiedzieć. Chciałam wszystko o nim wiedzieć, poznać najbardziej intymne strony jego historii.

Jednego razu spacerowaliśmy po parku. Był cichy, duszny i bezsłoneczny dzień. Tomasz, bo już tak nazywałam go w myślach, w zamyśleniu miał rękawiczki i końcami palców dotykał delikatnie azalii, rosnących na poboczu alejki.

– Jak w Buitenzorg – powiedział nagle cicho. Milczałam, ponieważ miałam wrażenie, że wreszcie dziś powie mi coś bardzo ważnego. I będzie to smutne, niewypowiedziane smutne. Przystanął w cieniu dębu i szybkim ruchem odrzucił z czoła opadający kosmyk złocistych włosów. Jakże lubiłam i znałam ten ruch niecierpliwego i niedbałego. Poznawałam Tomasza coraz lepiej, w jego ruchach, sposobie stawiania stóp, w geście podnoszenia łyżki do ust, w grymasie twarzy i modulacji głosu. Miałam ucho muzyka, nic nie uszło mojej uwagi.

– Panno Zofio, powinienem pani opowiedzieć o moim... – Na chwilę urwał i odetchnął głęboko. – O moim małżeństwie. Te azalie przywodzą mi na myśl pałac na Jawie, gdzie byłem naprawdę szczęśliwy. I gdzie moje szczęście zgasło na wieki.

Nieśmiało ujął mnie za rękę i podprowadził do niewielkiej altanki. Usiadł, nie wypuszczając mnie z uścisku i ciągnął dalej szybko i żarliwie, jak gdyby spowiadał się z przewinienia, jakby chciał zrzucić z siebie wielki i przewyższający jego siły ciężar.

– Zofio, jestem wdowcem. Moja żona zmarła dwa lata temu i od tego czasu stałem się bardzo samotny.

Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy przy sobie, on trzymając mnie za rękę, ja z bijącym mocno sercem, cała w płomieniu miłości i nadziei.

Wiedziałam, że Tomasz musi się oczyścić, że musi zaleczyć straszną, głęboką ranę. Więc milczałam i tylko trwałam przy nim cierpliwie. Patrzyłam na ukochane usta i przenikliwe oczy, zasnutę teraz mgłą smutku, na szlachetną szyję i kędziory, wymykające się jak zawsze spod wysokiego kołnierza i tęskniłam za zapachem jego ciała, za dotykiem jego ust i siłą jego ramion. Pragnęłam go, jak nigdy dotąd niczego i nikogo nie pragnęłam. Chciałam krzyknąć, rzucić mu się do nóg i wielbić go jak boga. Ale tylko siedziałam obok i słuchałam.

Niebo zasnuło się gęstymi mgłami, uczyniło się parno i prawie ciemno. Szła burza.

Poruszyłam się niespokojnie, bo zawsze, od dziecka bałam się burzy. A on zauważył to i niespodzianie objął mnie w pół i przytulił do piersi. Po raz pierwszy słyszałam bicie jego serca. Zdrętwiałam z niewypowiedzianej trwogi i szczęścia. A potem począł całować moje półotwarte, uległe usta. Całował moje włosy, moje oczy i moje skronie. Całował mnie zachłannie, władczo i łapczywie. Poddawałam się ulegle, z zachwytem, a później oddawałam namiętnie pieśczęty. Stawałam się kobietą, jego kobietą.

Wróciliśmy znajomą ścieżką, poprzez żelazną bramę, do czekającej na nas kolasy. Podwiózł mnie pod dom i jeszcze raz wycisnął szorstki, prawie gniewny pocałunek na moich

spragnionych ustach. Nie wszedł ze mną do wnętrza, patrzył tylko, jak biegłam do frontowych schodów, i dotknął dłonią kapelusza. Na stopniach złapał mnie deszcz. Lunął z siłą nawałnicy i trzymał nas w swych mokrych objęciach przez następne kilka dni.

Tomasz nie pokazał się ani nie napisał. Pewnego poranka przybiegł specjalny posłaniec. Przyniósł list z Crescents. Ale nie był to list od Tomasza. Pisała Mary Ann. Sir Raffles wyjechał nagle, wzywany sprawami służbowymi, do Londynu. Ona sama wybierała się wkrótce za nim.

Chciała tylko przesłać życzenia świąteczne. Na Boga, zbliżało się Boże Narodzenie, a ja tego nawet nie zauważyłam!



\*

*Droga Mary Ann, nie spodziewam się zobaczyć Kogoś Ważnego ani dziś, ani jutro, ani za tydzień. I dlatego moje serce ciąży mi w piersi i tak trudno jest się uśmiechać. Gdyby nie twoja przyjaźń i dobre słowo, byłabym w rozpacz. Tuszę, iż nie zdradzisz mojej tajemnicy i Ktoś Ważny nie dowie się o naszej sekretnej korespondencji. Twoje listy stanowią taką pociechę w moim szarym życiu. Papa wybiera się do Londynu po Nowym Roku i wprawdzie przyrzeka nas zabrać, ale mamana wzdraga się przed opuszczeniem High Street. Obecna aura jest tak ponura i mokra, iż nie sprzyja wycieczkom i podróżom.*

*Gdyby moje przywiązanie do Ciebie można zmierzyć w funtach, biedny listonosz nie byłby zdolny udźwignąć tego listu.*

*Jeżeli Twój Brat znajdzie nieco czasu, aby przyjąć moje serdeczne pozdrowienia, będę najszczęśliwszą z kobiet. Zawsze życzliwa Zofia Hull.*

\*

*Droga Zofio, twoje listy są takim błogosławieństwem w moim gorączkowym, pospiesznym życiu. Wielkie gospodarstwo, jakie jestem zmuszona prowadzić dla Ważnej Osoby i jego arsenału pracowników, przyjaciół i zwykłych Czepiających się Klamki, staje się coraz bardziej męczące. Mój biedny Brat zdecydowanie potrzebuje pani domu, przyjaciółki, opiekunki i powiernicy. Prowadzi szalenie męczący tryb życia i stanowczo za mało na siebie uważa.*

*Święta spędziłam u niego, w gronie około trzydziestu najbliższych mu osób, na Berners Street. Kapitan Travers o północy, w noc Bożego Narodzenia, odtańczył ludowy taniec jawajski z bambusowymi kijami w rękach. Niektóre damy omal zemdlały ze strachu. Dzielny kapitan założył na tę okazję wieniec z jodły i najprawdziwszy sarong. Jego nagi tors wyglądał jednak żałośnie i nasza maman była poważnie zgorzozona.*

*Po raz pierwszy od wielu miesięcy widziałam szczery uśmiech na twarzy Brata i nappełniło mnie to wielką radością. Widocznie jego straszna rana powoli zabliznia się i T. wraca do życia.*

*Przy tym dużo pracuje, kończy korektę swego dzieła Historia Jawy i bierze udział w eksperymentach nad elektrycznością i galwanizmem, które prowadzi profesor uniwersytetu w Cambridge.*

*Nie porusza się nigdzie bez swego wiernego Jawajczyka, Radena Rana Dipury, którego dzieje i charakter starczyłyby same w sobie na opowieść w trzech tomach, ale który ma dziwnie kojący wpływ na psychikę T. i przy tym jest jego najwierniejszym towarzyszem.*

*Wczoraj Ważna Osoba „ze świtą” została zaproszona do królowej na herbatę i kiedy wrócili około siódmej wieczorem, nie mówiono już cały wieczór o niczym innym.*

*Moja miła przyjaciółko, bądź dobrej myśli i zachowaj cierpliwość, bowiem jestem pełna najlepszych przeczuć. Ważna Osoba dwa razy pytała o Ciebie w ciągu jednego dnia! Chciał wiedzieć, czyś zdrowa i czy twój papa przyjeżdża na otwarcie Parlamentu przez księcia Regenta. Przesyła pozdrowienia, do których i ja łączę moje serce, Mary Ann.*

\*

W Londynie zwykle zatrzymywaliśmy się u państwa de Vismes, z których córką Elizą był zaręczony mój brat William. Mieli duży i wygodny dom, cały na drugim piętrze przeznaczony dla gości.

Ten dom pozostawił w mej pamięci najprzyjemniejsze wrażenie do końca życia i także wspomnienia, bowiem mój ostatni w nim pobyt stał się początkiem mojego nowego, wspaniałego życia.

Otóż przyjechaliśmy z papą i *maman* na otwarcie Parlamentu z końcem stycznia. Po cichu muszę się przyznać, że było w tym nieco mojej intrygi, bowiem szalenie rozwlekałam się nad wspaniałością tej okazji, interesującymi postaciami świata polityki, dyplomacji, kultury *et cetera* zjeżdżającymi się na ten czas do stolicy i nie omieszkłam czytać papie na głos wszystkich możliwych artykułów i wycinków z gazet na ten temat.

Z kolei utwierdziłam *maman* w przekonaniu, iż najwspanialsza rewia mody zimowej odbywa się w kularach Parlamentu, na jego schodach i w pobliskich kawiarniach i herbaciarniach.

Moje wysiłki nie poszły na marne, bowiem przyjechaliśmy do Londynu kilka dni wcześniej i miałam czas na spotkanie z moją kochaną Mary Ann. Koniecznie chciałam się dowiedzieć o Ważną Osobę i jej nastrój, więc kiedy zadzwieczał dzwonek do drzwi i lokaj pobiął otwierać, serce biło mi mocno. *Maman* przebywała właśnie w oranżerii z panią de Vismes, papa z panem de Vismes wyszli na krótką przechadzkę, więc ja sama, tylko z poczciwą Elizą, siedziałyśmy w małym salonie i układałyśmy pasjansa. Eliza, moja przyszła bratowa, było to rozkoszne, zaledwie osiemnastoletnie stworzenie o porcelanowej cerze i olbrzymich oczach. Odznaczała się naiwnością dziecka i wesołością puszystej kotki.

Uwielbiałam przebywać w jej towarzystwie. Lokaj wniósł tacę z biletami wizytowymi i na ich widok zrobiło mi się ciemno w oczach. Na progu saloniku ukazała się roześmiana, z wyciągniętymi ramionami, Mary Ann, a obok niej, nie, to chyba tylko sen, pan Raffles, Tomasz, mój Tomasz! Ważna Osoba przyszła zobaczyć mnie w pierwszy dzień mojego pobytu w Londynie! Czyż to nie był wspaniały znak jego respektu i uczucia?

Ta pierwsza wizyta po tylu miesiącach niewidzenia przeszła jak sen. Bawiliśmy się w czwórkę wybornie, Tomasz przekomarzał się z biedną Elizą, ona udawała obrazę, potem przysunął się do mnie i omiółtłszy moją skromną osobę gorącym spojrzeniem, szepnął tak cicho, że tylko ja słyszałam.

– Jakaż pani ładna, panno Zofio. Nie mogłem przypomnieć sobie koloru pani oczu. A są tak przedziwne, zielone i szafirowe jak indygo.

– Ach, na pewno pan tylko tak mówi, aby mi sprawić przyjemność – odparłam skromnie i poczęłam kręcić rąbek sukni w palcach.

– Moja panno w kolorze indygo, jestem człkiem prawdomównym. Tęskniłem za panią. I dlatego tu jestem.

– Więc dlaczego nie przyjechał pan do Cheltenham? – wyrwałam się niespodzianie i zaraz zagryzłam usta. Nie powinnam tego powiedzieć. Być może obrazi się i odsunie, a tak było mi dobrze z ramieniem wspartym delikatnie na jego ramieniu.

– Chciałbym z panią o tym porozmawiać, ale bez świadków. We dwoje. Czy mógłbym liczyć na panią w tej materii?

Na świętą Petronelę! Ten człowiek, pomimo inteligencji, znawstwa świata, podróży

naokoło kuli ziemskiej i z powrotem, miał spostrzegawczość kury!

Czyż nie widział, że na jego widok robiłam się zielono-niebieska i nie mogłam od niego oderwać wzroku?! Przepłynęłabym dla niego Kanał la Manche, aby sprawić mu przyjemność, a on z lękiem pyta o spotkanie! Wszak na to czekam od ponad czterech miesięcy!

Stuliłam usta w przepisowy „ciup” i odparłam z chłodną miną:

– Będę zaszczycona. Czy zechce pan bliżej określić porę i miejsce?

– Z pozwoleniem pani rodziców, chciałbym zabrać panią na ślizgawkę.

– Na ślizgawkę, do miejskiego parku?

– Tak jest, czy umie pani się ślizgać?

– Zupełnie nie! – odparłam ze śmiechem, bo nie mogłam sobie wyobrazić Ekscelencji gubernatora ślizgającego się, a czego Bóg broni, leżącego plackiem na tafli lodowej i przerabiającego komicznie kończynami!

– To wspaniale, bo i ja też nie umiem.

Jego wzrok iskrzył się i ten żar spływał na mnie jak lawa. Patrzyliśmy na siebie z zachwytem i oczekiwaniem. Szybko podniósł moją dłoń do ust i wycisnął na niej długi pocałunek.

W tej chwili weszła *maman* i madame de Vismes. Rozpoczęły się powitania i krzątania koło herbaty. Już nie byłam z nim tego dnia sam na sam. Ale patrzyliśmy na siebie przez długość pokoju i dawaliśmy sobie umowne znaki, których nikt nie widział, albo wszyscy udawali. Potem nadszedł papa i pan de Vismes i uczyniło się bardzo wesoło.

Tomasz, bo tak ośmielałam się w myślach go nazywać, rozmawiał dość długo z papą i obaj przy końcu mieli bardzo zadowolone oblicza.

*Maman* rzuciła mi długie, domyślne spojrzenia, zaś Eliza szczypała mnie przez spódnice w udo i szeptała:

– Oj, będzie wesele, będzie wesele!

– Oczywiście, Lizuniu, dalszcie już na zapowiedzi! – odparłam, wiedząc jednak, że nie o to jej chodziło.

I rzeczywiście mała szelma zmrużyła ślepkę i przechylając główkę w złotych loczkach, pisnęła:

– A to będą dwa, aha!

To był piękny, słoneczny dzień! Tomasz uzyskał pozwolenie papy i postanowił przyjechać po mnie na drugi dzień o dziesiątej rano.

Nie spałam całą noc i spędziłam ją na wpatrywaniu się w lustro i przymierzaniu strojów. Absolutnie nie miałam się w co ubrać na moje pierwsze z nim *rendez-vous*! Byłam w rozpaczy, cała rozpalona jak przy ciężkiej chorobie, roztrzęsiona i bliska płaczu.

Z lustrzanej tafli patrzyła na mnie trójkątna, delikatna twarzyczka o wielkich oczach, długim, wąskim nosie i małych, lekko podwiniętych w górę ustach. Moje policzki pokrywał w tej chwili ciemny rumieniec, a błysk w oczach dodawał urody. Miałam długą szyję i olśniewające, białe ramiona. Byłam szczupłą, ale kobiecą. Miałam ślicznie zarysowane drobne piersi i okrągłe, pokryte welwetową skórą biodra.

Być może nie byłam piękną, ale sprawiałam ponętne wrażenie. W mojej sylwetce było coś z prawdziwej lady i niewinnego dziecka. Silną stroną mojej aparycji były olśniewające ramiona i szyja, więc dlatego lubiłam je odsłaniać i ozdabiać koronkami i biżuterią. Dopiero nad ranem, kiedy poczęły już gruchać na parapetach gołębie, zasnęłam krótkim, płytkim snem.

\*

Dzień był niezwykle mroźny i prószył lekki, puszysty śnieg. Był to pewnego rodzaju fenomen w klimacie Londynu, więc mnóstwo ludzi wyległo tego dnia na ulice i do parków miejskich nacieszyć się urokami prawdziwej, mroźnej zimy.

Towarzyszyła nam tylko stara służąca przyzwoitka, która smacznie spała w kolasie, gdy tymczasem my udaliśmy się na ślizgawkę. Tomasz posadził mnie na ławeczce i osobiście założył na moje nogi łyżwy o długich, w górę zagiętych nosach.

Taka pogoda w Londynie była prawdziwą gratką i nic dziwnego, że na ślizgawce roilo się od dzieci i dorosłych. Migwały spodnie w kratkę, czerwone szaliki, czerwone nosy i rumiane policzki, panie ślizgały się w futrach i mantylach, oddając na ten czas mufki służącym i zafrasowanym bonom.

Śmiechu i pisku było przy tym, co nie miara, więc i ja odważnie wstałam z ławki, niedbale trzymając za rękę Tomasza. On sam chwiał się w przód i w tył, jak pijany woźnica, więc wybuchłam serdecznym, niepowstrzymanym śmiechem. Na szczęście na taflí lodowej zaraz podbiegł do nas nauczyciel, który pokazał nam, w jaki sposób możemy utrzymać się w pozycji stojącej, nie łamiąc przy tym nóg i nie stanowiąc niebezpieczeństwa dla sąsiadów.

Oczywiście pierwsza lekcja skończyła się dużym guzem na czole Tomasza i bólowym siedzeniem po mojej stronie.

Nie to jednak było najważniejsze. Po zakończeniu ekscytacji łyżwowych Tomasz zaprosił mnie na gorącą czekoladę w pobliskiej kawiarni. Usiedliśmy przy malutkim stolczku, który niewiele pozostawiał miejsca nie tylko na nasze dłonie, ale i resztę ciała. Toteż, co chwila czułam jego ramię lub kolano, dotykające mego ramienia lub biodra i było to nadzwyczaj miłe odczucie. Jeszcze teraz rumienię się na wspomnienia tamtego ranka, ale zmienił on całe moje dalsze życie.

Znajdowaliśmy się w jednej z wchodzących od niedawna w modę kawiarni, w której podawano kawę turecką, herbatę z Indii i Cejlonu oraz ciastka i włoskie gelati. Po raz pierwszy znajdowałam się w takim bardzo europejskim miejscu, więc zaraz zakomunikowałam to Tomaszowi. Roześmiał się, wyraźnie zadowolony i pochwycawszy moją rękę, zaglądnął mi głęboko w oczy.

– A gdybym zapytał, czy pojechałaby pani ze mną do Europy na długie, leniwe, pełne wspaniałej wilegiatury wakacje, jaką otrzymałbym odpowiedź?

Z niedowierzaniem popatrzyłam na niego i poczułam, że znowu rumienię się jak uczennica. Te moje luny sprawiały mi kłopot i wprowadzały w jeszcze większe zmieszanie.

Nienawidziłam wtedy siebie i zupełnie traciłam humor. Tomasz widocznie zauważył moją minę, bo ucałował wnętrze mojej dłoni i znowu zapytał:

– Moja wdzięczna panno, co odpowiesz na moją propozycję?

– Że jest to niemożliwe i nierealne. *Maman* nigdy nie zezwoliłaby na taki skandal!

Nie wiedziałam dlaczego, ale moja odpowiedź wzbudziła w Tomaszu straszliwą wesołość. Patrzył na mnie z takim rozbawieniem, że ogarnęła mnie złość i gdyby nie niewłaściwość takiego postępku, byłabym dała mu kuksańca w ucho, jak w dzieciństwie zwykłam karcić mojego brata.

– Moja wielce moralna, prawa i uważająca panno Hull! Nigdy nie ośmieliłbym się na taką swobodę i grubiaństwo! Jeśli zgodzi się pani pojechać, to tylko jako moja żona. Więc przedłożę drugą, jeszcze bardziej skomplikowaną petycję. Czy uczyni mi pani tę łaskę, aby

zostać moją żoną? – Tu niespodzianie porwał obie moje dłonie i obsypując je pocałunkami, równocześnie przykląkł na kolano. Od sąsiednich stolików przywitały tę scenę najpierw zdziwione spojrzenia, potem domyślne uśmiechy, a wreszcie szczere oklaski.

Tomasz Stamford Raffles oświadczył mi się i oczywiście został przyjęty! Czekałam na pierwszy, już narzeczeński pocałunek, ale Tomasz dbał o zachowanie wymogów dobrego wychowania. Więc skończyło się tylko na pocałunkach uplasowanych na moich dłoniach.

Reszta dnia minęła jak sen. Zaraz po powrocie Tomasz zamknął się z papą w jego gabinecie i po pewnym czasie obaj wyszli z rozanielonymi twarzami. Trzymali się pod rękę i palili cygara. Papa zaraz kazał wołać *maman* i przynieść szampana.

Czekałam na nich w salonie, udając, że nic nie wiem, i umiłam sobie samotność, grając na piano forte. Ale wszystko we mnie śpiewało i szumiało, ponieważ byłam tak anielsko, bezwstydnie szczęśliwa. Nie wątpiłam, że papa da pozwolenie na nasz ślub.

Wszak małżeństwo ze znamienitym gubernatorem, dyplomatą i podróżnikiem, cieszącym się sławą nie tylko w Anglii, ale i na całym świecie, było zaszczytem i przywilejem. Przy tym miałam skrytą, osobistą satysfakcję pokazania wszystkim drwiącym ciotkom i plotkarzom, że pomimo dojrzałego wieku warto było czekać i przebierać w zalotnikach. Otrzymałam bowiem takiego męża, o jakim marzyłam całe życie.

*Maman* padła mi z płaczem w ramiona, a potem złożyła gratulacje Tomaszowi. Wszyscy piliśmy szampana, nawet służba została dopuszczona do tego szczęsnego wydarzenia i stojąc w przedpokoju, przepijała do siebie kieliszkiem brandy.

Tomasz stał oparty o komin i wpatrywał się we mnie żarzącym wzrokiem. Kiedy na chwilę zostaliśmy sami, szepnął mi do ucha.

– Panno Zofio, nie mogę doczekać się dnia ślubu! Proszę wskazać mi datę, im bliższą, tym lepiej. Jestem do pani dyspozycji.

Ale tego dnia nie mogłam tego uczynić, bez konsultacji z *maman*, szwaczką i majordomo, bo bez ich udziału mój ślub pewnie nie doszedłby do skutku.

Tomasz spieszył i nalegał na szybkie zaślubiny, ponieważ doktor Sevestre od dawna zalecał mu branie wód i kąpeli na Kontynencie, więc mój przyszły mąż chciał w pierwszych dnia wiosny znaleźć się po drugiej stronie Kanalu.

Rodzice z pewnymi oporami i niejakim zdziwieniem przyjęli do wiadomości jego niecierpliwość i zdecydowali, że wobec tego ślub powinien być cichy i prosty. W innym razie nie starczyłoby czasu na huczne i pracowite przygotowania.

Na świątynię, która miała być miejscem naszego połączenia, wybrano kościół St. Marylbone w New Church i tam złączono nasze dłonie i serca w dniu dwudziestego drugiego lutego. Ubrana byłam w suknię obrzeżoną białym futrem i toczek futrzany z długim, muślinowym welonem. Na szyi nosiłam wspaniałą błękitny diament, podarunek mego męża, w uszach diamentowe kolczyki pożyczone od *maman* i atlasowe rękawiczki, należące jeszcze do mej babki.

Tradycji stało się zadość, miałam na sobie tego dnia coś nowego, starego, pożyczonego i błękitnego. Alice uważała, że zapewniłam sobie tym udane małżeństwo. Gdybyż tylko od tego zależało szczęście ludzkie, wszystkie młode pary świata żyłyby w absolutnej rozkoszy od zarania wieków.

Uczta weselna odbyła się w domu moich rodziców i zaproszone na nią było tylko ściśle grono rodzinne i przyjaciele. Prócz mych rodziców, Alice i Elżbiety z mężami oraz Willa – mego brata, ze strony Tomasza była jego matka, siostry, wśród których promieniowała urodą i dobrocią moja ukochana przyjaciółka Mary Ann, zajęty nią bez wzajemności kapitan Travers oraz państwo de Vismes z Elizą i stryj Tomasza, wielebny doktor Tomasz Raffles.

Był to niezwykle wesoły człek o rudych bokobrodach i tubalnym, zaraźliwym śmiechu. Tomasz czcił go jak ojca, którego zresztą mu zastępował, tym bardziej że w młodości pomógł Tomaszowi w otrzymaniu wykształcenia, dzięki wspieraniu go nie tylko finansowo, ale i moralnie. Tomasz odnosił się do niego z niezwykłą estymą i przywiązaniem.

Cały wieczór byłam niespokojna i nerwowa jak kot. Oczekiwałam z drżeniem nocy poślubnej, o której opowiedziały mi nieco obie siostry. Każda z nich miała na ten temat inne zdanie, ale żadna nie okazywała szczególnego zachwytu, więc bałam się, co znajdę w mojej małżeńskiej sypialni. Po północy Tomasz zdecydował, że powinniśmy udać się do naszego apartamentu, który stale zajmował na ulicy Berners.

Pozostawiliśmy rozbawioną kompanię i po raz ostatni padłam w objęcia mojej matki i ojca. Od tego czasu znalazłam się pod kuratelą i opieką mego małżonka. Żegnaj, świecie dzieciństwa, panieństwa i lekkiego bytu! W przeciagu kilku godzin stałam się stateczną, odpowiedzialną za nowy dom matroną!

Jechaliśmy cichymi i uśpionymi o tej porze ulicami. Olbrzymi, seledynowy księżyc zaglądał nam bezczelnie w oczy i od tego czasu wiąże się on w mej pamięci z pierwszą miłosną nocą. Kołysanie kolasy usypiało mnie, więc oparłam się o męża i udawałam, że drzemię. Nie wiedziałam, jak powinnam zachować się w obliczu nieznanego, czego Tomasz ode mnie oczekuje i czego ja powinnam oczekiwać od niego.

Nasz apartament tonął w kwiatkach, przysłanych przez przyjaciół i rodzinę, i idąc do sypialni ciemnym korytarzem, Tomasz nastąpił na doniczkę i boleśnie uderzył się w kolano. Krzyknął przytłumionym głosem, a ja nie wiedząc, czy mu się, co nie stało, na skrzydłach niepokoju frunęłam w jego ramiona. Staliśmy chwilę wtuleni we własne ciała, wsłuchani w nasz krótki, zadyszany oddech i nagle mąż porwał mnie w ramiona i jak dziecko poniósł do drzwi sypialni.

Gdy biegł ze mną przez ciemny przedpokój, położyłam obie dłonie na jego szyi i przywarłam ustami do chłodnej muszli jego ucha. Westchnął jak w bólu, więc przeraziłam się i natychmiast cofnęłam rękę. Położył mnie na atlasowych poduszkach i szepnął z ustami na moich ustach:

– Najdroższa, skąd wiedziałaś, jak sprawić mi rozkosz? Dotknięcie twoich paluszków na mojej szyi doprowadziło mnie do szału!

Cierpliwie wyłuskał mnie z halek, koronek i gorsetów. Leżałam przed nim naga, oddana mu duszą, ciałem i sercem, jak niewolnica w haremie wschodniego paszy. Wziął mnie w ramiona delikatnie, czule i z takim uczuciem, że płakałam z uczucia ulgi i całkowitego spełnienia. Mój mąż Tomasz, jak to pięknie brzmiało! Byłam stworzona do kochania. Dawałam i brałam tak naturalnie, tak całkowicie, że Tomasz nie chciał mnie opuścić ani na chwilę. Przez pierwsze dni w ogóle nie wychodziliśmy z pokoju. Służąca przynosiła nam tacę z posiłkami i pozostawiała ją pod progiem naszej świątyni miłości.

Dopiero po tygodniu udaliśmy się z kilkudniową wizytą do matki Tomasza, a teraz i mojej, do Hampstaed. Widocznie rozkwitłam jak kwiat, bo na mój widok madame Raffles wzniosła ręce do góry i zawołała:

– Moja duszko, jakże małżeństwo ci służy! Wyglądasz jak prawdziwa róża Albionu!

Do Londynu powróciliśmy w marcu i zaraz następnego wieczoru Tomasz zaprosił na kolację Traversa, moich rodziców, Mary Ann i Willa Ramseya. Wieczór udał się wspaniale, ponieważ Tomasz był łaskaw odczytać nam fragmenty swego dzieła *Historia Jawy* i zasięgnąć naszej skromnej opinii. Uważam, że styl i język są najmocniejszą stroną tego wiekopomnego elaboratu. Tomasz jest wspaniałym narratorem, jego skojarzenia, porównania, opisy, niezwykle piękne i barwne, przedmiot treści mało mi znany, ale fascynujący. Wszyscy czuliśmy się

zbudowani i utwierdzeni w podziwie i zapale.

Tymczasem nadeszła niespodzianie wiosna, a wraz z nią roztopy, wiatry i pochmurne dni marca. A jednak w naszym domu paliło się światło szczęścia i miłości. Wieczorem siadywaliśmy z Tomaszem w wielkich fotelach po dwu stronach kominka, na którym buzował jasny ogień. Czytałam na głos dzienniki i żurnale, zaś Tomasz z fajką w zębach poprawiał manuskrypt lub przeglądał ważne papiery. Czasem dyskutowaliśmy o naszej nadchodzącej podróży do Europy. Tak, mój mąż dotrzymał słowa i wykupił już bilety na statek pomiędzy Brighton i Dieppe na Kontynencie, na dzień szóstego czerwca.

Nie mogłam doczekać się na tę wycieczkę. Była to moja pierwsza podróż poza Anglię, a Europa kusiła mnie od dziecka! Jakże cudowne stało moje życie! Jak w bajce!



\*

*Moja kochana Alice, sama nie wiem, od czego zacząć. Tak tu wszystko ciekawe, eleganckie i niecodzienne. Kontynent okazał się zupełnie inny niż Anglia, ludzie serdeczniejsi, słońce bardziej żółte i wino słodsze. Po tym wstępie już wiesz, że stałam się jedną z wielu miłośniczek wspaniałej Europy.*

*Ostatnie tygodnie przed odjazdem były bardzo męczące zarówno dla mnie, jak i dla Tomasza. Przede wszystkim Tomasz dostąpił niesłychanego zaszczytu, który, po prawdzie, dawno mu się już należał. Otóż dwudziestego dziewiątego maja mój mąż został nobilitowany do godności szlacheckiej przez księcia regenta i od tego czasu mam pełne prawo nosić tytuł „lady”. Byliśmy w odwiedzinach u rodziców w Cheltenham, gdy specjalny kurier przyniósł pismo z kancelarii dworskiej o stawienie się Tomasza na uroczystej audyencji. Możesz sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie na nas wszystkich.*

*Natychmiast też zostaliśmy zaproszeni przez księżniczkę Charlottę Sommerset i jej małżonka, księcia Leopolda do Clermont, na uroczą, intymną kolację. Usługiwali nam paziowie przebrani za kupidyńki, dla skromności zakryci krótkimi fartuszkami, w całym „ensamble” i splendorze królewskich komnat, złocień i kryształów.*

*Rozmowa toczyła się głównie wokół Jawy i Pinangu, ponieważ księżę Leopold jest znawcą sztuki południowo-wschodniej Azji i szalenie zainteresowany historią Malakki. Prawdę mówiąc, muszę doksztalcić swoje zaległości i ubytki w wiedzy ogólnej tamtego rejonu świata, bowiem nie mogłam zabrać głosu w ożywionej dyskusji i siedziałam jak malowana lala, zła na siebie i czerwona ze wstydu.*

*Tomasz potem pocieszał mnie jak mógł, bowiem widział moje skonfundowanie, ale niewiele to pomogło. Zaraz po powrocie z Europy przyrzekam sobie zabrać się poważnie za studia nad kulturą i sztuką Indonezji.*

*Nasza podróż przez Europę była najszcześniejszym okresem mego życia. Wyjechaliśmy wprawdzie w strugach deszczu, we wczesnych godzinach porannych, pozostawiając poza nami moknące smutnie plaże Brighton, ale sama przeprawa przez Kanał nie była aż tak straszna, jak mogłoby się wydawać.*

*W Dieppe świeciło cudownie słońce, które przyświecało nam niezmiennie przez większość czasu na Kontynencie.*

*Jechaliśmy w wesołym towarzystwie ukochanej Mary Ann, mojego brata Williama, jego narzeczonej, słodkiej Elizy de Vismes, szanownego stryja mego męża, doktora Raffles i dwu pokojówek.*

*Humory dopisywały nam wspaniale, Tomasz żartował, że nasza malownicza grupa uchodzić mogła za trupę aktorów przebranych za Anglików, lub Anglików przebranych za Europejczyków. Podróżowaliśmy częściowo dylizansem, wynajętą kolasą, a nawet konno. Przed nami zawsze galopował kurier, który w pewnym sensie torował drogę i obwieszczał nasze przybycie w przydrożnych pensions i hotels.*

*Rzecz dziwna, zaledwie kilkadziesiąt mil oddziela Kontynent od Imperium, lecz natychmiast czujemy się zagubieni w zalewie francuskiego i niemieckiego języka. Prawie nikt nie rozumie angielskiego, co mnie zdumiewa, ponieważ równocześnie Europejczycy uchodzą za niezwykle wykształconych lingwistów i poliglotów. Toteż miło rozczarowało mnie spotkanie w jednym z les hotels przystojnego i niezwykle eleganckiego hrabiego, rodem z Polski, o nazwisku, zdaje się, Potocki, który w najczystszej angielszczyźnie rodem z Cambridge doradził*

*nam, którą drogę wybrać do Hotelu de Mirabeau na Rue de Paix.*

*Ten wytworny i doprawdy nadzwyczajnie uprzejmy pan, okazało się, przebywał w Paryżu od kilku miesięcy, odwiedzając najpiękniejsze zakątki miasta i równocześnie lecząc nerwy i nadszarpnięte zdrowie. Żałuję niezmiernie, że ta znajomość nie trwała długo, bowiem polski hrabia udawał się do Egiptu, gdzie chciał polować na lwy i szkicować wspaniałe ruiny Gizy i Luksoru. Straciliśmy go szybko z oczu i nie wiem, co przydarzyło mu się w dalszych wędrówkach, ale od tego czasu nieznana mi do tej pory Polska na zawsze kojarzyła mi się z tym wielkim panem.*

*W Paryżu zwiedziliśmy Luwr, Ogrody Luksemburskie, Pałac Królewski, Montemarte i poznaliśmy ekscentrycznych orientalistów – barona Silvestre de Sacy oraz kawalera Lewisa Langlesa, którzy z ochotą i prawdziwym poświęceniem ludzi nauki oprowadzali nas po Institute de France. Byli tak uprzejmi załatwić mnie i Tomaszowi bilety wstępu na znakomity wykład niemieckiego podróżnika i naturalisty, barona Fryderyka von Humboldta, na temat roślin równikowych i porównywalności temperatur globu ziemskiego w różnych szerokościach geograficznych.*

*Z Paryża wybraliśmy się na wycieczkę do Fontainebleau, gdzie zwiedziliśmy precudny pałac, budowany jeszcze przez Franciszka I i zamieszkiwany przez metresy królewskie. W siedemnastym wieku przebywała tu madame de Montespan, osoba ponoć nie tylko urodziwa, ale mądra i dobrego serca, z którą Ludwik XIV miał siedmioro dzieci. Kiedy ich guwernantka została nową królewską konkubina, biedna markiza udała się do klasztoru, w którym zmarła. W późniejszych czasach rządziła tu twardą ręką pospolita, choć ładna, madame du Barry, kochanka Ludwika XV. W dniu jego śmierci przegnano ją do zakonu, ale uciekła do Londynu i na swe nieszczęście powróciła do Paryża w czasie Rewolucji. Wydawało mi się, że słyszę jej płacz i jęki, bo uwięziona w czasie Terroru, została zgilotynowana, podobno całkiem niespodziewanie dla niej samej. Pochodziła przecież z ludu. Ponieważ stało się to tak niedawno, jej historia przejęła mnie szczególnym dreszczem.*

*Widzieliśmy też gabinet i biurko, przy którym Potwór Korsykański podpisał całkowitą kapitulację kilka lat temu.*

*Podczas spaceru po ogrodach pałacu zaszedł pewien nieprzewidziany wypadek, który, muszę się przyznać, wytrącił mnie nieco z równowagi.*

*Otóż z naprzeciwka nadeszły w naszą stronę dwie damy, jedna dość młoda jeszcze, druga zaś sędziwa i widać chora, bo o lasce, mocno wsparta na ramieniu towarzyszki. Kiedy zbliżyły się do nas na zasięg głosu, Mary Ann, idąca koło mnie, wydała słaby okrzyk i z wyciągniętymi ramionami pobiegła im naprzeciw.*

*One również widać poznały ją z daleka, a szczególnie stara dama żywo zwróciła się do niej z zapytaniami o zdrowie, równocześnie ściskając jej dłonie i patrząc z rozrzewnieniem w oczy. Tomasz stał przy mnie cicho, jakby zastanawiając się, co wypada mu uczynić, ale i on pozostawił mnie w końcu samą (reszta naszego towarzystwa rozpięzchła się już przedtem po parku) i śmiejąc się z przymusem, podszedł do grupy dam.*

*Wywiązała się chaotyczna, przerywana pytaniami i okrzykami zdziwienia rozmowa, ja zaś stałam na uboczu zapomniana i nieco speszona takim rozwojem wypadków. W końcu Tomasz opamiętał się nieco i zawołał pełen skruchy:*

*– Na Boga, miss Pamelu, jakże jestem niewychowany! Pani pozwoli, to moja żona Zofia.*

*Stara dama przyjrzała mi się w milczeniu i skłoniła dość chłodno głowę.*

*– Jakże nam miło – wyręczyła ją jej towarzyszka i dygnęła. – Moje nazwisko Nightingall, Hortensja Nightingall, a to miss Pamela Rawlison.*

Oddałam ukłon, ale nadal ich nazwiska nic mi nie mówiły. Tymczasem stara dama wypytywała Tomasza o rodzinę i matkę, zaś Mary Ann o dzieci i plany na przyszłość. Wszyscy, pomimo powierzchownej serdeczności, wydawali się skrupowani i sztywni.

Poznałam już na tyle mego męża, aby wiedzieć, że nie czuł się dobrze w towarzystwie tych pań i tylko niezwykle dobre wychowanie i wrodzona uprzejmość powstrzymały go od natychmiastowego pożegnania się. Madame Nightingall mówiła, iż podróżują do Włoch, gdzie mają spotkać się z jej mężem i grupą przyjaciół „z tamtych odległych wysp”.

– Czyż to wszystko nie wydaje ci się snem, Tomaszu? – pytała poufale madame Hortensja i nagle przyłożyła chusteczkę do oczu.

– To wszystko już tak odległe! – zawtórowała jej stara dama i konwersacja na chwilę się urwała. Mary Ann kręciła w palcach guziczek od salopki i patrzyła w ziemię. Tomasz odchrząknął i powiedział nieco zmienionym głosem:

– Niestety, nie jesteśmy tu sami i spieszmy na spotkanie reszty grupy, więc będziemy musieli panie pożegnać.

Obie damy złożyły nam gratulacje z powodu małżeństwa i w końcu oddaliły się.

Tomasz wziął mnie pod rękę i tak szliśmy w zupełnym milczeniu przez kilka minut. Mary Ann kilka razy uczyniła ruch, jakby chciała zatrzymać brata na środku ścieżki, ale Tomasz przyspieszył tylko kroku. Wiedziałam, że chce mi coś powiedzieć, tym bardziej że tak naprawdę nie miałam pojęcia, z kim miałam przyjemność rozmawiać. Kim były te tajemnicze panie i dlaczego wywołały takie wrażenie na moich ukochanych? Ale musiałam czekać do wieczora, bowiem jeszcze zwiedzaliśmy tego popołudnia miasteczko i galerię sztuki, gdzie Tomasz kupił mi prześliczną kopię Rosso Fiorentino.

*Alice, nie przypuszczałam, że tamto spotkanie wywrze na mnie aż takie wrażenie. Kiedy Tomasz, już w hotelu, przed udaniem się na spoczynek, odkrył wreszcie tożsamość tych pań, poczułam uderzenie gorąca do głowy i myślałam, że zemdleję.*

*– Darling – Tomasz starał się nadać swemu głosowi obojętne, nawet chłodne brzmienie. – Zapewne zastanawiasz się, kim były te dwie nieznajome i nie myśl, że chciałem ukryć coś przed tobą. Obawiałem się jednak, że znając twą wrażliwość i delikatność, możesz poczuć się niezręcznie, a doprawdy nie była to stosowna chwila, aby wdawać się w dłuższe wyjaśnienia.*

*Ponieważ milczałam, więc westchnął tylko i ciągnął dalej:*

*– To była ciotka mojej zmarłej żony i jej najlepsza przyjaciółka. Obie znajdowały się wraz ze mną przy łożu Olivii, gdy umierała. Były mi prawdziwą podporą w pierwszych tygodniach po jej śmierci. W tej chwili jednak wiążą mi się z najtragiczniejszym okresem mego życia.*

*Rzecz dziwna, ale w głębi duszy nie spodziewałam się innego wytłumaczenia. Wiedziałam, że na pewno będzie ono miało coś wspólnego z nieboszczką.*

*Usiadłam powoli na foteliku i spojrzałam nieśmiało na męża. Poczułam, że powinnam z nim porozmawiać na temat zmarłej, bowiem do tej pory był to właściwie temat tabu. Tomasz unikał go jak ognia, a ja dziwnie bałam się następstw takiej rozmowy.*

*– Tomaszu, proszę, opowiedz mi o twym życiu w Batawii i o twej poprzedniej żonie. Wydaje mi się, że powinnam coś o niej wiedzieć, dla dobra naszego małżeństwa.*

*Tomasz podszedł do okna i stanąwszy do mnie plecami, udawał pilnie, iż przypatruje się czemuś na ulicy.*

*– Tomaszu, dlaczego otaczasz się murem milczenia? Czy ty ją nadal kochasz?*

*– Jakże mogę kochać kogoś, kto odszedł ode mnie na zawsze! Kocham ciebie! Jesteś moją żoną!*

*– A jednak nosisz w sercu niezabliźnioną ranę. Czuję to i widzę! I zapewne, dlatego nie*

*mogłeś się zdobyć na wyjaśnienie mi wcześniej, kim były te niewiasty.*

*– Zofio, nie zabawiaj się w psychologa! Zostaw ten temat, nie mam nic do powiedzenia prócz tego, że wszystko to już historia! Na zawsze zakończona!*

*– Tomaszu, masz prawo pamiętać i szanować swą poprzednią żonę, wcale nie byłabym o to zazdrosna. Nie obawiaj się, że urazisz moje uczucia, mówiąc o niej i o waszym wspólnym życiu. Byłabym szczęśliwa, gdybyś okazał mi trochę więcej zaufania.*

*– Zofio, proszę cię, nie poruszajmy już tego tematu! Chcesz prawdy? Raz na zawsze, abyśmy już więcej do tego nie wracali? Tak, kochałem ją, jak nigdy przedtem nie kochałem nikogo. Była piękna, zabawna, mądra i kochali ją wszyscy. Ale równocześnie była zamknięta w sobie, uparta i zdradliwa. I pomimo tego stale jej pożądałem i nigdy nie posiadałem jej w pełni. Pozostawiła mnie samego i poszła za innym. Tam, do tego tak zwanego „lepszego świata”. No, więc masz wyjaśnienie! Jesteś zadowolona? Dobranoc, jestem zmęczony!*

*To powiedziawszy, wybiegł do swojej sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. Tej nocy po raz pierwszy od naszego ślubu nie przyszedł do mnie wcale i zostałam sama, w wielkim łóżu, na zalanych gorzkimi łzami poduszkach. Droga Alice, otworzyły się przede mną podwoje takiej rozpacz i desperacji, że na drugi dzień poważnie zaniemogłam i przeleżałam w zasuniętym firankami pokoju prawie tydzień.*

*Tymczasem oni zwiedzali okolicę, a Tomasz wraz z nimi i tylko w towarzystwie Mary Ann odwiedzał mnie na kilka minut w ciągu dnia. Opowiadał obojętnie o wycieczkach i wydawał się zimny jak lód. Pękało mi serce, ale nie wiedziałam, jak zawrócić go z tej błędnej, okrutnej drogi.*

*Ponieważ nie poprawiałam się i szczególnie rano dręczyły mnie mdłości i bóle głowy, więc Mary Ann w końcu zdecydowała wezwać lekarza. Najdroższa Alice, co za szczęście w tym dniu zasnutym chmurami smutku! Noszę pod sercem dzieciątko Tomasza!*

*Co za radość! Początkowo chciałam zwierzyć się Mary Ann, bo ona tak dobra i tkliwa, na pewno rozumiałaby mnie sercem matki. Ale potem pomyślałam, że nie mogę uczynić tego mojemu mężowi. On musi wiedzieć pierwszy! Pomimo wszystko!*

*Jeszcze tego samego dnia, kiedy pił ze mną popołudniową herbatę, powiedziałam z najczulszym uśmiechem:*

*– Tomaszu, ucieszysz się chyba, jeśli powiem ci, iż doktor uważa, że jestem zdrowa?*

*– Zofio, czekałem na ten werdykt tyle dni! – W jego pocziwych oczach zakręciły się łzy, więc i ja rozplakałam się i porwawszy w ramiona jego kochaną głowę, wykrzyknęłam z ustami na jego złotych kędziorach:*

*– Tomaszu, będziemy rodzicami! Będziesz ojcem!*

*Przez chwilę patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, ale w końcu zrozumiał i jego radość była tak szczera, tak gorąca i cudowna, że kręciło mi się w głowie ze szczęścia. Biegał po pokoju, nosząc mnie na rękach, obsypywał pocałunkami i powtarzał:*

*– Wybacz mi, wybacz, najdroższa! Jestem takim gburem, takim potworem, zadałem ci tyle niepotrzebnego bólu! Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! Będę ojcem, będę ojcem! – I zaraz chciał biec, podzielić się swym szczęściem z resztą naszych towarzyszy.*

*Tej nocy zasnęłam znowu w jego ramionach, syta miłości, spokojna i radosna i tylko gdzieś daleko, w głębi serca, czułam kolec niepokoju i smutku. Wiedziałam, że Tomasz kocha mnie, że spędzimy razem życie i że będzie mi przy nim dobrze. Ale jego miłość do mnie była inna niż tamta, do Olivii, ponieważ tamta była jak jabłko z zakazanego drzewa, którego smaku nie miałam nigdy zaznać.*

*Musiałam się z tym pogodzić. No cóż, droga Alice, wszak jestem już tylko „drugą żoną”.*



\*

W Londynie, po naszym powrocie, panowały straszliwe upały. Spacer po ulicach były niesłychanie męczące, a nawet w parkach trudno było oddychać. Ostatnie tygodnie na Kontynencie upłynęły nam na odwiedzinach sławnych i nobliwych osobistości, jak Jego Ekscelencji Antona Reinaharda Falka, ministra Kolonii Holenderskich i samego króla Wilhema I, władcy Niderlandów i bohatera spod Jeny i Wagram.

Pomimo różnic w poglądach na sprawy Dalekiego Wschodu i niewątpliwej różnicy wieku Falk uczynił jak najlepsze wrażenie na Tomaszu. Obaj dzielili się wrażeniami i wspomnieniami pobytu w Oriencie i doszli do wniosku, że tropiki wrosły w ich tkankę i tęsknią za tamtejszą przyrodą, obyczajem i ludnością.

Krół Wilhelm to przede wszystkim żołnierz i nadzwyczaj uprzejmy człowiek. Jego grzeczność w stosunku do mnie nie miała granic. Ucałował dwornie moją dłoń i osobiście nakładał mi kolację na talerz, pomimo że za moimi plecami stała zgraja służby. Dopiero od dwu lat na tronie, wycierpiał w życiu niemało, jako wygnaniec w czasie rewolucji francuskiej i terrorku Napoleona. Jego opowieść o przegranej bitwie pod Wagram wstrząsnęła nami obojgiem i długi jeszcze czas byłam pod wrażeniem tamtego wieczoru.

W ogóle Bruksela niezwykle mi się podobała, takie zaciszne, czyściutkie miejsce, zapewne mniej malownicze niżli Genewa, Chamonix czy Lozanna, ale ułożone praktycznie, lud zdyscyplinowany i spokojny i pomimo tylu lat pod francuskim butem, niesłychanie uprzejmy i kulturalny.

Wielebny stryj Raffles opuścił nas tutaj nieco wcześniej, ponieważ pilne sprawy wołały go już do Liverpoolu, a my jeszcze z Mary Ann, Willem i jego narzeczoną zatrzymaliśmy się w Brugge i Gencie, cudownie średniowiecznych miasteczkach, żywcem wyjętych z ram obrazów flamandzkich mistrzów. Życie zatrzymało się w nich pięćset lat temu, więc chodziłam po wąskich, wybrukowanych kocimi łbami uliczkach i drewnianych kładkach, po malowniczych mostkach, ginących w powodzi dzikiej róży i wdychałam słodki zapach lwich paszczy, malw i pelargonii. Drewniane i ceglane domki i kamieniczki, kamienne mury, baszty i bastiony zamków sprawiły niezapomniane wrażenie.

Nasze mieszkanie w Londynie, pomimo zasuniętych w oknach stor i ogólnego zaciemnienia przed upałami, dyszało gorącem i nic nie pomogło wietrzenie i trzymanie drzwi na taras otwartych przez całą noc.

Nie to jednak wprawiło nas w popłoch i pospieszne przygotowania do nowej podróży. Na Tomasza czekały dokumenty z mianowaniem go na stanowisko gubernatora zachodniej Sumatry, z siedzibą w Forcie Marlborough.

Nastąpiły tygodnie wielkich przygotowań, bo prócz pożegnania rodziny i najbliższych przyjaciół, obowiązkiem Tomasza było odbyć dworskie i towarzyskie wizyty i uczestniczyć w kilkunastu uroczystościach ku jego czci. Mój błogosławiony stan bardzo mi w tym przeszkadzał, ponieważ nadal nie czułam się dobrze, i choć wprawdzie nie dostrzegano jeszcze mej kondycji, to niektóre damy poczęły się już tego domyślać.

Pierwsza zapytała mnie wprost księżna Charlotta Augusta, przyjaciółka Tomasza od wielu lat, jedyna córka Jerzego, księcia Walii i ukochana wnuczka miłościwie nam panującego króla Jerzego III.

Przebywaliśmy u niej i jej małżonka na kolacji, w ich uroczym pałacyku w pobliżu Bath, gdy po wetach śliczna księżna zaproponowała mi przechadzkę po ogrodzie. Niewiele kobiet

dorównywało jej urodą w owym czasie. Miała olbrzymie oczy i słodko wycięte usta, ale prawdziwą ozdobą były jej śnieżnej karnacji ramiona i długa, arystokratyczna szyja.

Owinięta, dla wieczornego powietrza, w muślinowy szal, wyglądała jak księżycowe zjawisko, toteż patrzyłam na nią z niekłamanym zachwytem.

– Lady Raffles, z wielkim smutkiem myślę o pani wyjeździe, ponieważ miałam nadzieję, iż zostaniemy przyjaciółkami – mówiła melodyjnym głosem i wpatrywała się we mnie tymi cudownymi, wilgotnymi oczami sarny.

– Ależ księżno, może mnie pani uważać za oddaną przyjaciółkę teraz i zawsze – odparłam szczerze i uściśniłam jej małą dłoń.

Księżna oddała mi uścisk i z łagodnym uśmiechem zapytała:

– Czy wobec tej deklaracji mogę pani powierzyć pewną tajemnicę?

– Oczywiście, i przyrzekam zachować ją dla siebie.

– Pani mnie zrozumie, droga lady Raffles, ponieważ wydaje mi się, że jesteśmy w tym samym stanie?

I tu objęła mnie ramieniem i wycisnęła serdeczny pocałunek na moim policzku. Jakże mogłam ukryć mój stan przed tą słodką sylfidą, tym bardziej że nie widziałam w niej najmniejszego fałszu i obłudy.

– Istotnie, spodziewamy się z Tomaszem potomka z początkiem przyszłego roku.

– Gratulacje, jakże się cieszę! – Tu usiadła na ławeczce koło szemrzącej cicho fontanny i ciągnęła dalej: – Moje dzieciątko urodzi się w listopadzie, ale dręczą mnie straszne i jak lekarz mówi, nieuzasadnione przecucia. Wydaje mi się, że nie przeżyję tego wydarzenia i pozostawię mego męża wdowcem, a dziecko sierotą. Droga lady Raffles, ta myśl zatruwa mi życie i napawa przerażeniem!

– Księżno, to naturalne, że my, kobiety wydające na świat potomstwo po raz pierwszy, jesteśmy niespokojne i pełne imagacji. To całkowicie naturalne i przyrodzone. Ale zapewniam panią, że wszystko będzie dobrze. Jest pani pod opieką lekarzy, którzy nie spodziewają się żadnych komplikacji. Dlaczego więc zatruwać sobie te wspaniałe chwile radości nadchodzącego macierzyństwa i smuć się wydarzeniami, które nigdy nie będą miały miejsca?

Księżna Charlotta rzuciła mi się z łkaniem na szyję i długo jeszcze trwało, zanim uspokoiliłam jej rozedrgane nerwy. W drodze do pałacu wydawała mi się spokojniejsza, a nawet wesoła, ale pobyt w Bath pozostawił raczej smutne wspomnienie.

Kilka dni później otrzymałam od niej list, w którym pisała:

*Droga Przyjaciółko, nie pozostaje nam nic innego, jak powtórzyć nasze pożegnanie, co uczyniwszy, moja przyszłość wydaje mi się taka czarna i smutna, że wszelkie przyjemności tego świata błędną i obejmuje mnie chłód złych przecuć. Nie mam nawet śmiałości powtórzyć za Tobą słów naszego ostatniego rozstania, „Do zobaczenia, bo na pewno się jeszcze spotkamy”, ponieważ czuję, że należy to pozostawić miłosierdziu Niebios. Im też ciebie i Twych bliskich polecam, Twoja oddana Charlotta.*

Jakże grobowo zabrzmiały jej słowa w moich uszach! Nie mogłam się wyzbyć ciężaru smutku i najgorszych przecuć. Nasz odjazd przygotowany był na połowę października, z Portsmouth, a ponieważ narodziny mego dziecka miały nastąpić z końcem stycznia, zdawałam sobie sprawę, że powiję je jeszcze na okręcie, w czasie podróży.

Była to perspektywa, która im bliżej realizacji, napawała mnie coraz większym przestraszaniem.

Miałam pozostawić wszystko to, co było mi bliskie i drogie, i rzucić się w wydarzenia, które nie tylko stawiały w niebezpieczeństwie moją i Tomasza osobę, ale przede wszystkim tego słodkiego, nienarodzonego potomka! Szarpały mną uczucia strachu, nadziei, rozpacz

i determinacji, uporu i niepewności, że w końcu sama nie wiedziałam, czego naprawdę chcę, i czułam się po prostu nieszczęśliwa.

Ku uldze Tomasza i otoczenia, ten stan umysłu i serca nie trwał zbyt długo, bo radosne wydarzenie ślubu Traversa przerwało pasmo płaczów i wyrzekań i wybawiło mnie od niebezpiecznej depresji.

Kilka tygodni przed spodziewanym odpłynięciem otrzymaliśmy wiadomość, że statkiem, którym mieliśmy popłynąć, był nowo zbudowany indiaman o wyporności sześciuset czterdziestu siedmiu ton, nazwany na moją cześć „Lady Raffles”, zaś jego kapitanem został mianowany Henry Auber, mój szwagier!

Towarzyszyć nam mieli, prócz Traversa i jego młodej żony Mary Leslie, mój brat Will, niańka do naszego nienarodzonego dziecięcia Mary Grimes, uprzejmie polecona przez księżną Charlotte, doktor Józef Arnold, chirurg i położnik, a równocześnie naturalista i przyrodnik, oraz lekarz w stanie spoczynku, stary i wypróbowany przyjaciel Tomasza, doktor Sevestre.

Wśród licznej służby nie zabrakło Rana Dipury i chłopca na posyłki, wyjątkowo brzydkiego, ale niezwykle inteligentnego i przywiązanego do Tomasza „Papuasa” Dicka, który przybył do Anglii, jak i Rana Dipura, z Jawy.

Ostatnie dni spędziłam z rodziną i nigdy nie zapomnę łez i rozpaczki mojej biednej matki, której wydawało się, że nie ujrzy mnie już nigdy, ani nie nacieszy się pierwszym wnukiem lub wnuczką. Do dziś nie mogę o tym pisać i myśleć spokojnie, więc pozostawię ten obraz w najczulszym zakątku mego serca i przeniosę się wspomnieniami do portu Portsmouth, gdzie również rozstałam się z moją ukochaną Mary Ann i jej dziećmi.

Długo stałyśmy nieporuszone, w mocnym, siostrzanym uścisku, na mokrych od deszczu deskach pokładu „Lady Raffles”, a potem długo jeszcze widziałam, malejące w szarym krajobrazie morza i nieba, sylwetki najdroższej szwagierki, wiernego Willa Ramseya i adiutanta Toma Watsona.

Podróż przez Kanał okazała się prawdziwym piekłem na wodzie. Burze i szkwały towarzyszyły nam przez całą drogę wzdłuż wybrzeża, aż w końcu kapitan Auber zdecydował zawinąć do portu Falmouth w południowej Kornwalii i przeczekać nawałnicę. Nie opuszczałam kajuty i nawet nie wiedziałam, czy to dzień, czy noc. Obaj lekarze czuwali przy mnie na zmianę, obawiając się w każdej chwili poronienia. Nic nie jadłam ani nie piłam, wychudłam w przeciągu tych kilku dni jak wiórek drewna i kiedy wreszcie po zejściu na ląd spojrzałam na siebie w lustrze, nie poznałam swojej własnej twarzy.

Wypoczynek w wygodnej gospodzie sprawił jednak cuda i szóstego listopada byłam zdolna znowu wspiąć się po trapie statku.

Właśnie szykowaliśmy się do odpłynięcia i kapitan dawał ostatnie rozkazy, gdy na przystani dostrzegłam jeźdźca, galopującego całym pędem, w stronę naszego żaglowca. Wymachiwał przy tym kopertą, więc domyśliłam się, że musi to być kurier z Londynu. Serce ścisnęło mi złowrogie przecucie, gdyż natychmiast pomyślałam o mej matce.

Tomasz wysłał naprzeciw posłańca, młodego Dicka, który jak małpa wspinał się po linach, masztach i schodkach okrętu i zwinnością przechodził kota. Zanim kurier wdrapał się na pokład, Tomasz już łamał pieczęć listu, zaadresowanego na jego ręce. Serce waliło mi tak mocno, że widziałam drzenie materiału sukni, opinającej mą pierś.

Jakoż wieść była hiobowa, ale nie dotyczyła mojej matki. Księżna Charlotta Augusta umarła wraz z dzieckiem w czasie porodu, zaledwie dwa dni wcześniej! Miała tylko dwadzieścia jeden lat i wszystko, czego mogła sobie zamarzyć, prócz profesjonalnych i odpowiedzialnych lekarzy! Natychmiast po jej śmierci poczęły chodzić pogłoski, iż to konsylium położników doprowadziło do tragedii.



Nie mogę i nie chcę więcej o tym pisać, był to bowiem cios dla nas obojga tym dotkliwszy, że Tomasz kochał i cenił dobrą księżnę jak własną siostrę, ja widziałam w niej moją duchową przewodniczkę, przyjaciółkę i powiernicę. Tak więc jej intuicja, jej przewidywania, spełniły się, co do joty!

Nasza podróż znowu uległa przerwie. Tomasz postanowił wrócić do Londynu na pogrzeb Charlotty i stać się podporą moralną dla jej zrozpaczonego małżonka, księcia Leopolda.

W ten sposób nasz termin wypłynięcia z Anglii przedłużył się o prawie dwa tygodnie! Kiedy podnieśliśmy kotwicę, było już dziewiętnastego listopada!

Miałam pewność, że moje dziecko urodzi się na morzu.

\*

Życie na statku płynęło dość monotennie, ale przyjemnie. Kiedy wydostaliśmy się poza wzburzone wody Zatoki Biskajskiej, morze uspokoiło się i nastąpiła wspaniała pogoda, dzięki której co dzień korzystałam ze spacerów po pokładzie i różnych gier na świeżym powietrzu.

Boże Narodzenie obchodziliśmy wcale hucznie, ponieważ prócz wyśmienitej kolacji, składającej się ze świeżego wołowego mięsa, kaczek i gęsi – ten żywy inwentarz znajdował się w głębiach okrętu – delektowaliśmy się kremem Devonshire i świeżutkim masłem. Po udanej wieczery młody Travers ruszył w tany ze swą śliczną żoną i nawet Tomasz płaszał, trzymając w ramionach doktora Sevestre! Śmiechu było co niemiara, ponieważ doktor udawał wstydliwą damę i uciekał przed zalotami niewczesnego adoratora i nawet ukrył się w wielkim kredensie w jadalni!

Niestety ze względu na moją kondycję i wielką górę, którą noszę przed sobą od kilku miesięcy, nie mogłam w pełni uczestniczyć w tej zabawie. W przeddzień nowego roku przekroczyliśmy równik, ja w koronie Persefony, Tomasz z berłem Neptuna w dłoni, zaś biedny Dick umorusany w sadzy i miodzie, pokryty od stóp do głów pieprzem i słomą!

W połowie stycznia ujrzeliśmy na horyzoncie potężne zarysy Góry Stołowej i stada pelikanów, rybitw i precudnych albatrosów, krążące nad niewidocznymi z tej odległości plażami Kapsztadu.

Kapitan Auber odbył naradę ze mną i Tomaszem ze względu na ewentualne zatrzymanie się w Zatoce Haut, w oczekiwaniu na me rozwiązanie. Zdecydowałam jednak przeciw temu pomysłowi i Tomasz przyznał mi rację.

– Drogi Harry – tłumaczyłam mojemu szwagrowi – wydaje mi się, że nasze przybicie do brzegu może przynieść więcej szkód niż pożytku. Morska podróż wyraźnie mi nie sprzyja, o czym wiesz, i przerwa w rejsie zbliży nas do burzowej aury, która goni nas wzdłuż zachodniej ściany Afryki. Nie wiem, jak przeżyłabym jeszcze jeden sztorm w mojej obecnej kondycji. Wolę pozostać na pełnym morzu i utrzymać nasz obecny kurs na wschód. Im szybciej znajdziemy się w Bengkulu, tym lepiej dla mnie i nienarodzonej dzieciny.

Niedanym mi było ujrzyć zielonych brzegów Kolonii, białych willi i wspaniałych ogrodów Kapsztadu. Miast tego ogarnął nas zielony przestwór wody i brudnobłękitne niebo południa. Ostatnie tygodnie przed urodzeniem spędziłam w kajucie. Morze było niespokojne i tak rozkołysane, że nie mogłam utrzymać się na nogach. Obaj lekarze zalecili kompletny spokój i ciszę. Tomasz przeniósł się do sąsiedniej kabiny, ponieważ najmniejszy hałas wyprowadzał mnie z równowagi.

Bóle rozpoczęły się nocą i wkrótce nastąpiły parte spazmy, więc nawet nie miałam czasu naprawdę się przestraszyć, gdy akuszerka Grimes zawołała triumfalnie:

– Lady Raffles, dzieciątko właśnie przychodzi na świat!

Obaj lekarze bardziej asystowali położnej, niżli brali czynny udział w porodzie. Za ledwie godzinę minęła od pierwszych bólów, a już na moim ramieniu spoczywała maleńka, czerwona i ciemnowłosa istotka, którą kilka dni później ochrzciliśmy imieniem Charlotty, na pamiątkę nieszczęsnej księżnej. Drugie imię wzięła po mnie, zaś Rana Dipura doradził Tomaszowi imiona indonezyjskie Tunjung Segara, to znaczy Lotus Morza. Tak więc moja pierworodna córeczka nosiła imię Charlotty Zofii Tunjung Segary i swoim przyjściem na świat potwierdziła przynależność do oceanu.

Tomasz ukochał ją ponad wszelkie spodziewanie, tym bardziej że i on przyszedł na świat

na statku. Ta okoliczność wydawała mu się szczególna i dlatego przez następne lata Charlotte zajmowała ważne miejsce w jego sercu.

Ostatnie tygodnie przed wyładowaniem na Sumatrze upłynęły mi na pielęgnowaniu córeczki i nabieraniu sił przed zejściem na stały ląd.

Sumatra wyłoniła się nagle, pewnego słonecznego poranka, z mgieł i blasku wschodzącego słońca, jak wielka misa zieleni na błękitcie oceanu. Z dala kusła szelestem palm i śpiewem kolorowych ptaków, lecz jakież wielkie rozczarowanie czekało nas po wyjściu na drewniane, na pół przegniłe molo!

Otaczał nas brud i nędza nie do opisania, walące się rudery chatynek tubylców, rumowiska i gruzowiska domostw i budowli dawnej świetności, bandy dzikich psów i kotów, i jeszcze straszniejszych wygłodniałych, nagich dzieci. Oko nie mogło choć na chwilę odpocząć od tego obrazu nędzy i rozpacz, więc biegało zdumione i oszołomione pomiędzy zarosłymi wysoką trawą ruinami i czołgającymi się w pyle drogi kalekami i trędowatymi.

Na ten ponury widok biedna madame Travers wybuchła niepowstrzymanym płaczem, ja zaś tylko ze względu na pozycję męża siłą woli powstrzymałam się od pójścia w jej ślady.

Na przystani oczekiwał nas korpus garnizonowy z dowódcą, kapitanem Nicholasem Manleyem na czele.

W kabrioletcie, przysłanym uprzejmie przez obecnego gubernatora Jenningsa, usiadłyśmy mocno ściśnięte, a to ja, Mary Leslie Travers i miss Grimes z Charlottą na rękę. Panowie jechali obok nas konno, pochód zamykali żołnierze.

– Ekscelencjo – meldował służbisty kapitan Manley mojemu mężowi – gubernator Jennings proponuje tymczasową gościnę w swojej willi, ponieważ pałac gubernatorski ucierpiał poważnie w niedawnym trzęsieniu ziemi.

– Jak często zdarzają się tu kataklizmy matki natury? – pytał Tomasz, który pilnie studiował klimat tych okolic, ale nie wiedział, że właśnie kilka dni temu nawiedziło zachodnią Sumatrę jedno z najpoważniejszych trzęsień ziemi w ostatnim stuleciu.

– Często, Ekscelencjo, bowiem prócz trzęsień ziemi mamy tajfuny i huragany. Stąd te ruiny i zgliszcza. Gubernator Jennings obawiał się wrażenia, jakie wyrze to na lady Raffles.

– Moja żona jest przygotowana na różne przeciwności losu. W podróży szczęśliwie urodziła się nam córeczka.

– Gratulacje dla Ekscelencji i szanownej pani. A oto willa sir Jenningsa.

Pomimo serdecznego przyjęcia zdecydowaliśmy z Tomaszem jak najszybciej przenieść się do pałacu. Sir Jennings właśnie znajdował się w trakcie pakowania kufrów i waliz, odprawiania służby i organizacji podróży do Anglii i sprawiał raczej wrażenie niezmiernie zaaferowanego swymi sprawami. Jego żona odjechała już kilka miesięcy temu, więc bez kobiecej ręki willa sprawiała podobnie zaniedbane wrażenie, jak i reszta miasta.

Ach, Bengkulu trudno było nazwać nawet miasteczkiem! Była to osada na końcu świata, otoczona wysokimi wzgórzami, które wznosiły się dość depresyjnie dla oka i nie pozostawiały otwartej przestrzeni, przez którą wzrok mógłby powędrować w głąb krainy.

Mówiono mi, że wewnątrz wyspy było bardzo piękne, porosłe tropikalną dżunglą i ze względu na to niebezpieczne. Sumatra nie była jeszcze zbadana i od razu wiedziałam, że Tomasz za naczelne zadanie wyznaczy sobie poznanie ludności i kraju.

Nie omyliłam się, bo omal od pierwszego dnia rozpoczął przygotowania do wyprawy i tylko sprawy niecierpiące zwłoki powstrzymały go od natychmiastowego wyruszenia w nieznane.

Przede wszystkim zabrał się za odbudowę i upiększenie pałacu gubernatora. Był to zbiór przedziwnie rozrzuconych na dużej połaci trawy i czerwonej ziemi budowli, w stylu

gotycko-orientalnym, dziwacznym, pretensjonalnym i nieprzyjemnym dla oka.

Główny budynek otoczony był wysokim, białym murem. Rozbiegały się od niego piaszczyste ścieżki do dalszych budowli, gdzie znajdowały się biura, kancelarie, kwatery dla urzędników i służby, wreszcie kuchnie, stajnie i obory dla bydła.

Tomasz nie dziwił się niczemu, ponieważ już przedtem żył w podobnych, choć podobno znacznie lepszych warunkach, na Jawie. Dla mnie wszystko było niespodzianką, nie zawsze miłą, ale zapewne pouczającą.

W tamtych czasach często myślałam o poprzedniej żonie Tomasza, Olivii. Podobnie jak ja musiała przyzwyczać się do nieznanego ludu, tajemniczych obyczajów i niezbadanej ziemi. Wydawało mi się czasem, że spogląda na mnie gdzieś z gęstwiny drzew albo cicho spaceruje po pustych pokojach rezydencji i niewidzialną rączką dotyka sprowadzonych z Londynu mebli. Nie bałam się jej, wręcz przeciwnie, jej obecność dodawała mi otuchy. Była jednym z naszych larów i penatów, dobrych duchów domowych, więc gdy nikt nie słyszał, prowadziłam z nią nawet spokojne rozmowy.

Zawsze też wydawało mi się, że Olivia czuwa nad bezpieczeństwem Charlotty. Gdy dziecko było większe, każdy mały nawet znak wydawał mi się szczególnym wyrażeniem jej obecności. Drżenie firanki w oknie, łagodny ruch huśtawki w ogrodzie, skrzypnięcie drzwi do salonu były dla mnie wymownymi śladami jej wiotkiej obecności.

Kiedy pozostawiałam Charlottę pod opieką niańki, równocześnie przemawiałam bez słów do Olivii:

– Droga moja, bacz proszę na naszą Lotus Morza. Wiem, że kochasz ją jak własną córkę.

I wyjeżdżałam spokojna. Nigdy nie przyznałam się do tych wszystkich dziwactw przed mężem, bo wiem, że byłby bardzo zagniewany, a może zgorzony? Długie lata miałam myślowy kontakt z Olivią i wiele jej zawdzięczam. Wierzę, że kilka razy ostrzegła mnie przed groźącym niebezpieczeństwem, ale pomimo tego nie miała mocy, aby mnie od niego uchronić. Wiele lat później jej aura, otaczająca mnie miękką, łagodną jasnością zbladła, rozmyła się, a w końcu całkiem znikła.

Poczułam się wtedy jak po stracie matki lub siostry.

\*

Z końcem maja byliśmy gotowi do przedsięwzięcia pierwszej podróży poznawczej w głąb wyspy. Wprawdzie Tomasz początkowo nie chciał nawet słyszeć o moim towarzyszeniu mu w wyprawie, ale doktor Arnold, widząc moją rozpacz, wbrew samemu sobie stwierdził, że mojemu zdrowiu nic nie zagraża i że jako lekarz nie widzi przeszkód. Byłam mu za to niezmiernie wdzięczna i uważałam go odąd za mego najszczerzego przyjaciela.

W ogóle doktor Arnold okazał się wspaniałym i niezrównanym towarzyszem podróży, ze względu na swą wiedzę botaniki, medycyny, kultury i geografii środowiska.

Na niego też padł wybór Tomasza w pierwszej wyprawie, która wiodła nas na północny zachód od Bengkulu, wybrzeżem morskim w stronę Padangu.

Jechaliśmy konno, ja na bułanym, ślicznym ogierze arabskim, z dwu stron chroniona przed niebezpieczeństwem przez Ranę Dipurę i zmężniałego w ostatnich miesiącach Dicka, którego nazywaliśmy od pewnego czasu Master Dickiem.

Wszyscy mężczyźni zaopatrzeni byli w strzelby i pistolety, Rana Dipura nosił szeroką, orientálną szablę, zaś Master Dick przewiesił przez ramię wspaniały łuk i kołczan. Niedługo mieliśmy się przekonać, że ta stara, wypróbowana od pokoleń broń Wysp Korzennych była najpewniejszą w gęstwinie dżungli, zarówno do obrony, jak i polowania.

Pierwszego dnia przez kilka godzin galopowaliśmy pomiędzy poszarpanymi skałkami i kamieniami wybrzeża, które nagle poszerzyło się i koło wioski Kaur zmieniło w złocistą, miękką plażę. Gdyby nie straszliwy upał, lejący się na nas wrzątkiem z rozpalonego nieba, uważałabym tę wycieczkę za wcale przyjemną.

Mieszkańcy wioski odznaczałi się łagodnością i swoistym humorem. Często na nasz widok wybuchali szczęśliwym śmiechem, szczególnie ja stałam się obiektem nieustannego zachwytu, a nawet lęku. Byłam bowiem pierwszą białą kobietą w tych stronach, więc reakcje ludu bywały różne. Na ogół jednak przyjmowano nas z niezmienną pokorą i dobrocią, dzieląc się z nami skromnym jadem, owocami i źródlaną wodą.

Pewnego razu, gdy odpoczywałam w cieniu drzew na skraju plaży, podeszła do mnie prześliczna dziewczyna w kolorowym sarongu i usiadłszy zwyczajem tubylców na piętach, poczęła wpatrywać się we mnie zachwyconym wzrokiem. Rana Dipura na moją prośbę zapytał ją, czego sobie życzy, ale dziewczątka pokręciło tylko główką i odparło nieśmiało:

–Nie chcę niczego. Widok tej pięknej, białej pani jest wystarczającą nagrodą. Przyszłam zaofiarować jej trochę *siri* – betel i zabawić ją *bichara* – pogawędką.

Siedziałyśmy zgodnie w chłodnym cieniu i słuchały cichego szumu morza. Podarowałam jej bransoletkę z kolorowych paciorków, którą z najwyższą radością nałożyła zaraz na ramię i pobiegła pochwalić się prezentem we wsi.

Kilkakrotnie musieliśmy przekraczać strumienie i rzekę, więc korzystaliśmy z miejscowych przewoźników. Płynęliśmy bambusowymi sampanami, których kierowanie wymagało nie lada umiejętności, jako że prądy wodne były tu silne, zaś po obu stronach rzeki wyrastały wysokie i niebezpieczne głązy i rumowiska kamienia.

Wszędzie komunikowaliśmy mieszkańcom, kim jesteśmy i jaki rząd reprezentuje osoba Tomasza. Nie jestem pewna, czy dotarło to do tych prostych, zżytych z naturą umysłów, ale przynajmniej upewniliśmy się, że tutejsze ludy nie były do nas wrogo nastawione i że podróż w ich krainach była całkiem bezpieczna.

W pobliskiej dżungli, która towarzyszyła nam, zaczajona na skraju plaży, słyhać było

niepokojące ryki i wrzaski zwierząt, ale mimo tego Tomasz i doktor zapuszczali się w pobliże, w poszukiwaniu ciekawych okazów fauny i flory.

Jednego razu usłyszałam głos mego męża, nawołujący mnie do połączenia się z nim w lesie. Przedzieranie się przez ostre i kolczaste krzaki i trawy nie było proste, przy tym obawiałam się węży, więc z najwyższą ostrożnością posuwałam się nikłą ścieżyną, wydeptaną przez dzikie zwierzęta. W nagrodę niezwykle widok uderzył mój wzrok w otwarciu dżungli, na słonecznej, szmaragdowej polanie. Cały ten rajski skrawek ziemi porastały szkarłatne, mięsiste kwiaty, szerokie jak półmiski i w nadzwyczajnej obfitości.

Doktor Arnold właśnie mierzył średnicę jednego z nich i ku naszemu zdumieniu i zachwytowi, wynosiła ona ponad jard! Był to zupełnie nieznany gatunek, który Tomasz nakazał natychmiast zabezpieczyć Rana Dipurze i Master Dickowi.

Zapakowano te wspaniałe kwiaty w pudło, wymoszczone wilgotnym mchem i trawami, i wprawdzie niektóre zgniły, zanim dotarliśmy do Bengkulu, ale i tak wysłaliśmy do Anglii kilkadziesiąt sztuk. Wywołały prawdziwy zachwyt i sensację w Londynie i na cześć odkrywców nazwane zostały *Rafflesia Arnoldi*.

Wszędzie wychodzili nam naprzeciw naczelnicy wioskowi. Niektórzy zapraszali nas do głównej, zazwyczaj obszernej i dobrze wentylowanej chaty, w której ofiarowano nam poczęstunek i nawet nocleg. Sumatrzańskie chaty przypominają kształtem brytyjskie *cottages* o spadzistych dachach, jednakże ze względu na pogodę ich okna znajdują się w wycięciach dachu, zaś na parterze, zamiast drzwi, jedna ściana otwarta jest na oścież, zazwyczaj zasłonięta matami lub zasłonami z koralu i muszelek.

Posiłki gotuje się na zewnątrz i na ogół spożywa się je również na świeżym powietrzu. Wszyscy śpią pod gwiazdami, na wysokiej platformie, dotykającej ściany domu, do której prowadzą drabiny lub strome schodki. Jest to zabezpieczenie przed dzikimi zwierzętami i gadami, od których te okolice się roją.

Tak więc mogliśmy zażywać swobody i prywatności we wnętrzu chatynki, nie będąc widzianymi i nie krępując nikogo naszą obecnością. Oczywiście pomimo tego nadal cierpieliśmy pewne niewygody, a szczególnie ja, ponieważ byłam jedyną kobietą w tym męskim towarzystwie.

Jednak Tomasz odgradzał mnie wieczorami od reszty męskiego towarzystwa rozwieszonymi prześcieradłami i kocami i było to całkiem wygodne rozwiązanie. W Kaur niestety zaistniał wypadek, który pokrzyżował nasze plany dalszej wędrówki. Wieczorem, na prymitywnym biwaku pod gwiazdami, na gorących piaskach plaży, doktor Arnold począł uskarżać się na uporczywy ból gałek ocznych. Po kilka godzinach ból stał się nie do zniesienia i chory sam aplikował sobie wielkie dawki laudanum.

Rano stan jego był już tak ciężki, że po zwinięciu obozu Tomasz rozkazał natychmiastowy powrót do Bengkulu.

Powrót okazał się niezwykle mozolny, a nawet niebezpieczny, ponieważ nastąpił właśnie przypływ i te części plaży, które do tej pory były przejezdne, zostały nagle podmyte przez głęboką wodę.

Musieliśmy jechać pomiędzy niezwykle ostrymi i ogromnymi skałami przybrzeżnymi, które podług Tomasza utworzyły się miliony lat temu pod wpływem wybuchów wulkanicznych.

Przypływ był tak mocny i głęboki, że wkrótce i te skały zalała woda z wielką i przerażającą siłą.

Doktor Arnold majaczył i nie poznawał nikogo. Z rozpaczą patrzyłam w jego zmętniałe oczy i w końcu zwątpiłam w jego wyzdrowienie. Ale tego wieczoru nagle spojrział przytomnie i ujawszy mnie za rękę, zapytał:

– Daleko jeszcze do Bengkulu? Wydaje mi się, że słyszę pianie kogutów. Marzę o filiżance prawdziwej, czarnej herbaty.

– Drogi doktorze, jakże się cieszę, że poczuł się pan lepiej. Bardzo martwiłam się o pana.

Poprawiłam biwakową poduszkę, wypchaną końskim włosiem, pod jego bezwładną głową i nakryłam go szorstkim kocem. Następnie przywołałam kucharza i rozkazałam nagotować wody z miodem i brandy. Doktor wypił duszkiem pokrzepiający płyn i rozglądnął się za Tomaszem.

– Gdzie Jego Ekscelencja? Chciałbym zamienić z nim kilka słów.

Tomasz wraz z Rana Dipurą oglądali mapę i próbowali znaleźć wygodniejszą drogę do Bengkulu, lecz na moje wezwanie mój mąż natychmiast stawiał się u wezglowia lekarza.

– Sir Raffles – powiedział z wysiłkiem doktor – nie wiem, jak długo zachowam przytomność. Choroba czai się we mnie, a śmierć stoi za każdym głazem. Dlatego chciałbym poprosić pana o przysługę, ponieważ w kraju pozostawiłem starą matką i siostrę, którym należy się słowo pociechy po mojej śmierci.

– Doktorze, co też pan mówi! – obruszył się Tomasz. – Co za nonsens! Widać, że jest pan silniejszy i za kilka dni będzie się pan śmiał z tych dolegliwości.

Blady uśmiech zagościł na ustach lekarza.

– Dzięki za słowo pociechy, drogi panie – odparł i uściśnął dłoń mego męża. – Ale niestety jestem lekarzem i poznaję objawy. To czarna malaria, nieuleczalna i najstraszniejsza forma tej choroby.

Tomasz chciał zaprzeczyć, ale doktor skinął na niego dłonią i przywołał go bliżej ku sobie. Tuż koło wojłoków stał miedziany „niewymowny”, ponieważ biedak nie był w stanie odejść z obozowiska o własnych siłach. Tomasz spojrział do środka i zadrżał. Potem, wiele lat później dowiedziałam się, że pierwszym objawem czarnej malarii jest czarne zabarwienie moczu.

– Ekscelencjo, w Bengkulu znajdzie pan w moich papierach listy i polecenia dla mojej rodziny. Wszystko, co mam, należy do mojej matki. Niech rozporządzi zgodnie ze swym sumieniem, a wiem, że nie skrzywdzi własnej córki. Jeżeli umrę w czasie drogi, zakopcie mnie głęboko w ziemi, aby nie zjadły mnie dzikie zwierzęta. Jeżeli wytrwam do celu, proszę o pochówek na morzu, bo je kocham.

Nie mogłam słuchać spokojnie tej rozmowy. Usiadłam wśród złomów skalnych i rozplakałam się serdecznie.

Podszedł do mnie Rana Dipura i z wszystkowiedzącym spojrzeniem mądrych oczu, powiedział:

– Sahiba nie powinna się smuć. Życie ludzkie jest krótką wędrówką w stronę perfekcji. Osiągamy ją poprzez wejście we wrota Nirwany. Szczęśliwi ci, którzy już tam się znaleźli. Oglądają bowiem oblicze Oświeconego.

Rana Dipura był buddystą, filozofem i artystą. Przez chwilę przyglądał mi się w zadumie, a w końcu szepnął:

– Sahiba musi uważać na siebie, ponieważ nie jest sama. – I odszedł równie cicho, jak przyszedł. Nie zrozumiałam wtedy jego słów. Byłam przepełniona żalem i smutkiem, i najgorszymi przeczuciami. Nie omyliłam się, bowiem w nocy, gdy wszyscy spali, dobry doktor zakończył życie. Wyrzucałam sobie moją słabość, ponieważ miałam dobre chęci czuć przy nim całą noc, a jednak zmorzył mnie sen, podobny do śmierci i nad ranem zasnęłam.

Tomasz odmówił modlitwy nad trupem, spowitym w koce, zaś Master Dick wraz ze służącymi i tragarzami zajęli się kopaniem dołu.

Pozostaliśmy w tym obozowisku jeszcze jedną noc. Nie mogłam zasnąć z powodu

powracającego płaczu i żalu, więc wczółgałam się pod koc Tomasza i mocno przyłgnęłam do niego. Pomimo bliskości służby i blasku ogniska kochaliśmy się zapamiętale, jak nigdy dotąd i dopiero bladym świtem wczółgałam się na powrót do mego legowiska. Tak pasja życia broniła się przed widmem nieuchronnej śmierci.

Pochowaliśmy naszego łagodnego przyjaciela w cieniu wielkich głazów i prostego, wyciętego w bambusie krzyża.

Obok ogiera Tomasza galopował osierocony koń doktora, zaś Rana Dipura wiózł, przytroczone do siodła, osobiste bagaże lekarza i jego pamiętnik z podróży, zapisany drobnym, pedantycznym pismem. Jakże nikczemnie małym stworzeniem jest człowiek! Cóż bowiem po nim pozostaje! Trochę nic nieznaczących pamiątek i kopczyk grobu.



\*

Od tamtego czasu przedsięwzięliśmy wiele eskapad w głąb wyspy. Odkrywaliśmy jej dzikie piękno, urok wysokich gór, dzikich grani i cienistych wąwozów, spokój nadmorskich wydm i rozkosznych gajów palmowych. Przeważnie towarzyszyli nam „sipajowie i ludy Bugis”, czasem jechałam konno, ale często kulisi nieśli mnie w lektyce lub na ramionach. Nasza kawalkada jechała głośno i bogato, poprzedzana doboszem i przewodnikiem. Rozciągała się w długiego węża, którego głowę stanowiło wojsko, żołądek tragarze i kulisi, potem postępowaliśmy my w towarzystwie akurat przebywających u nas gości, wreszcie tabor osobistych służących i kuchcików.

Tomasz organizował te ekspedycje nie tylko w celach poznawczych, ale i politycznych. Sumatra składała się z wielu małych, lecz tradycyjnie rządzonych okręgów, w których jeśli nie udzielny władca, to naczelnik lub wódz, przewodził społeczności i Tomasz chciał zawrzeć z nimi przymierze lub choć powiadomić o objęciu terenów przez Kompanię Wschodnioindyjską. Na ogół spotykaliśmy się z życzliwością i lud okazywał radość z powodu odejścia rządów Niderlandów, ale kilkakrotnie żołnierze musieli użyć broni i dopiero salwa muszkietów przestraszyła niesfornych mieszkańców.

Jednym z ważniejszych miejsc wybrzeża był Padang, w którym znajdował się stary, holenderski fort. Właściwie nie było tam niczego interesującego prócz tej ponurej budowli i bazaru, opasującego go półkołem. Aby dostać się do osady, należało przekroczyć dziesiątki płytkich, ale rwących strumieni i była to prawdziwa męczarnia zarówno dla ludzi, jak i zwierząt. W porze deszczowej miejsce to robiło się właściwie nieprzejezdne, tym bardziej że potoki wylewały i tworzyły zbiorniki wodne nie do przebycia.

W jednej z wypraw towarzyszył nam profesor Horsfield, przybyły z Ameryki naturalista i botanik, który badał życie społeczeństw Malajów, kolekcjonował niezwykle gatunki przyrody i geologii i czynił niepospolite zamieszanie w szeregach tragarzy i służby. Ze względu na jego podeszły wiek należało go nieść na ramionach, co też czyniło czterech silnych służących, którzy co kilka godzin zmieniali się w trudnym terenie.

Posuwaliśmy się w takich razach powoli, a i to nie obyło się bez wypadków. Ponieważ nastąpiła pora dżdżysta, ścieżki zostały prawie całkiem rozmyte i niewidoczne, w górach rwały potoki i wodospady tam, gdzie przedtem był kamienisty żleb, piasek nadmorski przylepiał się do stóp i ciążył jak ołów, w ogóle marsz stawał się chwilami niemożliwy.

Moja lektyka chwiała się niebezpiecznie, zaś od strony profesora i jego grupy dochodził tylko jego piskliwy, przestraszony głos:

– Uważajcie, *you cabbage heads*, bo mnie upuścicie! Na Boga! Padam, zaraz mnie uronicie!

I tak przez cały dzień. I rzeczywiście, pewnego razu rozległ się głośny plusk, stłumiony krzyk i profesor zniknął nam z oczu w pędzącym na płytkim dnie wąwozu strumieniu.

Kawalkada zatrzymała się ruchem robaczkowym, to znaczy tylne szeregi wpadały na poprzedzające, tworzyły się zatory z ludzi, zwierząt i bagażów, powstał krzyk i zamieszanie i nikt właściwie nie wiedział, co zaszło. Padały chaotyczne pytania i nedorzeczne odpowiedzi, a tymczasem głowa profesora zniknęła z powierzchni wody, a on sam umknął za zakrętem rzeki.

Przeraziłam się nie na żarty, ponieważ woda była tu niesłychanie rwąca, dno kamieniste i w każdej chwili groziło mocnym poturbowaniem.

Tomasz natychmiast wysłał poszukiwawczą partię i kazał przeszukiwać rzekę i wąwóz

na długości kilku mil. Tymczasem zapadł zmierzch, który w tropikach przemienia się błyskawicznie w ciemną noc, więc zdecydowano rozbić obóz. Około ósmej wieczorem lunął straszliwy deszcz, który zagnał nas wszystkich pod koce, plandeki i derki, a mnie z Tomaszem do ciasnego, ale względnie suchego namiociku.

Tak przeszła noc, którą spędziliśmy bezsennie. Nad ranem powróciły ratunkowe grupy, ale profesora nie znaleziono.

Zapanowała ogólna żałoba, ponieważ nie wydawało się możliwe, aby uczonego przeżył upadek, wartki prąd wody i samotną noc w dżungli.

Ponieważ nie mogliśmy pozostawać w tym miejscu dłużej, Tomasz wyznaczał oddział pięciu sipajów do dalszych poszukiwań terenu, my zaś udaliśmy się w dalszą drogę.

Nie ujechaliśmy jednak nawet mili w górę strumienia, gdy uszu naszych doszły odgłosy piszczałek, bębnow i cymbałów, tego ulubionego instrumentu tubylców.

Na ścieżce ukazała się procesja kapłanów i tancerek, przybranych w girlandy kwiatów i żółte sarongi, zaś pomiędzy nimi kroczył tanecznym krokiem, nagi jak święty turecki, jedynie przepasany sznurem z koralami i muszli, nasz zagubiony profesor i towarzysz. Na nasz widok tłum zatrzymał się jak wryty, a potem padł plackiem na twarz, jęcząc i zawodząc przeraźliwie.

Horsfield wpadł w niesłychaną wesołość, począł rzeć jak koń i bić się po nogach gałęziami palmy, które do tej pory służyły mu do odganiania much i komarów. Co widząc, tłuszcza natychmiast wpadła w szal wesołości i poczęła okładać się, czym kto miał pod ręką.

Z największymi oznakami czci główny kapłan, na klęczkach, zbliżył się do mnie i padłszy znowu na twarz, począł wołać coś przejmującym głosem.

Ponieważ było to jakieś miejscowe narzecze, nawet Rana Dipura nie rozumiał początkowo, o co w tym wszystkim chodzi. Na szczęście jeden z tragarzy przyszedł nam z pomocą i przez niego powoli dowiedzieliśmy się całej prawdy. Profesor zachowywał się w tym czasie jak niepozorny, biegał pomiędzy żołnierzami i całował w pyski ich konie, to znowu zamyślał się i siadał na środku drogi z palcem w nosie.

Było to tyle samo zabawne, jak i tragiczne, ponieważ w ten sposób tracił raz na zawsze szacunek i respekt służby. Ludzie parskali śmiechem na jego widok i pokazywali go sobie palcami.

W końcu Tomasz nakazał dowódcy sipajów, młodemu Hindusowi o ciemnej, inteligentnej twarzy, złapać rozbawionego Amerykanina i przywieźć naprędce w jakiegokolwiek szatki, byle przysłonić jego nieskromną nagość.

Tymczasem okazało się, że profesora wyłowiono z rzeki, gdzie byłby się biedak utopił. Mieszkańcy pobliskiej wioski z najwyższymi oznakami czci zaprowadzili go na główny majdan i tam przybrali w kwiaty i inne atrybuty świętości. Nigdy bowiem nie widzieli białego człowieka i byli pewni, że zawitało pomiędzy nich bóstwo rzeczne, pół ryba, pół człowiek, zamiast łuski okryty białą skórą.

Następnie nakarmili go i napoili bardzo mocną wódką z owoców chińskiej róży i całą noc okadzali go oszałamiającymi dymami i kadzidłami. Nie dość, że pijany, profesor był jeszcze naszpikowany narkotykami.

A teraz właśnie dążyli na święte ablucje w morzu, zaś widząc nas, przerazili się nie na żarty. Myśleli, że przybývámy jak mściwe bóstwo, aby odbić porwanego bożka.

Na szczęście ta przygoda zakończyła się pomyślnie, choć nie bez pewnych trudności, bowiem na wieść, że profesor nie może w żadnym wypadku pozostać między nimi, cała wioska gotowa by iść za nim, czyli z nami.

Dopiero uroczyste przyrzeczenie, iż bóstwo powróci do nich, gdy odwiedzi inne wsie i pobłogosławi całą krainę, przekonało ich do pozostania w osadzie.

Dwa dni później weszliśmy w malownicze pola ryżowe, które układają się na ziemi jak zastygłe fale zielonego oceanu. Pomiędzy łagodnie wijącymi się tarasami pracowały kobiety w szerokich, spiczastych kapeluszach, z dala przypominające grzyby, wyrosłe po obfitych, monsunowych deszczach.

Naprzeciw wyszła starszyzna wioski, uzbrojona w długie lance i meczety, a ich okrzyki powitalne były tak głośne i groźne, że początkowo myślałam, że dojdzie do nowej tragedii.

Na szczęście taki mieli sposób witania ważnych osobistości, bili jeszcze w gongi i czynili niesłychany harmider, wdzierający się w czaszkę i raniący uszy. Gdy Tomasz rozmawiał ze starszyzną, kobiety posadziły mnie na środku majdanu, otoczonego chatkami i chlewami dla czarnych, małych świnek. Przyniosły piwo w wysokich tykwach i banany na wielkich jak talerze liściach.

Siedziałam tak kilka godzin, otoczona milczącymi, pełnymi rewerencji i zachwytu paniami. Wpatrywały się we mnie nienasyconym wzrokiem i od czasu do czasu dzieliły się cicho i uprzejmie jakimś spostrzeżeniami i rewelacjami na mój temat.

Przyznam się, że nigdy przedtem ani potem nie czułam się tak adorowana!

Na następny dzień kontynuowaliśmy naszą podróż w głąb wyspy i trwało to dalsze dwa tygodnie. Przedzieraliśmy się przez wysokie góry i okrążyliśmy wielkie jezioro Singkarak, w którego okolicach Tomasz zostawił oddział żołnierzy i rezydenta, przedstawiciela Kompanii. Nie jestem pewna, czy tamtejsi tubylcy zrozumieli, co to oznaczało, choć przez Rana Dipurę skarżyli się na rządy Holendrów. Tomasz zawarł z nimi przymierze i pozwolili nam odjechać w spokoju.

Ponieważ pisałam listy o tych wędrownikach do Londynu, do lady Sommerset i mojej rodziny, wkrótce cała Anglia wiedziała o naszych wysiłkach i nikt nie chciał uwierzyć w ich prawdziwość. Bowiem do tej pory nie znalazł się śmiałek, który odważyłby się na przejście dwustu pięćdziesięciu mil tym zupełnie nieznanym, dziewiczym terenem, bronionym przez strome i dzikie góry, jeziora i tropikalne lasy i ciężki, wyjątkowo upalny klimat.

Artykuły o naszych poczynaniach ukazały się w „Observer” i „The Globe”. Nie wszyscy odnosili się przyjaźnie do poczynań Tomasza. Znaleźli się tacy, którzy wkrótce zaczęli prowadzić przeciw niemu i jego pracy krecią robotę i mieli się w przyszłości przyczynić do wielu naszych rozczarowań i rozgoryczenia. Na razie jednak przeżywałam szczęśliwe i pogodne miesiące. Bowiem zaraz po powrocie z ostatniej wyprawy poczułam, że jestem znowu w błogosławionym stanie.

Zaraz też przypomniałam sobie niezrozumiałe zdanie wypowiedziane przez Rana Dipurę i uzmysłowiwszy sobie, co miał na myśli, zaczęłam na niego spoglądać innymi oczami. Doprawdy, ci ludzie Dalekiego Wschodu odznaczali się przedziwną intuicją i tajemniczym zmysłem przepowiadania losów. Miałam się jeszcze nie raz o tym przekonać, ale do tej pory nie umiem tego rzeczowo wytłumaczyć.

W Bengkulu znaleźliśmy nowych gości, a to francuskiego naturalistę Pierra Diarda i nowego lekarza rezydencji, szkockiego doktora Williama Jacka. Był on następcą drogiego, nieodżałowanego doktora Arnolda i wprawdzie zaskoczyła mnie jego młodość, ale okazał się bardzo biegłym w sztuce lekarskiej, więc z całą ufnością oddałam się w jego ręce. Moje dzieciątko miało urodzić się w marcu.

\*

Tomasz od wielu lat widział niebezpieczeństwo zagrażające Kompanii ze strony ekspansji morskiej Holendrów. Przez kilka wieków Niderlandy były niepodzielnym władcą mórz południowych i w ostatnich latach poważnie zagrażały brytyjskiej żegludze handlowej na wschód od Ceylonu. Prawdziwym ciosem w jego dumę i ambicje oraz zdruzgotanym osobistym marzeniem było scedowanie Jawy na powrót w ręce Holendrów.

Całe wysiłki mego męża, jego ciężka praca i projekty spaliły na panewce, ponieważ zaledwie powrócił z Batawii do Londynu w 1816 roku, rząd brytyjski zrzekł się praw i roszczeń do wyspy.

Ja widziałam w tym szczególną złośliwość losu i przewrotność wydarzeń, ponieważ zmarła lady Olivia, pochowana na Jawie, znalazła się teraz wśród obcych i obojętnych jej ludzi. Nie dość na tym, straciła tam zdrowie i życie i wydawało się to takie niepotrzebne, ponieważ być może, gdyby powróciła wcześniej do Anglii, nie doszłoby do tej tragedii. Być może, gdyby tak się stało! Te spekulacje myślowe doprowadzały mnie do rozstroju nerwowego, więc z pewną ulgą przyjąłam wiadomość, że Tomasz udaje się do Kalkuty na spotkanie i narady z generalnym gubernatorem, lordem Hastingsem.

Nie będę tu poświęcać zbyt dużo czasu naszej podróży, która zaczęła się przy pożegnalnym huku armat z fortu Malborough, wysokiej fali i przerażającej obecności na statku stonóg i skorpionów. Płynęliśmy małym brygiem „Udney” tak brudnym i zaniedbanym, że Tomasz obiecał sobie po powrocie wyrzucić naszego obecnego agenta.

Do tego nasz pilot przy wejściu w deltę rzeki Hoogli z Zatoki Bengalskiej, okazał się kompletnie pijany i skierował nas prosto na piaski i łachy nadrzeczne. Szczęściem, że nie rozbiliśmy się zupełnie, choć straciliśmy maszt i dwu ludzi, w samym środku ciemnej jak grzech śmiertelny nocy.

Wprawdzie lord Hastings, gubernator Bengalu, okazał się niezwykle uprzejmym i światowym człowiekiem i zabawiał mnie polowaniem i obserwacją tygrysów, ale w moim stanie nie było to najszczęśliwsze zajęcie, tym bardziej że powietrze Kalkuty zupełnie mi nie służyło i nieustannie cierpiałam na ciężką migrenę.

Moje dni wyglądały podobnie, spędzane zazwyczaj na kozetce w zaciemnionym pokoju wynajętej willi, przez okna której dobiegały hałasy i wątpliwej jakości zapachy z pobliskiego bazaru. Tymczasem Tomasz odbywał narady i dyskusje z lordem Hastingsem i Radą Kompanii i często wracał wzburzony, ponieważ nie wszyscy członkowie podzielali jego spojrzenie na sytuację ekonomiczną Azji Południowo-Wschodniej.

Tomasz dążył do energicznego zagospodarowania Malajów poprzez zakładanie centrów handlowych w strategicznych punktach archipelagu i półwyspu, a więc na południowym cyplu Malajów i w północnej Sumatrze. To ostatnie zadanie można było osiągnąć sposobem, który mój mąż stosował z powodzeniem do tej pory, a to politycznymi sojuszami z miejscowymi książętami.

W północnej Sumatrze panował wcale potężny sułtan Aceh, z którym Tomasz prowadził już pertraktacje poprzez posłów i emisariuszy. Wydaje mi się, że odwaga i rozsądek mego męża nie przemawiały do wszystkich urzędników Rady. Niektórzy zarzucali mu niesubordynację, zbytek samodzielności i arogancję.

A tymczasem Tomasz był tylko świetnym organizatorem, zręcznym dyplomatą oraz zapalonym i odważnym odkrywcą. Zbyt wiele męskich, wspaniałych cech w jednym człowieku.

Wybijał się ponad mierność i tchórzostwo, ponad lenistwo i asekurantwo otoczenia i dlatego nie był lubiany. W przyszłości niezmiernie nad tym bolał, ale nigdy nie cofnął się z raz obranej drogi. Bronił do upadłego swych idei, jeśli wiedział, że ma słuszość. Wyrósł ponad miarę i stan ducha epoki.

Tym niemniej nie wyjechaliśmy z pustymi rękoma. Tomasz otrzymał ustne plenipotencje od Hastingsa do prowadzenia dalszych rozmów z sułtanem Aceh i kontynuowania wypraw na północny wschód od Sumatry.

Tym pokrzepieni, wsiedliśmy na pokład brygu „Nearchus”, dowodzonego przez kapitana Williama Maxwella. Płynęliśmy do Pinangu, gdzie Tomasz postanowił pozostawić mnie na kilka tygodni, a samemu wraz z kilkoma zaufanymi ludźmi udać się na przeczesanie nieznanego mu lądu po drugiej stronie Cieśniny Malakki.

Usiłowałam przekonać go o konieczności zabrania mnie na tę zapowiadającą się interesująco wyprawę, ale Tomasz ani o tym chciał słyszeć.

– *Darling* – dowodził – cała wyprawa potrwa nie dłużej niż trzy, cztery tygodnie, będę z powrotem, zanim poczniesz za mną tęsknić. Doktor Jack zdecydowanie przeciwny jest twojej dalszej podróży, ponieważ może ona zaszkodzić nie tylko tobie, ale i dziecku. Pozostaniesz w Pinangu, gdzie włos nie spadnie ci z głowy, i w międzyczasie będziesz zabawiana przez poczciwego gubernatora Bannermana i jego małżonkę.

Miałam zamiar jeszcze się upierać, ale doktor Jack, ten zdrajca, zakończył spór zdecydowanym sprzeciwem, więc nie mogłam już nic więcej powiedzieć. Intuicją iście kobiecą przeczuwałam, że ta wyprawa będzie niezwykła, że wstrząśnie nie tylko Imperium, ale i światem i przysporzy Tomaszowi ogromnego autorytetu i złotej sławy. I nie omyliłam się, ale na razie było jeszcze do tego daleko!

Z pewnym niepokojem oczekiwałam wylądowania w Pinangu, gdzie świeża była pamięć o pierwszej lady Raffles, i obawiałam się, w jaki sposób zostaną przyjęta przez tamtejsze towarzystwo. Moje obawy okazały się jednak płonne, bowiem gubernator z małżonką oczekiwali nas na przystani i z wielką pompą wprowadzili nas w mury pałacu, a następnie oddali nam do dyspozycji szereg pięknych i wygodnych pokoi. Od czasów Tomasa i Olivii Pinang rozrósł się, wypiękniał i Tomasz z zadowoleniem rozglądał się po nowych meblach, czystych ścianach i porządnie sadzonych drzewach oraz klombach kwiatów.

Jednakże ta sielska atmosfera nie trwała długo. Gubernator Bannerman przy bliższym poznaniu okazał się zawistnym, pełnym jadu oficjałem, który za wszelką cenę postanowił utrudnić Tomaszowi pełnienie obowiązków, wyznaczonych mu przez markiza Hastingsa.

Już w drugim dniu, przy kolacji doszło pomiędzy nim a moim mężem do cierpkiej, gwałtownej wymiany zdań.

Tomasz zakomunikował właśnie gubernatorowi, iż zamierza za dwa dni wypłynąć do sułtanatu Aceh, znajdującego się na północnym cyplu Sumatry, gdy Bannerman spojrział na niego ostro i karcącym głosem powiedział:

– Ekscelencjo, pomimo jak najlepszych chęci i niewątpliwej wiary w pana najszczerze intencje, zmuszony jestem odradzić panu na razie tę podróż.

– A to dlaczego? – zapytał mój mąż spokojnie, ale znałam go dobrze i wiedziałam, że błysk jego oczu nie wróży nic dobrego.

– Ponieważ nie otrzymaliśmy jeszcze pisemnych instrukcji od markiza Hastingsa z Kalkuty.

– Czy zarzuca mi pan kłamstwo? Nie dowierza pan moim zapewnieniom o rozmowie w tej sprawie z generalnym gubernatorem? – Tomasz uniósł się na całą wysokość swej wyniosłej sylwetki i mierzył Bannermana iskrzącym wzrokiem.

Zona gubernatora, siedząca obok mnie, wydała cichy, piskliwy dźwięk, jak gdyby ugryzł ją skorpion. Atmosfera uczyniła się lodowata, pomimo upalnego wieczoru powiało chłodem i nadchodzącą katastrofą.

Bannerman powoli otarł wypukłe wargi serwetą i odsunął od stołu okazałych rozmiarów brzuch.

– Sir Raffles, usilnie proszę o przychylenie się do mojej prośby – powtórzył z naciskiem i ostentacyjnie spojrzął w stronę dwu oficerów gwardii przybocznej, stojących na baczność w drzwiach sali.

– Zofio, idziemy – rzekł krótko Tomasz i podał mi ramię. – Grożą nam tu aresztem, więc nic tu po nas.

Wraz z nami wyszedł przyjaciel i współpracownik Tomasza, jego asystent i prawa ręka, pułkownik William Farquhar, człowiek niezwykle energiczny, obdarzony wspaniałą wiedzą o Azji Południowej, świetny wojskowy i nieustraszony podróżnik, który przyjechał z nami z Kalkuty.

Dwa dni później wyprowadziliśmy się z pałacu gubernatora do wynajętej willi w pobliżu portu. Nie była ona ani tak wygodna, ani w połowie tak bezpieczna jak Suffolk House, bowiem otaczała ją mizerna palisada z bambusów, a wszystkie drzwi podpierano wieczorem kołkami, aby nie otwierały się przy silniejszych podmuchach wiatru, ale Tomasz powiedział, że w pałacu jego noga więcej nie postanie. I słowa dotrzymał.

Wieczory spędzał teraz w towarzystwie pułkownika, chodząc niespokojnie po gabinecie i przy blasku świecy kreśląc szlaki morskie i studiując mapy. Wreszcie wyjawiał mi swoje plany, od których nie było odwołania.

– Zofio – mówił gorączkowo i stukał palcem w mapę Malajów – nie mogę tracić więcej czasu. Czekanie na listy z Londynu i Kalkuty może przeciągnąć się w nieskończoność. Tymczasem idzie monsun i morze stanie się niemożliwe do żeglugi. W najbliższych tygodniach muszę znaleźć odpowiednie tereny do założenia nowej kolonii i placówki handlowej. Jest to niezbędne dla naszego pobytu na Sumatrze i bezpieczeństwa Bengkulu. W świetle niechęci Bannermana, zdecydowaliśmy się z Williamem wypłynąć w tajemnicy pojutrze, z porannym przypiływem, na południowy zachód, do Riau, gdzie jak słyszę, znajduje się przychylny nam sułtanat. Byłby to wspaniały skrawek ziemi, oddzielony zaledwie wąską cieśniną od Sumatry, który być może udałoby się nam odkupić, lub choćby wypożyczyć od sułtana i założyć tam placówkę handlową i dyplomatyczną. Musisz dochować sekretu i nie wspominać nikomu, że wiesz o naszych zamiarach, a po naszym wyjeździe przez pewien czas grać na zwłokę i udawać, że nie wyjawiałem ci, dokąd zmierzam. Niechże ten stary głupiec Bannerman wyrывa sobie włosy z głowy i pisze do Kalkuty, ile chce. Ja już dawno będę w Riau.

– Tomasz, czy nie byłoby jednak lepiej, gdybyś faktycznie zaczekał na listy od markiza Hastingsa? Zapewne już są w drodze i po ich przyjściu będziesz mógł z otwartym czołem przedsięwziąć planowaną ekspedycję.

– Nie może być! – zawołał Tomasz i pochwycił moje dłonie. – Zofio, choć ty jedna okaż mi zaufanie i odrobinę entuzjazmu! Wiem, czuję, że dążę do rzeczy wielkiej, intuicja, wewnętrzne przekonanie pcha mnie w tamtą stronę z niesłychaną siłą. W obecnym układzie sił Europy Holendrzy poczynają znowu zbroić się i odzyskiwać stracone w czasach Bonapartego ziemie. Jest to tylko kwestia krótkiego czasu, a zagarną dawne kolonie, które odebraliśmy im niedawno z tak ciężkimi stratami. Czy widzisz, co stało się z Jawą, tą wyspą uświęconą śmiercią mojej żony? Zaledwie wyjechałem, natychmiast opanowali ją Holendrzy, a nasz rząd oddał ją bez mrugnienia powieką. Praca moich wielu lat, poświęceń i wyrzeczeń poszła na marne i rozwiła się jak fatamorgana.

Nic nie było w stanie odwieść Tomasza od raz powziętego planu. Pod osłoną ciemności nocy wypłynęli w dwa statki zaraz po północy, w połowie stycznia, a ja odprowadziłam ich na przystań, w towarzystwie wiernego doktora Jacka i Rana Dipury. Ze łzami w oczach obserwowałam rozplywający się w oparach nocnych żaglowiec. Jak widmo jeszcze przez chwilę majaczył na czarnym horyzoncie, a potem zapadł się w mrok i głębie oceanu i niebo zamknęło się nad nim cicho.

Doktor Jack przez następne tygodnie nie odstępował mnie na krok i raczej niż lekarzem, był mi bratem i przyjacielem. W jego towarzystwie zapałam ciekawością do botaniki, więc całe godziny spędzaliśmy na zbieraniu ziół i kwiatów, klasyfikowaniu ich i suszeniu w specjalnych albumach – zielnikach. Doktor opisywał każdy gatunek, ja rysowałam charakterystyczne cechy rośliny, ponieważ okazało się, że posiadam niezłą rękę i artystyczny zmysł malarski.

Pracowaliśmy w niesłychanej harmonii i znakomitych humorach i wydaje mi się, że dzięki tej atmosferze mój niedługo potem narodzony synek odznaczał się pogodą ducha i spokojem.

Gubernator Bannerman kilkakrotnie słał do mnie posłańców, pytając o nagły wyjazd Tomasza i moje zdrowie, ale zawsze odpowiadałam, że mąż wypłynął niespodzianie dla mnie samej, nie pozostawiając żadnych instrukcji, oraz że czuję się słabo, niezdolna do wizytowania i przyjmowania gości.

Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, iż jest to dość grube kłamstwo, ale gubernator nie miał nade mną żadnej jurysdykcji, więc pozostawił mnie w spokoju. Raz tylko jego żona przyjechała mnie odwiedzić, ale delikatnie, nawet nie poruszyła tematu mego męża i rozmowa ubiegła nam na opowiadaniu o dzieciach i moim wkrótce spodziewanym rozwiązaniu.

Muszę pozostawić moje przeżycia na boku, ponieważ dochodzę do tej części opowieści, która stanowi esencję życia mego męża, jego największy tryumf i dumę, dzięki której jego imię pozostanie na wieki w historii południowej Azji.

\*

Południowy cypel półwyspu malajskiego znany był od stuleci zarówno żeglarzom, kupcom, jak i piratom. Tomasz czytywał stare pamiętniki i opisy podróżników mórz chińskich, którzy twierdzili, że tamte tereny roją się od bandytów, dzikich zwierząt i potwornych gadów. Wiele stuleci temu pewien potężny książę pobliskiej Indonezji, o imieniu Sang Nila, wylądował tam wraz ze swą załogą kilku okrętów i na brzegu znalazł maleńką rybacką wioskę, zwaną Temaseh, czyli Osada Morska.

Pierwszym zwierzęciem, które dzielny podróżnik upolował, był wspaniały lew, więc nazwał w swych manuskryptach i dokumentach miejsce to Singa Pura, Miastem Lwa.

Pomimo tak wspaniałego imienia Singa Pura przez wieki nie odznaczała się niczym szczególnym i tylko najlepsi żeglarze znali jej piaszczyste, złote wybrzeże i gęstwinię nieprzebytej, tajemniczej dżungli. Przy tym mieszkańcy osady nie cieszyli się zbyt dobrą sławą. Prawda, byli rybakami i zdolnymi rzemieślnikami, ale spomiędzy nich wyrosli także bandyci morscy, piraci, którzy grasowali na pobliskich wodach w poszukiwaniu ofiar, a złapanych nieszczęśników przywozili na wyspę i rozprawiali się z nimi okrutnie.

A jednak Tomasz właśnie tam skierował swój statek, gdy tymczasem William Farquhar otrzymał od niego rozkaz spenetrowania Wysp Kerimunów. Tak więc szybko rozdzielili się na morzu, wyznaczając sobie na późniejsze *rendez-vous* południowe wybrzeże Singa Pury.

Tomasz do końca życia wspominał z zachwytem pierwsze obrazy wyspy, tak cudownie spokojne, oblane amarantowymi promieniami zachodzącego słońca, zabarwione szmaragdem palm i dżungli i ciemnymi plamami chatynek i zabudowań wioski. Było coś niebiańskiego, kojącego w tej ciszy i majestacie przyrody, w tym odosobnieniu i magii tropików dalekich mórz. Czubki palm chwiały się łagodnie i dostojnie, jak wachlarze chłodzące rozpalone czoło wspaniałego sułtana. Olbrzymie ptaki, te latające płomienie, szybowały ponad głowami marynarzy, zaś z lasu dobiegały aż na pokład statku wrzaski małp i papug.

Zanim jeszcze zarzucili kotwicę, już otoczyły ich czółna ludzi w białych zawojach i długich sukniach. Były to w większości ludy Bugis, Malajowie i nieco Chińczyków, w większości Mahometanie, poddani sułtana Jahore.

Pomimo krzyku i potrząsania dzidami nie uczynili nikomu krzywdy, wręcz przeciwnie, ze śmiechem przyglądali się zarzucaniu kotwicy, a potem otoczyli łódź Tomasza zwartym kołem i śpiewając, poprowadzili go w uroczystej procesji do brzegu. Tomasz zabrał ze sobą oddział sipajów, ale okazali się zupełnie niepotrzebni. Mieszkańcy wyspy, przynajmniej ci, którzy w tej chwili na niej się znajdowali, wręcz cieszyli się na widok nowo przybyłych, przyjaźnie dotykali ich dłoni, mundurów i broni. Sipajowie szli ostrożnie, nieufnie rozglądając się na boki, ponieważ nie wierzyli w szczerą „dzikusów”.

Tomasz nie wiedział, co o tym myśleć, więc rozkazał mieć się na bacności, ale nie okazywać lęku, a tym bardziej wrogości. Tak zostali doprowadzeni do środka osady, gdzie znajdował się okrągły, zbudowany z drzewa i umieszczony na palach dom, zapewne siedziba kacyka wyspy. W jednej chwili otoczyła ich zgraja dzieci i psów, ponieważ reszta mieszkańców pochowała się po lepiankach i chatkach na palach.

Tomasza uderzyła wielka czystość i porządek osady, szerokie, zamiecione ulice i staranne obejścia przy domostwach. Chaty pokryte były palmowymi liśćmi, ogrodzone niskimi płotami z bambusa, za którymi znajdowały się ogródki i obejścia dla zwierząt.

Czarne, małe świnki kwiczały na ich widok, zaś kury z wielkim gdakaniem rozbiegały



się po gospodarstwach.

Z głównej haveli wyszedł dostojnie wyglądający muzułmanin w białej szacie i zielonym turbanie. Otaczało go grono wojowników i dostojników o posrebrzonych wiekiem brodach.

Tomasz mówił płynnie językiem Malajów, więc odezwał się donośnym, pewnym głosem:

– Nazywam się Tomasz Stamford Raffles i jestem gubernatorem Sumatry, z ramienia najjaśniejszego pana, Jerzego III, króla wysp brytyjskich i kolonii wraz z przynależnościami. Z kim mam przyjemność?

Wysoki dostojnik skłonił się sztywno i odparł, nieco zdziwiony umiejętnościami lingwistycznymi przybysza:

– Jesteś panie w dominium Najjaśniejszego i Wszechmocnego sułtana Jahore, oby Allah pomnożył jego dni na ziemi, Abdula, syna zmarłego właśnie, nieodżałowanego pana i władcy Mahmuda. Ja zaś jestem namiestnikiem królewskim i zarządcą tej ziemi. Nazywam się Temenggong Rahman i zapraszam cię na wieczerzę i rozmowę do mojej skromnej siedziby.

Pomieszczenia w środku budowli okazały się przestronne, przewiewne i przystrojone – perskim zwyczajem – dywanami, kilimami i skórami zwierząt. Na środku głównej komnaty, która służyła za pokój audiencjonalny, salon i jadalnię, rozłożono poduszki i maty, na których zaraz zasiedli miejscowi dostojnicy i świta Tomasza.

Wprawdzie świta nie była zbyt imponująca, bo prócz mego męża znajdował się tam tylko kapitan statku James Pearl, pierwszy oficer Charles Watson oraz lekarz okrętowy, doktor Roberts, ale pomimo tego Temenggong celebrował poczęstunek podług zasad dobrego wychowania i nie pytał początkowo o nic. Rozmowa toczyła się na obojętne tematy, przeważnie wokół historii i kultury wyspy.

Singa Pura jest małym, choć komfortowym miejscem. Jest w niej około dwustu rodzin, przeważnie rybackich i zajętych własnymi potrzebami i prostym, wieśniaczym życiem. Młody sułtan Abdul niedawno wstąpił na tron Jahore i otoczył się przyjaciółmi i doradcami holenderskimi. Nieczęsto słyszymy jego złote słowa ze stolicy.

Czułe ucho Tomasza natychmiast wychwyciło niechęć i rozgoryczenie w głosie namiestnika, postanowił więc wykorzystać tę okoliczność, gdy tylko kolacja dobiegnie końca. Wieczerza ciągnęła się jednak długo, ponieważ podawano na wielkich tacach prażony ryż w szafranowym sosie, baraninę i podpłomyki, góry mięs duszonych w ostrych przyprawach i jarzynach, potem bardzo mocną kawę i słodkie ciastka. Doprawdy, jak na niewiele znaczącego kacyka maleńkiej enklawy, czcigodny Temenggong jadł po królewsku.

Wreszcie namiestnik klasnął na służbę, która przyniosła pachnące ręczniki do wytarcia rąk i nargile, ulubiony „sport” ówczesnych dżentelmenów.

Temenggong rozgadał się i popuścił pasa, zaś Tomasz słuchał go uprzejmie, ponieważ wiedział, że z tego monologu dowie się wielu potrzebnych i być może nieznanych mu faktów.

– Kiedy żył stary sułtan Mahmud, naród łączyły zgoda i jedność. Po jego śmierci niestety, jak często bywa, doszło do nieporozumień i niesnasek pomiędzy dwoma synami. W rezultacie Abdul, pomimo iż młodszy, zasiadł na tronie stolicy, zaś starszy Hussein musiał zadowolić się księstwem Riau. Do dziś nie ma pomiędzy nimi przyjaźni ani zgody, bo Hussein nienawidzi Holendrów i czuje się pokrzywdzonym przez brata i los.

– Bardzo nieszczęśliwa sytuacja – powiedział ostrożnie Tomasz i równocześnie układał w głowie dalszy plan działania.

– Niewątpliwie – skwapliwie przytaknął namiestnik i westchnął smutno. – Tym bardziej że śmierć ojca zastała księcia Husseina w domu jego nowej oblubienicy, którą był właśnie poślubił z wielkiej i płomiennej miłości, i przerwała miodowe, słodkie dni.

– Dwakroć nieszczęsna sytuacja – powtórzył Tomasz i zwrócił się po angielsku do kapitana Pearl: – Każ pan przynieść dary. Wydaje mi się na to dobra pora.

Po dwu godzinach audiencji Tomasz wiedział, co mu wypada dalej czynić. Singa Pura wydawała mu się wspaniałym miejscem na założenie placówki handlowej, a może nawet portu z naczelnictwem brytyjskim. Zatoka była głęboka i dobrze osłonięta od żywiołów morskich, zaś sama wyspa, podług zapewnień dostojnika, obfitowała w zwierzynę, a przede wszystkim w świeżą, źródlaną wodę.

Było to idealne miejsce do przeprowadzenia jego planów, choć jego własni ludzie jeszcze tego samego dnia meldowali mu, że osadę otaczają bagna pełne krokodyli, komarów i węży, zaś w dżungli grasują tygrysy ludojady i straszliwe, krwiożercze małpy.

Tomasz jednak nie bał się przyrody, natomiast jak najszybciej postanowił nawiązać kontakt z wydziedziczonym przez młodszego brata Husseinem. Początkowo Temanggog wzdragał się posłać posłańców do oszukanego księcia, ponieważ obawiał się gniewu sułtana, ale w końcu Tomaszowi udało się przekupić go ciężką kieszą srebrnych hiszpańskich dolarów i piękną szablą z damasceńskiej stali.

Kurier wyruszył natychmiast i o dziwo, w trzy dni później w osadzie zjawił się wspaniały orszak, przybyły na opasłych dżonkach z wydętymi silnym wiatrem żaglami. Najświetlejszy sułtan Riau, promień w oku Allacha, wjechał do Singa Pury z kilkunastoma dworzanami na białym koniu, przykrytym złotym czaprakiem, lśniącym od drogich kamieni.

Rozmowy odbywały się w haveli namiestnika. Uczestniczyli w nich, prócz Tomasza, sułtana i jego wezyra, naczelnik Temanggog, kapitan Pearl i porucznik Watson. Początkowo sułtan ani chciał słyszeć o jakichkolwiek ugodach z obcymi, siedział nastroszony jak jastrząb i łypał groźnym okiem na przybłędów. Wyraźnie bał się zemsty młodszego brata i dopiero przyrzeczenie Tomasza, iż otoczy go brytyjskim wojskiem i da mu protekcję i bezpieczeństwo, udobruchały go nieco i przychylniej przysposobiły do Anglików.

Jednakże Tomasz czuł, że nadal nie ma pełnej gwarancji i rękojmi sojuszu, więc wyciągnął z zanadru ostatnie „działo” ciężkiego kalibru, które nawet jemu wydało się niebezpieczne. Nie miał jednak innego wyjścia, jeśli chciał kuć żelazo, póki gorące.

– Najjaśniejszy sułtanie – mówił z wielką powagą i respektem. – Pozwól, że zaproponuję ci sojusz wieczysty, nieustającą protekcję i braterstwo mojego najjaśniejszego króla, a na dodatek... – tu zawiesił dramatycznie głos i wzbudził zaniepokojenie sennego władcy – obwieszczę cię natychmiast prawowitym i jedynym sułtanem Jahore i Riau, co spisane zostanie w proklamacji i odezwie do ludności. W zamian za to otrzymam od ciebie pozwolenie na budowę handlowej placówki, budynków portowych i wolnego od jakichkolwiek opłat korzystania z przystani i zakwaterowania w osadzie.

Hussein był młodym i otyłym człowiekiem, o nieco gnuśnym sposobie bycia i leniwym spojrzeniu. Jego pucułowata, nalana twarz lśniła nieustannie, jak pociągnięta tłustą warstwą masła, zaś małe, stulone usta nie uśmiechały się prawie nigdy. Jego spojrzenie wydawało się zawsze niczym niezainteresowane, przymglone i dalekie, więc czasem rozmówca nie miał pewności, czy sułtan słyszy nawet jego głos. W tej chwili jednak oblicze władcy zmieniło się nie do poznania, wzrok nabrał ostrości, a rysy stężyły w wyrazie zdumienia i zachwytu.

Tomasz odetchnął. Wiedział, że zwyciężył i że reszta jest już tylko kwestią czasu.

\*

Nowy sułtan wyspy Singa Pury zasiadł w towarzystwie Tomasza i świty dworzan pod naprędce skonstruowanym baldachimem, na krześle pokrytym skórą lwów i tygrysów. Tomasz zajął równie wspaniałą taboret ze skóry nosorożca, dorównujący wysokością królewskiemu siedzisku, a ponieważ przewyższał prawie o głowę władcę, więc już z daleka widać było jego wspaniałą sylwetkę.

Wezyr sułtana odczytał odezwę do ludności, napisaną przez Tomasza, potem zabrzmiały tony szybko skleconej miejscowej orkiestry i na maszt haveli Temanggoga sipajowie wciągnęli flagę królestwa Brytanii. Singa Pura stała się zjednoczonym z Imperium Brytyjskim dominium, zaś sułtan Hussein „prawowitym” władcą.

W efekcie tego posunięcia politycznego i społecznego sułtan otrzymał od Tomasza przyrzeczenie corocznej wypłaty pięciu tysięcy hiszpańskich dolarów dzierżawy lądu, na którym Brytyjczycy mogli budować stację wojskową i handlową oraz inne zabudowania portowe. Temanggog również został nagrodzony za swe starania trzema tysiącami dolarów, płatnymi jednorazowo i na tym zakończyły się obrady.

Jeszcze tego wieczora przyплыł drugim statkiem pułkownik Farquhar, który nie posiadał się ze zdumienia na widok brytyjskiej flagi i nowej, niespodzianej sytuacji.

Wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, rozkazał zawieźć się łódką do statku Tomasza i ledwie znaleźli się obaj w maleńkim salonie, zasypał go niecierpliwymi pytaniami.

Tomasz pokrótce streścił wydarzenia ostatnich dni, na co pułkownik zamyślił się na chwilę, a potem powiedział:

– Tomaszu, znamy się od wielu lat i wiesz, że jestem ci przychylny, ba, pełen podziwu dla twojej energii i patriotyzmu. Jednakże w tej chwili nie mogę powstrzymać się od niepokoju, czy aby dobrze się stało, że poczyniłeś pewne, poważne bądź co bądź przyrzeczenia i pakt, bez porozumienia się z rządem. Jakby bowiem na to wszystko nie spojrzeć, uczyniłeś wiele dobrego, ale na własną rękę, choć w imieniu króla. Podejrzewam, że mogłeś się tym mocno narazić nie tylko Hastingsowi, ale także Londynowi.

Zapadło milczenie, które w końcu przerwał Tomasz.

– Farquhar, poczciwy z ciebie żołnierz i przyjaciel, ale nie jesteś dobrym politykiem. Wszak otrzymałem od markiza Kalkuty ustne polecenie i zezwolenie, zaś dokumentacja to tylko oficjalne potwierdzenie tamtych rozkazów. Zapewne do tej pory już dawno nadeszły do Pinangu i gdyby nie monsun, mieliśmy je już w tej chwili tu, na wyspie. Nie obawiaj się o mnie, bowiem umiem sobie radzić z tymi pokrytymi pajęczyną bezczynności mumiami Komisji. Wiem, że Hastings mnie poprze i nie zamierzam wyjechać stąd, nie poczyniwszy pewnych przygotowań i kroków na przyszłość. Singa Pura stanie się najwspanialszym klejnotem korony Imperium, zaś jej prawa będą przykładem nowoczesności, humanitaryzmu i wolności praw człowieka. Otóż mam tu postulat, który chciałbym ci przeczytać i poddać twojej krytyce.

Pułkownik westchnął i nachylił się nad drobno zapisanymi pismem Rafflesa arkuszami papieru. Wiedział, że Tomasz powziął decyzje, od których nikt i nic nie było go w stanie powstrzymać.

Kilka dni potem pierwszy zarys konstytucji Singa Pury był gotów. Wiele mówiło się później, i nie zawsze dobrze, o tej niezwyklej, szlachetnej i pełnej wzniosłych ideałów deklaracji. Toteż nie jest tu moim zamiarem wyluszczenie postulatów politycznych, społecznych i ekonomicznych mego męża. Chcę tylko zaznaczyć, iż zawsze wierzył w wolność narodową

i niepodległość państwową, w wolność pojedynczego człowieka i jego równość z resztą obywateli.

I taka właśnie była ta deklaracja, oparta na szlachetnych przesłankach polityka i myśliciela, brzydzącego się niewolnictwem, wyzyskiem i przemocą. Na takich zasadach poczęło się kształtować całkiem nowe, inne państwo Singa Pury, znanego szybko pod nazwą Singapuru. My, widzowie i obserwatorzy, byliśmy zbyt blisko celu, aby zrazu ujrzeć geniusz Tomasza, jego dalekowzroczność i przemyślność. Na to trzeba było czasu i przestrzeni. Przy tym powstały trudności, jakie tak znakomicie przeczuł pułkownik Farquhar.

Kiedy Tomasz ślęczał nad pierwszymi kartami deklaracji, do Pinangu nadeszły wreszcie papiery od lorda Hastingsa. Nie były to dobre wieści, ponieważ generalny gubernator rozmyślił się w międzyczasie i postanowił odwołać ekspedycję Tomasza. Układ sił w Europie przetasował się na stronę Holendrów i ten delikatny balans mógł zostać łatwo naruszony nieopatrzoną aferą polityczną, w bardzo uzależnionej od nich Indonezji i Malajach.

Hastings nie zamierzał zbyt mocno szarpać przysłowiowym łańcuchem przyczajonego holenderskiego borsuka. Niestety, Bannerman inaczej widział tę sprawę, a ponieważ Tomasza uważał za swego osobistego wroga, więc natychmiast odwrotną pocztą wysłał wieści o bezprawnym zajęciu Singapuru.

Czarne chmury poczęły zbierać się nad głową mojego męża, o czym ani on, ani ja jeszcze nie wiedzieliśmy, tym bardziej że właśnie mój umysł zajęty był innym, w moim mniemaniu daleko ważniejszym wydarzeniem.

Tym razem moje rozwiązanie przyniosło nie tylko mnie, ale i biednemu doktorowi Jackowi wiele ekscytacji. Ponieważ, jak się okazało, był on lekarzem ogólnym i poród odbierał po raz pierwszy!

Cóż to było za szczęście w nieszczęściu, iż było to już moje drugie dziecko, więc mogłam doktorowi służyć w ryzykownych momentach pewną poradą, a nawet pocieszeniem, bo wydawał się bliski łez!

Sama nie wiem, które z nas bardziej cierpiało, i gdyby nie czarna służąca, doświadczona matka kilkorga dzieci, nie wiem, czym by się to wszystko skończyło. Powiłam zdrowego synka, który miał w przyszłości, jak myślałam, zadbać o ciągłość rodu Raffles!

Jakaż była moja radość, gdy w miesiąc później posłyszałam odgłos strzałów armatnich, obwieszczający przybycie statku gubernatora Sumatry. Tomasz powrócił, zdrowy, choć mizerny i bardzo zmęczony, o nieco poźólkłej od niewyspania i zbyt ostrych przypraw twarzy.

Naszego powitania nie opiszę, ponieważ jeszcze teraz, po tylu latach, nie mogę o tym myśleć spokojnie. Wszak było to nasze pierwsze, długie, pełne niepewności losu rozstanie. Wydarzyły się wtedy brzemiennie w niezwykle okoliczności sprawy, które zaciążyły na naszym dalszym życiu. Urodziny mego synka odchorowałam ciężko i zaledwie wstałam, gdy mój mąż powrócił. Pomimo całej miłości i tęsknoty nie mogłam wyrazić mego uczucia w sposób, jaki winna wierność bogobojna małżonka.

Byłam nadal słaba i obolała, lecz mój Tomasz wszystko rozumiał i zachwycał się naszym nowym dzieciątkiem. Nadaliśmy mu imię Leopolda Stamforda, na cześć naszego ukochanego owdowiałego księcia Saxe Cobourg Saalfelda.

Gubernator Pinangu zachowywał się w stosunku do mego męża wręcz grubiańsko i wrogo, więc zabawiliśmy jeszcze w kolonii tylko kilka tygodni, w oczekiwaniu na poprawę mego stanu zdrowia, i natychmiast, gdy poczułam się nieco lepiej, wsiedliśmy na statek, którego kapitanem był wierny i oddany Tomaszowi James Pearl.

Tomasz musiał powrócić na krótko do Singapuru, gdzie pozostawił swego namiestnika, pułkownika Farquhara.

Już w drodze na wyspę mały Leopold począł kaszleć i zaraz wywiązała się wysoka gorączka, więc całymi nocami przesiadywałam przy jego kołysce, nadzwyczaj niespokojna zarówno o niego, jak i o małą Charlotte, o której, pozostawionej przez tyle miesięcy z niańką Grimes na Sumatrze, od pewnego czasu nie mieliśmy żadnej wieści.

Morze było wzburzone, ale zaledwie wpłynęliśmy do zatoki Singapuru, uspokoiło się i wtedy zrozumiałam błogosławieństwa położenia tej ślicznej wyspy. Ponieważ warunki życia na lądzie nie były jeszcze w tamtych czasach najdogodniejsze, szczególnie dla matki z maleńkim dzieckiem, na ogół spędzałam czas na statku, pielęgnując przychodzącego do zdrowia Leopolda, zaś Tomasz w ciągu dnia przybywał w haveli malajskiego namiestnika lub w budującej się na wzgórzu willi Farquhara.

Potem to wzgórze nazwano Government Hill i roztaczał się z niego precudny widok na powstające coraz szybciej miasto i zatokę.

Wreszcie z końcem lipca wyruszyliśmy do Bengkulu. Nigdy nie zapomnę nocnego widoku portu, który nagle wydał mi się prawdziwym domem i przystanią szczęścia. Ujęłam rękę Tomasza i oboje stanęliśmy przy relingu, patrząc na błyskające z daleka, nikłe światła portu. Przy moło oczekiwali nas, w blasku pochodni, poczciwy Travers z żoną i służbą. Powitaniom i opowieściom nie było końca, ale ja przede wszystkim chciałam jak najszybciej znaleźć się w pokoju dzieciennym i ucałować śpiącą Charlotte.

Nasza córeczka była zdrowa i tak śliczna, że aż rozplakałam się z ulgi i radości. Drogi Travers i Mary Leslie właśnie spodziewali się drugiego dziecka, Mary była już duża i ociężała, ale jak mogła, tak opiekowała się przez okres mej nieobecności zarówno Charlottą, jak i całym domostwem. Wszystko zastałam w najlepszym porządku, a nawet powiedziałabym, że ulepszone lub poprawione; szczególnie nasza letnia willa i ogrody wokół niej wydawały mi się bardzo piękne i otoczone szczególną opieką.

Bengkulu rozrastało się szybko, nawet tych kilka miesięcy sprawiło wielką różnicę. Odwiedzając Tomasza w jego biurach w Forcie Malborough, podziwiałam panoramiczny widok zatoki, portu i prowadzącej do niego Small Road. Czysto zamiecione ulice, trawniki i ruch przechodniów wprawiły mnie w prawdziwy zachwyt. Przecież była to zasługa naszych rąk, naszych myśli i wytrwałości Tomasza!

Pewnego ranka nadzwyczajną pocztą nadeszła wiadomość, iż gubernator Bannerman zakończył życie w Pinangu, która oboje nas wprawiła w pewne poruszenie, tyle że z innych powodów. Mnie było serdecznie żal lady Bannerman, która okazała mi dużo serca i być może byłaby moją prawdziwą przyjaciółką, gdyby nie niechęć jej małżonka do Tomasza i jej pewna obawa przed gniewem gubernatora. Współczułam jej serdecznie, tym bardziej że ten twardy człowiek zmarł nagle i pozostawił ją w trudnej sytuacji. Z dnia na dzień musiała naprędce pakować kufry i likwidować, bądź co bądź, duży dom. Przy tym zawsze wydawała mi się bezradna i zagłuszona przez męża, więc na pewno nie było jej łatwo.

Tymczasem Tomasz ze zmarszczonymi brwiami rozmyślał chwilę z depeszą w ręku, a w końcu powiedział:

– Zofio, mam nadzieję, że nie rozczaruję cię zbyt mocno, ale wydaje mi się, że powinienem pojechać jak najszybciej do Kalkuty. Z moją znajomością Pinangu i tamtejszych warunków staję się logicznym następcą zmarłego Bannermana. Koniecznie muszę przedstawić mą kandydaturę markizowi Hastings. Bryg „Favorite” wypływa za kilka dni, zabiorę więc doktora Jacka i Watsona i skorzystam ze sprzyjających wiatrów.

Cóż mogłam uczynić, przecież niewiele, mój mąż był człowiekiem zapobiegliwym i dalekowzrocznym, jego decyzja wydawała się słuszna, tylko serce bolało mnie na myśl o ponownym rozstaniu. Jakież to szczęście, że nie wiedziałam wtedy, jak długo nie zobaczę

meo ukochanego! Byłabym niepokieszona i nieutulona w rozpacz, ponieważ oczekiwałam go z miesiąca na miesiąc, a jednak dopiero na wiosnę następnego roku uradowałam oczy jego widokiem!

Był to smutny okres mego życia, wydawałam się sama sobie nudną i szarą, opętana tęsknotą i nieustannym niepokojem o jego zdrowie i pomyślność. Nawet moje dzieci nie potrafiły rozchmurzyć tych beznadziejnych, długich dni i czarnych, samotnych nocy. Przy tym tego roku monsun rozpętał się z niesłychaną siłą i niebiosa wydawały się oszalałe, wylewając strugi deszczu, siekąc boleśnie sznurami wody i łamiąc drzewa huraganowym wiatrem.

Tomaszu, życie bez ciebie było tak niewiele warte!

Właśnie w tym czasie poczęłam miewać straszne, pełne zamętu, krzyku i płomieni sny. Po raz pierwszy śniłam ten sen pewnej ponurej, bezgwiazdnej nocy, kiedy wszystko wydawało się pokryte płaszczem ciszy i tajemnicy. Otóż wydało mi się, że obudzona jakimś hałasem, wstałam boso z łóżka i biegłam długimi, pustymi i nieoświetlonymi korytarzami domostwa, którego zupełnie nie znałam i które napawało mnie olbrzymim lękiem. Ściany tych korytarzy wyłożone były dębową, masywną boazerią, co pewien czas ich monotonię przerywały wysokie, na głucho zamknięte drzwi o rzeźbionych skrzydłach, nad którymi ledwie tliły się pochodnie w żelaznych uchwytach.

To otoczenie przejmowało mnie zgrozą, więc pędziłam co tchu przed siebie, aby jak najszybciej uwolnić się z tego labiryntu przedsionków i zaułków. W pewnej chwili w dalekim końcu wąskiego pasaży dojrzałam pod progiem smugę jaśniejącą różowym odbłaskiem ognia.

Ciężko oddychając, ostatkiem sił dopadłam tych wrót i nacisnęłam długą, metalową klamkę. Oparzyła boleśnie moją dłoń, była bowiem rozgrzana do czerwoności, czego uprzednio nie zauważyłam, i naciskając z całej siły na ciężkie, grube drzwi, znalazłam się nagle w środku szalejącej pożogi.

Płomienie poczęły lizać moją twarz, czułam, że moje włosy zajęły się ogniem, jak suche liście, od huczącego żywiołu i choć nie czułam bólu, poczęłam krzyczeć i bić ramionami wokół siebie, nawołując równocześnie na dzieci, które, byłam przeświadczona, gdzieś w tej upiornej powodzi ognia się znajdowały. Z przerażającym krzykiem obudziłam się i usiadłam na łóżku. Drżałam na całym ciele, pot lał się ze mnie strumieniami i serce wydawało się wyskakiwać z piersi.

Na drugi dzień czułam się tak chora, że w ogóle nie wstałam na śniadanie. Poczciwa Mary Leslie kazała przynieść mi śniadanie do sypialni i spędziła ze mną cały dzień, pocieszając mnie i tłumacząc.

– Droga moja – mówiła – to tylko sen. Martwisz się o Tomasza, czujesz się osamotniona i nieustannie myślisz o dzieciach. Nasze sny są odbiciem jawy, naszych zmartwień i ukrytych marzeń. Ogień to podług egipskiego sennika zdrowie i dobre wieści. Zapewne otrzymasz wiadomość od Tomasza o jego niedługim powrocie.

A jednak mój mąż nie przesłał żadnego listu. Za to kilka dni później poczułam, że znowu spodziewam się dziecka. I przez całą ciążę dręczył mnie ten okrutny, płomienisty majak.

\*

Tomasz powrócił dopiero w marcu, ale za to przywiózł ze sobą wspaniałą niespodziankę, Mary Ann z synkiem i mężem oraz mojego młodszego brata Roberta! Natychmiast zapomniałam o dręczących mnie zmorach i koszmarach i oddałam się całej rodzinie i mojemu ukochanemu mężowi. Tomasz nie posiadał się z radości na wieść o spodziewanym dziecku, a ja czułam, iż było mu to niezwykle potrzebne, ponieważ gubernatorstwa Pinangu nie uzyskał, gdyż uprzedził go ktoś inny.

Był to zawód i rozczarowanie, ale Leopold i Charlotta wynagrodziły ojcu wszelkie niepowodzenia i strapienia. Nie odstępowały go na krok i nawet kiedy pracował w swoim gabinecie, często siedziały pod biurkiem i bawiły się klamrami jego trzewików!

Następne miesiące okazały się najszcześniejszymi w moim życiu. Cieszyłam się miłością i towarzystwem bliskich mi osób. Moja ukochana Mary Ann pozostała z nami aż do września, choć William Flint, jej mąż, musiał nas opuścić, bowiem oczekiwały go obowiązki intendenta w Singapurze.

Nie mogłam się dość nadziwić memu bratu, którego pamiętałam dorastającym wyrostkiem, gdy teraz, rosły i barczysty, wyglądał wspaniale w mundurze kapitana Dziesiątego Regimentu Bengalskiej Piechoty, wysoki, dorodny i złotowłosy, jakże przypominający mi mojego ojca w latach młodości! Otrzymał stanowisko adiutanta przy boku Tomasza, więc miałam przy sobie część mojej rodziny i to czyniło świat takim pięknym!

W maju następnego roku powiłam bez większych komplikacji drugiego synka, któremu nadaliśmy imiona Stamford Marsden. Tym razem poród przebiegł bez żadnych niemiłych niespodzianek, urodziłam w niepełną godzinę i doktor Jack wydawał się nawet zawiedziony. Skrycie miał nadzieję, że okaże swe umiejętności, ponieważ z Londynu przysłano mu wspaniałe podręczniki położnictwa i ginekologii, które pilnie studiował przez ostatnie tygodnie i miał nadzieję zrobić z nich dobry użytek.

– Lady Raffles – śmiał się nieco nieszczercze – okazuje się pani wyjątkowo trudną i nieprzewidywalną pacjentką.

Maleńki Stamford był później nazywany Marco Polo, a to z racji właśnie wydanego z wielkim rozgłosem tłumaczenia *Podróży Marco Polo* przez historyka i znawcę Sumatry, profesora Williama Marsdena, który równocześnie był ojcem chrzestnym naszego najmłodszego. Dla mnie Stamford był jednak „Cooksey” i tak już będę go nazywać w tych wspomnieniach.

Nasze dni w Bengkulu nabrały pewnej rutyny, podług której toczyło się życie. Wczesnym rankiem Tomasz dosiadał konia i objeżdżał wsie i plantacje, doglądając prac rolniczych i rozmawiając z ludźmi. Jego charakterystyczna, smukła sylwetka i kapelusz z wielkim rondem widoczne były już z daleka, więc rolnicy przerywali roboty na polach ananasów, sago, ryżu i kukurydzy i wychodzili z uśmiechem na jego powitanie.

Tomasz cieszył się szacunkiem i poważaniem i nigdy nie zdarzyło się, aby ktoś z tubylców ubliżył mu w najmniejszym stopniu. Przeciwnie, zwracano się do niego o poradę i pomoc, jak do najlepszego ojca, zaś mój mąż nigdy nie odmówił posłuchania tym, którzy byli w prawdziwej potrzebie.

O dziewiątej zasiadaliśmy wszyscy, łącznie z dziećmi, niańkami i guwernantkami, do śniadania. Wtedy mieliśmy okazję nacieszyć się obecnością Tomasza, porozmawiać o problemach wychowania dzieci, o zamierzeniach na najbliższą przyszłość i w ogóle o kłopotach i radościach domowych.

Natychmiast po śniadaniu Tomasz zamykał się w swoim gabinecie, czasem sam, czasem w towarzystwie adiutanta, sekretarza i oficjałów, gdzie pisał, czytał, przeglądał i układał dokumenty, studiował historię naturalną, chemię i geologię.

Następnie przed obiadem odwiedzał pracownię kreślarzy, którzy pracowali na otwartej werandzie na tyłach domu, nad projektami rozbudowy miasta i rezydencji, a w końcu, w towarzystwie dzieci, a czasem moim i domowych gości, udawał się na odpoczynek do jego ulubionej ptaszarni i niewielkiego zwierzyńca, w otaczających bungalow ogrodach. Inwentarz zwierzyńca stale się powiększał, ponieważ prócz kóz, bawołów, słonia i stada małąp w ostatnich miesiącach przybyły nam dwa osieroczone młode tygrysy i prześliczna gazela.

Obiad podawano o czwartej, ponieważ była to pora nadchodzącego chłodnego wieczoru, pora zadumy, zachodu słońca i cudownych zapachów krzewów i kwiatów.

Jadaliśmy w otwartej z czterech stron jadalni, której ściany stanowiły muślinowe kurtyny, zasuwane tylko w razie silnego deszczu lub wiatru. Tomasz lubił celebrować tę szczególną porę dnia, więc przy stole gromadziło się zazwyczaj nie mniej niż dwadzieścia osób.

Był to czas na poważne dyskusje polityczne, wieści z Anglii i Europy, nieszkodliwe ploteczki towarzyskie i planowanie podróży, balów lub innych uroczystości. Dzieci jadały osobno, w pokoju przyległym do jadalni, w towarzystwie *ajah* i guwernantki.

Przedwieczorną porę każdy spędzał, jak chciał. Uwielbiałam ten czas cichy i spokojny, kiedy dzieci zapadały w potrzebną im drzemkę sjesty, zaś ja z mężem mogliśmy poświęcić się samym sobie. Czasem spacerowaliśmy po ogrodzie, kiedy słońce rzucało długie cienie na puszyste trawniki, polewane ręką naszego znakomitego hinduskiego ogrodnika. Błądziłszy bez celu w dusznym zagajniku papirusów nad ulubioną sadzawką Tomasza albo siadaliśmy w cieniu wielkiego drzewa pipul, na białej żelaznej ławeczce.

Często jednak szliśmy po prostu do naszej sypialni, gdzie Tomasz powoli rozpiął sznurówki i guziczki mego gorsetu i wyluskiwał moje ciało z miękkich materii muślinu, jedwabiu i koronek. Leniwie, powoli i słodko kochał mnie w swym silnym, opiekuńczym uścisku, z ustami na moich ustach, ze splecionymi dłońmi i sercami bijącymi tym samym rytmem. Nasze nogi plątały się w białych prześcieradłach, nagie ciała lśniły wspaniałym, tryumfalnym potem miłości i były to najcudowniejsze chwile mojego czarodziejskiego życia.

Zapadał szybki, jak skok lamparta, zmierzch, a my sennie pieściliśmy nasze wilgotne ciała i całowali rozkoszne, intymne i tajemne miejsca. Wtedy wiedziałam, że Tomasz należy tylko do mnie i że nie muszę dzielić go ze światem. Tym wrażeniem żyłam przez następne dni i godziny, płonąć znowu pragnieniem, aby znaleźć się w jego ramionach i otworzyć się na jego przyjęcie. Tomasz kochał mnie wspaniałą, olbrzymią jak wszechświat miłością, ale również uwielbiał nasze dzieci.

A przecież cała trójka przedstawiała zupełnie inne temperamenty, zamiłowania i charaktery. Charlotta była nieśmiała, poważna i posłuszna. Płakała nad zabłąkanym kotem i dzieliła się wszystkim z młodszymi braćmi. Leopold, Leo, odznaczał się niesłychaną odwagą, graniczącą z brawurą, zadziornością i niezwykłym uporem. Najmłodszy, Cooksey, był płaczkliwym i niecierpliwym niemowlęciem, a kiedy podrośł, wydawało się, że posiada duszę melancholika i serce poety.

Każde z nich stanowiło naszą nieustanną pociechę, troskę i dumę. Moja mała rodzina żyła teraz szczęśliwie i beztrąsko i gdybym lepiej znała życie, wiedziałabym, że ten błogosławiony stan nie może trwać wiecznie. Niestety, takie jest nasze życie, iż doświadcza nas ciężko wtedy, gdy najmniej tego oczekujemy.

Pierwszy cios nadszedł bowiem szybko i niespodzianie.



\*

Dokładnie w rok po narodzinach Stamforda Cooksey, wydałam na świat córeczkę, której daliśmy imię Ella Zofia. Od urodzenia odznaczała się nadzwyczajną urodą i była bezsprzecznie najpiękniejszym z moich dzieci.

Urodzenie jej osłabiło mnie nieco, więc przez kilka tygodni nie opuszczałam sypialni, a ponieważ w okolicy pojawiły się przypadki dyzenterii, z obawy przed zarażeniem niemowlęcia nie dopuszczałam do mnie i do Elli starszych dzieci.

Czasem słyszałam za zamkniętymi drzwiami płacz Leopolda, który nie mógł zrozumieć, dlaczego jego ukochana Mammy nie chce go widzieć, i choć serce krwawiło mi z żalu, trwałam w zatwardziałości i złudnej nadziei kompletnej izolacji. Ach, gdybym wiedziała, co przyniesie następny miesiąc, a za nim rok i dalsze lata, nie byłabym tak oschła i rygorystyczna w stosunku do tych słodkich maleństw, których jedynym grzechem była miłość do matki i szukanie jej opieki i serca!

Bóg pokarał moją zatwardziałość i spuścił na nasz dom karę tak straszną, iż tylko rodzice, którzy stracili ukochane dzieci, mogą zrozumieć bezmiar naszego cierpienia!

Pierwszy zachorował Leo, jeszcze w południe wesoły i rozświergotany jak wróbelek, a wieczorem już cały w gorączce i śmiertelnych potach. Przerażona ayah pokazała w uchylonych do mojej sypialni drzwiach swą pobladłą twarz i z płaczem szepnęła:

– Sahibo, sahib gubernator wzywa cię do pokoju dzieci.

Pomimo poprzednich zakazów pobiegłam natychmiast, ponieważ wiedziałam, że Tomasz nie posyłałby po mnie niepotrzebnie. Nasz drogi chłopiec leżał nieprzytomny i rzucał się w pościeli jak rybka wyciągnięta z wody. Jego spieczona usteczka z trudem wciągały powietrze, dziecko walczyło o każdy oddech, a trupi zapach śmierci unosił się nad jego wezglowiem w gorącym powietrzu.

Wybuchłam strasznym płaczem, więc Tomasz posłał po doktora Jacka, który nakazał obwijać dziecko w mokre, chłodne prześcieradła, aby obniżyć gorączkę, zaś mnie podał tak wielką dawkę laudanum, że zapadłam w sen na jawie, graniczący z szaleństwem.

Wiedziałam, co działo się wokół, ale nie mogłam się zdobyć na najmniejszy ruch lub wydobyć ze siebie choć jednego zdania. Ponieważ walczyłam jak lwica, aby nie zabrano mnie z pokoju synka, położono mnie na głębokim fotelu i tak przetrwałam całą noc.

Tomasz siedział koło mnie z głową w dłoniach i czasem zwracał się do mnie z jakimś łagodnym słowem, ale ja nie rozumiałam i wpatrywałam się tylko przerażonym wzrokiem w rozpaloną twarzyczkę dziecka. Nad ranem gorączka nagle spadła, Leopold zbladł i otworzył oczka. Spojrzał na mnie tym swoim ślicznym, smutnym uśmiechem, powiedział: „Mama” – i umarł.

Nie sposób opisać mojej, naszej rozpacz, bezradności, pełni poczucia nieszczęścia i strasnej, niewymiernej krzywdy, jaką przyniosła nam śmierć najstarszego synka. Dlaczego, dlaczego, kołatało w mojej głowie, gdy chodziłam cichymi korytarzami, w pokojach, gdzie spoglądały na mnie oczodoły zakrytych czarnym woalem luster. Gdzie on był, ten mój synek kochany, ta moja pociecha, mój pierworodny, moja duma, moje kochanie!?

Dlaczego, dlaczego?! Nikt nie mógł mi na to odpowiedzieć, nawet Tomasz odwracał wzrok, Mary Leslie łamała tylko ręce, zaś doktor Jack trząsał głową jak starzec i bezradnie wznosił do góry ramiona.

Ella miała zaledwie miesiąc i domagała się matki. Ja jednak straciłam pokarm i dziecko

musiało być karmione przez wynajętą mamkę.

Całymi dniami leżałam na kozetce w zaciemnionym pokoju i wpatrywałam się w cienie i światło drgające na ścianach, jak odchodzące życie mego synka.

Rozmawiałam z nim, tuliłam do siebie jego złotą główką i wydawało mi się, że słyszę jego śmiech w głębinach zatrwożonego domu.

Nie przyjmowałam jedzenia ani picia, nie chciałam i nie mogłam widzieć nikogo, nawet Tomasza, nawet reszty moich dzieci. Byłam jak nieszczęsny Hiob, jak symbol Piety, przyszytej ciosami śmiercionośnych mieczów żalu, goryczy i wyrzutów sumienia. Mój synek prosił mnie, abym wyszła do niego, pukał do moich drzwi, a ja, wyrodna, nieczuła i podła, odmówiłam mu tej pociechy, tej małej, dziecięcej radości. A potem umarł i było już za późno, na wszystko, na zawsze za późno!

Ból zaciśniętego gardła i ból serca odbierały mi rozum, traciłam zmysły, byłam gotowa odebrać sobie życie. Gdyby nie pilnowano mnie tak uważnie, gdyby nie czuwające, dobre oczy Tomasza, prawdopodobnie powiesiłabym się lub utopiła w morzu. I nie wiem, jak długo jeszcze trwałabym w tym koszmarze, w tym osłupieniu i odrętwieniu, gdyby nie Rana Dipura.

Przyszedł pewnego wieczoru do mnie i usiadłszy na piętach przed moim łóżkiem, powiedział spokojnym, cichym głosem:

– Madame, sahibo, posłuchaj, co ci powiem, i nie płacz więcej. Przyszedłem do ciebie, ponieważ ukrywasz się przed światem od wielu dni w tym strasznym, ciemnym pokoju i nikt nie ośmiela się do ciebie zbliżyć. Czy nie czujesz wstydu, zachowując się w ten sposób, okazując rozpacz, w obliczu rozpaczki innych? Powinnaś dziękować twemu Bogowi za obdarzenie cię takim pięknym dzieckiem, którym pozwolił ci cieszyć się tak długo, jak wydało mu się potrzebnym. Zachowaj w sercu jego obraz, ciesz się, że był twoim promieniem, słońcem i księżycem, że obdarzył cię radością i dumą i napełnił twój dom niezwykłym pięknem. Lecz zamiast kontynuować tę podróż po padole łez i nieszczęść, czy nie lepiej, iż Bóg wziął go do siebie, na swe łono, gdzie zaznawać będzie rozkoszy wiecznej radości i niebiańskiego szczęścia? Czegóż lepszego mogłabyś żądać jako kochająca matka? Na miłość Boga i rodziny, zaprzestań tej rozpaczki, podnieś się z łoża boleści, otwórz okna i żyj!

Drogi, mądry mądrością mędrców Wschodu Rana Dipura! Dzięki niemu wróciłam do świata i ludzi i w późniejszych strasznych przejściach i niewypowiedzianych tragediach byłam zdolna zachować przytomność umysłu i uciszyć rozkołatane serce. Słowa mądrego Malajczyka pozostały ze mną na resztę życia i nauczyły mnie rezygnacji i wdzięczności za to, co Pan w swym niezmiernym rozumie i miłosierdziu zezwolił mi posiadać.

W Bengkulu otwarła się puszcza mitycznej Pandory, ze wszystkimi nieszczęściami i kataklizmami, podobnymi do plag egipskich. Rozszalały się choroby, przyszła wielka susza i upały tak straszne, że ludzie pracujący w polach, umierali jak muchy tam, gdzie stali.

Doktor Jack obawiał się epidemii cholery i dyfterytu, więc naprędce zdecydowaliśmy z Tomaszem wysłać dzieci do Anglii najbliższym statkiem, który odchodził za kilka tygodni. Jednakże stało się inaczej i tak szybko, iż nie mogliśmy niczemu zapobiec ani nawet przygotować się duchowo. Zresztą, czy można przygotować się na śmierć najbliższych?

Mój ukochany brat Robert powrócił pewnego wieczoru z fortu, gdzie obiadował z Tomaszem i Franciszką Salmondem, naczelnikiem portu Bengkulu i począł skarżyć się na ból głowy i nudności. Doktor Jack natychmiast zaaplikował mu pijawki i lewatywy, aby oczyścić organizm z ewentualnych trucizn, ponieważ w tych upałach było niesłychanie łatwo o zakażenie kiszek, ale przez noc stan mego brata pogorszył się znacznie i we wczesnych godzinach porannych stracił przytomność.

Pielęgnowaliśmy go na zmianę z drogą Mary Leslie i wydawało się, że chwilami czuje

się lepiej, ale znowu po pewnym czasie odpływał w gorączkowe i niedorzeczne majaki. Wołał wtedy mamę i mego brata Williama, a na mój widok płakał i odpychał moje ręce. Pomimo tego byłam pełna nadziei, ponieważ ogólnie stan jego wydawał się pozostawać bez zmian przez następne pięć dni. Ale przysłała ta ostatnia, straszna noc, gdy Robert wołał o wodę, lecz gnębiły go nieustanne torsje, więc zwracał wszystko, co podawałyśmy mu z Mary Leslie.

Widziałam, że mężczy go straszne pragnienie i jak Tantal przeżywa męki i katusze, lecz nie mogłam mu pomóc i w końcu, o bladym świetle, gdy ptaki poczęły śpiewać w drzewach akacji i pipulu, zmarł na moich rękach, zaś Mary Leslie zamknęła jego oczy.

Pochowaliśmy go jeszcze tego samego dnia ze względu na kanikułę, ja zaś spędziłam resztę wieczoru z moimi dziećmi, ponieważ ogarnął mnie lęk i przecucie dalszego nieszczęścia. Jakoż następnego popołudnia rozchorował się Stamford Cooksey, a zaraz po nim Charlotta. Bezradnie patrzyłam na zabiegi dobrego doktora, jego wysiłki, nieprzespane noce, czuwanie przy dwu białych łóżeczkach, moje wzloty i upadki nadziei i czarnej rozpacz, wszystkie te czynności i uczucia, jakie wkładamy w walkę z odchodzącymi ukochanymi, ale wszystko to nie było w stanie odegnać widma śmierci, stojącej w ciemnym kącie pokoju chorych.

Jak obrzydliwy pajak przędła pajęczynę, którą omotała moje pociechy i wysysała z nich życie kropla po kropli, minuta po minucie. Zaledwie tydzień później ich drobne ciała spoczęły w czerwonej ziemi obok ich starszego brata.

Pozostała nam tylko najmłodsza Ella Zofia, ten prześliczny, różowy aniołek o oczach jak błękity nieba i złotych loczkach cherubina.

Oboje z Tomaszem zapadliśmy na zdrowiu i była to nie tyle choroba ciała, co duszy. Natychmiast też po pogrzebie dzieci zdecydowaliśmy wysłać Ellę do Londynu. W marcu odwieźliśmy ją wraz z nianią Grimes na bryg „Borneo”, który odpłynął wczesnym rankiem na wysokiej, białej fali do bezpieczniejszych, nieskażonych śmiercią lądów.

Cóż mogę jeszcze dodać o mojej rozpacz i nieustannej tęsknocie za tym ostatnim, ukochanym dzieckiem? Żadne słowa tego nie opiszą, ani nawet świadectwo obecnych nie odda smutku, rozpacz i szarpiącej do żywego tęsknoty, które odczuwają rodzice po pożegnaniu jedynego dziecka. Płakałam, wylałam i jęczałam na przemian, pamiętam, że leżałam w ramionach Tomasza i nasze łzy mieszały się słonym strumieniem i zalewały nasze twarze i usta.

I jeszcze nigdy dotąd nie czułam się tak bliska mojemu mężowi i tak kochana, i to była najśladza, prawie bolesna pociecha.

W późniejszych latach spotkałam się z wyrzutami i wątpliwościami przyjaciół i rodziny, czy dobrze uczyniłam, wysyłając moją córeczkę samą, tylko w towarzystwie niani, bądź co bądź, obcej osoby, w tak daleką podróż. No cóż, w takich sytuacjach nie ma nigdy jednoznacznej, dobrej odpowiedzi. Od chwili zamążpójścia służyłam mężowi, wiedziałam, że muszę mu być podporą w jego szalenie trudnej, odpowiedzialnej i niebezpiecznej pracy. Ślubowałam mu wierność, posłuszeństwo i oddanie w każdej chwili, tej dobrej i tej złej. Moje przyrzeczenie było dla mnie samej na wagę złota. Nie mogłam uczynić innego wyboru. Tomasz zawsze był, jest i pozostanie pierwszy w moim życiu.

Niedługo po odjeździe Elli zdecydowaliśmy z Tomaszem, że i nam czas powrócić do Anglii. Przynajmniej na pewien czas, aby zagoić wieczne krwawiące rany i nabrać sił przed dalszą pracą. Bowiem tyle jeszcze pozostało do zrobienia w tych wspaniałych, dzikich, odległych krajach Orientu!

\*

Zofia Raffles do księżnej Essex:

*Droga moja Przyjaciółko! Nie wiem, od czego zacząć ten list, który równocześnie jest moim najszczerzym zwierzeniem myśli, odczuć i spostrzeżeń ostatnich kilku miesięcy. Nasz wyjazd z Sumatry zbliża się szybko, ale nie dość szybko, aby nie użyć go do przemyśleń, refleksji i wszelkiego rodzaju zamyśleń nad tym naszym gorzkim losem człowieczym.*

*Przynajmniej moje życie bez umiłowanych dzieci, bez rozkosznej Elli, bez brata i pociechy w smutku staje się czasem szare i bezbarwne, a wszystko wokół traci sens. Jak we śnie przechodzę pustymi pokojami i nasłuchuję jakiegoś dźwięku, jakiegoś odgłosu tego cudownego życia, które odeszło bezpowrotnie. Taki żal, taka samotność, taka pustka!*

*Ale wola Boża spełniła się i musimy przed nią ugiąć w pokorze głowę.*

*Bywają chwile, że jesteśmy wraz z mym mężem tak opanowani przez mentalną i cielesną niedolę, iż nawet przeżycie dnia wydaje się ponad nasze siły, więc prosimy Boga i matkę naturę o litość i dodanie nam wiary i otuchy na następne lata. W takim paraliżu ducha trwamy od dziesięciu miesięcy i nawet nie ośmielamy się wspominać głośno przeszłości w obawie przed wichrem rozpacz, który może ponieść nas w odmęty unicestwienia. Zarys dziecięcej główki, miękki dotyk drobnych paluszków, wspomnienie perlistego śmiechu, to teraz narzędzia najstraszniejszej tortury, którą znoszę co dnia i co nocy.*

*Droga moja, obyś nigdy nie zaznała tego największego i najczarniejszego z nieszczęść ludzkości, straty umiłowanego nade wszystko dziecka! Jest to tak wbrew naturze i porządkowi świata, iż przerasta wszelkie spodziewanie i wyobrażenie! Wszak naszym obowiązkiem, obowiązkiem rodziców jest uchronić dzieci przed nieszczęściem i wypadkiem i umrzeć przed nimi, i pozwolić im na pochowanie nas i oplakanie. Taka jest kolej rzeczy i tego spodziewamy się od rzeczywistości. Ale dość o tym, dość płakania i wyrzekań, bowiem losy rzucają nami wszystkimi, jak tajfun rzuca mizerną dżonką, i przecież nie po to piszę, aby wprawić cię w depresję i rozdrażnienie.*

*Bengkulu stało się dla nas za ciasne, nasz dom zbyt ponury, nasze życie zbyt osowiałe, więc postanowiliśmy wyjechać do Singapuru, tym bardziej że Will Farquhar złożył dymisję i Tomasz musiał zainstalować nowego rezydenta w osobie Johna Crawforda, znanego mu jeszcze z dawnych lat na Jawie.*

*Jakieś fatum ciąży nad nami, ponieważ w drodze do Singapuru zmarł na statku nasz przyjaciel i powiernik, wspaniała doktor Jack. Biedak, kilka godzin przed śmiercią zawezwał mnie do swej kajuty i pomiędzy jednym a drugim atakiem febry usiłował pocieszyć mnie i żartować.*

*– Droga lady Raffles – szeptał z wysiłkiem, ponieważ jego usta obsypane były pęcherzami i strupami. – Wybacz, że pozostawiam cię samą z zielnikiem i nieukończoną pracą naszego wspólnego dzieła. Być może najszcześniejsze okażą się paprotki i kaktusy, ponieważ nie będę ich torturował szpilkami i chemikaliami.*

*Ze łzami w oczach siedziałam u jego wezgłowia i patrzyłam w jego gasnące oczy. W końcu cicho zasnął i nie obudził się więcej.*

*Żal nie pozwala mi o tym pisać. Morze stało się jego grobem.*

*W Singapurze zamieszkaliśmy w niewielkiej drewnianej willi na szczycie Government Hill, wybudowanej dla nas przez grupę chińskich cieśli. Roztaczał się stamtąd nadzwyczajny widok na zatokę i miasto. Singapur rósł i piękniał, i rzeczywiście było to ukochane przez Tomasza miejsce.*

*Był z niego dumny i uszczęśliwiony postępem cywilizacji w tym nowym Edenie.*

*Wiele statków, brygów i szkunerów zawijało do portu. Białe żagle dalekomorskich okrętów i czerwone płachty chińskich dżonek barwiły jaskrawymi plamami akwamarynę morza i nieba. Przystań jest zawsze miejscem przypominającym szumiący ruchem i pracą pszczeleli ul, zaś port i cała dzielnica bezustannie brzęczą dziesiątkami różnych języków i odgłosem przeróżnych prac i rzemiosła.*

*Najważniejszym zadaniem mego męża było stworzenie takich praw i warunków, aby najróżniejsze nacje i grupy etniczne mogły żyć obok siebie w zgodzie i harmonii. Zaplanował więc osobne dzielnice etniczne, w których Arabowie, Hindusi, Chińczycy i Malajowie mogli mieszkać i żyć zgodnie ze swą religią, obyczajami i kulturą.*

*Tomasz wkrótce założył biura miejskiego magistratu, rejestracji zakupionej ziemi i nieruchomości, szkołę wyższą na prawach college'u, oraz ogrody botaniczne, których okazy rosły w tym klimacie wspaniale i imponowały nadzwyczajnymi specjalami flory.*

*Dzięki nadzwyczajnej przyjaźni Mary Ann i jej męża po kilku miesiącach wydawać mi się zaczęło, że niebo nabrało intensywniejszej, szafirowej barwy, a kolory kwiatów stały się cudne jak tęcza po orzeźwiającej burzy. Świat począł pachnieć i pulsować życiem, słyszałam znowu śmiech dzieci i śpiew ptaków, i pewnego dnia spostrzegłam, że sama również się uśmiecham.*

*Ukoronowaniem naszego pobytu stał się list od stryja, Williama Raffles, który donosił, iż Ella dopłynęła szczęśliwie do Anglii i rozwija się znakomicie w łagodnym klimacie wybrzeża.*

*Od tego czasu minął już prawie rok i powoli zamierzamy powrócić do Bengkulu.*

*Wszak i tam oczekuje nas praca i ostateczne ustanowienie porządku, a potem przygotowania do powrotu do Londynu, pakowanie i pożegnania z tyloma wspaniałymi przyjaciółmi. Spodziewamy się być w Anglii latem przyszłego roku i nie mogę się doczekać, droga przyjaciółko, na uściskanie ciebie i twych dzieci. Pozdrów ode mnie twego małżonka, księcia Essex i baw się dobrze w nadchodzącym sezonie. Zawsze twoja Zofia.*

\*

Znowu śniłam ten straszny, przyniatający jak kamień grobowca sen. Pełen płomieni, trzasku iskier i smrodliwego, tłustego dymu. Dusiałam się, kaszlałam i modliłam o ocalenie. Zbudziłam się z krzykiem i natychmiast znalazłam się w ramionach Tomasza.

– Powiedz, duszko, co to za koszmar tak cię męczy, uspokój się i zamknij oczy. Przy mnie nic ci nie grozi, już dobrze, już cicho.

Skarżyłam się jak dziecko, opowiadałam mu ze szlochaniem i przerażeniem te szkarłatne, piekielne sceny, a Tomasz całował moje oczy, usta i dłonie.

– To nerwy, duszko, to nerwy – uspokajał mnie szeptem i kołysał w ramionach do świtu. A przecież sam nie był zdrowy, cierpiał na szalone bóle i zawroty głowy i pewnego dnia wpadł w kilkuminutowe omdlenie w biurach fortu. Składał to na karb przemęczenia i przeżycia ostatnich dwu lat. Oboje nie byliśmy zdrowi i z utęsknieniem wyglądaliśmy dnia odjazdu.

Bengkulu po śmierci moich maleństw straciło cały urok. Po prostu nie mogliśmy tu już dłużej mieszkać. Z końcem roku Tomasz poczynił przygotowania do naszego wyjazdu i zamówił przewóz na indiamanie „Fame”, którego kapitanem był Cecil Young, dobry znajomy Tomasza z jego młodzieńczych lat.

Jakże inaczej patrzyłam teraz na miejsce, gdzie przebywaliśmy tyle lat! Żegnałam znane kąty, chodziłam pomiędzy drzewami i krzewami, które sadziłam własną ręką, dotykałam białych ścian werandy i serce ścisnęło mi się z żalu i gorzkości. Takie piękne i rajskie było to miejsce, taka spokojna i przyjazna wyspa, ale tyle nieszczęść przyniosło nam życie na niej, że pomimo bólu rozstania odczuwałam równocześnie wielką ulgę. Przez długi czas nie mogłam się zmusić do pójścia na mały cmentarz, gdzie pochowaliśmy nasze dzieci.

Sama myśl o tym, iż muszę pożegnać te małe groby na zawsze, że nigdy już nie złożę na nich kwiatów ani nie usłyszę szumu pilnującej ich jakarandy, doprowadzała mnie do dna rozpaczki. Wydawało mi się, że po raz drugi krzywdzę moje maleństwa, że opuszczam je jak wyrodna, zła matka i pozostawiam na pastwę żywiołów i obcych ludzi. Przez dni całe chodziłam niespokojna i nerwowa jak kot, nie mogąc zdecydować się na tę tragiczną wizytę.

Niespodzianie pomógł mi synek Mary Ann, którego zabraliśmy ze sobą ze Singapuru. Flintowie postanowili kształcić go w Londynie, więc Tomasz zobowiązał się załatwić wszelkie formalności z tym związane i opłacić jego chesne. William Karol stał się naszą prawdziwą i jedyną pociechą, jego szczebiot umiłał i koił nasze nerwy, a ponieważ był to słodki i niezwykle posłuszny chłopczyk, więc wkrótce stał się ulubieńcem całego domostwa.

Karol, bo tak nazywaliśmy go między sobą, okazał się bystrym obserwatorem. Chodził za mną jak młody piesek i przyglądał mi się poważnie olbrzymimi, orzechowego koloru oczami.

Pewnego razu powiedział:

– Ciociu Zofio, nie martw się. Ja z tobą pójdę odwiedzić Leopolda, Charlottę i Cooksey. Przecież to moje rodzeństwo, prawda? Też chciałbym z nimi porozmawiać.

Ugięły się podę mną nogi i musiałam na chwilę usiąść w salonie. Chłopczyk podszedł do mnie i wsunął swą małą rączkę w moją rękę.

– Pójdziemy? – zapytał. – Oni tęsknią za tobą.

Pojechaliśmy dwukółką następnego dnia. Karol z naręczem słodko pachnącej gardenii, rosnącej pod oknem mojej sypialni.

Nie wiem, jak długi czas spędziliśmy nad tymi trzema mogiłkami. Już dawniej służba skleciła dla mnie niską ławeczkę, na której zazwyczaj siadałam po uprzągnięciu liści i trawy.

Tego dnia u moich stóp siedział Karol i opowiadał moim dzieciom bajkę o Rycerzach Okrągłego Stołu.

Cudowna i odświeżająca naiwność i dobroć tego dziecka zachwyciły mnie. Karol nie widział w zmarłych tych, którzy odeszli na zawsze i nie mamy z nimi możliwości porozumienia. Mówił do nich jak do kogoś po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Rozmawiał z nimi jak z rówieśnikami.

– Król Artur zasiadł na wspaniałym, złotym tronie Camelotu i zawołał na służbę. Wprowadźcie mojego najwierniejszego rycerza Lancelota! Chcę uścisnąć go i podarować mu miecz Excalibur, którym będzie ścinał naszych wrogów!

Tu chłopczyna począł wywijać bambusowym kijkiem z groźną miną i padłszy na kolana, ciągnął grubym głosem:

– Otóż jestem, panie, twój niezastąpiony Lancelot z Lake. Zabiłem straszliwego smoka i odrąbałem mu poczwórny łeb, ciach, ciach! – A potem z niepokojem do mnie: – Czy oni mnie słyszą? Tu jest tak cicho!

Uścisnęłam mocno kochanego chłopca i zapewniłam go, że jego kuzyni słuchają go z zapartym tchem. To popołudnie minęło mi jak cudowny sen. Pokrzepiona powróciłam do domu, dziękując Bogu za towarzystwo Karolka.

Rzecz dziwna, ale od tego dnia coraz weselej myślałam o odjeździe i zwierzyłam się nawet z tego Tomaszowi.

– Nie masz pojęcia, jak mały Karol pomógł mi przy pożegnaniu naszych dzieci. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że pozostawiam tu tylko cielesne szczątki ukochanych, ale ich prawdziwy wizerunek noszę na zawsze w sercu. Będą więc ze mną wszędzie tam, gdzie i ja będę.

Tomasz w milczeniu całował moje ręce. Tej nocy oboje spaliśmy spokojnie.

Przez dwa dni trwało ładowanie naszych kufrów i waliz na „Fame”. Towarzyszyli nam, prócz Karolka, David Scott – kilkunastoletni syn naszych przyjaciół z Singapuru i nowy lekarz, następca Jacka, chirurg – doktor Bell. Rana Dipura jak zwykle wracał z nami, nie mogliśmy się bez niego obejść, ponieważ był właściwie członkiem naszej rodziny. Master Dick pozostawał w Bengkulu, ponieważ właśnie ożenił się z miejscową dziewczyną, kruczowłosą, smukłą Aliją i wkrótce miał zostać ojcem. Pożegnanie z tym drogim nam młodzieńcem było wzruszające i rozdzierająco smutne. Master Dick ukląkł przed Tomaszem i ucałował jego rękę, a potem skraj jego surduta.

– Baba, pobłogosław mnie, jak ojciec, którym mi jesteś od wielu lat – powiedział, a za nim uklękła też jego młodziutka żona.

Tomasz podniósł młodzieńca i przytulił jego głowę do piersi. Wzruszenie dławilo go tak, że nie mógł przemówić słowa. Więc tylko ucałował jego skronie, zaś na pochylonej głowie Aliji położył rękę.

– Bądźcie szczęśliwi, drogie dzieci – wyszeptał w końcu, a ja serdecznie ucałowałam młodą kobietę w oba policzki.

Indiaman „Fame” okazał się bardzo obszerny, czysty i wygodny. Byłam zadowolona z naszego zakwaterowania i z pierwszego posiłku, którym było wczesne śniadanie. Nasza kabina połączona była z niewielką ubieralnią, więc przypuszczałam, że podróż upłynie nam całkiem wygodnie.

Jakoż ten pierwszy dzień minął nam na spacerach po pokładzie, ponieważ pogoda była wspaniała, morze spokojne i widoki niezwykle. Tomasz spędził kilka godzin pod rozpiętym parasolem, porządkując niektóre papiery i notatki, chłopcy biegali wraz z przydzielonym im do opieki marynarzem, od dziobu do rufy statku, ciekawi wszystkiego i weseli jak szczygły.

Po kolacji graliśmy w karty z kapitanem i doktorem Bell i około dziesiątej wieczorem

udaliśmy się na spoczynek.

Ja pierwsza ukończyłam wieczorną toaletę i leżałam już na wąskiej, ale czysto zaścielonej pryczy, oczekując Tomasza, który jeszcze przebierał się w gotowalni.

Czułam wielki spokój i radość. Wracalam do Londynu, gdzie oczekiwała na mnie droga Ella i reszta rodziny. Zakończyliśmy ten rozdział życia i napawała mnie duma, ile dobrego Tomasz uczynił dla Imperium i całego świata. Jego zbiory, znajdujące się w tej chwili we wnętrznościach „Fame”, były najlepszym dowodem jego wytężonej i solidnej pracy i poświęcenia.

Ja, jego żona, być może skromnie przyczyniłam się do jego tryumfu i choć częściowo spłaciłam dług, który wszyscy zaciągamy przy przyjściu na świat. Nie wolno nam zmarnować życia, musimy włożyć pewną część naszej egzystencji w dobro świata, w marsz ludzkości ku nowym cywilizacjom.

Na wspomnienie moich dzieci poczułam znajomy, słodki ból tęsknoty; żal za Mary Ann i cichym domem w Bengkulu nadpłynął jak z dawna oczekiwany okręt. Dom zapewne teraz spał, otoczony szumem drzew pipul i muzyką świerszczy. Ujrzałam wiernego kucharza Alego, zwiniętego jak psiak na wojłoku pod okapem werandy i łagodnie chwiejące się pod podmuchem wonnego zefiru pąki róż w ogrodzie. Na śpiące domostwo sączyła się srebrna poświata księżycy, a olbrzymie gwiazdy siały srebrny pył na całą wyspę i roziskrzone morze. Dobranoc, święta ziemio, dobranoc, dobrzy ludzie, dobranoc, przedziwna wyspo!

Z uśmiechem zamknęłam oczy i poczęłam śnić. Otoczyły mnie płomienie, suchy trzask walących się krokwi i ścian, skrzywienie i jęk rozpadającego się drewna i huk potęgi pożaru. Żar tamował oddech, ogień lizał moje stopy i dyszał, jak żelazny smok pokryty rozpaloną do czerwoności łuską.

Nagle trzeźwa, usiadłam w pościeli i najpierw ogarnęła mnie nieprzenikniona ciemność. „Fame” wydawała się przewalać z boku na bok, ciężko, jak pijany człowiek, usiłujący po omacku znaleźć drogę do domu. Tomasza nie było koło mnie, więc wyciągnawszy rękę, krzyknęłam przeraźliwie:

– Tomaszu, gdzie jesteś?

Z gotowalni odpowiedział mi przytłumiony jęk, więc zerwałam się na równe nogi i uświadomiłam sobie, że Tomaszowi grozi niebezpieczeństwo. Stało się coś niedobrego i włosy podniosły mi się w przerażeniu na karku i głowie. Było to jeszcze niejasne, ledwie kielkujące uczucie, ale już potwierdził je przeraźliwy wrzask na korytarzu, tuż za drzwiami naszej kajuty.

– Gore, gore! Wody, gdzie woda? Pożar!

Objając się boleśnie o jakieś sprzęty, wpadłam do gotowalni. W ciemnościach namacałam kształt ciała mego męża, leżącego na ziemi, więc podniosłam jego bezwładną głowę i położyłam ją w zagięciu mego ramienia.

– Tomaszu, Tomaszu, co się stało? Czy cię coś boli?

Tomasz jęczał cicho, ale prócz tego niepokojącego wprawdzie dźwięku dochodziły mnie bardziej przerażające hałasy z korytarza.

Ktoś przebiegł ciężkim krokiem tuż koło naszej kabiny, wołając dzikim głosem:

– Ogień! Uciekajcie! Wszyscy na pokład! Okręt płonie!

W tej chwili mój mąż drgnął jak przebudzony z głębokiego snu i po chwili siadł o własnych siłach, z całej siły ściskając mnie za rękę.

– Zofio, czy słyszysz? Katastrofa! Musimy natychmiast opuścić kajutę!

– Co się stało Tomaszu, dlaczego straciłeś przytomność?

– Okręt przechylił się nagle i upadłem. Widocznie uderzyłem o coś głową. Świeczka zgasła, dlatego tak ciemno. Chodź, chodź natychmiast! Nie możemy tu zostać ani minuty dłużej!



– Boże, gdzie dzieci, gdzie chłopcy?

Karol i David zajmowali kabiny obok nas i zastaliśmy ich głęboko uspiionych po całym dniu igraszek na pokładzie.

Szybko narzuciliśmy na nich szlafroki i prześcieradła. Nie wiedzieliśmy, czego się należy spodziewać. Nikt z załogi nie pofatygował się powiadomić nas osobiście o nieszczęściu lub powiedzieć nam, co dalej mamy czynić. Na pół ubrani wypadliśmy na pokład, gdzie działy się dantejskie sceny. Wszystko oświetlał krwawy płomień pożogi.

Paliły się burty i deski pokładu, trzask i huk ognia zagłuszały krzyki ludzi i słowa komendy. Kapitan usiłował wstrzymać majtków, skaczących prosto w morze, ale było to daremne. Ludzi opanowała panika, granicząca z samounicestwieniem. Staliśmy zbici w małą gromadkę, zdrętwieli z przerażenia i osłupiali w obliczu potwornego żywiołu. Tym razem na jawie śniłam ten straszliwy majak, ten piekielny koszmar. Ktoś wołał o wiadra z wodą, które gdy się wreszcie znalazły, okazały się już niepotrzebne. Na wszystko było za późno. „Fame” stała się jedną wielką pochodnią.

W pewnej chwili David wyrwał się z moich objęć i jak oszalały popędził w stronę trapu, schodzącego pod pokład.

– David, David! – krzyknęłam za nim, ale zupełnie nie słuchał. Widocznie, oszołomiony pożarem, uważał, że pod pokładem będzie bezpieczniej. Bez namysłu rzuciłam się za nim w pościg, zawoławszy tylko przez ramię do męża:

– Pilnuj Karola!

Jak w znajomym mi koszmarze biegłam z rozwianymi włosami przez oblane krwawą poświatą wąskie korytarze, żar znowu palił mi twarz i już, już dosięgał swą straszliwą ręką.

– David, David, proszę, nie uciekaj! Proszę cię na wszystko, poczekaj!

W tej chwili na końcu przejścia ukazał się doktor Bell, w białej, długiej koszuli i szlafmocy, przekrzywionej komicznie na jego łysej głowie. Pomimo grożącego nam niebezpieczeństwa nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Rozstawił ramiona i zamknął je ze zwycięskim okrzykiem na ledwie majaczącej w szarym od dymu powietrzu postaci chłopca. Z łkaniem objęłam ich obu, na co zdziwiony doktor, zawsze nieskazitelny w manierach i zachowaniu, powiedział nieco zgorszony:

– Madame, wszystko będzie dobrze. Proszę puścić mój biceps. Dziękuję. Czy mogę pani służyć ramieniem?

Musieliśmy stanowić dziwaczne trio, gdy po chwili wynurzyliśmy się z dławiącej atmosfery korytarza.

– Do łodzi, do łodzi! – usłyszałam głos Tomasza, więc pobiegliśmy w jego kierunku, choć przez czarne dymy nie było nic widać. Czyjaś ręka przyciągnęła mnie do burty i po chwili ktoś inny przepasał mnie grubym sznurem. Zanim miałam czas zaprotestować, już opuszczono mnie na dno szalupy, gdzie znajdował się Tomasz z Karolem i kilku marynarzy.

Kapitana i pierwszego oficera nigdzie nie było. Za mną opuścił się zgrabnie David, a na końcu opadł dostojnie doktor Bell. Wydawało się, że największe niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Byliśmy zdrowi i cali w komplecie, na dnie łodzi, ale pożał się Boże, co to była za łódź. Natychmiast poczęła przeciekać. Więc wszyscy panowie, łącznie z chłopcami, wyczerpywali z niej wodę przez wiele godzin, aż dobiliśmy do brzegu.

Na szczęście nie trwało to długo, bo grubo przed wschodem słońca znaleźliśmy się na dzikiej plaży jakiegoś nieznanego lądu. Daleko na morzu towarzyszyła nam łuna „Fame”, która nagle zgasła i na horyzoncie zapanowały ciemności. Jeden z marynarzy odchrząknął zakłopotany i powiedział cicho:

– Zatonęła. Już po niej.

– A gdzie kapitan, gdzie dowództwo?

Marynarz spojrział na mnie spod oka.

– Kapitan zazwyczaj odchodzi wraz ze swym statkiem.

Po tym zdaniu nikt z nas nie odezwał się aż do rana. Okazało się, że znaleźliśmy się w pobliżu wybrzeża Pulau Tikus, które marynarze znali doskonale. W oznaczeniu położenia pomógł nam kompas, który jeden z majtków porwał przemyślnie z płonącego żaglowca.

Szczęśliwie, ponieważ morze było niezwykle spokojne, dobiliśmy do Wyspy Szczurów i okazało się, że dzięki Bogu, kapitan i reszta załogi znalazła się tam przed nami.

Ku naszej radości, zaledwie dobiliśmy do brzegu i jako tako rozlokowali się na plaży, susząc w palącym słońcu mokre suknie i szmaty, na cienkiej linii horyzontu ukazał się statek, który po godzinie dotarł do nas bez kłopotu. Opuszczono łódzie, a kapitan ofiarował nam schronienie i ratunek! Okazało się, że pożar „Fame” widoczny był na kilka mil morskich i to nas uratowało. Kapitan przyjaznego statku pośpieszył natychmiast w kierunku łuny i dzięki temu znalazł nas na plaży.

Jak wykazały późniejsze badania, ogień rozpoczął się w składzie na dnie statku, wzniecony przez nieostrożnego stewarda, idącego napełnić flaszkę mocną brandy i niosącego nieosłoniętą świecę.

„Fame” splonęła, nie pozostawiając nic z naszych bagaży, w tym cennych manuskryptów Tomasza, map, słowników, podręczników historii i geografii, dokumentów po drogich doktorze Arnoldzie i Jacku, dokumentacji Jawy, Sumatry i Singapuru i precudownych, bezcennych dwu tysiącach rysunków flory, fauny, ptaków i zwierząt Malajów i Indonezji, w tym przedziwnego zwierzęcia, nazwanego później malajskim tapirem.

Wszystkie moje prywatne ubiory, biżuteria pamiętająca jeszcze moich pradziadów, cenne pamiątki ofiarowane mi przez Tomasza, złoto i drogie kamienie, prezenty dla rodziny i przyjaciół w domu, listy powierzone nam przez przyjaciół, komplet srebrnej zastawy подарowany Tomaszowi przez wierne ludy Jawy, diamentowy medal – prezent od handlowej agencji Jogyakarta, i najważniejszy, bezcenny podarunek od zmarłej księżnej Charlotty Augusty – diamentowy sygnet, z którym Tomasz prawie się nie rozstawał, a właśnie tego dnia pozostawił w szkatule na komodzie gotowalni, wszystko to bezpowrotnie zginęło w płomieniach lub w odmętach morskich.

Już w Londynie obliczono, że nasze straty kształtowały się pomiędzy sumą dwudziestu do trzydziestu tysięcy funtów, kwota niebotyczna na owe czasy, dorobek życia Tomasza i skromny wkład mojego wiana.

Mój mąż nie rozpaczał jednak nad stratą nominalną, pieniężną, bolał nad zaginięciem ważnych papierów, bezcennych rękopisów, jednym słowem, pracy jego życia, spuścizny, którą chciał pozostawić potomności.

Tylko jego żelazna wola i dyscyplina wewnętrzna nie pozwoliły mu załamać się i osiaść w rozpacz na gruzowiskach, ale natychmiast po przyjeździe do Anglii rozpoczął odtwarzanie z pamięci najważniejszych dokumentów i z pomocą sprytnych kreślarzy odzyskał lwią część rysunków i map.

A ja, cóż ja, dziękuję Panu za wyprowadzenie nas na proste ścieżki ocalenia i błagam Go tylko o dalszą nieustającą opiekę. Modłę się o zdrowie mego najukochańszego Tomasza, które mocno podupało po tym nieszczęściu, i żywię nadzieję, że dalsze lata przyniosą nam ukojenie, dzięki obcowaniu z rodziną i najdroższą Ellą, na której spotkanie oboje nie możemy się doczekać.

\*

Jakże przedziwnie i niespodzianie układa się moje życie! Kilka dni wcześniej pożegnałam na zawsze Bengkulu, lecz tego popołudnia przyszło nam znowu zawinąć do tej maleńkiej, malowniczej przystani i zobaczyć spokojną zatokę, wierzchołki palm i wzgórze, otaczające nasze ocienione drzewami pipulu bungalow.

Zdumienie nowego gubernatora Sumatry nie miało granic, tym bardziej że zmuszeni byliśmy pozostać tu przez następne dwa miesiące! Spędziliśmy je na odpoczynku i odzyskiwaniu nadszarpniętego katastrafą zdrowia oraz na nowych przygotowaniach do podróży. Ten czas poświęciłam na korespondencję, bowiem biedna Mary Ann i kapitan Flint w Singapurze umierali z niepokoju o Karolka, a i państwo Scott slali listy przez kuriera z zapytaniami o zdrowie Davida.

W kwietniu po raz drugi wsiedliśmy na pokład indiamana „Lady Flora”, dowodzonego przez kapitana MacDonela. Tym razem bez szwanku dopłynęliśmy do Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie napotkaliśmy, jak zwykle, burze i huragany.

Pewnego dnia fala była tak wysoka i niebezpieczna, że musiano przywiązać mnie sznurami do pryczy, abym nie uczyniła sobie krzywdy. Tomasz znosił wszystko ze stoickim spokojem, wieczorami tylko, gdy byliśmy sami, narzekał na oślepiające bóle głowy. Postanowiłam zaraz udać się z nim do lekarza, gdy tylko znajdziemy się w Londynie.

Dłuższą przerwę zrobiliśmy na wyspie Świętej Heleny, położonej w wielkich przestrzeniach oceanu, gdzie niebo i woda zlewały się w jedną błękitną otchłań. Przedziwne wydało mi się chodzić po tej suchej, spieczonej ziemi, gdzie być może zachowały się jeszcze ślady stóp „potwora korsykańskiego”. Jego pamięć była tu stale świeża, ponieważ zmarł zaledwie trzy lata temu.

Nie powiedziałam tego nikomu, a szczególnie Tomaszowi, który zawsze był gorliwym patriotą i nadzwyczaj lojalnym rojalistą, ale żal mi było tamtej upadłej wielkości, tego olbrzyma wszech czasów, strąconego na dno piekła tęsknoty, nienawiści i osamotnienia. Stracił wszystko – koronę, władzę, nieograniczoną potęgę, królewską małżonkę i synka, to małe Orlątko, które wychowywało się gdzieś na dworze austriackim, zapewne nie pamiętając ojca. Ja również straciłam dzieci, straciłam tak wiele, że żadna żalność i smutek nie były mi obce. Tragedia uczy człowieka pokory i litości w stosunku do bliźniego.

Zatrzymaliśmy się w Plantation House, w pobliżu domu gubernatora, generała brygady Aleksandra Walkera i codziennie jadaliśmy z nim obiady i grali w karty. Wyspa Świętej Heleny to ponure miejsce i nawet będąc tam z ramienia króla, człowiek czuje się jak na wygnaniu.

Oglądaliśmy pamiątki pozostawione po Napoleonie. Nie było tego wiele, ponieważ po jego śmierci bodaj jego wierny kamerdyner zabrał wszystko ze sobą, ale w sypialni, gdzie umarł, stało dębowe biurko. Ponoć pisywał przy nim listy do cesarzowej Austriaczki i do pewnej polskiej hrabiny, madame Walewskiej, z którą miał nieślubnego syna. Generał Walker opowiadał nam, że odwiedziła go ona wiele lat temu na Elbie wraz z dzieckiem i po ich wyjeździe cesarz płakał.

Kiedy nikt nie widział, powodowana ciekawością iście kobiecą, otworzyłam szufladę biurka i znalazłam zagubiony widocznie i zapewne nic nieznaczący srebrny znaczek z orzełkiem w koronie.

Wieczorem pokazałam go Tomaszowi, który wzruszył ramionami i powiedział:

– To zapewne znak żołnierski z czapki wojskowej, jakie nosiła armia napoleońska.

Zanieś to tam, skąd wzięłaś. Być może odznaka należała do jego wiernego żołnierza, adiutanta

lub generała. Biedny, omamiony człowiek nie wiedział, co czyni i komu służy.

Na drugi dzień odniosłam metalowy drobiazg do byłej siedziby Korsykanina. Parzyła mi dłoń, jakby chciała opowiedzieć o losach nieznanego właściciela. Potem długo jeszcze myślałam o tym wydarzeniu. Tylko tyle pozostało z tej wspaniałej, niezwyciężonej armii, jedna mała miedziana odznaka! Wszystko to marność nad marnościami, nawet sława!

Nasz dziesięciodniowy wypoczynek dobiegał końca, gdy niespodzianie otrzymaliśmy niezwykle smutną wiadomość. Zmarła matka mego męża w wieku siedemdziesięciu lat. Kobieta dobra, choć surowa, sprawiedliwa i czynna w rodzinie do końca. Już nie doczekała powrotu ukochanego syna!

Jeszcze jedna śmierć, jeszcze jeden cios. Tomasz zniósł to jak prawdziwy stoik. Czyż człowiek zdolny jest przyzwyczać się do nieszczęścia, okrzepnąć w bólu i zaprawić się do dalszych katastrof życiowych? Nie wiem, ale wtedy miałam nadzieję, że tak.

Stanęliśmy na ojczystej ziemi dwudziestego sierpnia, w porcie Plymouth. Jakże pięknie pachną tu pola, jak miękka i zielona jest trawa! Zatrzymaliśmy się u mojej siostry Alice w Beechwood, w tym samym domu, z którego wyruszyliśmy na Daleki Wschód siedem lat wcześniej! Rodzinne spotkanie było pełne łez, śmiechu, wspomnień i opowieści. Nadjechał wkrótce z Devenport wielbny stryj Raffles, więc kompania powiększyła się i stało się naprawdę wesoło. Już dawno nie widziałam Tomasza w tak dobrym nastroju.

– Alice, powiedz nam przede wszystkim, jak czuje się nasza mama, ojciec i Ella? – wołałam znad talerza wspaniałej żółtawej zupy, która stała się właśnie modna w Anglii.

– Ella wygląda wspaniale, dziadkowie dbają o nią nadzwyczajnie. Nie poznacie jej, tak wydorosłała i wypiękniała, jeśli to w ogóle możliwe.

Słuchaliśmy oboje z Tomaszem chciwie i w nocy nie mogłam zupełnie spać. Tak niecierpliwiałam się, aby zobaczyć moje jedyne dziecko, że nazajutrz rano wybłagałam u Tomasza natychmiastowy odjazd do Cheltenham. Pędziliśmy co koń wyskoczy koczem zaprzężonym w dwa siwki, a nasza prędkość spowodowała ogień w przednich kołach powozu!

Zdyszana jak po maratońskim biegu padłam w ramiona matki, potem ojca i wreszcie stanęłam ze łzami w oczach przed moim ślicznym dzieckiem. Ella stała nieco na uboczu, w cieniu korytarza i patrzyła na mnie wielkimi oczami anioła.

Zarys jej głowy, twarzy tak przypominał Leopolda, że na moment serce zamarło mi w piersi. Była smukła, wiotka i delikatna jak wiosenny kwiat Albionu. Miała prześliczne, złociste loki, okalające bladawą, śmietanową cerę, ślicznie wycięte usteczka i długi nos Tomasza. Najpiękniejsze były jej oczy, ocienione długimi, jasnymi rzęsami i łagodnym półkołem jedwabistych brwi. Z głośnym płaczem rzuciłam się przed nią na kolana i porwałam w objęcia.

Początkowo sztywno oddawała moje pocałunki i wydawała się spłoszona i onieśmielona, ale po godzinie siedziała zadowolona na moich kolanach i odpowiadała grzecznie i mądrze na moje pytania. Moja córeczka okazała się aniołem zesłanym z nieba, pociechą naszych strapionych serc i umysłów. Płakaliśmy przy stole wszyscy, a Ella wodziła po nas zadumany wzrokiem mędrca i głaskała mnie uspakajająco po ramieniu. Moje dziecko, moja dziewczynka kochana! Wreszcie poczułam, że naprawdę wróciłam do siebie!

\*

– Zofio! Zofio! – Głos Tomasza brzmiał taką nutą paniki i agitacji, że natychmiast porzuciłam doglądanie pieczenia chleba w kuchni i nie wycierając nawet umączonych rąk, wpadłam do jego gabinetu. Mój mąż chodził w szlafroku, ponieważ godzina była jeszcze wczesna, po gabinecie i miał w rękach arkusze listu, którego treści natychmiast się domyśliłam.

– Tomaszu, pogorszysz sobie zdrowie. – Staralam się mówić spokojnie. – Usiądź, zaraz przyniosę ci brandy, poczujesz się lepiej.

– Nie chcę brandy, powoduje zgagę. Przeczytaj!

Podał list, którego pieczęcie i żółta koperta powiedziały mi wszystko. Szybko przebiegłam oczyma urzędowe pismo z biur Kompanii Wschodnioindyjskiej w Londynie. Jak przypuszczałam, „John”, bo tak nazywano pieszczotliwie Kompanię, odmówił Tomaszowi przyrzeczonej pensji w sumie pięciuset funtów szterlingów rocznie, a równocześnie zażądał dwudziestu dwu tysięcy jako rekompensaty za wydatki w czasie misji Tomasza w Singapurze i Aceh. Prócz tego Kompania, zawsze drobiazgowo dokładna w wyliczaniu prawdziwych lub rozdmuchanych „długów”, upomniała się o odsetki, płatne od dochodów Tomasza w latach 1816 i 1817, gdy przebywał w Londynie, po powrocie z Jawy.

Usiadłam ciężko w fotelu pod oknem i zapatrzyłam się na zasypaną śniegiem ulicę. Cóż mogłam powiedzieć mojemu mężowi, jak mogłam pocieszyć go i zapewnić o respekcie i uznaniu jego zwierzchników? Zadawniona sprawa samowolnego powzięcia decyzji w zajęciu Singapuru była tą powracającą falą, której echo właśnie doszło naszych uszu. Tydzień wcześniej Tomasz otrzymał list od bankierów na Jawie, że stracił szesnaście tysięcy funtów w pewnych „inwestycjach i manipulacjach ziemskich”. Tomasz z dnia na dzień stał się człowiekiem jeśli nie ubogim, to zbiedniałym.

Musieliśmy pomyśleć o nowym zarządzaniu budżetem, a nie mogło to być łatwe, ze względu na nasze domowe wydatki w ostatnich dwu latach. Po przyjeździe do Anglii najpierw wynajmowaliśmy dom w Cheltenham, a potem w Londynie. Ale kiedy Tomasz dowiedział się, że sir Humphry Davy wystawił na sprzedaż swoją posiadłość przy Lower Grosvenor Street, uznaliśmy oboje, że jest to dobra inwestycja, i zakupiliśmy tę rezydencję za pozostałe w Londynie pieniądze.

Jednakże pogarszające się zarówno moje, jak i Tomasza zdrowie, jego nieustanne bóle głowy i moje niespodziane febry spowodowały, że już w kilka miesięcy później zdecydowaliśmy się nabyć drugi dom, letnią rezydencję dwadzieścia mil poza Londynem, w Hendon w hrabstwie Middlesex. Te dwie posiadłości stały się poważnym uszczerbkiem naszych finansów i pomimo nadzwyczaj przyjemnego życia, jakie wiedliśmy w Hendon, nasza kasa świeciła pustkami.

Nazwaliśmy dom w Hendon „High Wood”, jako że otaczały go wysokie dęby i buki, wspaniałe pola i łąki, i w ogóle było to miejsce świetne do wychowywania dzieci i hodowli zwierząt. Toteż mieliśmy tam krowy, konie i świnki, własne ogrody, stajnie i obory i prowadziliśmy sielski żywot rolników. Własne mleko, masło i jaja cudownie wpływały na zdrowie Elli, która chowała się nadzwyczajnie. Tomasz często mawiał, że High Wood przypomina mu jego pierwszy dom na Jawie, w pobliżu Batawii.

A jednak Tomasz nie był w pełni szczęśliwy. Bolał po kryjomu nad niewdzięcznością i obojętnością Kompanii i prawie całkiem odsunął się od jakiegokolwiek życia dworskiego. Początkowo otrzymywaliśmy zaproszenia na bale, rauty, dobroczynne kwesty i inne uroczystości, ale ponieważ Tomasz zazwyczaj odmawiał, tłumacząc się delikatnym zdrowiem,

przestały w końcu nadchodzić. Natomiast często przyjmowaliśmy u siebie rodzinę i przyjaciół.

Właśnie na Wielkanoc przyjechał do nas jak zwykle stryj Raffles, którego Ella uwielbiała, ponieważ czytał jej podręczniki historii naturalnej, która stała się jej pasją.

– Zofio – powiedział do mnie pewnego wieczoru po kolacji, kiedy na chwilę zostaliśmy w jadalni sami. – Nie poznaję Tomasza. Wygląda po prostu źle, jest przygnębiony i zniechęcony do życia. I te jego stałe bóle głowy! Czy był u lekarza?

– Stryju, może porozmawiałbyś z nim na ten temat, ponieważ ja nie mam na niego żadnego wpływu. Od dwu lat błagam go o większe staranie o swe zdrowie, ale zbywa mnie półsłówkami, a czasem i ofuknie. Uważa, że te migreny to pozostałość po atakach febry tropikalnej i leczy je dużymi dawkami laudanum.

Stryj pokręcił tylko głową i już nic nie powiedział, ale rzeczywiście przeprowadził z Tomaszem poważną rozmowę. Uzyskał przyrzeczenie pójścia do lekarza, ale później jakoś sprawa ucichła, tym bardziej gdy nadeszły te straszne listy z Kompanii.

Tomasz gryzł się, wiedziałam o tym, ale nic nie mówiłam głośno, ponieważ zawsze prowadził budżet sam i uważał, że obarczanie kobiety takimi sprawami nie należy do dobrego tonu.

O ja nieszczęsna, gdybym wiedziała, jak bliski był koniec, gdybym wiedziała, jak strasznie mój Tomasz rozpaczał nad swym gorzkim życiem! A jednak co rano ukazywał mnie i dzieciom jasną, spokojną twarz i jak zwykle chodził po gospodarstwie, sprawdzając paszę dla bydła, wdychając z lubością zapach świeżo pieczonego chleba i zachwycając się barwami lata w ogrodzie.

W lipcu nadchodziły jego czterdzieste piąte urodziny, więc wraz z dziećmi, bo stale mieszkał z nami Karolek, postanowiliśmy uczcić je wspaniałym tortem truskawkowym, który uwielbiał, a po południu urządzić garden party, z udziałem sąsiadów i najbliższej rodziny. Pięcioletnia Ella, która wykazywała nadzwyczajne zdolności językowe, własnoręcznie napisała zaproszenia, które rozesłaliśmy pocztynionem i przez służącego.

Wieczorem, przed uroczystym dniem, Ella usiadła na kolanach ojca i zaglądając mu w oczy, pisnęła cienkim głosikiem:

– Papo, czy ty lubisz niespodzianki?

– Bardzo lubię, szczególnie, gdy pewna młoda lady siedzi na moich kolanach i obejmuje mnie łapkami za szyję.

– Więc nie pytaj o nic, bo to ma być niespodzianka.

– Ella! – zawołałam ostrzegawczo i pogroziłam jej palcem.

– Wujku, wujaszku, a ja też wiem o niespodziance, ale nic nie powiem. Ciocia zakazała!

– wołał Karolek, aby nie być gorszym, więc parsknęliśmy oboje śmiechem, a Tomasz ucałowawszy główki obojga dzieci, zwrócił się do mnie z prośbą w głosie:

– Zagraj nam coś, Zofio. Tak lubię słuchać twej muzyki. Działa na mnie zawsze kojąco.

Przez chwilę namyślałam się, co mogłoby mu się spodobać? Ach tak, ten niedługi utwór Beethovena, prawie zabawka, uroczy drobiazg *Für Elise*, to coś pogodnego, dobrego na zakończenie dnia!

Tomasz siedział w fotelu z obojgiem dzieci na kolanach i delikatnie wybijał palcami rytm na oparciu fotela. Nosił szkarłatny domowy żakiet, czarne trzewiki i włosy spięte czarnym rzemykiem. Był piękny, nieco zadumany, ale spokojny i odprężony, złotowłosy, jak i Ella, oboje tak podobni do siebie, oddani sobie duszą i ciałem.

Grałam płynnie, swobodnie, właśnie tego wieczoru zapomniałam o wszystkich naszych zmartwieniach i pomiędzy jedną nutką a drugą myślałam szczęśliwa: wszystko ułoży się dobrze. Będzie tak, jak w tej chwili. Rodzinnie, sielsko, trochę leniwie. Bezpiecznie. Ważne, że jesteśmy

razem i że się kochamy. *Für Elise* to taki piękny, subtelny utwór.

Od tamtego czasu zawsze łączy mi się ze wspomnieniem Tomasza i tamtego wieczoru w High Wood, wraz z dziećmi. Ostatniego wieczoru przed jego urodzinami, ostatniego wieczoru przed zapadnięciem ciemności.

Ułożyłam dzieci do snu i na palcach wymknęłam się z ich pokoju. Tomasz siedział jeszcze w gabinecie i czytał. Świece rzucały nieco żółty, woskowy blask na jego szczupłą, arystokratyczną twarz. Pomyślałam, jakież on zmęczony, ale zaraz poszłam na górę do sypialni i szybko zasnęłam. Obudził mnie dziwny dźwięk. Jak gdyby coś ciężkiego upadło na schodach.

Była jeszcze noc, ale już gdzieś daleko na nieboskłonie wstawały pierwsze zorze. Panował ten niebiesko-różowy półmrok wczesnego, lipcowego poranka. Przez chwilę leżałam nasłuchując i nagle uświadomiłam sobie, że Tomasza nie ma obok mnie i że w ogóle jeszcze się nie kładł.

Szybko narzuciłam peniuar i zbiegłam do połowy schodów. W domu panowała dziwna, przerażająca cisza. Z uchylonych drzwi gabinetu Tomasza widoczne było migotliwe światło dopalających się świec. Widocznie jeszcze nie skończył czytać, powinnam zabronić mu takiego wysiłku dla oczu! Uczyniłam ruch, aby zejść na dół, gdy w półmroku hallu, u stóp schodów, uwagę moją przykuł jakiś znajomy kształt. Wysiliłam oczy i dojrzałam, że była to ręka w szkarłatnym rękawie, bezwładnie leżąca na posadzce przedpokoju.

–Tomasz! – Mój krzyk rozległ się przeraźliwym echem w całym domu. High Wood zamarł z przerażenia. W tej chwili wstało słońce i zalało wnętrze krwawym światłem. Na widok twarzy mojego męża zastygłam zlodowaciała. A potem upadłam zemdlna.

\*

Nasz dobry przyjaciel doktor Everard Home uczynił zadość mojej prośbie i przeprowadził w High Wood sekcję zwłok mego męża. Jego raport wyjaśnił, iż po otwarciu czaszki okazało się, że prawa frontalna kość była dwukrotnie grubsza niż lewa. Zewnętrzna powłoka mózgu odznaczała się szczególnym zaognieniem, zaś w prawej, bocznej komorze mózgowej utworzył się krwawy skrzep wielkości gołębiego jaja. Nie tylko Tomasz, ale żaden inny śmiertelnik nie byłoby w stanie przeżyć takiego krwotoku.

Pochowałam Tomasza w pobliskiej parafii Świętej Marii w Hendon.

Cóż mogę jeszcze powiedzieć, jak opisać moją kompletną, pożerającą wszystkie inne uczucia rozpacz! Sznur, wibrujący uczuciem i uwielbieniem, którym nieodmiennie od tylu lat byliśmy związani, został raz na zawsze przerwany. Pozostałam sama, nieustanna wędrowniczka po zimnym, obojętnym świecie, nieszczęsna zjawka z dawnej, zapomnianej przez wszystkich przeszłości, wdowa i sierota, opuszczona przez najwspanialszego Dobrodzieja, Przyjaciela i Pana.

Moją jedyną pociechą jest dla mnie tylko córka i jej poświęcę resztę dni. Jej i pamięci Męża. Uczynię wszystko, aby jego nadzwyczajna, świetlista postać nie zginęła wśród wrzawy i zgiełku powszedniości. Będę stukać i pukać do drzwi, bram i wrót, będę mówić o Nim i dla Niego z wielkimi i małymi, z mądrymi i głupimi, aby każdy, kto go znał i ten, któremu niedane było zaznać tego szczytu, mógł z moich ust dowiedzieć się o Tomaszu Stamfordzie Raffles, człowieku, który pozostawił ślad w zakrzepłej skorupie ziemskiej.



\*

*Fragmenty Memuarów Alice Watson Mudge*

\*

Od najmłodszych lat Zofia była zawsze moją ulubioną siostrą i przyjaciółką. Miała w sobie wdzięk, łagodność i pogodę ducha, które czyniły z niej wspaniałą towarzyszkę dzieciennych zabaw i śmiesznych psot i figli, którymi tak charakteryzuje się nasze dzieciństwo.

Czasem wydawało mi się, iż rodzice kochają ją bardziej ode mnie, ale nie była to prawda. Oni po prostu byli z niej dumni, bo prócz dobroci charakteru i pewnej niezwyklej u dziecka powagi i dojrzałości odznaczała się inteligencją i wieloma talentami.

Bezsprzecznie była znakomitą pianistką, utalentowaną i zdyscyplinowaną uczennicą, która szybko prześcignęła swych nauczycieli. Zazdrościłam jej tej muzykalności, bo i na harfie grała prześlicznie, a prócz tego Opatrzność obdarzyła ją pięknym głosem i świetną ręką. Niewątpliwie, gdyby kształciła się w rysunku i malarstwie, zostałaby wybitną artystką.

Dlatego nigdy nie dziwiłam się zbytnio, że zwrócił na nią uwagę taki wspaniały człowiek i dyplomata, polityk i podróżnik w jednej osobie, jak sir Tomasz Raffles.

Zofia była zawsze skromna, zbyt skromna, uważała się za brzydkie kaczątko w rodzinie. I nie była to prawda. Do dziś wisi w moim salonie, nad kominkiem, jej portret, namalowany ręką modnego kilkadziesiąt lat temu miniaturzysty, Alfreda Edwarda Chalona.

Spogląda z niego młoda, śliczna kobieta o trójkątnej twarzyczce, maleńkich, słodkich ustach i wielkich, zadumanych oczach. Podług ówczesnej mody Zofia ubrana jest *à la orientale*, w zielony turban, przytkany perłami i szmaragdami, białą atlasową suknię, ozdobioną koronkami i muślinem, i ciemnozielony szal. Jej łabędzią szyję i olśniewające ramiona zdobi elegancki naszyjnik z pereł i szmaragdów, zaś drobne, wysokie piersi przysłania dyskretna, choć zalotna chusteczka.

Cała postać jest pełna niewypowiedzianego dziewczęcego wdzięku i wytworności. Taka była Zofia wtedy, zaledwie kilka miesięcy po ślubie i taką została do śmierci. Pomimo poranej bruzdami nieszczęść twarzy i zgasłego spojrzenia nadal zachwycała wąską kibicią, elegancją postawy i urokiem zachowania.

Do pewnego czasu nasze życie szło bardzo podobnym, prawie bliźniaczym torem. Zofia urodziła się tylko rok przede mną, byłyśmy więc prawie rówieśnicami, ale w dzieciństwie lubiła przypominać mi z wyższością o swoim starszeństwie, a nawet wymagała, abym jej słuchała. Obie wyszłyśmy, jak na tamte czasy, dość późno za mąż i rozdzielało nas w tym szczęśliwym wydarzeniu tylko sześć miesięcy.

Krótko po ślubie Zofii czarujący kapitan Ryszard Zachariasz Mudge poprosił papę o moją rękę i został przyjęty. Nasze zaślubiny odbyły się we wrześniu, ponieważ czekaliśmy na powrót państwa Raffles z ich podróży po Europie.

Po ślubie osiedliśmy w wygodnym i dużym majątku Beechwood, wydzierzawionym od bogatego bankiera mojego męża, Ryszarda Rosdew. Tutaj po raz ostatni widziałam Zofię przed jej wyjazdem do Kolonii. Przyjechali z Tomaszem na kilka dni w listopadzie, tym ponurym i spływającym strugami deszczu miesiącu, oboje zresztą przygnębieni i niepokieszeni po śmierci księżnej Charlotty Augusty, żony księcia Leopolda, młodszego syna królewskiego.

Pewnego wieczoru, gdy za oknami jęczał jesienny, żalobny wiatr, siedziałyśmy z siostrą przy robótkach. Zofia była niespokojna i nie mogła wytrwać w jednym miejscu. Wyjątkowo byłyśmy same, bo zazwyczaj towarzyszyli nam mężowie i kilkoro innych gości, jako że w tych czasach zjeżdżało się u nas często grono przyjaciół i rodziny.

Zofia porzuciła robótkę i podeszła do piano forte. Poczęła grać z pamięci fragmenty

Haendla, potem Mozarta i Haydna, przeskakiwała nieuważnie z melodii do melodii, ale jak zawsze czyniła to z niezwykłym wdziękiem i umiejętnością prawdziwej artystki. W pewnym momencie przerwała nagle i spoglądając na mnie zza mlecznego światła świec w lichtarzu, powiedziała czystym głosem:

– Alice, spodziewamy się dziecka. Mam nadzieję, że to będzie chłopiec. Dla Tomasza.

– Jak cudownie! – klasnęłam w dłonie i pobięłam ją uściskać.

I wtedy moja siostra rzekła coś, co przeszło mnie mrozem i lodowatym dreszczem.

– Śmierć księżnej Charlotty Augusty i jej dzieciątka przejmuję mnie najgorszymi przeczuciami. Czyżby był to omen, znak z niebios, iż nie powinnam mieć dzieci? Takie straszne wydarzenie w przeddzień opuszczenia wód Brytanii, ten nagły powrót do brzegów Anglii, wszystko to napawa mnie ogromnym niepokojem.

– Co też ty mówisz, Zofio! Zaniechaj natychmiast takich rozmyślań! Tragedia księżnej to po prostu straszny, nieprzewidziany wypadek. Niestety takie rzeczy się zdarzają.

Moja siostra milczała i widziałam, że nie uspokoiłam jej całkowicie. Wiele lat potem, gdy dotknęły ją te niewyobrażalne nieszczęścia na Sumatrze, przypominałam sobie tamtą rozmowę i nie mogłam otrząsnąć się z uczucia grozy. Ale nie powiedziałam o tym nikomu.

Nasze pożegnanie było żałosne. Wiedziałyśmy, że rozstajemy się na długie lata, a odległość i niezbadane tereny Malajów napępiały nas obie obawą i niepewnością. W takich razach myślimy o kruchości ludzkiego życia, nieprzewidywalnych dramatach i codziennej, jakże ludzkiej tęsknocie.

Odjechali dylizanssem pod wieczór, deszcz siekł nieprzerwanie i wszystko było szare, ponure i zamglone. Jeszcze mignęła mi biała chusteczka Zofii, jeszcze wychyliła się z okna i podniosła do góry dłoń w rękawiczce. Były to cielece skórkowe rękawiczki, jakie podarowałam jej na ostatnią Gwiazdkę. Nie wiem, dlaczego ta myśl otworzyła nagle upusty moich łez. Szlochałam długo i rozpaczliwie, aż Ryszard przeraził się i chciał wołać doktora Galesa. A przecież żaden lekarz nie mógł zagoić bólu za utraconą siostrą.

\*

Minęło siedem lat, zanim znowu ujrzałam moją Zofię. Żadne pieniądze i zaszczyty tego próżnego świata nie zastąpią radości z rosnącego zdrowo potomstwa i sprzyjającego, czerstwego zdrowia. Zarówno Tomasz, jak i Zofia wrócili z Dalekiego Wschodu zmienionymi ludźmi. Zniknęła gdzieś błyskotliwość, humor, żarty i lekka, wytworna rozmowa towarzyska.

Nieszczęsny sir Raffles często milkł w towarzystwie, nagle zamyślony i daleki, jak gdyby nasłuchiwał echa przeszłości, zaś moja siostra w niespodzianych momentach zalewała się łzami, wprowadzając w osłupienie i zakłopotanie rozmówców. W taki stan wprowadzał ją czasem przedmiot konwersacji, jakieś wydawałoby się, niewinne zdanie lub wrażenie, które przypominało jej zmarłe potomstwo w drugim końcu świata.

Nie wiedziałam, jak jej pomóc, i wprawdzie z czasem zakrzepła w bólu i wydawała się pogodzona z losem, ale znając ją tak, jak ja ją znałam, wiedziałam, że gdzieś w głębi jej serca szalał ból i trawiąca wszystko rozpacz niepowetowanej straty.

Jedyną pociechą nieszczęsnym rodzicom była w tych pierwszych miesiącach mała Ella, Ella Bella, dziecko wyjątkowo piękne i uzdolnione. Patrząc na nią, widziało się przede wszystkim Tomasza, ten sam uśmiech, spojrzenie, kolor włosów. Ale Zofia twierdziła, że przypomina ona bardzo jej starszego synka Leopolda, który miałby cztery lata.

Tomaszowie przywieźli ze sobą małego Karolka Flinta, siostrzeńca Tomasza, dziecko spokojne, prawie smutne, o wielkich oczach jelonka i urodzie delikatnej i chorowitej. Zofia kochała go jak własnego syna i po części mogłam ją zrozumieć. Widziała w nim dwóch zmarłych własnych synków, Leopolda i Stamforda, i przelała na niego całe niezaspokojone uczucie bolejącej matki.

A jednak niektórzy, na przykład mój mąż, widzieli w tym chorobliwy przejaw psychicznego załamania, brak całkowitej akceptacji woli bożej i rzeczywistości. No cóż, łatwo nam, którzy nie przeżyliśmy takiego wstrząsu, opiniować i osądzać.

Serce ścisnęło mi się na widok tej męki, bowiem Zofia starała się tłumić w sobie porwy rozpacz i depresji, ale ja widziałam je doskonale, ponieważ pamiętałam ją całkiem inną. Orient zniszczył moją Zofię i odebrał jej radość życia. Zniszczył ją psychicznie i fizycznie, więc podświadomie winiłam za to Tomasza. To przecież on wywiózł ją tak daleko, oddzielił od rodziny, więc nie mogliśmy jej pomóc, a teraz było już za późno.

Śmierć sir Rafflesa wszystkimi nami wstrząsnęła do głębi. Było to tak nagłe i niespodziewane wydarzenie, taki okrutny i bezwzględny cios, zadany dwu bezbronnym istotom, Zofii i Elli, że cała rodzina pospieszyła jak jeden mąż do High Wood, aby zaopiekować się nimi i nieść pociechę dwu sierotom.

Zofię zastałam w strasznym stanie. Nie mogła przez kilka dni mówić, zachodziła obawa, że w ogóle nie wypowie więcej ani słowa, jej ciało wydawało się kurczyć i kruszyć pod ciężarem potwornego ciosu. Zawsze wiedziałam, że wprawdzie kochała dzieci ponad wszystko, ale Tomasz był jej światem, był jej życiem, bowiem nie chciała innego.

Po pogrzebie zaprowadziłam ją na górę do sypialni, gdzie rozplotłam jej długie warkocze i rozrzuciłam te piękne włosy na jej stale śliczne ramiona. Narzekała cały dzień na ich ciężar i rzeczywiście westchnęła z ulgą.

Na wielkim, małżeńskim łożu wyglądała jak maleńka lalka, przybrana w czarne koronki i wstążki. Ponieważ patrzyłam na nią w milczeniu, ponieważ nie wiedziałam, w jaki sposób pocieszyć ją w tym niewypowiedzianym bólu, uśmiechnęła się do mnie smutno i pogłaskała moją

dłoń.

– Droga, droga Alice. Zawsze uważająca, zawsze dyplomatyczna w zachowaniu. Proszę, przyprowadź do mnie Ellę. Chcę ją zobaczyć i ucałować. Musi odczuć, że nie jest sama, że stale ma czuwającą nad nią matkę.

Kiedy wróciłam po kilku minutach wraz z dzieckiem, Zofia siedziała w gotowalni z nożyczkami w ręku. Na dywanie spoczywały długie, jedwabiste smugi jej kasztanowych włosów. Te cudowne sploty, które od dzieciństwa były jej dumą i radością, leżały jak martwe istoty u jej stóp.

– Mamo! – zawołała Ella i przyłożyła rączki do ust. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana we wspaniałe tropy i oczy jej rozszerzyły się strachem. – Co ty zrobiłaś, dlaczego?

Usta dziecka zadrżały, złożone w podkówkę do płaczu, więc porwałam ją na ręce i wyniosłam do drugiego pokoju. Kiedy wróciłam, pozostawiwszy ją pod opieką madame Grimes, Zofia leżała wyciągnięta sztywno na łóżku, z dłońmi złożonymi na piersiach i sama wyglądała jak nieboszczka.

– Tomasz lubił się nimi bawić. Nawijał je na palce i tulił w nie twarz. Po co mi one, teraz już niepotrzebne.

Nie powiedziałam ani słowa. Na dole w salonie trwało przyjęcie dla uczestników pogrzebu. Czasem nawet dochodził śmiech. Zerkałam przestraszona na Zofię, niepewna, jak na to zareaguje. Ale ona leżała spokojnie, a w końcu z westchnieniem szepnęła:

– Od dziś takie będzie moje życie. Będzie się toczyć gdzieś koło mnie, gdzieś w pewnym oddaleniu i czasem dojdą mnie jego dźwięki, nawet śmiech. Alice, podaj mi lusterko, muszę zejść do gości.

– Nie, nie musisz. Wszyscy zrozumieją, jeśli dziś nie wypełnisz obowiązków pani domu.

Zofia potrząsnęła tylko głową i przeszła do gotowalni. Po chwili ukazała się w czarnym, wdowim czepku. Jej krótkie, chłopięco ostrzyżone włosy zniknęły pod koronką materiału.

– Pójdziemy – powiedziała i ciężko oparła się na moim ramieniu. – Ale najpierw muszę porozmawiać z Ellą.

Od tego dnia matka i córka stały się nierozłączne. Nawet, kiedy Ella osiągnęła wiek szkolny, Zofia nie potrafiła się z nią rozstać. Najmowała guwernantki i nauczycieli, a ponieważ Ella była wyjątkowo zdolna i pojętna, czyniła więc wspaniałe postępy. Tyle że samotność i nieustanne towarzystwo żałobnej matki wpłynęły na jej charakter i naturę. Stała się małomówna, niezwykle nieśmiała i chłodna. A w każdym razie nie okazywała swoich uczuć. Nie umiała się niczym cieszyć z entuzjazmem małego dziecka. Wszelkie przejawy trzpiotowości, typowej dziecięcej beztroski, którą tak często obserwowaliśmy w Karolku, przyjmowała z widocznym zgorszeniem. W wieku kilku lat była starą osobą.

Moja siostra nie potrafiła mieszkać długo w jednym miejscu. Wprawdzie High Wood stał się jej główną siedzibą, ale co kilka miesięcy opuszczała go dla mieszkania w Londynie na Lower Grosvenor Street lub przemieszczała się pomiędzy moim domostwem, domem rodziców i moich żonatych braci. Zamieszkał w niej niespokojny duch, wydawała się czegoś szukać, za czymś biec i nie znajdowała celu tych wędrówek. Wszędzie towarzyszyła jej Ella, co zapewne nie wpływało dodatnio na dorastającą panienkę.

Karolek został umieszczony w kleryckiej szkole Hamstead i czynił duże postępy. Wczesną wiosną następnego roku odwiedziłam Zofię w Londynie i drzwi, miast pokojówki, otworzyła pulchna, niewysoka dama o srebrnych włosach. Ponieważ przedpokój był dość ciemny, więc nie widziałam zbyt dobrze jej twarzy. Na mój widok pani ta wydawała okrzyk radości i rzuciła mi się na szyję. Ze zdumieniem oddałam jej pocałunki, nie mając pojęcia, z kim

mam przyjemność.

Na to weszła Zofia, która klasnęła w ręce i zawołała:

– Więc pamiętasz, Alice, naszą kochaną Mary Ann, siostrę Tomasza?

Mary Ann, śliczna, młoda dziewczyna, która pojechała w ślady brata i spędziła wiele lat w Indonezji?! Ta starsza, tęga kobieta w głębokiej czerni? Widocznie moja twarz nie wyrażała zbyt mądrych myśli, bowiem obie panie poczęły się śmiać i poczciwa Mary Ann powiedziała szybko:

– Na wszystkich czynię takie piorunujące wrażenie. Niestety, tropik nie jest zbyt łaskawy dla młodych niewiast.

– Mary Ann, jakże się cieszę! Nie wiedziałam, że zastanę cię u Zofii. Wprawdzie wiedziałam o twym powrocie

– Tak, moje pierwsze kroki skierowałam do mojej siostry i przyjaciółki – przytaknęła madame Flint i ujęła mnie pod ramię. – Mamy sobie tyle do powiedzenia, droga Alice, przecież to ponad dziewięć lat, kiedy ostatni raz widziałam cię u twoich rodziców. Nic się nie zmieniłaś, zawsze elegancka i piękna!

– Chodźmy do salonu! – wołała Zofia z błyszczącymi radością oczami i przenosiła wzrok ze mnie na szwagierkę. – Oto mam wreszcie przy sobie dwie osoby najdroższe mi na świecie, prócz Elli Belli i rodziców! Dwie siostry!

Mary Ann zamieszkała u Zofii na okres nieograniczony. Przyjechała z Singapuru wraz z córeczką i podług słów Zofii, znajdowała się w ciężkiej sytuacji finansowej, z wieloma niespłaconymi długami.

Biedna Mary Ann, zawsze była pomocą i podporą tych, którzy tego potrzebowali. Nie liczyła się z kosztami ani środkami, gotowa do największych poświęceń i wyrzeczeń, a w tej chwili pozostała sama, właściwie bez środków do życia.

– Jakże to mogło się stać, wszak mąż powinien ją zaopatrzyć na wypadek nieszczęścia? – pytałam zdziwiona, ponieważ wydawało mi się, że kapitan Flint, oddany Kompanii i wieloletniej służbie, musiał poczynić pewne finansowe posunięcia, zabezpieczające jego rodzinę.

– Niestety, wszystko sprzyściło się przeciw Mary Ann, tym bardziej że jej mąż zmarł dość nagle na dyzenterię na wybrzeżu chińskim i nie pozostawił żadnego testamentu. Możesz sobie wyobrazić, jak trudno będzie wyegzekwować cokolwiek na taką odległość. Poza tym biurokracja Dalekiego Wschodu przechodzi jakiegokolwiek pojęcie w naszych tutaj warunkach, mogą więc minąć lata, zanim wdowa i dzieci cokolwiek ujrzą ze spuścizny ojca.

Pomimo niewątpliwego współczucia dla losu rodziny Flintów nie mogłam się wyzbyć pewnej, przyznaję, zazdrości o moją siostrę i jej uczucia w stosunku do szwagierki. Szczególnie nie akceptowałam do końca układu pomiędzy obiema paniami o małą osóbkę Karolka, którego miejsce, podług mnie, było z jego matką i siostrą.

Zawsze dziwiłam się tej sytuacji, sama będąc matką, bo jakże Mary Ann mogła, w pewnym sensie, wyrzec się syna na rzecz brata i bratowej i pozwolić na wychowywanie go w innym otoczeniu. Nigdy nie mogłabym pozbyć się dziecka, nawet za cenę dobrobytu i wygodnego życia. Ten problem zawsze stał pomiędzy mną a madame Flint i chyba dlatego tak do końca nie przepadałyśmy za sobą.

A przecież Zofia przez całe życie traktowała Karola jak własnego syna, a on zapewne uważał ją bardziej za matkę niż ciotkę. Świadczy to nadzwyczajnie o Zofii, ale czy równie wspaniale o Mary Ann? Nie wiem i ponieważ nigdy nie byłam w stanie zrozumieć tych układów, nie próbowałam nawet zbyt drobiazgowo ich analizować.

Przypuszczalnie moja siostra zdawała sobie sprawę z mojej dezaprobaty, bo nigdy nie

poruszyła bliżej tej sprawy. W każdym razie Karol stał się nieodstępną, wielką częścią jej życia i najczulszym bratem Elli. I w końcu przyszedł czas, że wkroczył w moje życie. Ale do tego było jeszcze daleko.

\*

Zofia podróżowała kilkanaście razy w ciągu roku. Niespokojny duch gnał ją od miejsca do miejsca, nigdzie nie była jednak w pełni szczęśliwa i zawsze, kiedy wracała do domu, twierdziła, że tu jest jej najlepiej. Boże Narodzenie spędziła w Nuneham Courtney, w pobliżu Oxfordu, z lordem i lady Harcourt, którzy byli dobrymi znajomymi Tomasza. Później, na wiosnę wybrała się do Brighton i w lecie do St. Leonards-on-Sea.

Tymczasem Mary Ann wyjechała na jakiś czas do rodziny w Irlandii, skąd poczęła prowadzić rozmowy o dzierżawę niewielkiej posiadłości w Blois we Francji. Poradzono jej bowiem, aby ze względu na finanse przenieśli się na Kontynent, gdzie koszty życia miały być niższe niż w Anglii.

Bez szczególnego zdziwienia przyjął po pewnym czasie wiadomość, że Zofia również planuje zamieszkać w Europie. Nie wątpiłam ani na chwilę, że jest to wpływ Mary Ann, która nie chciała być sama i usilnie namawiała moją siostrę do tego przedsięwzięcia. Oboje z moim mężem byliśmy temu serdecznie przeciwni, ponieważ nie chcieliśmy dopuścić do powtórnego oddalenia się Zofii i dzieci od nas, ale przede wszystkim wchodziło w grę wątle zdrowie Zofii i Elli.

Moim zdaniem, żadna z nich nie nadawała się do życia w odosobnieniu od rodziny.

Jednakże Mary Ann miała nieprzeparty wpływ na Zofię i jakiegokolwiek tłumaczenie z mej strony przyjmowane było wrogo.

– Doprawdy, Alice, twoja zazdrość o biedną Mary Ann przekracza wszelkie granice zdrowego rozsądku! – wybuchła pewnego razu Zofia. – Zupełnie nie znasz mojego życia w Oriencie i wszelkiego dobra, jakiego zaznałam od tej wspaniałej kobiety! Jesteś w stosunku do niej niesprawiedliwa i przewrażliwiona, i zawsze doszukujesz się jakiejś zasadki!

– Nie przeczę, że Mary Ann okazała ci wiele serca. Lecz przecież spłaciłaś to tysiącrotnie, chociażby przez opiekę i łożenie na szkołę Karolka.

– W tej chwili zamilcz! To była decyzja mego najdroższego męża i nie pozwolę na najmniejszą krytykę jego posunięć. Tym bardziej w stosunku do jego własnej rodziny!

– Zofio, jesteś niesprawiedliwa, przesuwasz rozmowę w innym kierunku, gdy tymczasem ja chcę tylko twego dobra. Nie wyobrażam sobie ciebie znowu tak daleko ode mnie! Może jestem egoistyczną siostrą, ale nie miałam cię przy sobie tyle lat, że teraz każdy dzień cenię na wagę złota.

Zofia rzuciła mi się na szyję i pogodziłyśmy się obie we łzach, ale jej decyzja była nieodwołalna. Wiosną 1831 roku wyjechała z Ellą, Karolem i jego guwernerem na Kontynent i rozpoczęła swą niekończącą się peregrynację po całej Europie. Chłopiec mówił płynnie po niemiecku i francusku, prócz tego znał łacinę i grekę, cytował klasyków i rozumiał się na architekturze i historii. Ella nie miała nauczycielki i z braku środków, podług Zofii, moja siostra uczyła ją sama. Pozostawiam te smutne fakty bez dalszego komentarza.

W Genewie Zofia poznała madame de Steal, synową ekscentrycznej i dość niemoralnej pisarki, i zatrzymała się na pewien czas w jej pałacu.

W Rzymie zawarła prawdziwie wspaniałą przyjaźń z pruskim baronostwem Bunsen, która przetrwała aż do jej śmierci. Tę znajomość aprobowałam całym sercem, ponieważ szczególnie baronowa Frances, z domu Waddington, okazała jej niezwykle dużo serca i oddania.

W międzyczasie Zofia poprosiła mego męża o zajęcie się sprzedażą High Wood, który stał od dwu lat pusty i niezamieszkały. Pomimo natychmiastowego wystawienia go na rynek nieruchomości nie zjawił się ani jeden zainteresowany klient. Gryźliśmy się oboje z mężem tym



stanem rzeczy, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę z opłakanego stanu finansów mojej siostry.

Dopiero po trzech latach zobaczyłam Zofię znowu.

Przyjechały z Paryża, wytworne, takie bardzo europejskie i wyglądały obie cudownie. Zofia dochodziła pięćdziesięciu lat, ale w tej chwili wyglądała na trzydzieści. Ubrana była w podróżną pelerynę, podbitą sobolami – ponieważ jesień była wyjątkowo dżdżysta i zimna tego roku, na głowie nosiła prześliczny kapelusz z czaplim piórem, w dłoni sobolową mufkę. Ale najwspanialsze wrażenie czyniła Ella, piętnastoletnia, dojrzewająca panienka, o cudownym, delikatnym profilu i jasnokasztanowych, miękkich jak jedwab włosach. Była szczupłą, niewysoką, ale niezwykle zgrabną i delikatnie zbudowaną. Za kilka lat okazała się skończoną piękną. Zofia śmiała się, iż w Genewie i Paryżu oświadczyło się o nią kilku znamienitych młodzieńców, którzy obiecali czekać na jej pełnoletniość.

Niestety, natura Elli nie uległa szczególnej zmianie. Nadal była małomówna, jakaś senna i obojętna. Niczego specjalnie nie kochała ani nie umiała się niczym długo interesować. Jedynie ożywiała się, słuchając matki, grającej często na pianinie. Zofia grała olśniewająco, z wielkim przejęciem i gracją. Przypuszczam, że gdyby jej życie potoczyło się inaczej, mogłaby zostać znaną pianistką wirtuozką.

Zawieźliśmy je obie przed świętami Bożego Narodzenia do mamy, do Cheltenham, gdzie Zofia postanowiła się jakiś czas zatrzymać.

Zdrowie mamy i naszej najmłodszej, niezamężnej siostry Emily pozostawiało dużo do życzenia. Obie zastałyśmy w łózkach – mamę bardzo słabą i przygnębioną, Emily, jak zwykle, ze wszystkiego niezadowoloną i kwaśną jak stare jabłko. Na widok dawno niewidzianej Zofii moja siostra zawołała:

– Wreszcie! Mogłyśmy już tu obie umrzeć, zanim przypomniałybyś sobie o rodzinie!

Łzy zakreśliły się w oczach Zofii, ale pomimo tej przykrości uściskała siostrę i komplementowała jej nocny negliż. Emily zawsze była próżna i łasa na komplementy, więc nieco się rozchmurzyła i prosiła nas siadać koło łóżka na małych taboretach.

Ubrana była w koronkowy, różowy czepek i takąż pelerynkę, zarzucaną na ramiona i związaną na atlasową kokardę. Wyglądała nieco jak wyrośnięte niemowlę, ale Emily zawsze wykazywała dużą infantylną w każdym aspekcie życia. Zapewne dlatego *maman* trzymała ją całe życie przy sobie i nie pozwoliła jej wyjść za mąż. „Przecież to takie dziecko!”, mawiała o trzydziestoletniej kobiecie i jeszcze utwierdzała ją w tym mniemaniu.

Emily była rozkapryszona i chimeryczna. Na dłuższą metę trudno było z nią wytrzymać, więc nieco dziwiłam się Zofii, że postanowiła się poświęcić pielęgnowaniu tej histeryczki. *Maman* popłakała się na widok najstarszej córki i długo nie mogła wypuścić jej z objęć. Wprawdzie każda chora leżała w swoim pokoju, ale komunikowały się pomiędzy sobą za pomocą liścików i stukania w podłogę. Miały już pewne umowne znaki i sygnały i przez następne kilka dni słyszeliśmy co chwila głucho stukania, jakby odgłos tam-tamów z murzyńskiej wioski, dochodzące z pokojów obu chorych.

Od lekarza domowego, poczciwego doktora Webera, dowiedzieliśmy się, że *maman* zapadła na płuca, zaś Emily na zapalenie wątroby. Rzeczywiście, mama kaszlała, szczególnie w nocy, i pomimo naszych usilnych starań czuła się coraz gorzej. Zofia spędzała z nią każdą wolną chwilę, a gdy mama czuła się nieco silniejsza, sadzała ją w fotelu w salonie i całymi godzinami grała dla niej na harfie lub pianinie. Czasem akompaniowała jej Ella, którą mama uwielbiała, i to właśnie ona nadała jej przezwisko Bella.

Pozostałyśmy w końcu same, kobiety, ponieważ mój mąż musiał wracać do swych obowiązków w armii.

Pomagałam Zofii w układaniu i porządkowaniu papierów, przygotowanych do druku

i dwu woluminów dzieła sir Rafflesa pod tytułem *Historia Jawy*, oraz jego *Memuarów* z jej dopiskami i komentarzami. Stanowiło to jej najukochańsze zajęcie, ponieważ wydawało się jej, że towarzyszy jej w tym zmarły Tomasz.

Lubiła opowiadać mi o ich życiu w Indonezji i Malajach i niezwykle żałowała, że jeszcze przed wyjazdem do Europy odprawiła po wielu latach wiernego Rana Dipurę, dla którego w jej domu nie było już odpowiedniego stanowiska. Rana Dipura otrzymał od niej wspaniałe referencje i podobno zatrudnił się w służbie księcia Montegood jako jego nauczyciel i tłumacz języków Malajów i Indii.

Kiedy pozostawiłam je po dwu miesiącach same, mama wydawała się silniejsza i dobrej myśli.

Ostatni raz, kiedy ją widziałam, ubrana była w czarny kaszmirowy szal i czarną suknię, ponieważ od śmierci ojca nie wkładała innego koloru. Siedziała w salonie z robótką w ręce i zimowe słońce oświetlało jej drogą głowę łagodnym, chłodnym promieniem.

– Moja Alice – powiedziała na mój widok. – Niechże uścisknę cię jeszcze raz. Ty i Zofia byłyście zawsze dobrymi córkami. Niech Bóg błogosławi cię, moje dziecko, co i ja czynię, bowiem wydaje mi się, że już cię więcej nie zobaczę.

– Mamo, co też mama mówi. Spodziewajcie się nas na Boże Narodzenie, a mama tymczasem niech nabierze sił do jej ulubionych świąt.

A jednak stało się inaczej. Przed samymi świętami rozchorowałam się ciężko i nie wstawałam z łóżka przez następne kilka tygodni. Potem nastąpiła długa rekonwalescencja, którą lekarz zalecił mi w Brighton, i tam zastała mnie wieść o śmierci mamy.

Tak więc miała słuszność, twierdząc, iż już się nie zobaczymy na tym świecie.

Zofia pozostała nadal w Cheltenham, ponieważ Emily zapadła po śmierci mamy na depresję i nie można było spuszczać jej z oka. Prawie zupełnie nie sypiała nocami i chodziła po całym domu, wołając mamę i ojca. Wydawało się jej, że znowu jest małą dziewczynką i domagała się niańki.

Nie wiem, jak Zofia mogła to wszystko znieść. Przy tym zajęła się sprawami majątkowymi Mary Ann Flint, która postanowiła wrócić do Londynu z francuskiego Blois, wraz z dorastającą córką Zofią, ponieważ w ostatnich miesiącach jej zdrowie uległo pogorszeniu. Na szczęście, po przyjeździe zatrzymały się na krótko w High Wood, ponieważ Mary Ann otrzymała zaproszenie od swej przyjaciółki z dawnych lat, starej panny miss Bunbury, która równocześnie zgodziła się dawać korepetycje Zofii.

Do dzisiaj nie pojmuję układu o Karolka pomiędzy moją siostrą a madame Flint. Chłopiec przez wszystkie lata, aż do śmierci Zofii, był właściwie na jej utrzymaniu i pod jej kuratelą. Jego wykształcenie wynosiło niebagatelną sumę trzystu pięćdziesięciu do czterystu funtów szterlingów rocznie.

Zofia opłacała jego nauczycieli prywatnych, a później szkoły, w których studiował. Kiedy Karolek zapisał się do Trinity College w Cambridge, Zofia płaciła za jego studia, internat i podręczniki. Na pewno była to duża suma, ponieważ nigdy nie powiedziała mi otwarcie, ile musiała na to przeznaczyć dochodów.

Beztraska jego matki zadziwiała mnie i gniewała. Mary Ann na pewno zdawała sobie dobrze sprawę z tarapatów finansowych mojej siostry, a jednak nigdy nie zaproponowała jej choć opłacenia połowy studiów syna.

W rok po śmierci mamy, latem 1837 roku, odwiedziłam Zofię w jej majątku High Wood. Zawsze lubiłam ten piękny, elegancki biały dom o francuskim kolorycie, otoczony starym i cienistym parkiem. Rano, zaraz po śniadaniu, siadałyśmy na tarasie z robótką w rękę, a młodzi, to znaczy Ella, siedemnastoletnia Zofia Flint i Karolek, wtedy dorastający piętnastoletni

wyrostek, oraz moja córka Jenny grali w tenisa lub krykieta na trawniku przed tarasem.

Zofia wyglądała nieco lepiej. Jej bladą, szczupłą twarz pokrywał brzoskwinowy, delikatny rumieniec, oczy błyszczały zdrowym blaskiem i częściej niż zwykle śmiała się i żartowała.

– Wiesz – mówiła ożywiona – wybieram się we wrześniu wraz z Ellą na Wyspę Wright w odwiedziny do przyjaciół. Tamtejszy pasterski, sielski krajobraz wspaniale uspokaja moje nerwy, a i Ella czuje się tam znakomicie, udając z powodzeniem pasterkę krów i baranów.

– Cieszę się, że planujesz odpoczynek, Zofio. Ja zapewne w tym czasie pojadę do Emily, która wprawdzie czuje się ostatnio dobrze i jak zapewnia doktor Webber, nie ma niebezpieczeństwa powrotu tych okropnych depresji, ale myśląc o niej, czuję zawsze niepokój. Od dzieciństwa jej psychika była najsłabsza z całego naszego rodzeństwa, więc ktoś musi nad nią nieustannie czuwać.

Przez chwilę milczyliśmy, każda zatopiona we własnych myślach, zagłębione w marzenia, tego miodowego, pachnącego popołudnia.

– Czy zauważyłaś przyjaźń pomiędzy Jenny i Karolkiem? – zapytała nagle Zofia. – Spędzają ze sobą bardzo wiele czasu, a Karolek pomimo młodego wieku w stosunku do twej córki okazuje niezwykłą rycerskość i opiekuńczość.

– Ach, co za niedorzeczność! – zawołałam zaniepokojona. – Przecież to jeszcze dzieci!

– Dzieci szybko dojrzewają – odparła z uśmiechem Zofia. – Dlaczego mam wrażenie, iż jesteś z tego niezadowolona?

– Ja, niezadowolona? Doprawdy, Zofio, czasem doszukujesz się tego, czego nie ma! – Złożyłam zagniewana robótkę i szybko przesłam na inny temat. A jednak Zofia miała chyba rację. Po kolacji, usiadłam cicho przy oknie w moim pokoju i zamyśliłam się głęboko. Karol wyrastał na pięknego, choć nieco słabowitego młodzieńca. Miał tę delikatną, arystokratyczną urodę pańskich, wypielęgowanych dzieci i psychikę zrównoważonego, spokojnego filozofa.

Moja Jenny tryskała energią, śmiała się bezustannie, jej drobna twarzyczka, pełna piegów i rumiana jak jabłuszko, stanowiła kontrast z księżycową urodą Karolka. Także psychicznie była całkiem inna. Otwarta, szczodroblowa i rozgadana, zawsze wodziła rej w grupie naszych dzieci. Właśnie ją było słyhać pierwszą na dziedzińcu zabaw lub w parku, a ponieważ była niezwykle odważna, więc prowadziła w sportach i jeździe konno.

Ten radosny, nieco hałaśliwy charakter odziedziczyła po ojcu, który w dzieciństwie wychowywał ją jak chłopca.

Ella Bella wyrastała na typową panienkę z dobrego domu, grała na fortepianie, bała się myszy i deklamowała poezje lorda Byrona. Jenny w tym czasie wolała grać w piłkę, obserwować ptaki w lesie lub kąpać się w jeziorze. Sprawiała też nieustannie psikusy i żarty biednej Elli, wrzucając jej do łóżka żabę albo strasząc słoikiem pełnym gąsienic.

Karolek brylował pomiędzy tymi dwiema panienkami, nie bardzo zdecydowany, której wpływowi poddać się bardziej. Ella była dla niego siostrą, bliższą od rodzonej, Zofii, tym bardziej że Zofia miała już siedemnaście lat i patrzyła na dzieci z góry, jako osoba dorosła i dopuszczana do towarzystwa starszych. Tego roku jesienią Mary Ann postanowiła udać się z nią na bal debutantek w Londynie, który obecnością zwykle zaszczycała królowa Adelajda.

Nie dopuszczałam nawet myśli, aby moja Jenny, to świergotliwe dziecko, mogła być obiektem romantycznych zabiegów, do tego Karolka! Nie, niepodobna, toż to był nieśmiały, czuły i dziecinny jeszcze chłopczyna!

A jednak matczyną intuicją rozumiałam, że w uwadze Zofii leży nieco prawdy, bo faktycznie Karol i Jenny często przebywali razem, ich dwie główki, czarna i jasna, pochylone poufale nad jakimś chrabąszczem czy trawką, chichoczący i rzucający sobie tylko rozumiały

spojrzenia, sprawiali wrażenie dwu konspiratorów w całkowitej harmonii.

Lato przechodziło leniwe, uroczne, czasem zamglone lub burzowe, ale pachnące sianem i kwieciami pobliskich łąk i lasów.

Pewnego dnia siedziałam, jak zwykle pod wieczór, w oknie mej sypialni i pisałam listy do męża i Emily, która nagle znowu poczuła się gorzej i prosiła, abym do niej przyjechała na jesieni. Postanowiłam jechać we wrześniu, wtedy, kiedy Zofia przebywać będzie na Wyspie Wright.

Z roztargnieniem wyjrzałam przez otwarte okno, ponieważ wydało mi się, że idzie burza i słyszę pomruki dalekich grzmotów. Przez okna sypialni wzrok biegł daleko, poprzez trawniki i klomby ogrodu, dalej w cień dębowego zagajnika i po jego drugiej stronie, na łąki, prowadzące do pobliskiego stawu. Właśnie na tym stawie kołysała się łódka, w której siedziały dwie osoby. Z tej odległości trudno było rozróżnić postaci, ale po słomkowym kapeluszu poznałam natychmiast Karolka, a po żółtej sukience moją córkę.

Karolek zapewne wiosłował, ale właśnie podniósł się i nachylił nad Jenny, zakrywając ją na chwilę przed moim wzrokiem. Głuptasy, jeszcze się przewrócą, mruknęłam do siebie i już uczyniłam ruch, aby złożyć dłonie w trąbkę i spróbować do niech zawołać, gdy ich postawa przykuła moją uwagę. Karolek uniósł Jenny pod ramiona i mając jej twarzyczkę na wysokości swej twarzy, przylgnął do niej całym ciałem.

Ich głowy zetknęły się i trwały w tym położeniu tak długo, tak długo, iż nie miałam najmniejszej wątpliwości, co było celem tego zbliżenia. Biały, sportowy surdut Karola i szeroka spódnica Jenny zlały się w niewyraźną plamę, jego ramiona objęły jej wątłą kibić i... Nie do wiary! Odskokczyłam od okna z mocno bijącym sercem, spłoniona i zadyszana, jakby przyłapaną na gorącym uczynku! Boże, co mam uczynić? Co powiedziałyby na to mój mąż?!

Przyłożyłam dłoń do szaleńczo bijącego serca i odetchnęłam głęboko kilka razy. Natychmiast musiałam wyrwać stąd Jenny! Za wszelką cenę nie mogłyśmy pozostać tu ani dnia dłużej!

Nagle uświadomiłam sobie, że nie akceptuję nie tylko jakiegokolwiek związku Jenny z jakimkolwiek młodzieńcem, ale z Karolkiem przede wszystkim!

Moja uraza do Mary Ann powróciła nagle z podwójną siłą i przerzuciła się na jej, Bogu ducha winnego, syna. Wiedziałam, że nie jestem sprawiedliwa, ale niewiele sobie z tego robiłam.

Poczęłam się gorączkowo pakować, od czasu do czasu rzucając przerażone spojrzenia na staw. Młodzi popłynęli tymczasem do brzegu i zakryły ich szuwary i tataraki. Spojrzałam na zegar. Kiedy wrócą, jak mam się zachować, czy coś powiedzieć, czy skarcić córkę i zagrozić jej gniewem ojca?

Wieczór włókł się nieznośnie i kiedy w końcu usłyszałam na dole, w hallu śmiech Jenny, zeszywniałam z oburzenia i najgorszych przeczuć. Zofia rozmawiała z nimi wesoło i pytała, jak udały się łódki. Zeszłam z grobową miną i natychmiast obwieściłam, że rano wyjeżdżamy. Cała trójka osłupiała na tę wiadomość, ale ja przybrałam jedną z moich groźnych, pełnych lodu i dezaprobaty min i Jenny potulnie, nie pytając o nic, poszła za mną do swego pokoju. Rozkazałam jej pakować walizy, sama zaś oczekiwałam Zofii, bo nie wątpiłam, że przyjdzie pytać o przyczynę tego nagłego wyjazdu.

Otóż przyszła prawie natychmiast, z resztkami uśmiechu w kącikach ust i tymi błyszczącymi szczęściem oczami. Przecież od tygodni powtarzała, że najlepiej czuje się w gronie bliskiej rodziny.

– Alice, cóż się stało? Skąd ta nagła decyzja? Czy obraziłam cię lub otrzymałaś jaką niepomyślną wiadomość? Nie ukrywaj niczego przede mną, bo umieram z niepokoju! A może to Emily, mój Boże, pewnie Emily!

– Zofio, twój podopieczny Karol zachował się w stosunku do mojej córki niedopuszczalnie. Widziałam na własne oczy! Nie mogę tu pozostać ani dnia dłużej. Muszę uprzedzić nadchodzące nieszczęście.

– Dobry Panie! Co takiego zaszło pomiędzy tymi dziećmi! Nie wierzę, aby było to coś tak strasznego i zasługującego na twą ucieczkę!

– Jeżeli uciekam, to tylko przed dalszymi następstwami i być może konsekwencjami zachowania Karola!

Drżałam cała z oburzenia, więc Zofia objęła mnie ramieniem i posadziła na skraju łóżka.

– Alice, uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei. Nie wierzę w winę Karolka. To dobry i szlachetny chłopiec.

– Zawsze miałaś do niego dziwną słabość! To nawet nie twój krewny! Poświęcasz mu więcej czasu i pieniędzy niż własnej córce!

– Alice! Nie mogę tego słuchać! Chodzi o rodzinę mego ukochanego Tomasza!

– Właśnie, zawsze była i jest ważniejsza od twojej własnej!

– Nic podobnego i proszę, nie używaj tego słowa „zawsze”. Ono naprawdę nic nie znaczy!

– Mary Ann i Karolek, rodzina Flintów i madame Flint! Tylko o nich myślisz i im poświęcasz energię i uczucia. Tym... tym pijawkom!

– Alice! – Zofia zbladła śmiertelnie i położyła zaciśnięte dłonie na piersiach.

Wiedziałam, że siłą opanowuje się przed wybuchem gniewu. – Wydaje mi się, że powiedziałaś wszystko szczerze. Wyrzuciłaś z siebie żółć i piekącą zazdrość. Za to ja nie mam ci nic do powiedzenia. Rzeczywiście, będzie lepiej, jeśli rano odjedziesz. Powóz będzie czekał o dziewiątej, po śniadaniu.

Z lodowatym spokojem rzuciła mi ostatnie, długie spojrzenie i cicho zamknęła za sobą drzwi. Nie widziałam mojej siostry przez następne trzy lata.

\*

Czas spędzony z Emily nie przyniósł mi ukojenia, przeciwnie, byłam coraz bardziej niespokojna i niezadowolona z samej siebie. Jenny z płaczem wyznała miłość do Karola, a kiedy powiedziałam jej, że widziałam ich wtedy na łódce, zamrugła tylko powiekami i szepnęła:

– Ależ mamu, on mnie tylko pocałował.

Załamalam ręce i nie wiedziałam, co dalej czynić. Mężowi nie powiedziałam nic, musiałam na razie przetrwać wszystko w sobie.

Po tygodniu Jenny przyszła do mojej sypialni, blada, z podkrążonymi oczami i powiedziała:

– Mamu, chciałabym wyjechać na pensję do madame Frontadge w Plymouth. Tak będzie najlepiej.

– Ojciec nigdy się na to nie zgodzi!

– Ojciec czy ty?

– Jenny, posłuchaj mnie, nie chcę już wracać do tamtej sprawy. Przeszło i minęło, była to dziecinada, spowodowana upalnym, leniwym latem. Na pewno już zapomniałaś, więc nie krzyw się i nie chmurz.

– Nie, mamu, nie zapomniałam i nie zapomnę. Karol mnie kocha, wyznał mi miłość i powiedział, że się ze mną ożeni. I zobaczysz, że dotrzyma słowa!

– Oboje jesteście jeszcze dziećmi! To śmieszne, co mówisz.

– Przekonasz się za kilka lat, kto miał rację. A tymczasem chcę pójść na pensję madame Frontadge.

Jenny wyjechała w następnym tygodniu, ja zaś wybrałam się do Emily, bo i tak w Beechwood nie mogłam sobie znaleźć miejsca.

Zastałam Emily bardzo chorą, tak nerwową i płaczącą, że nie odstępowałam jej prawie wcale. Musiałam uważać na nią dniami i nocami, bo zrywała się z pościeli i biegła po domu w samej koszuli lub zamykała się w piwnicy, do której tylko klucznica miała klucze. Ja zaś wstydziłam się mieszać do tego służbę i ukrywałam przed nimi prawdziwy stan mojej biednej siostry. A jednak potem, już po jej śmierci, przekonałam się, że nie tylko służba, ale sąsiedzi i cała okolica była i tak doskonale poinformowana o jej chorobie.

Pewnej nocy wybiegła na balkon, na którym tyle lat wcześniej odbywał się ślub naszej Elżbiety, i widać owiał ją zimny, jesienny wiatr, ponieważ rano była już w gorączce i nie poznawała nikogo. Zmarła w dwa dni później, nie odzyskawszy przytomności. Tej nocy, spłakana i zmęczona śmiertelnymi przygotowaniem do pogrzebu i wysyłaniem powiadomień o jej odejściu, zasnęłam twardym, głębokim snem.

Otóż śniło mi się, że drzwi do mojej sypialni otworzyły się cicho i stanęła w nich Mary Ann Flint, ubrana w niebieską jedwabną suknię, tę samą, w której widziałam ją po raz pierwszy w domu moich rodziców na zaręczynowej uczcie Zofii. Sama dziwiłam się sobie, że pamiętam tę suknię ze wszystkimi szczegółami, tym bardziej że nie była ona ani szczególnie modna, ani ładna.

Mary Ann podeszła do mojego łóżka i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Alice, droga Alice – powiedziała łagodnie. – Przestań walczyć, ciesz się życiem i kochaj, zawsze kochaj, a będziesz szczęśliwa.

I wtedy przebudziłam się, dziwnie spokojna i pogodna. Do rana roztrząsałam znaczenie tych słów i nawet do śniadania zasiadłam pod ich wrażeniem. Myśl o Mary Ann nie opuszczała

mnie przy wykonywaniu wszystkich domowych czynności, aż koło południa przyjechał pocztylion z depeszą w rękę. Mary Ann umarła noc przed Emily, w obecności miss Bunbury i obojga dzieci, Zofii i Karolka. To właśnie on powiadomił mnie o śmierci matki.

Zaraz wysłałam przez posłańca list do mojej siostry, ponieważ wiedziałam, że przebywa już na Wyspie Wright. Odpisała mi natychmiast po otrzymaniu wieści, ale nie zdążyła ani na jeden, ani na drugi pogrzeb.

Za to po powrocie do High Wood rozpoczęła starania o sprzedaż niewielkiej posiadłości Flintów w Sinagpurze, którą Mary Ann przepisała w testamencie dzieciom. Moja siostra zabrała do High Wood Zofię Flint, gdyż Karol nadal kształcił się w Cambridge.

Powróciłam do Beechwood wyczerpana psychicznie i tak zmęczona, że pomimo otrzymania biletów wstępu na koronacyjne uroczystości naszej młodziutkiej królowej Wiktorii nie byłam w stanie z nich skorzystać. Ponieważ mój mąż nie chciał pojechać na tę ceremonię do Londynu beze mnie, przyszło mi do głowy, aby zaproponować bilety Zofii i Elli.

Rzeczywiście, obie przyjęły z wdzięcznością ten podarunek i jak później dowiedziałam się od Zofii, bawiły się znakomicie, tym bardziej że spotkały wiele znajomych i przyjaciół z dawnych czasów, gdy Tomasz jeszcze żył i był szalenie popularny w kołach dworskich.

Koronacja odbyła się z wielką pompą w Westminster Abbey, mała królowa wyglądała olśniewająco w diamentach, perłach i koronkach, ale i nasza Ella Bella zrobiła furorę w towarzystwie swą nieprzeciętną urodą i wdziękiem.

Mój prezent w postaci biletów przełamał milczenie pomiędzy mną a Zofią i najpierw poczęłyśmy do siebie częściej pisywać, a w końcu obie z Ellą i Zofią Flint przyjechały do nas w odwiedziny na trzy miesiące. Był to bardzo szczęśliwy okres w naszym siostrzanym współżyciu. Wydaje mi się, że śmierć Mary Ann przerwała tamę niedopowiedzeń i ukrytych żalów pomiędzy nami i wstyd przyznać, wymazała ostatnie ślady mojej zawiści i zazdrości.

Jednakże z niepokojem patrzyłam na młodą Zofię, która po śmierci matki poczęła wyraźnie niedomagać i moja siostra podejrzewała nawet suchoty. Śmierć Mary Ann wstrząsnęła tym młodym, bezbronnym organizmem i w końcu postanowiłyśmy umieścić ją w sanatorium w Blackheath.

Niespodzianie, bez zapowiedzenia, przyjechał do Beechwood Karol, w nadziei zobaczenia siostry przed jej wyjazdem i wprawdzie już Zofii nie zastał, tym niemniej pozostał z nami na kilka dni. Nie widziałam go ponad trzy lata i zdumiała mnie zmiana w jego fizjonomii i charakterze.

Przemienił się z nieśmiałego, delikatnego chłopca w młodego człowieka o być może melancholijnym, ale jakże uroczym usposobieniu, stał się elokwentny, szarmancki i niezwykle wytworny. Nosił się na czarno, w białym krawacie i wysokim kapeluszu, istny lord Byron w najlepszym guście. Recytował nam też wieczorami *Giaura* i *Podróże Child Harolda*, a prócz tego Keatsa *Do jesieni* i *Izabellę*.

Przywiózł ze sobą historyczną powieść z okresu panowania Ryszarda Lwie Serce pod tytułem *Ivanhoe* sir Waltera Scotta, którą czytywał nam wieczorami, w salonie przy kominku. Panny patrzyły w niego jak w obraz, a moja Jenny bladła i czerwieniała na przemian. Ta romantyczna, wspaniała lektura niewątpliwie sprzyjała atmosferze romansu i zachwytów.

Wiedziałam, że dziewczyna zakochała się w Karolu śmiertelnie, ale rzecz dziwna, nie odczuwałam tego zapiekłego sprzeciwu, jak kilka lat przedtem. Karol Flint był rzetelnym, poważnym młodzieńcem, przy którym moja córka nie miałaby wcale złego życia. Kończył studia teologiczne i podobno miał zapewnioną pracę w parafii hrabstwa Sussex.

Zacząłam patrzeć na ich związek zupełnie inaczej i pewnego dnia pomyślałam, że jeśli poprosi o rękę Jenny, nie będę się sprzeciwiać. Upewniłam się, co o tym sądzi mój mąż, który

jednak na razie począł drwić ze mnie, iż bawię się przedwcześnie w swatkę.

Z pewnym zdziwieniem przyjął wyjazd Karolka bez opowiedzenia się w tę czy drugą stronę. Jenny chodziła cicha i uśmiechnięta tajemniczo, więc czułam, że coś się niedługo wydarzy.



\*

Zofia natychmiast, po zakończonej wizycie w Beechwood, pojechała do rodziny Sumnersów w Farnham Castle.

Znała ich jeszcze z czasów jej podróży po Europie i spotkała ich bodajże w Genewie i stąd datowała się przyjaźń. Patriarchą i ojcem rodziny był niezwykle ceniony i ogólnie znany dla swych porywających kazań i świętobliwego duszpasterstwa biskup Winchesteru, Karol Ryszard Sumner, młodszy brat arcybiskupa Canterbury.

Wielebny biskup Sumner ożenił się z lokalną panną i miał z nią kilkoro dzieci. Przewodził z oddaniem i werwą ewangelickiej kongregacji i właśnie w czasie wizyty obu pań Raffles celebrował święcenia swego najstarszego syna Johna.

Oddam tu głos mojej siostrze, która tak opisała w liście pamiętne dni pobytu w gościnie u biskupa.

*Gdybyś mogła, droga Alice, spojrzeć na czterech synów Jego Ekscelencji Karola, natychmiast domyśliłabyś się, że pochodzą z tego samego pnia. Zupełnie przypominają ojca, zarówno w ruchach, w spojrzeniu i kolorycie oczu, i w końcu w wysokiej, barczystej i pełnej siły postawie. John, najstarszy z nich, jest też chyba najprzystojniejszy. Wysoki blondyn o jasnym wąsie i przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu, przypomina mi trochę ukochanego Tomasza, tyle że rysy jego nosa i czoła inne, drobniejsze, bardziej miękkie.*

*Bardzo dużo czasu spędza z Ellą. Wiesz, jaka ona potrafi być urocza, a tu tym bardziej, ponieważ czuje się jak w bliskiej rodzinie i stale wspomina wakacje w Europie. Podobno John plółł dla niej wtedy wianki z dzikich kwiatów i nazywał ją czarodziejką. Przecież to były dziecinne zabawy, a jednak pozostawiły jakiś głęboki, słodki ślad w sercu mojego Anioła, ponieważ teraz widzę, że jest mu niezwykle przychylna.*

*Z lady Sumner uzgodniłyśmy, że jeśli młodzi i biskup nie będą się sprzeciwiać, to naszym marzeniem byłoby połączenie tych dwojga świętym węzłem małżeńskim.*

*Jesteśmy tu dopiero od trzech dni, więc nie mogę narzucać szybkiego tempa, aby nie być posądzoną o prostactwo i wstydlawy pośpiech, ale Ella ma już osiemnaście lat i chciałabym zapewnić jej przyszłość. Pozostanie w rodzinnych stosunkach z Sumnerami było by mi bardzo w smak, ponieważ nie wydaje mi się, abym znalazła dla niej odpowiedniejszą i solidniejszą partię.*

I potem po następnych trzech dniach.

*Wszystko odbyło się tak szybko i łatwo, że jeszcze nie mogę całkiem ochłonąć. Pomimo że spodziewałam się takiej okoliczności, nadal pozostaję w dużym szoku. Dla matki jedynaczki jest to niezwykle, choć dobroczynne przeżycie.*

*John oświadczył się o rękę Elli wczoraj po kolacji. Siedzieliśmy wszyscy w salonie, a ja jak zwykle o tej porze grałam na fortepianie. Ella śpiewała kilka włoskich pieśni i arię Łucji z opery Donizzetiego i przyznaję, że tego wieczoru wypadła dobrze, choć na ogół jej głos, choć ładny, jest raczej słaby i nie nadaje się do dramatycznych, solowych popisów.*

*Otrzymała wielkie brawa, a John podszedł do mnie i zapytał, czy mogłabym poświęcić mu kilka minut. Przeszliśmy do mniejszego saloniku, gdzie panowie zwykle grali w karty i palili cygara. Tam czekał już na nas jego ojciec, biskup Karol i lady Sumner.*

*Czcigodny biskup zaprosił mnie siadać, a potem zapytał wprost:*

– Czy pozwoli pani, lady Raffles, że ośmielę się w imieniu mego syna poprosić o rękę pani córki?

*Wzruszenie dławilo mi krtani, gdy odparłam pozornie spokojnie:*

*– Nie będę się sprzeciwiać, o ile jest to wolą Elli.*

*– Wobec tego zapytamy ją natychmiast o zdanie – odparł biskup i skinął na żonę.*

*Ta po chwili wprowadziła zaplonioną Ellę, która naturalnie domyśliła się wszystkiego, i tym razem John padł przed nią na kolana i wygłosił oficjalną, lecz zawsze wzruszającą formułę:*

*– Czy zaszczyci mnie pani i uszczęśliwi, miss Raffles i zgodzi się zostać moją żoną?*

*Kochany mój Anioł dygnął nieśmiało i podał mu obie łapki tak wzruszającym, pełnym zaufania gestem, że wszyscy omal popłakaliśmy się ze wzruszenia. Potem młodzi pocałowali się skromnie, w czoło i policzki, zaś ja z lady Sumner uściskałyśmy się serdecznie. Szanowny biskup zawołał o szampana i resztę rodziny. Ella będzie tu kochana, ba, noszona na rękach.*

*Otrzymała pierścioneńkę zaręczynową, pamiątkę po babce Johna, diamenty i szafiry oprawione w białe złoto. Przepiękna robota, stara elegancja, ślicznie wygląda na jej wąskiej dłoni.*

Te znakomite wiadomości uradowały mnie niepomiernie, ponieważ sama będąc matką, rozumiem niepokój Zofii o los jej jedyne dziecko.

Toteż prawdziwym wstrząsem był dla mnie jej następny list, już z Beechwood, w którym donosiła mi o niespodzianym zasłabnięciu Elli. Natychmiast wezwany lekarz, świetny doktor Frederick Chambers, stwierdził pęknięcie naczynka krwionośnego w płucu i nakazał zupełny spokój i odpoczynek!

Nie mogę pojąć, jak to się stało, że tak nagle, młoda, zdrowa dziewczyna zapadła na niebezpieczną chorobę!

Biedna Zofia odchodziła od zmysłów. Pochowała troje dzieci i ta ostatnia istota, nazywana przez nią Aniołem, była dla niej wszystkim. Po siedmiu tygodniach wydawało się, że nastąpiła poprawa, więc pisała do mnie w jednym z częstych listów:

*Przez ten cały czas patrzę na to moje kochanie, na ten mój ostatni ziemski skarb, z drżeniem serca i łzami w oczach.*

*Od lekarzy otrzymujemy pomyślne wieści i diagnozy, ale Ella jest nadal taka bardzo słaba! Gorączka ustąpiła, lecz kaszel nadal męczy ją, szczególnie nocami. Prawie wcale nie śpi i wtedy czytam jej Waltera Scotta i Byrona. Doktor Chambers uważa, że powinnam wywieźć ją nad morze. Na pewno to uczynię, kiedy tylko poczuje się silniejsza.*

Przed samymi świętami Wielkanocy przyjechał do High Wood John Sumner z jednym z młodszych braci. Ella ożywiła się na widok narzeczonego, a nawet rozpoczęli planować ślub, który miał się odbyć latem tego roku.

Zofia siadywała przy nich ze ściśniętym złymi przeczuciami sercem, ale nie przeszkadzała młodym w ich marzeniach, ponieważ widziała, że działają one kojąco na córkę.

Z pomocą obu młodzieńców przewiozła Ellę do St. Leonards-on-Sea, do pensjonatu prowadzonego przez zakonnice na Marinie, z cudnym widokiem na morze i plażę.

Przez kilka dni Ella wydawała się ożywioną, nawet wesołą. Poczęła wychodzić na niedalekie spacerki, czasem jeździła z Johnem dwukółką na pobliskie wydmy i malowała delikatne, miniaturowe akwarele. Kiedy nie czuła się na siłach spacerować, John brał ją jak dziecko na ręce i nosił po promenadzie. Szybko stali się ulubieńcami kurortu i wszyscy znali ich i patrzyli ze współczuciem na tych dwoje pięknych, młodych i tak bardzo zakochanych, i na nią, wędnącą jak egzotyczny kwiat, w jego silnych ramionach.

Niestety, z początkiem maja nastąpiło w nocy pogorszenie. Elli brakowało powietrza, skarżyła się na duszności i zawroty głowy.

Natychmiast posłano po doktora Chambersa i Johna. Zofia nie odstępowała łóżka córki i na siłę musiano ją odciągać na czas posiłków. Ella wyglądała strasznie. Wychudła jak szkielet,

powleczone przezroczyście, żółtawą skórą, przypominała zaszuszone mumie staroegipskie.

Zginęła bezpowrotnie jej wspaniała uroda, lśniące oczy i jedwabiste loki. Jej matowe, wyblakłe włosy okalały twarz męczennicy zlepionymi potem kosmykami, sine plamy na twarzy i rękach nadawały jej wyraz pośmiertnej maski. Dwa dni przed śmiercią przestała się odzywać, choć rozpoznawała obecnych i wodziła za nimi pytającym, jakby zdumionym spojrzeniem.

W nocy piątego maja nastąpiła agonia. Zofia zemdlała, więc odniesiono ją do przyległego pokoju. Przy łożu umierającej czuwał lekarz, pielęgniarka, Ann Clifford i John. O piątej trzydzieści rano tego mglistego, deszczowego dnia Ella oddała ducha Panu. Przed samym zgonem, otworzywszy przytomnie oczy, rozglądnęła się po pokoju i zapytała czystym głosem: „Gdzie jest mama?” – i skoła. Miała tylko dziewiętnaście lat.

Wraz z jej śmiercią Zofia została sama. Zginął ostatni ślad na ziemi jej wielkiego uczucia do Tomasza Rafflesa. Pękło ostatnie ogniwo łączące ją ze wspomnieniami i latami małżeństwa z jej największą, niepowtarzalną miłością.

Przez cały tydzień ciało Elli spoczywało w trumnie w pokoju, w którym umarła. Oczekiwano na przybycie Zofii i Karola Flintów, jedynych kuzynostwa, którzy zastępowali zmarłej rodzeństwo. Moja siostra czuwała przy trumnie dniami i nocami, skamieniała jak posąg rozpacz i smutku, nie przyjmując pokarmów ani nawet wody.

Zachodziła obawa o jej życie, ale żelaznym wysiłkiem woli wytrzymała te tortury psychiczne i dwunastego maja pochowała Ellę w obecności celebrującego mszę żałobną biskupa Sumner, jego żony i synów, wielbego Samuela Wilberforce’a, wikariusza Winchester, późniejszego biskupa Oxfordu i członków naszej rodziny.

Przed wyniesieniem trumny, stojącej w pokoju zmarłej odbyło się wspólne śniadanie w jadalni pensjonatu, do którego usługiwały nowicjuszeki zakonne w białych welonach i habitach, wszystkie takie młode, świeże, że na myśl przysłała mi nasza kochana Ella i nie mogłam powstrzymać się od płaczu.

Przez otwarte okna wpadał potężny szum pobliskiego morza, raz bliższy, raz dalszy i mimowolnie wszyscy wsłuchiwalismy się w ten monotony, nieustanny dźwięk, symbol trwania, przepływu czasu i zmienności rzeczy. Właściwie nikt się nie odzywał. Nikt nie próbował nawiązać rozmowy. Jedliśmy w zupełnym milczeniu, z oczami wbitymi w talerze.

Po śniadaniu przeszliśmy do salonu, gdzie usłużne zakonnice ustawiły klęczniki i modlitewniki dla zmówienia modlitw pogrzebowych. Biskup Wilberforce odmówił drżącym głosem modlitwę za umarłych. Rozległ się straszny krzyk Zofii i potem jeszcze okropniejsza cisza.

Siedzieliśmy w zupełnej martwocie, być może każdy się modlił, ja nie pamiętam, czy o czymkolwiek myślałam. Wiem tylko, że na niczym nie mogłam się skupić lub zatrzymać myśli. Biegałam spojrzeniem od osoby do osoby tej żalosej kongregacji i wydawało mi się, że to sen.

Chwilami budził mnie z tego odrętwienia szloch Zofii i Johna Sumnera. Biedny młodzieniec próbował przyjąć nieszczęście z godnością, ale przemowa biskupa wytrąciła go z równowagi.

Następnie przeszliśmy do pokoju zmarłej, aby po raz ostatni pożegnać się z Ellą. Nie mogłam doczekać się końca tej okrutnej sceny. Zofia objęła ramionami trumnę i poczęła szlochać tak spazmatycznie, że wydawało się, że wraz z tym potokiem łez wypłynie jej biedna dusza.

„Dzieciatko moje, dzieciatko, moje maleństwo”, powtarzała i całowała odpychającą czerń trumny. Wreszcie biskup Sumner i mąż naszej młodszej siostry Elżbiety – Tomasz Page, wzięli ją pod łokcie i delikatnie wyprowadzili z pokoju.

\*

Cóż mogę jeszcze powiedzieć o dziejach mojej siostry po śmierci ukochanego dziecka, jej towarzyski i przyjaciółki, ślicznej, eterycznej Elli Belli, która wszystkim nam zapadła w serca?

Przez pierwsze miesiące Zofia nie mogła się oderwać od miejsca wiecznego spoczynku córki. Powróciła do St. Leonards-on-Sea i zamieszkała w domu przylegającym do pensjonatu zakonnicy. Codziennie można ją było spotkać na cmentarzu, przy grobie ukochanej dziewczyny. Wreszcie udało mi się przekonać ją, aby powróciła ze mną do Beechwood, gdzie pomimo niespokojnego ducha zatrzymała się przez kilka miesięcy.

Później zdecydowała, że musi wyjechać do Europy i spotkać się ze starymi przyjaciółmi, baronostwem Bunsen. Nie sprzeciwiałam się tym planom, bo rzeczywiście tylko zmiana scenerii i klimatu mogła przynieść pociechę i ukojenie tej zbłąkanej, niespokojnej duszy.

Kiedy baron Bunsen otrzymał pozycję ambasadora Fryderyka Wilhelma IV, króla Prus, przy dworze Świętego Jakuba, Zofia często bywała u nich w nowo otrzymanym pałacu w East Sussex.

Aż do śmierci była związana bardzo blisko z tym niemieckim małżeństwem, które darzyło ją nie tylko szczerym szacunkiem, ale prawdziwą przyjaźnią i rodzinną opiekuńczością.

Cztery lata przed śmiercią mej siostry baronostwo wyjechali na stałe do Heidelbergu, a później na wybrzeże Morza Śródziemnego. Od tego czasu kontakty nieco się urwały, a w końcu ustały zupełnie.

Kiedy Zofia umierała w 1858 roku, prócz mnie pozostała przy życiu, z całego naszego piętnastoosobowego rodzeństwa, tylko Mary Jane Auber, żona kapitana żeglugi morskiej, brat William Hollamby Hull oraz Elżbieta, najmłodsza siostra, na której ślubie wiele lat temu Zofia poznała Tomasza, swą jedyną, wielką miłość.

Dla porządku podaję, że przed Zofią odeszli nasi bracia, kapitan Jan Watson Hull, oficer czternastego i dziesiątego Regimentu Bengalskiej Piechoty, który zmarł w Dromore, w hrabstwie Down, oraz major Lawrence Nilson Hull, oficer szesnastego Pułku Grenadierów, bohater pierwszej wojny z Sikhami, zmarły z odniesionych ran pod Firozpur.

Nasza siostra, Mary Jane stała się opiekunką i powiernicą Zofii w ostatnich miesiącach jej życia. Zofia zgasła szybko i cicho, bo chociaż od pewnego czasu czuła się słabo, nic nie zapowiadało nadchodzącego końca. Jeszcze poprzedniego wieczora siedziały z Mary Jane po kolacji w saloniku i wspominały dawne dzieje. W salonie High Wood poczesne miejsce zajmowało alabastrowe popiersie Elli, wykonane w Rzymie w roku 1833. Zofia często wznosiła na nie oczy i uśmiechała się porozumiewawczo. Wierzyła, że po śmierci połączy się z mężem i dziećmi.

– Noszę w sercu wspaniałe uczucie, iż Tomasz oczekuje mnie, otoczony naszymi dziećmi i frunę już do nich na skrzydłach miłości i tęsknoty. Oby dobry Bóg dał mi nacieszyć się nimi jak najprędzej.

Mary Jane znalazła ją sinym, grudniowym rankiem siedzącą w ulubionym fotelu w sypialni. Na kominku wygasł ogień, ale popioły były jeszcze ciepłe. Zofia siedziała wsparta poduszkami, lekko zaróżowiona, a na jej pięknej, drobnej twarzy błąkał się ten niewypowiedziany, niebiański uśmiech szczęścia. Wydawała się spać, ale kiedy Mary Jane ujęła jej rękę, od razu wiedziała, że jej siostra nie żyje.

Pochowałyśmy Zofię na cmentarzu kościoła Świętego Pawła w Mill Hill, w hrabstwie Middlesex. Był ponury, grudniowy dzień, ołowiane niebo groziło ulewnym deszczem, ale nagle,

gdy żałobny pochód już miał wracać do bramy cmentarza, rozstąpiły się niskie chmury  
i zaświeciło cudownie jaskrawe słońce, a jego długi promień padł na mokry kopczyk grobu.  
Pomyślałam, że to Tomasz przyszedł po swą żonę i zabrał ją tą świetlistą drogą do bram nieba.

\*

Testamentem, spisany 6 września 1855 roku i potwierdzonym przez Biuro Notarialne i Rejenta Sądowego w dniu 6 stycznia 1859 roku, Zofia lady Raffles pozostawiła większość swych posiadłości, łącznie z majątkiem High Wood, swej siostrzenicy, Jenny Flint, żonie wielbnego Williama Karola Flinta i córce jej siostry, Alice Mudge.

Najmłodszej siostrze, Elżbiecie Mary Ann Page, wdowie po wielbnym Tomasz Page, podarowała papiery wartościowe wartości dwu tysięcy funtów, przyznane Elżbiecie przez ojca, w czasie zawarcia przez nią ślubu z rzeczonym T. Page w 1816 roku.

Służbie majątku High Wood, a to Edwardowi Goddardowi, Luizie Steward i Annie Harding opłaciła następny rok pracy, jako „wyraz wdzięczności za długą i wierną służb”.

Nie zapomniała też o poczciwej i dobrej Mary Grimes, długoletniej niańce dzieci w Bengkulu i opiekunce Elli w czasie jej podróży do Anglii, która otrzymała trzydzieści funtów rocznej, dożywotniej pensji.

Wykonawcami testamentu byli wielbny W.K. Flint i Nathaniel Bridges, z Red Lion Square w Middlesex.

Majątek High Wood został sprzedany na aukcji w maju 1859 roku za niesprecyzowaną bliżej sumę.

Od tamtego czasu posiadłość przechodziła przez wiele rąk. Była prywatną rezydencją i domem starców, ale generalnie przetrwała do dziś w pierwotnym stanie.

Na frontonie znajduje się błękitna metalowa tablica obwieszająca, iż w latach 1825–1826 mieszkał tu gubernator Jawy i Sumatry, założyciel Singapuru, sir Tomasz Stamford Raffles. Nie zaznaczono niestety faktu, iż przez ponad trzydzieści lat mieszkała tu jego żona, która zawsze i wszędzie walczyła o przetrwanie jego pamięci.

## Posłowie

Większość postaci istniała na prawdę. Fikcyjną postacią jest ciotka Pamela. Dzieje Olivii i Zofii nakreślone zostały dość szczegółowo, zgodnie z duchem czasu i epoki. Tym niemniej pozwoliłam sobie na pewne odstępstwa od rzeczywistości szczególnie tam, gdzie nie ma jasnych i udokumentowanych faktów i fikcja, lub raczej reguła „tak być mogło”, wkroczyła w tok relacji.

Bowiem nie jest to książka sensu stricto biograficzna, a tym bardziej naukowa, jest to powieść oparta na dziejach wybitnych ludzi epoki i kolorowego arrasu życia kolonialnego Orientu, w niezwykle interesujących czasach wojen napoleońskich, kształcącego się nieśmiało romantyzmu i ekspansji potęgi imperialistycznej Wielkiej Brytanii.

O założycielu miasta Singapur w Polsce prawie nic się nie wie. Jest to jedna z tych historycznych postaci, które związane są ściśle z krajami, w których działały. A więc w Singapurze spotyka się na każdym kroku pamiątki i ślady „wielkiego imperialisty i kolonizatora”, Raffles znany jest doskonale w Indonezji i Malezji. I oczywiście istnieje cała ikonografia o tej niezwyklej postaci w jego rodzinnej Wielkiej Brytanii.

Tymczasem o jego dwu żonach, jakże różnych nie tylko urodą, ale przede wszystkim dziejami i celami życia, moralnością i mentalnością, jest na ogół cicho. Szczególnie o Olivii Devenish nie łatwo jest zdobyć materiały, ponieważ w swoim czasie uważana była raczej za awanturnicę i kobietę lekką. A właśnie jej życie to niezwykle interesująca kanwa, na której przewija się romans, przygoda i ta pachnąca cynamonem, pieprzem i imbirem egzotyka Dalekiego Wschodu.

Przy jej barwnej, pełnokrwistej postaci Zofia Hull wydaje się nudna i wyblakła. Ale gdy prześledzimy tragiczne dzieje Zofii, gdy spojrzymy na tę bolejącą matkę i żonę, z podziwem dostrzeżemy niezwykle silną, lojalną i odważną niewiastę, w pełni godną swego, większego niż życie, męża.

O wyglądzie Olivii właściwie nic nie wiemy, ponieważ nie zachował się ani jej portret, ani tak popularna w tych czasach miniatura. Niewątpliwie była kilka lat starsza od Tomasza i w momencie ślubu zdecydowanie przewyższała go doświadczeniem miłosnym. Jej uczucie do Leydena nie jest udokumentowane jednoznacznie, więcej w ich korespondencji egzaltacji i niedomówień niż krwistego romansu, ale właśnie dlatego pozostawia pole do domysłów i wniosków.

O jej pierwszym mężu, doktorze Fancourcie, również nie pozostało wiele materiałów. Prócz tego, że prawdopodobnie odbierał poród jej nieślubnej córki, wkrótce potem ożenił się z Olivią i wyjechał na placówkę w Rajkocie, gdzie zmarł, nic więcej nie wiemy.

Wreszcie niezwykle interesująca pod względem psychologicznym postać kapitana Dempstera zajmuje poczesne miejsca w pierwszym okresie życia naszej bohaterki i bez wątpienia zasługuje na uwagę zarówno historyków, jak i czytelnika. Bowiem Dempster jest typowym przedstawicielem swej epoki, człowiekiem czynu, działania, ale także cynizmu, lekkomyślności i brawury.

Niemniej w dramatycznych chwilach, przed urodzeniem dziecka, okazuje szlachetność serca i odpowiedzialność, a potem ogromną uczuciowość w stosunku do nieślubnej córki. W towarzystwie męskich postaci właśnie on wydaje się najbardziej prawdziwy. Jego tragiczny koniec jest faktem historycznym.

Zofia jawi się nam jako kobieta o mocnych zasadach moralnych, dobrym sercu

i nieprzeciętnym uczuciu do męża, które potrafi wszystko znieść, wybaczyć i pokonać dla dobra miłości.

Zofia podziwia Tomasza, jest gotowa dla jego działalności i sławy poświęcić wszystko, nawet dzieci. Równocześnie jest tragiczną, ciężko doświadczoną przez życie matką, żoną i kobietą, której los nie oszczędza, ale która pomimo tego nie poddaje się, okazuje nieprzeciętną odwagę ducha, hart i siłę charakteru. Psychologicznie wydaje się bezsprzecznie ciekawsza od żyjącej życiem motyla Olivii. Właśnie od Zofii możemy się uczyć urody życia i miłości bliźniego.

Najmniej uwagi poświęciłam samemu sir Rafflesowi. Uczyniłam to celowo, ponieważ osią tej książki miały być dwie kobiety, jakże bliskie temu interesującemu człowiekowi, dwie żony i dwie partnerki. Każda inna, każda inaczej przez niego kochana i traktowana, każda pochłaniająca uwagę czytelnika i przykuwająca niezwykłymi przymiotami duszy i ciała.

Być może, iż bez nich sir Tomasz nigdy nie osiągnąłby tego, co zamierzał, i świat byłby uboższy o jedno z najpiękniejszych miejsc naszego globu, państwo-miasto, Singapur, Miasto Lwa!

Monumentalne czyny i działania sir Rafflesa przesłaniają jego człowieczeństwo, zacierają postać zwykłego śmiertelnika z krwi i kości. W pewnym stopniu gubernator Raffles zawsze stoi na postumencie, jest pomnikiem wykutym w kamieniu, który można podziwiać, zaś jego polityczną działalność pochwałać lub ganić.

Niewątpliwie był kolonizatorem, dla niektórych w negatywnym, nawet ubliżającym znaczeniu. Ale aby pojąć przyczyny jego działań i sposobu myślenia, należy popatrzeć szerzej na całą epokę, w której przyszło mu żyć. Jego postępowanie uwarunkowane było sytuacją polityczną i historyczną Europy i Anglii okresu wojen napoleońskich.

Walka o hegemonię światową pomiędzy Francją a Wielką Brytanią odbywała się nie tylko w Europie. Chodziło o wpływy i zachowanie Kolonii na całym świecie. Raffles uważał się za patriotę. Jego żądza ekspansji i zagarniania spowodowana była najszczerzą i gorącą chęcią przydania potęgi i siły Imperium Brytyjskiemu. Jego prywatne cele stanowiły rzecz drugorzędną. Kolonistę widzimy zazwyczaj jako twardego okrutnika z batem i kajdanami w ręku.

Tymczasem Raffles pozostawił po sobie w południowej Azji impresję dobroczyńcy, człowieka światłego, humanitarnego i łagodnego. Dlatego do tej pory w Singapurze tak bardzo pielęgnuje się o nim pamięć we wszystkich przejawach życia wyspy. Jest nadal dobrym duchem, opiekunem i ojcem, naukowcem i entuzjastą tamtejszej kultury.

Prawda, Raffles jest imperialistą, bowiem wszystko, co czynił, czynił dla chwały Imperium. Ale czynił to dobrym słowem, słusznymi prawami, kodeksem moralnym, konstytucją wreszcie, zresztą opartą na konstytucji Ameryki Północnej.

Miast ogniem i mieczem, zdobywał perswazją, przymierzem, pokojowym paktem i ludzkim traktowaniem podbitych społeczeństw. Wynikało to z tego, że prawdziwie kochał tamte ziemie, tamte ludy, rozumiał je i czuł się z nimi związany.

Opisane wydarzenia historyczne, zarówno w pierwszej, jak i drugiej części są prawdziwe. Prawdziwy jest również straszny pożar na „Fame”, który współczesne gazety nazywały tragedią na miarę starożytności, smutnym unicestwieniem nadziei i katastrofą godną Sofoklesa.

Większość imion, nazw geograficznych i wyrazów obcych zamieściłam w ich oryginalnej pisowni, chyba że weszły już w powszedni użytek w języku polskim i spolszczonymi zna je czytelnik. Niektóre nazwy geograficzne dawno już wyszły z użycia, zastąpione współczesnymi, czasem zupełnie inaczej brzmiącymi nazwami, ale dla dobra atmosfery historycznej pozostałam przy ich dawnej pisowni. Pewne zapożyczenia z języków hindi,



arabskiego i angielskiego pisałam w ich brzmieniu fonetycznym.

Język narracji i dialogów może się czasem wydać czytelnikowi „trącający myszką”, archaiczny. Jest to celowa maniera, bowiem tak brzmią w jej uszach głosy ówczesnych warstw wykształconych. Jest tam spora doza egzaltacji, pompy i barwnych, kwiecistych frazesów.

Przecież język i sposób wysławiania się, jak i strój i zachowanie, są odbiciem danej epoki. Przybliżają czytelnikowi ducha czasu, jeśli nawet czasem drażnią lub dziwią.

## **Bibliografia**

- Bastin John, *Olivia Mariamne Raffles*, Singapore 2002  
Bastin John, *Sophie Raffles*, Singapore 2002  
Corfield Justin, *Java British and Empire Graves*, London 1999  
Davis Donald, *Olivia and Sophia Raffles, Malaya in History*, Singapore, 1957  
Nieuwenhuys Rob, *Mirrors of the Indies*, Hong Kong 1999  
Purcell V.W.W.S. *Early Penang*, Penang 1928  
Wurtzburg C.E., *Raffles of Eastern Isles*, London 1954

## Słownik wyrazów obcych

*Aide de camp* – adiutant  
*Al fresco* – na wolnym powietrzu  
*Apsara* – niebiańska tancerka  
*Baba* – ojciec, pan  
*Banyan* – drzewo figowe  
*Batik* – ręcznie malowane płótno  
*Bugis* – żołnierze armii malajskiej  
*Cabbage heads* – głowy kapuściane  
*Dżonka* – kuter rybacki, łódź z żaglem  
*Darling* – najdroższy, najdroższa  
*Ferenghi* – obcy, cudzoziemiec  
*Gamelanu* – indonezyjska orkiestra ludowa  
*Haveli* – domostwo, budowla  
*Indiaman* – rodzaj dalekomorskiego żaglowca  
*Kebaya* – malajska suknia kobieca  
*Kraton* – pałac króla w Indonezji  
*Mahabharata* – epos starohinduski  
*Mijnheer* – pan  
*Nargile, hookah* – wodna fajka  
*Paddies* – ryżowe pola  
*Pipul* – rodzaj drzewa figowego  
*Plum pudding* – legumina nasączona podpalaną brandy  
*Punka, punkah* – przenośny wachlarz podwieszony pod sufitem  
*Punka wallah* – chłopiec poruszający wachlarz  
*Ramayana* – epos starohinduski  
*Rule Britannia!* – Panuj Brytanio! Początek patriotycznej pieśni  
*Sahib, sahiba* – pan, pani  
*Sampan* – łódź drewniana  
*Sarong* – luźny kawałek materii owijany wokół bioder na Malajach  
*Satay* – rodzaj pieczonego mięsa  
*Sipay* – żołnierz hinduski w armii brytyjskiej  
*Siri betel* – orzech areca w liściu, przysmak do żucia  
*Soiree* – zebranie towarzyskie  
*Tek* – drzewo tekowe  
*Tuan* – pan (malajskie)  
*Wayang* – malajski teatr cieni